

Mark Del Franco

Rzeczy Niekształtne

Tłumaczył Jarosław Grzędowicz

Rozdział 1

Zaułek lśnił od deszczu i mieniającej się tęczowo brei, której pochodzenia nawet nie chciało mi się dociekać. Przeszedłem pod żółtą taśmą odgradzającą miejsce zbrodni. Brązowe świństwo sączyło się obok moich nóg i omal się nie przewróciłem, usiłując w to nie wdepnąć. Koniec zaułka rozświetlało migotanie błyskających lamp na dachach kilku policyjnych wozów oraz ambulansu. Wokół kłębił się około czterdziestoosobowy tłumek, którego większość nie miała zapewne innego powodu, żeby tu sterczeć, chciała tylko zobaczyć kolejną ofiarę.

Detektyw porucznik Leo Murdock z Bostońskiego Departamentu Policji pomachał na mnie, kiedy podszedłem do najbliższego wozu.

– Hej, Connor, mamy tu następną wróżkę – powiedział.

Wróżka. Nie żebym miał coś przeciw wróżkom, pomyślałem sardonicznie. Tutaj, w zaułkach dzielnicy Weird, martwa wróżka w środku nocy to codzienność. Zresztą i tak nie musiał mi nic mówić. Wyczułem krew, kiedy tylko skręciłem za róg głównej ulicy.

– Ten sam modus operandi? – zapytałem. Podszedłem do śledczego sądowego, który tylko przykucnął nad ciałem, ale poza tym nie robił nic. Murdock wzruszył ramionami.

– Ty mi powiedz.

Nagie ciało leżało na plecach, wpatrując się martwo w puste nocne niebo. Osobnik płci męskiej, blady, nieszczególnie szczodrze obdarzony przez naturę, choć trudno to orzec w przypadku kogoś, kto jest martwy i właśnie zakrwawił całą okolicę. Krew nadal sączyła się z jego rozprutej klatki piersiowej, światła odbijały się w tej wielkiej, ciemnej kałuży. Długie blond włosy układały się aureolą wokół głowy wróżki, pokryte przyklepionymi do nich drobnymi fragmentami tkanek i narządów. W piersi ziała pusta rana, brakowało serca. Skrzydła leżały płasko na ziemi, każde przyciśnięte kamieniem.

Szturchnąłem medyka, usuwając go sobie z drogi, i przykucnąłem. Od ciała zalaływało ohydny zapachem alkoholu. Cholerne wróżki nigdy się nie uczą. Upijają się na sam widok butelki, ale dalej chleją. Założyłem lateksowe rękawiczki, rozsunąłem odsłonięte w ranie arterie i tak jak się spodziewałem, znalazłem mały kamyk. Nagle poczułem z lewej dziwaczną, pustą, martwą aurę i dostrzegłem pochylonego obok Murdocka. Kabura z pistoletem kołysała się przy mojej głowie.

– Cofnij się, chłopie – powiedziałem. – Twoja spluwa wszystko mi spieprzy.

Murdock przybrał zakłopotany wyraz twarzy i cofnął się. Nigdy nie pamiętał o wpływie stali, a ja nigdy nie pamiętałem, żeby mu przypomnieć, więc

wina leżała po obu stronach. Ledwo się cofnął, esencje znów się wzmogły. Nie wyczułem nic niezwykłego. Trup, może inna wróżka, która mu towarzyszyła wcześniej tego wieczoru, może jakiś elf albo dwa. Wokół krocza unosił się fetor człowieka. Denat musiał mieć pracowitą noc, mimo że ludzie ledwo zauważali jemu podobnych.

Zdaje się, że prócz serca nic nie zginęło. Cięcie na dłoni wyglądało na ranę obronną. Nie było głębokie, ostrze ześlizgnęło się po kości. Pewnie denat był zbyt pijany, żeby bardziej powalczyć. Kilka pierścionków znajdowało się nadal na palcach dłoni i stóp. Zabójcy nie obchodziły pieniądze.

Rozejrzałem się. Uliczka wyglądała jak klasyczny zaułek. Wszystkie drzwi i okna zamknięto na głucho i zasłonięto okiennicami. Zacząłem wstawać i nagle zauważyłem coś czerwonego na ziemi, pomiędzy kubłem na śmieci a pudłem. Było zbyt czyste, by tu leżało od dawna. Ostrożnie obszedłem ciało i odsłoniłem znalezisko. Kawałek materiału, który jednak emanował tą samą esencją co denat.

– Zabezpieczcie to i przeszukajcie kontener – rzuciłem, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

Odwracałem się już, ale zamarłem nagle, wyczuwając coś. Pojemnik na śmieci stał dociśnięty do gołego ceglanego murka. Wspiąłem się nań i zacząłem węszyć. Bingo. Chochlik. Trop chochlików szybko się rozwiewa, więc imp musiał

tu być niedawno. Gdy zeskokczyłem na beton, wymierzyłem sobie mentalnego kopniaka w tyłek. Do tej pory nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić tropy ponad poprzednimi miejscami zbrodni.

– Były tu jakieś chochliki, kiedy przyjechali twoi ludzie? – spytałem Murdocka.

Pokręcił głową.

– Ciało znalazł ktoś, kto zadzwonił na dziewięćset jedenaście. Gdy przyjechaliśmy, było tu pełno gapiów.

Skinałem głową. Nie chodziło mi o nic konkretnego. Gdyby chochlik był tu, kiedy przyjechały gliny, ludzie mogli go zapamiętać. Chochliki zajmowały się swoimi sprawami i dbały o to, by nie być widziane zbyt często. Doszły w tym do perfekcji, umiały nawet ukrywać swój zapach, chyba że nie było potrzeby. Na przykład gdy unosiły się pięć metrów nad cuchnącym śmietnikiem. To była marna wskazówka, nic obiecującego, ale wiedziałem, kogo mam o to spytać. I nie chciałem mieszać w to Murdocka. Już wystarczyło, że nie mógł pojąć, dlaczego nie naprawię wszystkiego jednym skinieniem magicznej różdżki. Nie chciałem, żeby zaczął teraz nękać społeczność chochlików, jeśli chodziło tylko o zbieg okoliczności.

– Ten sam m. o. – oświadczyłem i zdarłem z dłoni lateksowe rękawiczki.

Przytaknął i zmarszczył brwi. Nawet

zirytowany, nadal był cholernie przystojny, taką urodą, której kobiety pożądały, a mężczyźni zazdrościli. Metr osiemdziesiąt mięśni okrytych gładką białą skórą i czarne jak węgiel spojrzenie, które sprawiało, że jeśli patrzył na ciebie zbyt długo, czułeś się jakiś lepki. Znałem go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że pod tym lekceważącym zachowaniem kryło się złote serduszko i że naprawdę przejmował się losem dziwolągów zamieszkujących Weird. Siedział w tym wystarczająco długo, żeby się przenieść gdziekolwiek, gdyby zechciał.

Ale nie chciał. Kolejna rzecz, która wydała mi się w nim sympatyczna.

Poszedł do swojego samochodu.

– Podrzucić cię? – zapytał, otwierając drzwiczki.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Nie. Chcę się przejść.

– Rozumiem – odparł. – Prześlę ci akta.

– Na razie – pożegnałem się.

Zawołał mnie, ledwie odszedłem kawałek.

Gdy się obejrzałem, posłał mi blady uśmiech.

– Dzięki, kumplu.

Odpowiedziałem uśmiechem i poszedłem w swoją stronę. U wylotu zaułka musiałem przepchnąć się przez kłębowisko gapiów, którzy tłoczyli się przy policyjnej blokadzie. Górowała nad nimi wielka kobieta, miała dobrze ponad dwa metry wzrostu, jej rozwiane włosy wznosiły się

jeszcze wyżej, a zielony spandeksowy gorset opinał wielki biust. Potrząsnąłem głową. Ktoś kiedyś powiedział, że kiedy dochodzi do morderstwa, zawsze w tle jest kobieta. Nie przypuszczałem, żeby o to chodziło w tym wypadku. Zresztą w Weird w połowie przypadków nie było wiadomo, czy kobieta to rzeczywiście kobieta, a jeśli nawet, to do jakiego należy gatunku.

Kiedy ruszyłem labiryntem ulic, znów bezwiednie zacząłem myśleć, jaką to wszystko było stratą. Jakim marnotrawstwem. Za każdym razem, gdy gazety pisały, że sprawy przybierają lepszy obrót, wiedziałem, że to kłamstwo. Dopóki istnieli zdesperowani ludzie, istniało i Weird. A dopóki istniało, miałem powód, żeby wstawać rano z łóżka. Więc może i nie było to wszystko takie złe, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Nigdy nie wmawiałem sobie, że mogę tu coś więcej, niż tylko podgryzać zło po kostkach. Nawet przed wypadkiem tak samo jak wszyscy po prostu zdeptywałem płomyki, zanim zmieniły się w pożogę. Może już nie grałem w pierwszej lidze, ale ciągle coś mogłem zrobić, nawet jeśli byłem tylko biednym Connorem Greyem, okaleczonym druidem. Przynajmniej nie musiałem się użerać z politykierami z Gildii.

No i płacili mi rentę inwalidzką.

Moja kariera w Gildii rozwijała się całkiem dobrze. Gildia Strażników monitorowała fata –

druidów, wróżki, elfy i skrzaty, działając zarazem jak agencja policyjna i jak ambasada. Każde miasto o dużej koncentracji fata miało swój Dom Gildii, służący jako kwatera główna dla tubylców. Ostatecznie wszystkie Domy składały raporty na samą górę do Irlandii. Na dwór starej, dobrej Maeve, Najwyższej Królowej Mucky-Muck w Tarze.

Miałem za czym tęsknić. Forsa. Piękny apartament. Randki dzień w dzień, jeśli tylko chciałem. Moje zdjęcia w gazetach. Swego czasu prowadziłem większość najistotniejszych śledztw kryminalnych. Ale to się skończyło. Odeszło. Prysnęło w jednej chwili, podczas spotkania z porąbanym elfem-ekologistą przy reaktorze atomowym. Dupek miał pierścień mocy, ale żadnego pojęcia, jak go używać. Stracił kontrolę i wywołał jakieś sprzężenie zwrotne z reaktorem. Następne, co pamiętam, to że odzyskałem przytomność w szpitalu Avalon Memoriał z potworną migreną i bez większości swoich zdolności. Może bardziej powinienem się przejąć, że padła cała północno-wschodnia sieć energetyczna. Nikt nie zginął. Nawet ten durny elf.

Lekarze byli zdumieni. Wiedzieli, że problem wiąże się z niewyraźną ciemną plamą widoczną pośrodku mojego mózgu, ale nawet nie umieli stwierdzić, czy to jest coś organicznego. Żadna technologia diagnostyczna czy inna nie pozwalała tego zbadać. Zaproponowali, że dostaną się tam

fizycznie i sprawdzą, ale nikt nie wie niczego wystarczająco na temat powiązań zdolności z żywą tkanką, więc nie potrafiłem im zaufać. Chcieli przeprowadzić eksperyment na kimś innym, a potem wrócić do mnie. Sporo by pomogło, gdyby mieli ten pierścień, ale przepadł razem z elfem. Życzyłbym dupkowi śmierci, gdyby nie nadzieja, że gnojek żyje i pewnego dnia go spotkam. I mam nadzieję, że Murdocka nie będzie wtedy w okolicy. Inaczej wlaźłby na mnie z całą tą swoją etyką i nie pozwolił zabić bydlaka. Na razie jest skonsternowany i zasmucony całą sytuacją tak samo jak ja.

A przynajmniej tak mu się wydaje.

Murdock to porządny gość. Czasami zbyt dobry jak na to miasto. Wie, że nie przyjąłbym jałmużny, ale trudno mu odmówić, gdy merda mi przed nosem szczególnie interesującą sprawą. System generalnie działa tak, że Gildia zajmuje się sprawami, w których brali udział fata, a miejska policja ludźmi. I to działa, z tym że Gildia wybiera sobie sprawy zdarzające się pomiędzy samymi fata. Głośne, chwalebne przypadki. Pomniejsze przestępstwa, czy są w nie zamieszani fata, czy nie, spadają na lokalny departament. Jeżeli w sprawę zamieszani są ludzie, czyli w większości przypadków, spuszcza się ze smyczy zespół Murdocka. Ludzka policja musi zajmować się Weird, bo mieszkający tam fata niewiele obchodzą Gildię, chyba że ktoś ważny popełnił życiowy błąd

i w coś wdepnął. A ja, dzięki rencie inwalidzkiej i okazjnym czekom od Murdocka, który wydusza dla mnie honoraria konsultanta, mam na czynsz.

Dotarłem do drzwi, kiedy świt zaczął skradać się po ścianach. Mój dom to stary spichlerz w strefie mroku na granicy Weird, ledwie przerobiony na budynek mieszkalny. Winda na piąte piętro jedzie dłużej, niż trwałoby wejście na piechotę, ale zwykle nie zawracam sobie głowy schodami. Jest tu tanio i cicho, inni lokatorzy nie budzą mnie wrzaskami w środku nocy. Większość to emeryci albo studenci sztuki, poza tym zdaje się, że mamy jeszcze skrzaty w piwnicy, aczkolwiek od jakiegoś czasu żadnego nie widziałem. Moje mieszkanie znajduje się w narożniku na najwyższym piętrze. Kiedyś miałem sanktuarium w stylu retro, ale teraz zadowolam się dziurą z jedną sypialnią i widokiem na gnijące molo. Oraz na ładny port za nim.

Na co dzień żyję w salonie, urządzone w większym pokoju, a pracownię mam w mniejszym, zajmującym róg kamienicy. Dzięki temu o świcie słońce nie razi mnie w oczy, a kiedy pracuję, mam przed sobą panoramę Bostonu, a z prawej widok na lotnisko. I nieźle mnie to rozprasza, tak w dzień, jak w nocy.

Wślizgnąłem się na skrzypiące krzesło przed komputerem i podniosłem system. Otworzyłem katalog dotyczący sprawy, założyłem ofierze plik w bazie danych, zrobiłem notatki na temat miejsca

zdarzenia i umieściłem lokację na mapie. Murdock podeśle mi więcej szczegółów, kiedy tylko będzie mógł. Dzisiejsza ofiara nosiła numer trzy z tego tygodnia, więc Avalon Memoriał zgodził się przyznać mojemu dostępowi najwyższy priorytet. Brawa dla nich.

Najnowsza ofiara niczym nie różniła się od dwóch poprzednich. Wróżka płci męskiej, z zawodu prostytutka, znaleziona w odludnej uliczce z wyprutym sercem. Kamień umieszczony w klatce piersiowej, dwa inne przyciskające skrzydła. Podejrzywałem, że chodziło o zabezpieczenie. Nawet kompletnie pijana wróżka próbowałaaby odlecieć, więc napastnik chciał unieruchomić skrzydła. Kamienie były czymś w rodzaju talizmanów, ale nie należały do żadnego znanego mi rytuału. Nie były naładowane niczym prócz zwykłej esencji ciała. Gdyby była w nich jakakolwiek moc, pozostałości byłyby wyczuwalne jeszcze długo po tym, jak zjawiłem się na miejscu.

Odchyliłem się na krześle i omiotłem wzrokiem półki wzdłuż ścian. Antyczne skórzane grzbiety przepychały się z tanimi kieszonkowymi wydaniem. Samouczki inkantacji obok leksykonów zaklęć, grymuarów, słowników runicznych w czternastu językach, z czego trzech praktycznie martwych i w jednym nieistniejącym, oraz kompletne pierwsze wydanie Lloyda Aleksandra. Rytuał, o który mi chodziło, znajdował się gdzieś na tych stronicach.

Otworzyłem pierwszy z brzegu stary, celtycki podręcznik zaklęć i doszedłem do wniosku, że trzy godziny snu nie byłyby od rzeczy dla kogoś, kto zabiera się za odszyfrowanie oghamu. [ogham - starożytne celtyckie pismo, znajdowane m.in. na kamieniach runicznych (przyp. tłum.).]

Wstałem i poczłapałem do aneksu kuchennego w kącie salonu. Światło lodówki bezlitośnie ujawniało smutną prawdę, że czas na zakupy. Wyjąłem buteleczkę wielkości naparstka, w której lśnił żółty punkcik światła. Większość ludzi nazywa je „świetliki” – biedni, mali posłańcy. Ci, którzy mieli przyjaciół wśród fata, usiłowali używać świetlików, ale nie bardzo im wychodziło. Przeciętny człowiek musiał trzymać je godzinami, zanim je naładował. Prościej było wysłać mejla. Ja musiałem użyć małego posłańca. Większość moich wiadomości gdzieś się ostatnio zawieruszała.

Wsunąłem buteleczkę do kieszeni, żeby ją ogrzać. A ledwo rozwinąłem futon, moje spodnie zaczęły buczeć. Gdy wydobyłem fiolkę, małe światełko wewnątrz tańczyło w górę i w dół, wydając charakterystyczne brzęczenie. Ostrożnie podważyłem korek i chwyciłem światełko w palce. A potem uniosłem je do ust i powiedziałem: „Stinkwort. »Ziele Babki«. Południe”.

Otworzyłem dłoń, świetlik wyskoczył, zawisł na moment w miejscu, po czym wyprysnął przez okno.

Zwalilem się na futon i zasnąłem, zanim zaczęły się jeszcze poranne wiadomości. Cztery

godziny później siedziałem już w „Zielu Babki”, jedząc lunch na śniadanie. Knajpę otworzyła parę lat temu para Chińczyków, którzy mieli nadzieję wdrzeć się na elfi rynek. Nie odróżniali miodowego ciasta od szalotkowych naleśników, ale burgery mieli przyzwoite. Głównie karmili nastoletnich turystów na jednodniowym wypadzie na zadupie. Podobało mi się tutaj, bo istniała minimalna szansa, że wpadnę na kogoś znajomego. Większość moich przyjaciół miała lepszy gust.

Nadeszło i minęło południe. Siedziałem, żując słomkę z kubka z kawą i obserwując całkowicie ludzki tłum. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, klienci lokalu podnosili głowy, by po chwili wbić znów wzrok w talerze, rozczarowani, że nie widzą ani skrzydeł, ani spiczastych uszu. Druidzi specjalnie się nie wyróżniają, więc nikt nie zwracał na mnie uwagi. Po kolejnych dwudziestu minutach mój pęcherz nie pozwalał dłużej się ignorować. Poszedłem do toalety.

Właśnie miałem załatwić sprawę, gdy nagle nad moją głową rozległ się głos.

– Przynajmniej nie siadasz.

Unosił się nade mną wyprostowany na całe swoje dwanaście cali, okręcony przepaską biodrową, ze skrzyżowanymi ramionami, ściągniętą twarzą i skrzydłami pociemniałymi z gniewu.

– Stinkwort, co cię, do diabła, zatrzymało na tyle czasu? – zapytałem.

– Mnie? Jestem tu, odkąd przyszedłeś. Co ci strzeliło do łba, żeby siedzieć między tymi wszystkimi ludźmi? Ile twoim zdaniem by trwało, zanim wycelowaliby we mnie te swoje aparaty? Zdaje ci się, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko pozować?

– Przepraszam, byłem głodny. – Spuściłem wzrok, a potem znów podniosłem. – Eee... zostawisz mnie na sekundę?

Stinkwort spojrział na mnie z góry i z pogardą zarzucił grzywą.

– Dobra. Będę na ulicy.

Śmignął na zewnątrz. Śmignął z powrotem do środka.

– I nie nazywaj mnie Stinkwort. – Znów wyśmignął z łazienki.

Rzeczywiście zastałem go siedzącego na skrzynce w wąskim przejściu przed „Zielem”. Podfrunął, kiedy tylko minąłem drzwi, i mogliśmy rozmawiać twarzą w twarz. Wciąż był wkurzony.

– Czego chcesz, o wielki-bezsilny?

Zmarszczyłem brwi.

– To było niskie nawet jak na ciebie, Stinky.

– Teraz nazywam się Joe – odparł. – Jeśli to dla ciebie za trudne, zmywam się.

Nic mnie tak nie bawi jak wściekły chochlik. Tak bardzo starają się zachowywać złowrogo, ale to oksymoron dla kogoś, kto posiada błękitne albo żółte skrzydełka. Albo różowe, jak Stinkwort. Szczególnie różowe. Ale rozumiałem go. Stinkwort

to paskudne imię. Oznacza coś jak „Śmierdzące Ziele” i cokolwiek strzeliło do głowy jego matce, żeby go tak nazwać, zachowała to dla siebie.

– Dobra, Joe. Przepraszam. Przepraszam za restaurację, za to, jak masz na imię, i za to, co musiałem kupić na lunch. Rozejm?

Przez chwilę gapił się na mnie spod krzaczastych brwi pałającymi oczami. A potem uśmiechnął się od ucha do ucha.

– W czym mogę ci pomóc, Connor?

– Potrzebuję pomocy w sprawie tego ostatniego morderstwa.

Joe zbladł gwałtownie i odfrunął w tył zdjęty strachem.

– Czeka! – zawołałem. – Nie spieprzaj przede mną!

Chochliki są takie... no właśnie – chochlikowate.

Zatrzymał się i popatrzył na mnie podejrzliwie.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Przy ostatnim morderstwie był chochlik.

Albo kilka – powiedziałem szybko, zanim znów zmienił zdanie. – Słyszałeś coś?

Skrzywił się kwaśno.

– Wszyscy o tym gadają.

– Ktoś gada, że tam był?

Potrząsnął głową.

– Nikt by się nie przyznał, gdyby tam był. Jeśli morderca potrafił zabić jednego z ludu Danann... –

przerwał nagle. Większość magicznego ludu uważa swój własny gatunek za jedyny i najlepszy spośród wszystkich innych, których przedstawiciele ma za żalosne namiastki fata, zasługujące ledwie na pogardliwą tolerancję. Szczególnie chochliki są przeczulone na punkcie swojego miejsca we wszechświecie. Jeśli Joe o mały włos nie przyznał, że trudniej zabić wróżkę z ludu Danann niż chochlika, to był nie lada wstrząśnięty.

– Wiem, że przy ostatnim przypadku był chochlik – zacząłem znowu. – Nie wiem, czy był mordercą, czy ofiarą, ale to mój jedyny trop.

– Żaden chochlik nie trzymałby z mordercą. – Znów się zachmurzył. – A tak powiedziałaś?

– Przypuśćmy – zgodziłem się. – Ale nie wiem, czy znał mordercę, czy natknął się na niego przypadkiem, czy też przyjaźnił się z ofiarą.

Joe w zamyśleniu zabębnił palcami po szczęcie.

– Wszyscy są roztrzęsieni. Mówi się, że najlepiej się schować, aż wszystko przycichnie. – Ponownie zacisnął wargi.

Przywołałem swój najszerszy uśmiech w rodzaju „Joe-chłopie-jesteś-super”.

– Ale ty znasz ludzi, nie? Takich, którzy mogliby spotkać roztrzęsionego chochlika?

– Powiedziałem, że wszyscy są roztrzęsieni. Jeszcze do tego ogłuchłeś czy jak?

– Niektórzy mogą być roztrzęsieni szczególnie. Jak ktoś, kto coś widział. Słuchaj,

rozumiem, Joe. Nie twoja liga. Poszukam kogoś innego.

Wykonał ten swój nerwowy taniec.

– Nie powiedziałem, że się nie dowiem.

Wlepiłem w niego wzrok.

– To świetnie, Joe. Jeśli czegoś się dowiesz, daj mi znać.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– A ten... jak ty się czujesz?

Wzruszyłem ramionami. Wiedziałem, o co pytał.

– Tak samo. Bez zmian.

Pokiwał ostrożnie głową, starając się nie okazać zbytniego zainteresowania. Był w szpitalu, kiedy się obudziłem po wypadku. Teraz spoglądał wzdłuż ulicy z wyteżoną uwagą, jakby coś niezwykle interesującego działo się w najbliższej stercie odpadków. Niczego nie widziałem, ale chochliki inaczej postrzegają świat.

– Nie widziałem cię ostatnio, byłem po prostu ciekaw, jak leci – mruknął.

– Fochy – oznajmiłem z krzywym uśmiechem. Byłem pewien, że łągał. Z tego, co wiem, Joe mógł fruwać pięć metrów nade mną od tygodni, a ja nie miałbym o tym pojęcia. Nigdy nie trzymał się z daleka zbyt długo. Właściwie powinienem powiedzieć, że nigdy zbyt długo się przede mną nie ukrywał. Lata temu zdałem sobie sprawę, że często mnie obserwuje. Doskonale umie trzymać się poza zasięgiem wzroku. Tylko że co i

rusz wygłasza ironiczne komentarze na temat faktów z mojego życia, o których moim zdaniem nie powinien mieć pojęcia. Jego klan mieszkał w zachodnim Devon, tam, w Starym Kraju, a większość chochlików pochodzi wprost z Faerie. Te stwory zwykły przyklejać się do wybranych przez siebie rodzin. Znałem Joego od dzieciństwa i wiedziałem, że przedtem znał też moich rodziców. Nie mówiąc już o tym, że jego ulubione ciasteczka wciąż znikają z mojego domu, a ja sam rzadko je jadam.

Joe nadał się odrobinę.

– Powinieneś iść na tańce – oznajmił i mrugnął. – Mogę ci ustawić randkę.

Roześmiałem się. To był nasz stary dowcip. Ostatnim razem, kiedy się na to zgodziłem, byłem w liceum. i w efekcie spędziłem dwie godziny z trollką, która trajkotała przez całe „Gwiezdne wojny”.

– O te sprawy dbam we własnym zakresie, dzięki.

Wciąż zerkał na ulicę i robił się coraz bardziej nerwowy. Pewnie czuł się zbyt odsłonięty.

– Słuchaj, muszę lecieć. Jeśli w tę sprawę jest zamieszany chochlik, dowiem się.

– Dzięki, Joe. Sam to powiedziałeś?

Szczeknął na mnie jak pies i śmignął. Ludzie, którzy nie mają często do czynienia z chochlikami, zwykli ludzie, sądzą, że oznacza to kontakt z czymś niesamowitym i cudownym. Tymczasem

chochliki są jak ludzie. Może trochę ekscentryczne. Może i potrafią śmigać tu i tam poza zasięgiem wzroku, ale to po prostu ludzie. I znacznie trudniej je spotkać bez uprzedniego umówienia się niż innych. Jeśli nie chcą z tobą gadać, to nie będą. Powiedzieć, że są troszkę paranoiczne, to znacznie za mało. Ale gdybym ja miał mniej niż czterdzieści centymetrów wzrostu, też bym uważał.

Poszedłem na spacer wzdłuż alei Old Northern, głównej ulicy w sąsiedztwie. Większość ludzi mówi o niej „Aleja”, ale jeśli się mieszka w Weird, nabywa się prawo do nazywania jej w zwykłych rozmowach: „O nie”. To od słów, które się tam odruchowo wypowiada, ilekroć zadrze się głowę. Gdyby jakieś trzydzieści lat temu ktoś powiedział, że na nabrzeżu w tej części miasta będzie prosperować dzielnica mieszkaniowa, to uznano by, że zwariował. Cały labirynt składów, magazynów i piętrowych parkingów pozamieniano w lofty i przerobiono na budynki mieszkalne lub siedziby nowych, aczkolwiek czasem trudnych do opisanego interesów. Większość nieruchomości tutaj jest własnością krasnoludzkich syndykatów, które były pewne, że obłowią się, kiedy miasto przystąpi do budowy planowanego nowego tunelu na lotnisko po drugiej stronie portu. Tylko że, jak to zwykle bywa, syndykaty okazały się odrobinę zbyt chciwe i zaczęły wynajmować powierzchnię mieszkalną rozmaitym fatom. Ani się obejrżeli, jak pojawiły się samorzady mieszkańców, które

zmusiły miasto do odstąpienia od budowy tunelu. I w efekcie krasnoludy zostały z nieruchomością na głowie. Eksmisja z kolei nie jest najlepszym wyjściem, jeśli wielu lokatorów posiada zdolność zmienienia zarządcy w kamień, gdy negocjacje zaczynają źle iść. To rzecz jasna byłoby nielegalne, ale miasto nie ma ani pieniędzy, ani możliwości tropienia każdego nielegalnego użycia zakłącia w rozmowach na temat najmu. I tak karły musiały zadowolić się podnoszeniem czynszu przy każdej okazji. Mają silne powiązania z branżą budowlaną w okolicy, więc sądzę, że i tak wychodzą na swoje.

Wzdłuż ulicy, jak okiem sięgnąć, łopotwały rozpięte w poprzek na linkach czerwone, żółte i pomarańczowe proporczyki, wszystkie latarnie ozdobiono na czubkach wiatraczkami w kształcie słońca. Za kilka tygodni noc świętojańska. Fata i ich przydupasy, stylizujące się na nich snoby, zwałą się na Weird jak druidyczna mgła, będą tańczyć i pić, aż piwo wyjdzie im nosem, albo zostaną aresztowani, zależnie, co nastąpi najpierw. Całą dzielnicę na dwadzieścia cztery godziny ogarnie absolutne szaleństwo. Tydzień ostatków skomasowany w jednym dniu.

Aleja była prawie pusta. W tej części miasta mało kto lubi jasny dzień. Interesy zaczyna się po obiedzie. Otworzyłem skrzynkę z gazetami i wyjąłem najnowszy numer „Weird Times”, miejscowego szmatławca.

Wtorkowy zabójca znów uderzył – wrzeszczał

nagłówek. Stłumiłem jęk. Nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby zauważyć prawidłowość w zabójstwach, ale nienawidzę, kiedy media nadają mordercom chwytliwe ksywki. Do końca sprawy nie będę w stanie myśleć o tym świrze inaczej niż Wtorkowy Zabójca. Przebiegłem wzrokiem artykuł i poczułem ulgę, widząc, że najważniejsze przesłanki nie wyciekły. Każdy wiedział, że ofiarami były wróżki i że wycinano im serca. Tygodniowe odstępy były oczywiste i nawet kompletny ignorant domyśliłby się, że w grę wchodzi jakiś rytuał. Reporter spekulował nad kilkoma teoriami, o których pomyślałem w sekundę po pierwszym zabójstwie i odrzuciłem pięć minut później. Ani słowa o kamieniach, ten szczególnie postanowiliśmy z Murdockiem zachować dla siebie i na razie się udawało.

Snulem się chodnikiem, próbując ustalić jakiś plan. Dzień po zabójstwie to najlepszy moment, żeby przyskrzynić informatora, zanim ochłonie i uzna, że później jego informacje będą więcej warte.

Jednak biorąc pod uwagę, jaki tryb życia prowadziła ofiara, było o wiele za wcześnie, żeby spotkać jej kumpli. Murdock nie przesłał mi jeszcze akt, a ja wolałem grzebać w książkach nocą. Ostatecznie postanowiłem zabrać się do rzeczy w staroświecki sposób.

Przeszedłem Aleję i zagłębiłem się w boczną uliczkę. Calvin Place to mała przecznica pomiędzy

dwoma większymi ulicami. Nigdy nie przeżywała czasów świetności. Z roku na rok powstawały na niej i upadały jakieś małe punkty usługowe. Pośrodku jej północnej części znajdował się jedyny sklep, który od dziesięcioleci miał tego samego właściciela. Drewniana fasada dawno poszarzała, a duże szyby wystawowe tak się zakopciły, że nie było wiadomo, co jest w środku. Szyld biegnący wzdłuż całego budynku powieszony gdzieś w latach pięćdziesiątych głosił: U Belgora eliksiry, galanteria i artykuły teurgiczne. Brakowało połowy liter, a pod spodem przybito małą blaszaną tabliczkę: realizujemy czeki. Gdy otwierałem drzwi, mały dzwonek przy futrynie zadźwięczał ponuro.

Na pierwszy rzut oka głównym towarem na składzie był kurz. Pomieszczenie, pogrążone w mdłym, ochrowym świetle, wypełniały zapchane drewniane regały wznoszące się na trzy metry, oparte jedne o drugie, jakby przeglądają nawzajem swoje towary. Pożółkłe pudełka z wyblakłymi etykietkami, słoiki z błękitnego szkła zawierające jakieś ohydne kształty, stare foliały pozbawione tytułów, niezliczone kamienie, kryształy i błyskotki wypełniające chaotycznie półki, wszystko przysypane pyłem czasu. Tu i tam w powietrzu unosiła się subtelna emanacja czegoś prawdziwego albo czegoś, co kiedyś było prawdziwe, ale teraz zostało tylko pustą skorupą, wspomnieniem dawnej chwały.

Kiedy wszedłem głębiej, niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek odór brudnego elfa trafił mnie w twarz jak pięść. To jakby smród przypalonego cynamonu i wcale nie jest przyjemny.

Przy tylnej ścianie stała wielka lada zavalona stertami gazet, recept i ulicznych ulotek wokół starej mechanicznej kasy. Kubek do kawy wypełniony koślawymi patyczkami miał etykietkę, która głosiła: „cisowe różdżki, 10 centów” i na pierwszy rzut oka tyle właśnie były warte. Na bocznej ścianie stały kasety wideo do wypożyczania, głównie taniocha, i rolki biletów loteryjnych.

Podniosłem i obejrzałem mały słoik z oczami traszek, schowany za kartonem papierosów.

Zasłona w rogu wydeła się i niewiarygodnie obfite cielsko Belgora wtoczyło się ociężale do wnętrza. W Weird nie mieszkał nikt, kto by go nie znał albo nie był znany jemu. Facet zaczynał na najniższych szczeblach w hierarchii czarnego rynku, kręcąc drobne interesy w dzielnicy i od czasu do czasu handlując trefnym towarem. Zachowywał się powściągliwie na tyle, żeby nie ściągać na siebie uwagi Gildii, ale nie aż tak, by uniknąć okazyjnych niezapowiedzianych wizyt Bostońskiego Departamentu Policji. Jednak nikt nigdy nie znalazł nic poważnego. Ja miałem na Belgora dosyć, żeby obrzydzić mu życie, gdybym zechciał, ale dopóki miał dla mnie wartościowe

informacje, pozwalałem mu się ślizgać. Gdyby Murdock dowiedział się, że nie pomogłem załatwić tłustego drania, trafiłby go szlag, ale kompromisy są nieuniknione. Próbowałem pogodzić obie strony, przychodząc po południu. Dzięki temu Murdock nie wiedział, skąd mam informacje, a Belgor nie musiał się mnie wstydzić przed nocnymi klientami.

Otyły elf oparł dłonie na kontuarze, a na jego mięsistą, obwisłą twarz wypłynął patentowy zimny uśmiech. Miał bardzo długie szpiczaste uszy, które u elfa są oznaką bardzo sędziwego wieku, i nie zadał sobie trudu, by usunąć rosnące na końcach kłębki włosów. Nic dziwnego u kogoś higienicznego inaczej.

– Dobry wieczór, panie Grey. Czym mogę służyć?

– Jest środek dnia, Belgor. Umyj szyby częściej niż raz na dekadę.

Machnął lekceważąco dłonią.

– Mamy tu własny czas.

Zakołysałem słoiczkiem oczu traszek i odłożyłem go na kontuar. – Nie wiesz, że w occie tracą właściwości?

Jego uśmiech stwardniał.

– Nie przypuszczałem, że jest pan ekspertem w tej konkretnej dziedzinie, panie Grey.

Odpowiedziałem takim samym uśmiechem, przyprawionym szczyptą groźby.

– Powinieneś się już nauczyć, że nie warto

mnie lekceważyć, Belgor.

Wyjąłem kamień z kieszeni i położyłem na ladzie. Był już kompletnie martwy, po prostu otoczek, jakieś siedem centymetrów wysokości, słabo wypolerowany, z czarno-szarego kamienia zawierającego nieco żelaza, wystarczająco do prostego zadania. Ten pochodził od drugiej ofiary, ale nie różnił się od pozostałych.

– Masz pojęcie, gdzie mógł zostać zakupiony?

Belgor na widok kamienia wydał wargi, ale nie raczył go dotknąć.

– Wie pan tak samo dobrze jak ja, panie Grey, że to podrzędna masówka. Mógł zostać sprzedany gdziekolwiek stąd do Southie.

Przesunąłem kamień bliżej jego ręki.

– Albo po prostu tutaj. – Poruszyłem znacząco brwiami.

Belgor tylko patrzył na mnie swoimi łagodnymi oczami zatopionymi w zwałach tłuszczu.

– Nie przypominam sobie tego rodzaju sprzedaży w moim sklepie od miesiąca, panie Grey. Większość klientów nie ma dosyć zdolności, żeby poradzić sobie z wadami czegoś takiego. Ludzie chcą kupować u mnie... zabawne eliksiry – uśmiechnął się przy ostatnim słowie.

Miał rację. Tanie amulety były przeciwnie skuteczne. Trzeba było wpakować w nie więcej energii niż w dobrze dostrojone kamienie. Nagła myśl przyszła mi do głowy. Gdyby zabójca

przepychał się przez tłum z dobrze naładowanym talizmanem, ktoś mógłby zauważyć. Kiepski kamień z marnym ładunkiem mógłby zostać odepchnięty przez każdego z wyjątkiem, trzeba przyznać, narąbanej alkoholem wróżki. Każdy, kto miał odpowiednie zdolności, mógł natomiast odsunąć go bez wysiłku.

– A twoi lepsi klienci? – zapytałem.

Belgor spojrział groźnie. Nigdy otwarcie nie rozmawialiśmy o bardziej interesujących przedmiotach w sąsiednim pokoju. W każdej chwili mogłem się tam wedrzeć, choćby pod pretekstem nalania sobie filiżanki herbaty, tylko po to, by się upewnić, że bardziej dyskretne towary Belgora nie znalazły się tam bez jego wiedzy. Klienci na nie zwykle szukali sposobu wyrównania pomniejszych krzywd tak, by wywołać wystarczające zniszczenia, aby uwierzono, że są poważni, ale nie na tyle, żeby spowodować śledztwo. Byłem pewien, że niektóre z tych rzeczy mogły być na swój sposób potężne.

Belgor potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie. To bym zapamiętał – odrzekł.

Schowałem kamyk do kieszeni.

– A książki? Ktoś poszukiwał starych książek?

– strzeliłem na ślepo, to jasne, ale skoro chodziło o rytuał, byłem pewien, że nie chodziło o wiedzę, którą można znaleźć w sieci księgarni Barnes & Noble.

– Nie, panie Grey. Obawiam się, że dzisiaj za

wiele panu nie pomogę.

Przytaknąłem.

– Okay, Belgor. Wpadłem tylko powiedzieć cześć. I wpadnę jeszcze.

– Będę tego wypatrywał – powiedział, patrząc gdzieś w bok. Już się odwracałem, kiedy odezwał się znowu: – A może pan mógłby mi pomóc, panie Grey.

Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Udawał, że ściera kurz z kontuaru.

– Mógłbym mieć sposobność zgarnięcia niezłej prowizji na sprzedaży dobrej jakości wysokoenergetycznego selenitu. Nie wie pan, gdzie mógłbym trochę znaleźć?

Z całych sił starałem się nie okazać rozbudzonej nagle zachłanności. Z wyjątkiem Gildii, która uzyskała zgodę na przebadanie kamieni znalezionych w miejscu serc ofiar, tylko jeden Murdock wiedział, że były z selenitu.

– Być może – powiedziałem możliwie niezobowiązującym tonem.

– Pewien dżentelmen odwiedził mnie w tej sprawie kilka miesięcy temu. – Parsknął i zamachał rękami. – Chciałbym, żeby mój nędzny sklepik był tak zaopatrzony – dodał z wystudiowaną skromnością.

– Kiedy to było?

– Jakies pół roku temu, pamiętam, że przed Gwiazdką. Wpadł kilka razy, a potem przestał się pojawiać.

– Dałbyś go radę opisać?

Zacisnął wargi.

– Nie za bardzo. Mniej więcej pańskiego wzrostu i młody. Chociaż w moim wieku wszyscy wyglądają na młodych.

– To był fata?

Belgor przekrzywił głowę na bok.

– Był dziwaczny. – Postukał się po nosie. –
Moje zmysły nie są już takie jak kiedyś. Na pierwszy rzut oka myślałem, że to elf, ale miał zniekształcone uszy. Mógł mieć też coś, co maskowało jego esencję. To nic nadzwyczajnego w tej okolicy.

– Co to znaczy „zniekształcony”?

– No wie pan... jak pańskie – odrzekł, gładząc własne szpiczaste przydatki.

Pozwoliłem sobie na parsknięcie.

– A prócz uszu zniekształconych jak moje, jak jeszcze wyglądał?

Pokręcił głową.

– Tylko tyle zapamiętałem. Jak mówiłem, nie zrobiliśmy interesu, a rzadko zapamiętuję tych, którym nic nie sprzedaję. Tak mi się nagle przypomniał z powodu pańskiej przypadkowej wizyty. Pomyślałem, że mógłby mi pan towarzyszyć, gdyby znowu się pojawił.

– A co pobudziło ci pamięć?

Wzruszył ramionami, jego twarz zrobiła się nieprzenikniona.

– Nie wiem. Nuda?

Akurat, pomyślałem. I dałem spokój.

– Daj znać, gdyby wrócił. Chętnie pomogę staremu przyjacielowi jak ty, Belgor.

Skłonił głowę.

– Będę zobowiązany. Życzę miłego wieczoru, panie Grey.

– Tak, dobranoc – odparłem sarkastycznie.

Stojąc już na chodniku, wysmarkałem nos, by pozbyć się odoru. Belgor nie pomagał mi uwolnić się od rosnących uprzedzeń do elfów robiących jakieś idiotyzmy. Nie sądziłem, żeby coś ukrywał. Nie zatrzymywałby mnie, gdyby miał taki zamiar. To cwaniak. Nie przetrwałby inaczej tak długo. Gdzieś usłyszał o kamieniach i zastawił na mnie małą pułapkę. Nawet on nie byłby tak głupi, żeby sugerować, że wie o kamieniach, gdyby znał zabójcę. Mogłem go nacisnąć, ale teraz, kiedy potwierdziłem, że jego podejrzenia co do kamieni były prawidłowe, będzie miał się na baczności. A w przyszłości może jeszcze okazać się potrzebny. Czasem mu w pewien sposób ufałem, co doprowadzało Murdocka do szału.

Belgor potwierdził mi, że selenit był dla kogoś istotny. Może dla kogoś, kto szykował rytualny mord.

Rozdział 2

Walenie w drzwi obudziło mnie w samo południe. Usiadłem w łóżku, przecierając oczy pięściami i zastanawiając się, co takiego zdechło mi w ustach podczas snu, że pozostawiło taki dziwny smak. Stukanie rozległo się znowu, naciągnąłem szlafrok i otworzyłem drzwi. Murdock wpadł do środka jak glina.

– Wiesz, która godzina? – zapytał. Nienawidzę przebudzeń. Otworzyłem lodówkę. Sól selterska w płynie, eliksiry, świetliki. Czas na zakupy. Co noc na chwilę przed zaśnięciem przygotowuję ekspres do kawy, żeby rano nie tracić ani chwili. Wdusiłem przycisk. Murdock znał moje obyczaje i nie powiedział ani słowa, kiedy znikąłem w toalecie. Jedyne, co może zabić to poranne uczucie, że mam w ustach końską derkę, poza sześciopakiem guinnessa, to duża dawka płynu do ust, a jedyne, co może zabić smak płukanki Crest, to czarna kawa. Nie wychodziłem, póki nie byłem pewien, że jest gotowa. Murdock pograżył się w studiowaniu zielnika.

Naciągnąłem dzinsy i dołączyłem do niego. Skrzypnięcie krzesła przy biurku rozdarło mi mózg.

Przełknąłem łyk gorącej kawy, spojrzałem na Murdocka i zdobyłem się na blady uśmiech.

Też się wyszczerzył i potrząsnął głową.

– Jak możesz przesypiać cały dzień?
– Tak samo jak większość ludzi może przesypiać całą noc – odparłem. Pochodzę z nie całkiem farmerskiej rodziny i nie widzę szczególnej wartości w oglądaniu świtu. Co najwyżej wiem, że kiedy słońce wschodzi, to znaczy, że trochę się zasiedziałem i czas spać. Murdock był na nogach od tylu godzin, że nawet nie chciało mi się o tym myśleć.

Położył na blacie przede mną grubą teczkę, jakieś papiery i dyskietki zsunęły się na podłogę.

– Ofiara z tego tygodnia. Czekaemy jeszcze na wyniki serologii, ale one potwierdzą tylko alkohol i narkotyki, tak samo jak u poprzednich. Udało mi się zgrać dla ciebie zdjęcia na dysk.

W milczeniu otworzyłem teczkę. Nie ma to jak zdjęcia z sekcji zwłok na początek dnia. Murdock odchylił się na oparcie. W tej swojej białej koszuli, klasycznym czerwonym krawacie i lekko tylko zmiętych jasnych gabardynowych spodniach wyglądał tak świeżo, jakby dopiero się ubrał.

– Według identyfikatora denat to pracujący na ulicy Gamelyn Danann Sidhe. Kręcił się w okolicy od paru miesięcy. Raz aresztowany za obrazę moralności publicznej.

Twarz Gamelyna patrzyła na mnie ze zdjęcia tym bezbarwnym szklanym spojrzeniem zmarłego. Miał wąskie rysy twarzy i tak jasne włosy, że z trudem można było dostrzec brwi. Wyglądał młodo jak na Dananna, miał najwyżej setkę albo i nie.

Przypuszczalnie uciekinier, jeden z tych durniów, którym się wydaje, że kontakt z ludźmi to fascynujące przeżycie.

– I co o tym myślisz? – spytał Murdock.

To nie było ogólne pytanie. Jego ledwo skrywana fascynacja fata sprowadziła go do Weird i trzymała tutaj. Bez względu na ilość kontaktów z odmiennymi istotami, wzajemna ciekawość tylko rosła. Im więcej się dowiadywał, tym więcej pojawiało się niewiadomych. Przed laty, kiedy interesowałem się takimi sprawami, ludzie zdumiewali mnie bez końca. Wydawało im się, że druid to ktoś taki sam jak inni, tylko mający parę dodatkowych zdolności. Nie każdy druid z nich korzysta, podobnie jak nie każdy człowiek, elf czy wróżka ze swoich. Ale to było, zanim straciłem swoje zdolności, zanim nauczyłem się, jak to jest, gdy nie można robić oczywistych rzeczy. Zanim zrozumiałem, że tylko ten, kto potrafi sam złożyć zaklęcie, może zrozumieć, jak działa czar kogoś innego. Teraz została mi już tylko intuicja i bardzo ograniczone możliwości. Muszę przyznać, że czułem z tego powodu gniew, ale przynajmniej miałem jakieś zdolności. Ludzie nie mieli zupełnie nic, bez względu na to, ile ksiąg przestudiowali. Dla nich była to tajemnica w najbardziej prawdziwym sensie. W starożytnym, teologicznym wymiarze.

I jak każda budziła nadzieję, że istnieje gdzieś odpowiedź, łatwa do odkrycia, jeśli tylko pozna się

sekret.

I dlatego Murdock za każdym razem usiłował jak najdelikatniej ją ze mnie wydobyć, skoro miałem dostęp do tajemnicy z racji urodzenia.

– Nic – odparłem.

– Daj spokój, Connor. – Splótł ramiona na karku. – Nie pytam o nazwisko. Chodzi o to, jaki rysuje ci się obraz. Czy to zwyczajny świr – mam na myśli dysocjacyjną osobowość – z przeniesieniem wewnętrznego gniewu na ofiarę, reprezentującą jakąś traumę z przeszłości, przypuszczalnie z wczesnego dzieciństwa? Może akt zabójstwa jest formą odzyskania kontroli? Pomijając oczywistą agresję, jaką jest odebranie ofierze serca, wszystko wskazuje na to, że zabójca jest płci męskiej. Atakuje męskie wróżki-prostytutki obsługujące mężczyzn.

Parsknąłem.

– To dlaczego sądzisz, że się mylisz?

Zaśmiał się.

– Wcale tak nie twierdzę. Ale biorąc pod uwagę jego wybór ofiar wśród wróżek-prostytutek, zastosowanie talizmanów, rytualne umieszczenie kamienia, sądzę, że istnieje aspekt, który mógłbyś mi naświetlić.

Teraz przyszła jego kolej, żeby parsknąć, a moja, żeby się zaśmiać.

– Dobra, w porządku – zacząłem. – Biorąc pod uwagę, że kamienie trzeba naładować, przypuszczalnie zabójca nie jest człowiekiem.

Mógł oczywiście kupić naładowane, ale nie miał miejsca na błąd, gdyby ofiara była dość silna, żeby się opierać. Raz mógł mieć szczęście, ale trzy sukcesy oznaczają według mnie, że sprawca użył jakiegoś zaklęcia, i to jeszcze zanim wszedł do zaułka. To prowadzi mnie do podejrzenia, że zabójca to fata. Mówiłem ci, że wyczuwam od ofiary esencję człowieka, elfa i wróżki, co wskazuje, że morderca to elf lub wróżka. Wyraźnie jest tu prowadzony rytuał, aczkolwiek taki, o którym nigdy nie słyszałem. Większość rytuałów jest surowo zakazana. Metodyczne przeprowadzenie aktu zabójstwa dodatkowo potwierdza, że to rytuał. Serce jest uważane za centrum mocy, zatem to moc ma być tu przejęta albo odebrana. Krwawe ofiary z ludzi są bardzo stare i większość z nich została zastąpiona aktami symbolicznymi, tak jak zastąpienie krwi winem u chrześcijan. Jeśli ten rytuał jest prawdziwy, to albo zabójca jest bardzo stary, albo ma dostęp do bardzo starej wiedzy.

Murdock przechylił głowę i zmrużył oczy.

– Co masz na myśli, mówiąc: „jeśli jest prawdziwy”?

Wyszczrzyłem się.

– Bo może nie ma innego motywu niż osobowość dysocjacyjna, przejmująca kontrolę nad sprawcą z powodu dziecięcej traumy. Wyczułem tylko talizmany. Żadnych śladów dodatkowej mocy, które taki rytuał musiałby pozostawić. To,

że zabójca jest fata, jeszcze nie oznacza, że rytuał naprawdę działa. Sprawca mógł wymyślić własny, fikcyjny ceremoniał do zabijania wróżek.

Murdock wydał wargi i odetchnął.

– Świetnie.

– A do tego... on mógł już skończyć – kontynuowałem. – Jest taka szansa. Popełniono trzy morderstwa. Nawet jeśli rytuał nie jest prawdziwy, zabójca nadal operuje kategoriami właściwymi dla fata. Trzy to bardzo potężna liczba. Pierwszy kamień był ciemny, prawie czarny, drugi szary, trzeci biały – ładna równowaga. Mógł już skończyć.

Murdock podrapał się w głowę, a potem znów przygładził włosy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że magia to nie magia?

Siorbnałem kawę.

– Nie. Chcę powiedzieć, że nie ma magicznych odpowiedzi.

Wstał.

– Czyli pracujemy jak przy normalnym przypadku. Zabezpieczamy ślady, przesłuchujemy świadków, zbieramy dowody.

Nie mogłem zaprzeczyć.

– Z drugiej strony, rytuał może być prawdziwy. Jeśli znajdzie rytuał, znajdziemy też motyw i być może zabójcę.

Murdock potrząsnął głową i zaśmiał się.

– Nie wiem, czy chcesz mnie doprowadzić do

szafu, czy po prostu wyłudzić więcej honorariów za konsultację.

Wypchnąłem w zadumie policzek językiem.

– Obie wersje mają swoje uzasadnienie.

– Musimy się z kimś zobaczyć. Załóż jakieś buty i kapelusz i spotykamy się na dole za dwie minuty.

Ruszyłem za nim, ale nagle zatrzymałem się w przedpokoju.

– Z drugiej strony – powiedziałem – trzy to potężna liczba, ale dziewięć również.

Myślę, że Murdock zbladł.

– Dziewięć? Chcesz powiedzieć, że to dopiero początek?

Westchnąłem.

– Dowiemy się we wtorek.

Patrzył na mnie długą chwilę, potrząsając głową z rezygnacją, po czym wyszedł.

Rozejrzałem się po podłodze w poszukiwaniu skarpetek. Nie wziąłem nawet prysznic, dlatego nie musiałem przejmować się, czy są czyste. Moje włosy wyglądały strasznie, więc założyłem bejsbolówkę, chwyciłem długą, skórzaną kurtkę i zbiegłem na dół.

Wślizgnąłem się na siedzenie pasażera, na stertę żalonych romansideł. Wszyscy mamy jakieś wstydlive sekrety. Przy całej swojej akuratności Murdock utrzymywał samochód w stanie zbliżonym do chlewu. Gazety, torby po żarciu na wynos, serwetki, chusteczki piętrzyły się na

siedzeniu i podłodze w takiej ilości, że dywaniki były w zasadzie czyste, bo mało kto dotykał ich nogami. Papierki od gumy do żucia i reklamówki klubów zaścielały deskę rozdzielczą. Z tego powodu mało który partner wytrzymał z Murdockiem dłużej niż kilka miesięcy. Myślę, że detektyw porucznik robił to specjalnie.

– No i dokąd jadę? – spytałem.

– Na spotkanie z paroma gośćmi – odparł, manewrując samochodem w tył i przód pomiędzy kontenerami na śmieci przed domem, żeby uniknąć wyjeżdżania na jednokierunkową uliczkę z przodu.

– Dzieciakami z ulicy. Zdjęcia z blokady pokazały, że byli na pierwszym i trzecim miejscu zbrodni.

Przechylił się i ze schowka na rękawiczki wyjął dwa zdjęcia. Dwie twarze w tłumie obwiedziono kólkami. Blondwłosego chłopaka nosił tunikę, łuk i kołczan, drugi, sięgający tamtemu do ramienia, miał na sobie coś w rodzaju sukienki i czarną perukę związaną czerwoną opaską. Blondyn wyglądał znajomo, ale gdyby Murdock nie powiedział mi, że obaj byli płci męskiej, na pewno bym tego nie rozpoznał. Przynajmniej nie ze zdjęcia.

– Znasz ich? – spytałem.

– Trochę. Wegetują. Na razie nie wpadli w większe kłopoty, o ile wiem – odrzekł.

Skreślił w Pittsburgh, a potem przejechał do następnej alei. Zahamował przed rzędem obitych deskami budynków. Wysiedliśmy, Murdock

rozejrzał się ostrożnie po ulicy, zakładając swój prochowiec.

– A może nikt ich dotąd nie złapał – powiedział.

Podszedł do drzwi zbitych z kilku sosnowych desek i pchnął je. Otworzyły się, a właściwie wpadły do środka razem z zawiasami, futryną i całą resztą. Murdock obdarzył mnie krokodylim uśmiechem i wszedł do mrocznej sieni.

Stałem za nim, a niedobre przeczucie wspinało mi się po plecach. Nigdy nie nosiłem broni, nawet w czasach pracy w Gildii. Nie potrzebowałem. Miałem swoje wyczulone zmysły i kilka zdolności ochronnych. Ale nawet wtedy nie zapobiegało to uderzeniu adrenaliny, jakie nadchodzi w niepewnych sytuacjach. Poczulem kłujące ciarki na twarzy, kiedy wzbudzałem słabą tarczę. Kiedyś ta tarcza była naprawdę potężna. Teraz nie osłaniała już zbyt wiele – głowę, część klatki piersiowej i ramion – i z pewnością nie zatrzymałaby kuli. Niegdyś czułem trochę osłabiony wstrząs, gdy ktoś rzucał we mnie na przykład cegłą albo uderzał pięścią. Obecnie tarcza poprawiała mi raczej samopoczucie, niż naprawdę działała.

Światło słoneczne sięgało ledwo za próg, ukazując zawalony śmieciami korytarz prowadzący gdzieś w bok. W powietrzu wisiał odór pleśni. Niedaleko trzasnęły drzwi i nagle snop upiornego elektrycznego blasku uderzył nas w twarze. Instynktownie rzuciłem się na podłogę.

Murdock spojrzał na mnie i wybuchł śmiechem.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Kto tam jest? – zawołał ktoś.

Murdock odwrócił się i osłonił oczy dłonią.

– Wyłącz to cholerne światło, Robin!

Snop zgasł, zastąpiony przez blady poblask gołej żarówki, wiszącej na kablu z sufitu. Murdock pokręcił głową.

– Wy dwaj oglądacie za dużo filmów.

Wstałem, otrzepując płaszcz z kurzu.

– Mogłeś mnie uprzedzić – zauważyłem.

Zachichotał tylko, idąc do drzwi na końcu korytarza. Kiedy do nich dotarł, uchyliły się odrobinę, a potem na całą szerokość. Przed nami stał chudy chłopak w dżinsach i białej koszulce. Długie, jasne włosy otaczały jego zaskakująco przystojną twarz. Patrzył czujnie, cofając się, żeby nas przepuścić do pokoju. Drugi dzieciak, który stał w rogu, miał zaskakująco kobiecą twarz, oczy z tęczęwkami muśniętymi odrobiną koloru. Nosił bladoniebieską długą szatę, a czarne włosy przewiązał pasującą do niej szeroką wstążką.

Większość przestrzeni zajmowały dwa wąskie łóżka, pomieszczenie obwieszono starymi plakatami, kawałkami tkaniny i kilkoma standardowymi, domowymi zaklęciami na szczęście. Jedną ścianę zasłaniała częściowo aksamitna kotara, za którą bezładnie kłębiły się ubrania na półkach i wiszące na hakach.

Murdock wskazał blondyna podbródkiem.

– To jest Robin, a tamten to Shay. – Skinąłem głową. Murdock zajął jedyne krzesło w pomieszczeniu. Rozparł się i obdarzył dzieciaka w rogu uśmiechem.

– Jak leci, Shay? Dalej robisz numer Królowy Śnieżki?

Shay wzruszył ramionami i skrzyżował ręce na piersi.

– Nie. Pieprzone krasnoludki zrezygnowały. Podobno ich działka była za mała. – Przewrócił oczami. – Tak jakby stanie dookoła i gapienie się to było tyle roboty.

Murdock parsknął.

– Ale podobno trochę na ciebie pyskują.

Shay sięgnął za zasłonę i wydobył stamtąd bladozieloną tunikę z groteskowymi skrzydłami przyszytymi po bokach. Wyciągnął ją przed siebie, a potem przyłożył do piersi.

– Myślę, żeby wrócić do kostiumu Tytanii.

– Sądziłem, że zepsuły ci się skrzydła – zauważył Murdock. Wyglądały żałośnie, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie.

Shay wzruszył ramionami.

– Teraz przyszyłem je lepiej. – Odłożył kostium na półkę i uplasował się na najbliższym łóżku.

– Kto to jest, detektywie Murdock? – Robin spojrział na mnie z ciekawością.

– Przyjaciel. Możesz mu mówić Connor.

Brwi Robina wygięły się, a kącik ust uniósł w drwiącym uśmiechu. Poczułem nagłą chęć, by mu przywalić.

– Ten Connor? Jak Connor Grey? Podobno nikt cię nigdy nie widuje.

– Uznaj się za tego, który zobaczył – wycedziłem. Wlepiłem w niego wzrok, ale wytrzymał moje spojrzenie. Byłem pod wrażeniem.

Shay podszedł do mnie z przesadną ospałością.

– Widziałem twoje zdjęcie w gazecie, ale na żywo jesteś dużo przystojniejszy. Może nie gustuję w wysokich, ciemnowłosych typach, ale masz śliczne oczy. Aqua.

– Są po prostu niebieskie, dzięki – odrzekłem. Dzieciak zahukał jak sowa.

Uśmiechnął się i przespacerował na drugi koniec pokoju.

– Byłeś przy morderstwie – powiedział. Robin rzucił mu urażone spojrzenie.

– Wy też – zauważył Murdock.

Robin przysunął się bliżej łóżka Shaya.

– Mnóstwo ludzi tam było – powiedział.

– Tak, ale nie przy dwóch miejscach zbrodni po kolei – stwierdził Murdock. Obaj patrzyli na swoje dłonie. – Jak mi to wyjaśnicie? – przynaglił.

Shay zaczął się bawić frędzlami od kapy na łóżku.

– Wiecie, że to się zdarzyło w naszej okolicy. Wracaliśmy do domu – powiedział Robin.

Przeczesał swoje jasne kosmyki palcami, ale w jego postawie widoczna była podejrzana sztywność.

– Po prostu pech. – Shay poświstywał, malując rzęsy.

– Czyj pech, Shay? – spytałem.

Spojrzał na mnie, a potem odwrócił oczy na plakat wiszący na ścianie. W stylu art deco, przedstawiający statek wchodzący do portu, pełen wysmakowanego optymizmu.

– „Kołując coraz to szerszą spiralą...” [„Kołując (...) sokół przestaje słyszeć sokolnika” - W. B. Yeates „The Second Coming” (przyp. tłum).] Nie tak to leciało? – zamruczał.

Serce mi zamarło. Nic nie mogłem na to poradzić. Coś było w tym dzieciaku, w jego małej, pięknej kobiecej twarzy osadzonej na drobnym męskim ciele, coś w jego smutnym głosie. Nie wydawało mi się, żeby grał. Przez chwilę wydawało mi się, że rozumiem, co go tu sprowadziło i co sprawiło, że pozostał.

Murdock odwrócił się do niego.

– Chcesz mi coś powiedzieć, Shay? – zapytał miękko. Zdawało mi się, że Murdock też to poczuł. A może jego trzymało tu to samo?

Shay patrzył na niego niewinnie, a potem rozplótł wstążkę i uwolnił długie, brązowe włosy, potrząsając głową.

– Było tak, jak mówił Robin: wracaliśmy do domu. – Robin rozluźnił się odrobinę. – Za pierwszym razem – ciągnął Shay.

– Shay, nie! – Robin odskoczył od nas jak

oparzony.

Shay poklepał go po ramieniu.

– W porządku. – Tamten odsunął się, ale przytrzymał jego dłoń. Shay spojrzał na nas prowokacyjnie. – Za drugim razem szukaliśmy Gamelyna.

– Znaliście go? – spytał Murdock.

Przytaknął.

– Spotkałem go we „Flitterbugu”. Był słodki. Zbyt słodki jak na tę spelunę. No i pił, tak jak oni wszyscy, kiedy przyjdą po raz pierwszy. Był tam mężczyzna, który stawiał mu drinki. Przerazał mnie. Zagadnałem Gamelyna, chciałem go namówić, żeby poszedł do domu, ale odparł, że wszystko w porządku. A potem razem wyszli. Chciałem za nimi iść, ale Robin wrócił i zagadaliśmy się. Potem znowu zacząłem się denerwować, więc poszliśmy szukać Gamelyna. Już mieliśmy zrezygnować, kiedy zobaczyłem przyjaciółkę Gamelyna, jak leci ulicą.

– Co za przyjaciółkę? – spytał Murdock.

– Chochlika. Zwykle pojawiała się, gdy chciała z nim pogadać.

– Morderca wciąż tam był?

Shay potrząsnął głową, jego głos stał się miękki.

– Kiedy weszliśmy do zaułka... my... my... znaleźliśmy go i zadzwoniliśmy na policję. To wszystko trwało może dwadzieścia minut, ale zdaje się, że tamten więcej nie potrzebował.

– Mógłbyś go zidentyfikować?

Shay zawahał się na moment.

– Chyba tak. We „Flutterbugu” jest ciemno. I niektórych gości gdzie indziej nie spotkasz, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wyglądał staro. Chodzi mi o to, że to chyba fata.

– Jakiego rodzaju?

– Nie wiem – odparł. – Może wróżka, może druid. Ciarki chodziły mi po skórze. Jeszcze nie czułem czegoś takiego od fata. Nie podobał mi się. I ten głos... jakby ktoś piłował skrzypce. Ten głos zapamiętałem.

– Opowiedz o chochliku – zagadnąłem.

Wzruszył znowu ramionami.

– Nie znam jej imienia, jeśli o to ci chodzi.

Była nieśmiała. I rozmawiała tylko z Gamelynem. Zazwyczaj w ogóle nie wiedziałem, że jest w pobliżu. Najchętniej siedziała mu na ramieniu, schowana we włosy. Była malutka, cztery czy pięć cali wzrostu.

– W jakim kolorze miała skrzydła?

– Bładożółte. To dlatego jej nie było widać.

Gamelyn miał takie cudowne blond włosy, jak poranne słońce.

– I nie wiesz, skąd pochodziła?

Shay potrząsnął głową.

– Nie. Jak mówiłem, odzywała się tylko do Gamelyna.

Murdock odchrząknął.

– A gdzie ty byłeś, Robin?

Chłopak stał bardzo spokojnie i patrzył wprost na nas.

– Byłem zajęty – odparł. Nie musiałem pytać, co to znaczy, i Murdock też dał spokój. Wstał.

– Chcę, żebyście wpadli na posterunek i popracowali z naszym grafikiem.

Robin stanął przed Shayem.

– Nie. Nie chcemy być w to zamieszani.

– Nie prosiłem – zauważył Murdock.

Robin odwrócił się.

– Shay kłamie. Nic nie widział, po prostu chce zwrócić na siebie uwagę.

Shay wstał z łóżka, obszedł towarzysza i uścisnął jego dłoń.

– W porządku, Robin. Detektyw Murdock nie pozwoli, żeby coś mi się stało. Pomożemy mu. Dla Gamelyna. – Omiótł Murdocka zalotnym spojrzeniem. – Sami też możemy kiedyś potrzebować pomocy.

Zauważyłem cień uśmiechu, który przemknął po ustach Murdocka. Ten facet bywał za bardzo pobłażliwy, a Shay umiał wydawać się uroczy. Wyszliśmy na zewnątrz, podczas gdy Robin i Shay zamykali drzwi. Shay umieścił na podłodze w rogu mały amulet ochronny, który sprawiał wrażenie pochodzącego ze składu Belgora. Nie miałem serca wyjaśniać im, że ten talizman może służyć najwyżej do ozdoby.

Stanąłem na chodniku, gdy wsiadali do samochodu. Murdock pochylił się do okienka

pasażera i spojrzał na mnie.

– Jedziesz?

– Nie. Odezwę się później.

Wyprostował się za kierownicą i odpalił silnik. Patrzyłem na uliczkę, kiedy odjeżdżali. Nawet w pełnym świetle dnia budynki wokół miały tylko barwę cegły, szarego betonu i stłumionej żółci. Wyblakłe strzępy papieru i odrobina zgniłej zieleni wzdłuż rynsztoków, tam gdzie przypadkowe chwasty zdołały zapuścić korzenie. Nawet pod świeżym, czerwcowym niebem było to ponure, melancholijne miejsce. A kiedy zapadnie zmrok, melancholia zmieni się w grozę. Cienie wydłużają się i podmalują czernią, kryjąc zagrożenie i budząc lęk. A dwóch chłopaków nazywało to domem.

Zadrzałem, czekając, aż chłodna bryza wywieje mi posepne myśli z głowy.

Kiedy wracałem na główną ulicę, grupa nastolatków w workowatych dżinsach i czerwonych koszulkach przeszła całą szerokością chodnika. Nie rozmawiali ze sobą, po prostu patrolowali ulicę, szukając zaczepki. Nie rozstąpili się przede mną w nadziei, że któregoś potrącę. Ich esencja była czysto ludzka, po prostu jeden z tych ksenofobicznych gangów, który chciał zmanifestować swoją obecność po tej stronie Alei. Te gangi nosiły najrozmaitsze barwne nazwy, ale powszechnie nazywano je ksenosi. Stłumiłem irytację, bo nie byłem w nastroju do prowokacji. Ideologia takich grup koncentrowała się wokół

teorii spiskowych o zмовie fata kontrolujących rząd. Ci tutaj to zwykłe żule, nawalone wodą i prochami. Było cholernie jasne, że nigdy nie spotkali żadnego fata dysponującego odrobiną prawdziwej mocy.

Wszedłem do delikatesów na rogu mojej ulicy i kupiłem trochę porządnych, bogatych w potas wędlin, chleb, parę drobiazgów i paczkę markiz czekoladowych Oreo, na wypadek gdyby Joe wpadł z wizytą.

Wróciwszy do mieszkania, nalałem sobie zwietrzalej kawy, usiadłem przed komputerem i zagapiłem się w okno. Nie mogłem uwierzyć, że Wtorkowy Zabójca zakończył działalność. Murdock miał rację. Morderca, bez względu na to, czy miał zaburzoną osobowość, czy nie, usiłował coś przeprowadzić. Każdy, kto wypruwa ludziom serca z klatki piersiowej, musi być, do diabła, zaburzony. O cokolwiek w tym chodziło, gdzieś znajdował się ktoś albo coś, kogo można by z tym powiązać.

Zdjąłem z półki leksykon poświęcony antycznym ceremoniałom druidzkim. Była to miła pomoc naukowa, ale niestety, tylko częściowo wartościowa. Druidzi sami z siebie rzadko cokolwiek zapisują, dlatego większość istniejącej wiedzy pochodzi z drugiej ręki, a z tego ledwie część przeznaczono dla szerszej publiczności. Ja miałem szczęście posiadać obszerny spis ceremoniałów z okazji wielkich świąt oraz

obrzędów wróżebnych, wydany przez Modern Library jeszcze w latach sześćdziesiątych, zanim Gildia zdjęła tytuł z rynku. Wiedza została przekazana mi ustnie, w trakcie nauki w obozie. I był to materiał, który zdecydowałem się trzymać we własnym komputerze. Jedyne obrzędy obejmujące wycięcie serca, o jakich słyszałem, stanowiły anegdotyczne śmieci i nikt nigdy nie dowiódł, że były prawdziwe, ani nawet, że należały w ogóle do rytuałów.

Nawet jeśli ceremonia miała być druidyczna, musiałbym poszukać kogoś, kto o czymś takim słyszał. Współcześni druidzi samą wzmiankę o krwawych ofiarach uważali za zniesławienie, więc nie byli najlepszymi kandydatami do dzielenia się informacją na ten temat. Parę lat temu zresztą wybuchła afera, kiedy okazało się, że kapłani ortodoksyjnej sekty w północnym Maine od czasu do czasu żują surowe mięso w czasie wróżb. Gildia przeprowadziła nawet śledztwo, ale nie znaleziono niczego nielegalnego. Jeśli ktokolwiek wiedział coś na temat antycznych krwawych rytuałów, to pewnie tamci. Tylko że zostało ich już niewiele, do tego bardzo starych, i jakoś nie wyobrażałem sobie, że mordują z zimną krwią prostytutki, nawet w Weird. Nie chciało mi się wlec aż pod kanadyjską granicę, żeby się o tym przekonać.

Wyciągnąłem się na oparciu krzesła. Gildia dysponowała wspaniałą bazą danych. I chociaż nie byłem już od dawna w zespole, mógłbym się do

niej dobrać. Prawie każdy, kto tam pracował, tworzył sobie furtki, boczne wejścia do systemu, trzymane na wypadek, gdyby stracił dostęp. Jasne, co miesiąc przeprowadzano kontrolę systemów bezpieczeństwa, ale jeśli ktoś miał dość wiedzy komputerowej, żeby się włamać, i dość magicznych zdolności, żeby uniknąć wykrycia, to szansa, że wpadnie, była niewielka. Ja miałem jedno i drugie, a moje talizmany wciąż znajdowały się na swoim miejscu, przynajmniej kiedy ostatnio je sprawdzałem.

Spojrzałem na ekran. Dochodziła druga po południu. Ludzie wracają z lunchu, trochę grają, odrobina pasjansa na ekranie, a może szybki cybernumerek. Mógłbym ukryć wśród tłumu nieważnych plików żądanie dostępu przynajmniej na godzinę, nim wszyscy zabiorą się do prawdziwej pracy. Z drugiej strony, mogę dostać ostrzegawczą czerwoną flagę, gdy tylko tknę się haseł dotyczących krwawych rytuałów. Dzienna zmiana mogła mnie wykryć szybciej.

Ważylem tak w głowie możliwości dostępu i ryzyko wykrycia, aż nagle dotarło do mnie oczywiste rozwiązanie i sięgnąłem po słuchawkę.

– Od paru dni spodziewałam się, że zadzwonisz, kochanie – odezwała się w słuchawce Briallen.

Uśmiechnąłem się.

– Też mogłaś zadzwonić – odparłem.

Zaśmiała się. Jej głęboki, gardłowy głos jak

zwykle sprawił, że poczułem dreszcze, zwłaszcza wtedy, kiedy śmiała się do mnie. Briallen verch Gwyll ab Gwyll była taka, jaki sam chciałbym być: rubaszna i miła, silna, ale wrażliwa, dynamiczna, lecz subtelna. Do tego jedna z najpotężniejszych istot, jakie poznałem. Dodajmy, że jeszcze cholernie przystojna i z talentem do gotowania, aczkolwiek zawsze pamiętałem, by zapytać, czym jest to, czego właśnie kosztowałem. Briallen należała do osób, z którymi znajomość jest powodem do dumy, czułem się zaszczycony, gdy poświęcała mi choć chwilę.

– Wiem, że mogłam zadzwonić, ale w moim wieku miło jest potwierdzić własne zdolności. Nie odzywałeś się od wieków.

– Byłem... zajęty – powiedziałem ze skruchą.

– Znowu się zamartwiałeś – oznajmiła.

Stwierdzała fakt.

– Ee... cóż... – zawiesiłem głos.

– Życie ma dupę, kochanie. Musisz ją tylko ugryźć.

– Wiem, wiem – zaśmiałem się. – Mam prośbę.

– Pracujesz nad tymi morderstwami – oświadczyła. Znowu stwierdzała fakt. Niewiele jej umykało. Streściłem, czego dowiedziałem się do tej pory. Wszystko. Gdybym nie mógł zaufać Briallen, nie mógłbym ufać nikomu na świecie.

– Serca Danannów... – mruknęła. – Kto mógłby zrobić coś takiego?

– To pytanie dnia – zauważyłem.

– Mam parę skojarzeń – odparła. – Ale otworzę te zakurzone księgi pod jednym warunkiem: wpadniesz na obiad.

– Będę ci winien znacznie więcej – powiedziałem.

– Tylko jeśli będziesz mnie nudzić, a nawet jeszcze nie zaczęłaś. Zadzwoń za dzień lub dwa, jak będę gotowa. – Rozłączyła się niespodziewanie, jak zwykle. Siedziałem przez chwilę, uśmiechając się do telefonu. Briallen była druidką, mistrzynią, badaczką, a dla mnie przede wszystkim przyjacielem. Drugą osobą, którą zobaczyłem, gdy obudziłem się w szpitalu. A na dodatek miała jedną z najlepszych bibliotek po tej stronie Atlantyku. Przy jej doświadczeniu i znajomości arkanów nie mógłbym wymarzyć sobie lepszej pomocy. Szkoda, że nie pomyślałem o niej przy pierwszym morderstwie.

Otworzyłem moje pliki i zacząłem szukać wzorów. Wszystkie trzy morderstwa zostały dokonane poza Aleją. Ragnell Danann Sidhe, pierwsza ofiara, został znaleziony na ulicy, dwie przecznice od Pacha Danann Sidhe, drugiej ofiary. Ostatni denat, Gamelyn, wylądował o przecznicę dalej. Z drugiej strony, nie było w tym nic dziwnego. Większość nielegalnej działalności w Weird odbywała się w tych zaułkach. Jednak nie mogłem odrzucić możliwości, że ofiary łączyła nie tylko prostytutka. Fata popełniająca morderstwa

mógł równie dobrze mieszkać w okolicy.

Ulice Stilling i Pittsburgh łączyły Aleję z Congress, tworząc z grubsza kwadrat, gdzie nocą ciągnęły samochody, do których nieustannie wsiadali i wysiadali ludzie, jak na jakiejś niekończącej się karuzeli. Ragnell pracował na ulicy, przypuszczalnie na Stilling, bliżej Congress, ale Pach pracował w spelunie zwanej „Flitterbug” przy Alei. Po rozmowie z Shayem i Robinem dodałem związek Gamelyna z barem. Murdock tropił znajomych ofiar, ale jak dotąd nikt nie pamiętał niczego nadzwyczajnego w nocie morderstw. Wtorki były zazwyczaj spokojne. Mało klientów, mało świadków.

Nic nie wynikało ze skrawka materiału znalezionego na miejscu. Włókna i włosy wciąż były w laboratorium, na katalogowanie czekała też tunika, którą Ragnell nosił w noc swojej śmierci. Laboratorium nie było aż tak zawałone robotą, ale w grę wchodziło trochę rasowych resentymentów, które spowalniały pracę. W służbie było niewielu fata, a ludzki zespół wolał koncentrować się na ludzkich problemach. No i była jeszcze polityka.

Pach był pokryty makijażem i podkładem w kremie, zapewne po to, żeby ukryć siniaki. Przypuszczalnie był zbyt biedny, by pozwolić sobie choćby na najtańszy amulet piękna. Gdyby nie spotkała go śmierć z ręki mordercy, to pewnie wkrótce znalazłby ją w strzykawce.

A teraz nieoczekiwanie doszedł jeszcze

Gamelyn, młody Danann. Było za wcześnie, żeby cokolwiek o nim powiedzieć, poza tym, że gdy zginął, cieszył się dobrym zdrowiem. I był pijany.

Zirytowany wyłączyłem komputer. Kiedy patrzyłem na rozprute klatki piersiowe, zaczynałem czuć ból we własnej. Krążyłem po mieszkaniu, próbując sobie wyobrazić zwrot, który sprawia, że ludzie postanawiają tak żyć. Dlaczego ktokolwiek kończy jako martwa kurwa? Co zapoczątkowuje upadek? Wygląd fizyczny? Strata? Miłość? Pieniądze? Władza?

Zrzuciłem ubranie i wszedłem pod prysznic, katując się strumieniami gorącej wody. Gorąco ogarniające moją skórę dało mi mściwą satysfakcję. Chciałem wypalić frustrację. Podkręciłem gorącą wodę, by odpowiadała temperaturze gniewu, który kipiał w moim ciele. Nie mogłem znieść głupoty niektórych fata. Mogli sięgać po potęgę, a woleli taplać się w gnoju Weird. Tak, słyszałem te, powiedzmy, argumenty. Że niby dla nich otarcie się o deprawację, której doświadczali i którą powodowali, to ledwie flirt dla zabicia czasu. Słyszałem o błahości seksu dla ludów, które tak rzadko są w stanie wydać na świat życie, o odporności ciał zdolnych do trwania przez wieki. Słyszałem to wszystko. I brzmiało to pusto, zestawione z realną stratą, bólem i śmiercią.

Stojąc tak, nagi, ze skórą już niemal pokrytą pęcherzami, wiedziałem, że nie chciałbym zmarnować ani minuty z tego, co było mi dane.

Zwłaszcza że nie miałem pojęcia, czy zdołam przeżyć powyżej przeciętnego wieku danego ludziom. Czasami wyobrażałem sobie to coś w mojej głowie, jak, przypuśćmy, raka. Jak tkwi tam, dzieli się i powiela wciąż i wciąż, powoli wypala z mojego ciała kolejny gram zdolności. Przeżyłem ledwie czterdzieści lat, w kategoriach mojej rasy właściwie byłem dzieckiem. I wciąż pragnąłem więcej, podczas gdy ci głupcy gotowi byli zaryzykować wszystko dla nowego doznania w łóżku albo na hajku.

Puściłem na siebie uderzenie lodowatej wody i wrzasnąłem z szoku termicznego. Ręcznik, którym się wycierałem, był rozkosznie szorstki. Gdy owijałem się szlafrokiem, dotarło do mnie, że katowanie się ekstremalnymi temperaturami niczym się nie różniło od sposobów, w jakie inni karali swoje ciała, by złagodzić emocje. To tylko kwestia skali i racjonalności. Chciałem po prostu poczuć, że żyję. Tak samo jak oni. Nienawidzę momentów, kiedy uświadamiam sobie więź z ludźmi, którzy mnie frustrują. Oni tylko przypominają mi, dlaczego kocham Weird.

Zaparzyłem świeżej kawy i znowu włączyłem komputer.

Rozdział 3

Moi przodkowie mieli ten luksus, że dla zachowania formy mogli wałęsać się po lasach i wszczynać wojny, ja jestem skazany trzy razy w tygodniu na pakowanie hantlami. „Jim’s Gym” to miła klatka w miejscu, gdzie Congress wychodzi z Weird. Lubiłem ją, bo właściwie nikogo tam nie znałem, śmierdziało jak w sali gimnastycznej i nie było baru z sokami. Klientela była eklektyczna – od finansistów po kierowców ciężarówek – i na ogół ludzka. Wspólny mianownik stanowiło upodobanie do solidnej zaprawy i niechęć do odstawiania primadonny. Jedyne lustro w „Jims Gym” można było znaleźć w łazience.

Zacząłem pracować nad odbudową mięśni po pobycie w szpitalu. Na własną rękę, używając najmniejszych ciężarów, takich, z jakimi mogłem sobie poradzić. To niewiarygodne, jak leżenie w łóżku może osłabić człowieka. Kiedy zacząłem robić postępy, złamałem kardynalną zasadę podnoszenia ciężarów: sięgnąłem po sztangę za ciężką jak dla mnie. I tak spotkałem Murdocka. Obaj respektowaliśmy antykonwersacyjną etykietę siłowni – skinienie na „cześć” i potrząsanie głową, gdy ktoś bezzasadnie stękał z wysiłku. Jakoś rok temu, podczas jednego z ataków pychy, które wówczas zbyt często mnie dopadały, założyłem zbyt dużo obciążników i przygwoździłem się do

ławeczki. Resztki poczucia dumy nie pozwalały mi zawołać o pomoc i tylko leżałem w nadziei, że odzyskam dość siły, by unieść ciężar, nie zwalając sztangi na podłogę.

Odwrócona do góry nogami twarz Murdocka pojawiła się nade mną. Miał na ustach ten krzywy uśmieszek, który od tamtej pory poznałem tak dobrze.

– Potrzebujesz pomocy?

– Taa... – stęknąłem i tak narodziło się partnerstwo. Zaczęliśmy potem ćwiczyć razem, on dawał mi rady na temat ćwiczeń, a ja opowiadałem mu o obyczajach fata. Od tamtej pory sprawy bardzo poszły do przodu.

W piątkowe popołudnia spotykaliśmy się regularnie na jednym z naszych treningów. Zszedłem z bieżni, gdy pojawił się Murdock, spóźniony jak zwykle. Miał na sobie swój zwykły treningowy ubiór – przepisowy biały T-shirt i nylonowe spodnie do biegania. Nawet w stroju zaprojektowanym po to, by się w nim pocić, wyglądał świeżo i nieskazitelnie.

Zabraliśmy się do ćwiczeń. Trening toczył się gładkim, wypracowanym rytmem, niemal w milczeniu. Odkąd pracowaliśmy razem, rozmowy na ten temat w siłowni stały się tabu. Szkoda, że nie umiem też zostawić całej złości i agresji za drzwiami, odciąć się od tego. Murdock nie potrzebował takiego rozdzielenia. Albo jest najbardziej zrównoważonym człowiekiem, jakiego

kiedykolwiek widziałem, albo po prostu jeszcze nie ustaliłem, co z nim nie w porządku.

Po tym, jak wzięliśmy prysznic i przebraliśmy się, Murdock zasugerował wczesną kolację. Kiedy wychodziliśmy z siłowni, było wyjątkowo gorąco, więc postanowiliśmy skierować się do North End na coś włoskiego. Późne godziny szczytu zakorkowały już centrum dzielnicy finansowej.

Część brytyjskich fata i niemieckich elfów odkryła w sobie w późnych latach osiemdziesiątych talent do operacji giełdowych i zafundowała śródmieściu coś w rodzaju renesansu. Fata krzywo patrzyły na nowe fortuny, ale wśród ludzi niewielu protestowało przeciw nowym interesom i podatkom z nich płynącym. Poza tym stary piętrowy parking na placu Pocztowym został zastąpiony miłym ogrodem wróżek, a to była zmiana na lepsze.

Znaleźliśmy małą restauracyjkę z dala od tras turystycznych, z komfortowymi gabinetami oraz kelnerkami w średnim wieku. Murdock lubił się napchać po siłowni. W czasie gdy czekaliśmy na zamówienia, podsunął mi kopertę. W środku był portret pamięciowy.

– Shay? – spytałem. Przytaknęła.

Na szkicu widniał mężczyzna o lekko skośnych oczach, niemal azjatyckich rysach i prostym nosie. Obie cechy często spotykane wśród elfów. Ale jego uszy nie były szpiczaste i miał pełne usta, czego można by się spodziewać po

przedstawicieli każdej rasy, tylko nie po elfie. Niektóre cechy wskazywały na wiek – ciemne włosy z wtrętami siwizny, zaokrąglona szczęka. Jak to zwykle bywa z policyjnymi portretami, miał w sobie pewną surowość. Kiedy zmrużyło się oczy, wydawało się, że mężczyzna z portretu może przypominać każdego, od sąsiada po cesarza Japonii.

– Niezbyt pomocne – zauważył Murdock, gdy kelnerka przyniosła nasze zamówienia. Oczywiście wzięła to do siebie i odeszła naburmuszona.

Zabrałem się do mojej pasty.

– Czy ja wiem? Dzięki portretowi można wyeliminować elfy, karły i trolle. I chochliki, rzecz jasna. Na ile wyglądał według Shaya?

– Twierdził, że gdyby to był człowiek, to na pięćdziesiątkę.

Zmarszczyłem czoło.

– Pięćdziesiąt? Fata wyglądający na ludzkie pięćdziesiąt byłby naprawdę stary. Większość z tego pokolenia nie rusza się z Irlandii i Brytanii. Stany ich za bardzo nie obchodzą.

Murdock wzruszył ramionami.

– To by pasowało. Mówiłeś, że rytuał musiałby być stary.

– Miałem na myśli parę tysięcy lat. Fata w tym wieku jest bardzo niewielu i trzymają się z daleka.

– Ale wyeliminowaliśmy elfy, tak? Wiemy przynajmniej, że jest wróżką.

Przyszła moja kolej na wzruszenie ramionami.

– Jak mówiłem, najprawdopodobniej nie jest człowiekiem, ale to nie znaczy, że na pewno. Na razie wygodnie mi przyjąć, że to wróżka.

– Mamy też włókno, to samo przy obu pierwszych ofiarach. Czarna bawełna, nic specjalnego – zauważył Murdock.

– To nie mówi nam nic, czego byśmy już nie wiedzieli – zauważyłem. – Ale przyda się dla prokuratora okręgowego. Masz dowód, choć od początku zakładaliśmy, że to ten sam zabójca. Utrzymanie w tajemnicy amuletów chyba się sprawdza.

Wargi Murdocka zacisnęły się w wąską linię, zaczął bezwiednie skubać krawędź stołu.

– Mam złe wieści na temat tych kamieni. Zniknęły.

– Co to znaczy: zniknęły?!

– Posłaliśmy je do Gildii na badania.

Pokwitowali przyjęcie, a kiedy zadzwoniłem zapytać o wyniki, oznajmili, że nie mogą ich znaleźć.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej, nie było szansy, żebym o tej porze w piątek załatwił cokolwiek przez telefon.

– Szlag, Murdock, dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Mogłem zadzwonić przed wyjściem z domu.

Murdock milczał, aż kelnerka rzuciła rachunek na stół.

– Zadzwoniłem tylko po to, żeby potwierdzić,

że dostali ten ostatni. Connor, przecież wiesz, jak to jest. Nie powiedzieli nam nic o poprzednich kamieniach. Myślę, że nawet nie raczyli na nie spojrzeć. Nie mówiłem ci wcześniej, bo tylko byś się wkurzył, przecież irytuje cię, gdy przynoszę robotę na ćwiczenia.

Opadłem na krzesło i potarłem twarz. Oczywiście miał rację. Gildia poświęcała swój czas sprawom, które były dla niej priorytetowe. Wróżki z Weird znajdowały się na najniższym poziomie, a prostytutki jeszcze gdzieś niżej. Maeve nie była zachwycona splotem wypadków, który wyrzucił fata do współczesnego świata. Jako Najwyższa Królowa na zamku Seelie, władająca wszystkimi fata, dawno temu wydała edykt mówiący, że ci, którzy żyją poza usankcjonowanym terytorium, są zdani tylko na siebie. Częściowo powodem ustanowienia Gildii przez władców fata było ustępstwo na rzecz populacji ludzkiej. Gildia miała łagodzić najbardziej skrajne konsekwencje kontaktów między ludźmi i fata, tyle tylko, że sama decydowała o podjęciu działań. Udzielała symbolicznego wsparcia lokalnej policji w śledztwach, przy których ludzie sobie nie radzili, zaś policja udzielała Gildii symbolicznego wsparcia przy przestępstwach fata, jeżeli dochodzenia utknęły w martwym punkcie. Efektem było mnóstwo nierozwikłanych drobnych spraw i, no tak, martwe fata, które zdaniem wielu ludzi dostały to, na co zasłużyły. Mam na myśli Ludzi –

zarówno fata, jak i zwykłych ludzi uwikłanych w sprzeczną jurysdykcję, często niewiedzących, gdzie mają się zwrócić o sprawiedliwość. Murdock i ja działaliśmy na własną rękę częściej, niżbyśmy sobie tego życzyli.

– Dobra wiadomość jest taka, że trzy martwe ciała przyciągnęły uwagę burmistrza. Zamierza ustanowić zespół zadaniowy – oznajmił.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Czyżbym słyszał braci Murdock nadciągających z odsieczą?

Murdock pochodzi z wielkiej policyjnej rodziny. Niedzielny obiad z udziałem bliskich i przyjaciół w domu jego ojca przypomina odprawę.

– Być może – powiedział. – To moja sprawa, ale jakoś nie łudzę się, że dostanę wielki zespół. Po prostu będzie trochę więcej mundurowych na ulicy. Burmistrz bardziej martwi się pieniędzmi turystów i antyfatowskimi demonstrantami niż morderstwami. Festiwal za pasem.

Przytaknąłem. Do nocy świętojańskiej zostały dwa tygodnie. To, co przed wiekami zaczęło się od rytualnych tańców, teraz przekształciło się w jedną długą, dziką imprezę. Praktycznie każda religia ma jakieś święto związane z tym dniem i co roku balanga robiła się większa. Weird, jako okolica o największej koncentracji pogan, stała się ośrodkiem całego zgromadzenia. Był to koszmar dla mieszkańców, ale i solidny zastrzyk gotówki dla lokalnej ekonomii. W końcu to nie Anglia,

gdzie nikt przy zdrowych zmysłach nie zbliża się podczas Letniego Przesilenia do Stonehenge. Jakimś nawalonym prochami świrom łatwo mogło strzelić do głowy, że czas przywrócić krwawe ofiary z ludzi i nie byłoby tak wybredni, by ograniczać się do dziewic. To był najdłuższy dzień w roku pod bardzo wieloma względami.

– Nie chcę myśleć o Przesileniu. Bardziej interesuje mnie najbliższy wtorek – odparłem.

Wyszliśmy w późny zmierzch. Zachód słońca przyniósł lekki chłód. Murdock przemierzał ulicę policyjnym krokiem, rozglądając się badawczo, jakby podejrzewał, że każdy pieszy coś ukrywa. Dotarliśmy do mostu Old Northern Avenue i zatrzymaliśmy się w pół drogi, patrząc pomiędzy przęsłami na wodę. Niespieszny korowód wieczornych przechodniów mijał nas, nie mając pojęcia, że jako jedyni w mieście usiłujemy dociec, kto zabił trzech ludzi niecały kilometr stąd.

Po drugiej stronie kanału, nad krawędzią molo, które wciąż nazywano Wiatrakiem, można było dostrzec narożnik mojego loftu. Na przełomie stuleci, na molo, które było wówczas częścią tłoczego portu, znajdowała się bocznicą kolejowa, magazyny i stacja rozrządowa, a wszystko wyglądało jak gigantyczny wiatrak. Stąd nazwa. Z czasem bocznicą skurczyła się, składy i budy porzucono. Tworzyły teraz malowniczo zagracone nabrzeże, jakie architekci uwielbiają przeznaczać pod luksusowe apartamenty.

– Myślisz, że mają związek z festiwalem? – zapytał Murdock.

Spojrzałem w ciemnoszarą wodę. Kawałki styropianu i śmieci dryfowały powoli pod naszymi nogami. Coś przepłynęło tuż pod powierzchnią, wystarczająco duże, żeby uznać to za człowieka. Nie chciało mi się myśleć, jak ohydne musiało być życie w porcie i kto popełnił samobójstwo.

– Nie ustaliłem tego jeszcze. Nie widzę na razie związku. Leśny Król to rozwiązanie oczywiste. Umiera w Letnie Przesilenie, zamykając cykl narodzin i śmierci. Tylko że to była jedna osoba i zazwyczaj ochotnik. Niektórzy Aztekowie i Etruskowie składali rozmaite ofiary o tej porze roku, ale to były obrzędy przeprowadzane przez społeczność i dla korzyści społeczności. Gdyby powstała grupa naśladowująca te rytuały, któryś z nas coś by o tym usłyszał.

– Może jeden członek grupy zajmuje się zabijaniem, a reszta siedzi cicho – zasugerował.

– Może, ale wciąż uważam, że coś byśmy o tym usłyszeli. Nawet jeśli istnieje grupa składająca ofiary, to nie miałyby sensu uganianie się za wrózkami. Wiara składanego w ofierze jest równie ważna, jak wiara zabijającego kapłana. Coś mi tu umyka i nie mogę dociec, co to jest.

– Chcesz wiedzieć, co myśli Shay? – spytał Murdock.

Przewróciłem oczami.

– Jasne, czemu nie?

– Elfy. Sądzi, że chodzi o stary konflikt pomiędzy elfami i wróżkami, ponieważ gdyby była jakaś zła krew pomiędzy wróżkami, toby o tym słyszał.

Poruszyłem dwukrotnie brwiami. Murdock wzruszył ramionami i roześmiał się.

– Nie lekceważyłbym go, Connor. Może jest młody, ale przeżył dużo więcej niż większość dzieciaków w jego wieku.

Za każdym razem, kiedy coś się dzieje między elfami i wróżkami, ktoś wywleka stary konflikt pomiędzy tymi rasami. Gdy fata zaczęły się pojawiać na świecie, gdzieś tak około 1900, elfy i wróżki były akurat w stanie wojny. Po tym, jak zorientowały się, że znajdują się w innym miejscu niż w świecie, który nazywano powszechnie Faerie, zawarły coś w rodzaju rozejmu. Dla opisu współistnienia obu światów ukuto termin „Konwergencja”, a spory, który z nich jest prawdziwy, trwają do dziś. Pozostawało niezbitym faktem, że fata przybyły całkowicie skądinąd, z miejsca, które nie należało wyłącznie do sfery mitów i legend i w którym czas płynął inaczej. Tak czy owak, w obydwu światach wróżki i elfy nie przepadały za sobą. Raz do roku obie strony spotykały się w Irlandii na Zgromadzeniu Fata i próbowały rozstrzygać wzajemne spory.

– Dobra, więc jak brzmi jego historia?

– Shay jest pełnoletni, ale moim zdaniem to po prostu uciekinier. Chłopak, który wygląda jak

kobieta, niekoniecznie miał lekkie dzieciństwo – zauważył Murdock.

Spojrzałem na niego lekko zaskoczony.

– Murdock, myślałem, że wyrosłeś już z tych płciowych bzdetów.

– Nie powiedziałem, że to ja mu dokuczałem. Dorosłem tutaj. Stwierdzam tylko fakt. Wierz mi albo nie, ale są w tym kraju miejsca, w których fata nie mieszka. Mogłeś zapomnieć, że nie każdy przepada za fata, niezależnie od transseksualnych inklinacji.

Miał rację. Jeśli jest się fata i mieszka w miejscu największej koncentracji magicznych istot w Stanach, łatwo zapomnieć, że gdzieś tam znajduje się prowincja. A fakt, że fata znacznie częściej popadały w alternatywne relacje seksualne, w zasadzie nie wynikał z ich biologii. Briallen tłumaczyła mi, że to ma związek ze skrajnie niską płodnością i długim okresem życia. Rozwiąłość nie budzi dezaprobaty, kiedy daje jedyną szansę na przedłużenie gatunku. A gdy prawdopodobieństwo zajścia w ciążę jest skrajnie niskie, seks staje się kwestią raczej relacji i związków niż prokreacji. Bardzo długie życie pozostawia dużo czasu na rozmnażanie, jeśli ktoś ma ochotę próbować. W szkołach, do których chodziłem, faktycznie nikt nie uznałby, że w Shayu jest cokolwiek dziwnego.

Murdock odepchnął się od balustrady i ruszyliśmy dalej.

– Sprawdziłem go, kiedy wyszedł wczoraj z posterunku. Urodził się w Bostonie, ale aż do zeszłego roku nie było nic na jego temat. Albo są jakieś zamknięte akta z okresu, gdy był nieletni, albo jest czysty. Prędzej czy później ktoś go oskarży o nierząd, moim zdaniem. To tylko kwestia czasu.

– A Robin?

Doszliśmy do końca mostu i oficjalnie znaleźliśmy się w Weird. Przeszliśmy przez Sleeper, gdzie mieszkałem, i ruszyliśmy powoli chodnikami wzdłuż Alei, mijając zatłoczony parking „Szczekającego Kraba”, restauracji z owocami morza, która stała tu już tak długo, że urosła do rangi instytucji. Nie odwiedzano dla kiczowatego wystroju, ale dla niewiarygodnie smacznej kuchni. Jeśli ktoś mieszkał w pobliżu, w weekendy pozostawiał ją turystom i zamiejscowym. Murdock i ja weszliśmy na odcinek ulicy, gdzie zaczynały się już lokalne sklepiki i bary.

– Robin to z kolei inna historia – oznajmił detektyw. – Ma już niedużą kartotekę zatrzymań za nierząd, ale jak dotąd, o ile mi wiadomo, nie wplątał się w narkotyki. Ma talent do obrywania po nosie, ale jak chcesz znać moje zdanie, większość kłopotów, w jakie się pakuje, sam sprowokował. Jest w tym cholernym, kuloodpornym wieku i ma marne szanse, by z niego wyrosnąć.

– Są kochankami?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Tak sędę.

– W tej ich norze były dwa łóżka – zauważyłem.

– To jeszcze nie dowodzi, że są tylko współlokatorami. Może na śmietniku nie było wystarczająco dużego łóżka. – Murdock posłał mi krzywy uśmiech. – Dlaczego tak cię to interesuje?

Poczułem, że się rumienię.

– Pomyślałem tylko, że Robin to najbardziej wyglądający na fata człowiek, jakiego widziałem. Zadowolony?

– Teraz ślinisz się do ludzi? Zboczony Connor – wycedził Murdock.

– Nie powiedziałem, że chcę iść z nim do łóżka, Murdock. Odwał się.

Zarechotał.

– A dlaczego, Connor! Myślałem, że jesteś ponad te płciowe bzdety. – Wyszczrzył się niewinnie.

– Nie mam żadnych płciowych problemów, Murdock. – Strzeliłem palcami. – Ani ochoty zadawać się z bardzo młodą męską prostytutką, być może uwikłaną w rytualne morderstwo.

– Dobra już, dobra. Chodźmy. Co jeszcze mamy? – zapytał Murdock.

Zawahałem się, nim mu odpowiedziałem. Zanim wczoraj położyłem się spać, posłałem Joemu świetlika z informacją od Shaya, ale nie dostałem odpowiedzi. No i wciąż nie powiedziałem

Murdockowi o chochliku, którego wyczułem na miejscu zbrodni. Obracałem to przez chwilę w głowie, po czym zdecydowałem się oczyścić atmosferę.

Zasepił się i potrząsnął głową.

– To świństwo, Connor. Ja ci nie działałam za plecami.

– To nie było właściwie działanie za plecami, Murdock. Nie byłem pewien, czy to ma znaczenie, i nie chciałem podsuwać ci fałszywych tropów – usiłowałem sprawić, by brzmiało to przekonująco.

Spojrzał na mnie i zatrzymał się przy szybie wystawowej, za którą prezentowano maski na festiwal. Maski ogrów, trolli, wilków i węży obok podobizn wrózek, elfów i leśnych zwierząt. Większość z nich pokryto cekinami albo oklejono piórkami, chcąc nadać im specjalny, festiwalowy wygląd.

– Jak się cieszę, że nie zaprzętałeś tym mojej biednej małej główki. Mógłbym się tak napracować, dając ci imiona wszystkich chochlików trzymających z dziewczynkami.

Zaskoczył mnie.

– Potrafisz wyśledzić chochlika? Jak? Są raczej skryte.

Poszedł dalej.

– Ciekawostka, Connor: trzymają się z ludźmi, którzy już tacy nie są – rzucił przez ramię.

– Czuję się gównianie – powiedziałem, zachodząc mu drogę.

– I powinieneś. – Machnął głową w kierunku wystawy. – Mają tam maskę osła. Idź, spytaj o cenę.

Nie żartował. Jego głos stał się niższy, przybrał to płaskie brzmienie, które oznaczało, że jest naprawdę wkurzony. Chwyciłem go za ramię i zatrzymałem.

– Naprawdę przepraszam, Murdock. Postąpiłem źle. To się więcej nie powtórzy.

Patrzył na mnie przez chwilę, gniew pulsował mu tuż pod skórą.

– Spróbuj pamiętać, że nie jesteś już asem z Gildii. Nie mówię tego, żeby ci sprawić przykrość. Po prostu nie chcę, żeby to, co robimy, stało się wspomnieniem, kiedy tylko odzyskasz swoje zdolności. Partnerzy muszą sobie ufać. Możesz zbierać tyle chwały, ile chcesz, byle nie moim kosztem.

– Nie wydaje ci się, że jedziesz po mnie trochę za bardzo, jak na drobny błąd?

Strząsnął moją dłoń z ramienia.

– Rzeczy drobne mogą stać się wielkie. Nie chcę, żeby do tego doszło.

– Murdock, przysięgam, nie zrobię tego więcej.

Skinął głową.

– Dobra. Wiem, jak cenisz lojalność. – Spojrzał na swój zegarek i przyspieszył kroku. Sprawdzał godzinę już kilka razy, odkąd wyszliśmy z restauracji.

– Umówiłeś się z kimś? – zapytałem.
Włączyliśmy się w otaczający nas wczesnowieczorny tłum. O tej porze byli to głównie ludzie wybierający się na przedstawienie w starym teatrze oraz paru gości w średnim wieku, którzy szukali miłego dreszczyku emocji, jakich dostarczał spacer po krawędzi. Wszyscy oni znikną koło dziesiątej, zastąpieni przez kolejny tłum, tych, którzy naprawdę tu należą.

Murdock rozejrzał się, unikając mojego wzroku.

– Tylko na drinka.

– Ktoś, kogo znam?

– Nie – odparł. – Ona jest miła.

– Ha, ha – odrzekłem. – A gdzie się umówiliście?

– W „Ro-Ro”.

„Rose Rose” to bar, który irlandzka mamusia mogłaby nazwać miłym miejscem. Mieści się tuż przy Alei, na ulicy B. Znajdują się tam przytulne drewniane gabinety otaczające stoliki w sam raz dla czworga. Oddzielona od sali szybą część z mahoniowym barem przeznaczona jest do poważniejszego picia. Dobrze oświetlone, niezbyt zadymione wnętrze, gdzie odbywały się świetne występy, zarówno zespołów, jak i solowych piosenkarzy. Gdyby komukolwiek zależało, całe Weird mogłoby tak wyglądać.

– Ach, więc to coś poważnego – judziłem.

– To tylko drink. Ona przychodzi z

przyjaciółmi.

Doszliśmy do skrzyżowania przy Pittsburgh i zatrzymaliśmy się.

Murdock najwyraźniej nie miał ochoty zabierać mnie ze sobą. Zdecydowanie nie dotarliśmy do takiego punktu naszej przyjaźni, by razem imprezować. Z drugiej strony, ja też nie zapraszałem Murdocka, by wyskoczył ze mną nocą na miasto. Ostatnio bywałem w takich miejscach, które oferowały głównie piwo, strzelaniny i bójki; gdzie detektywi niechętnie się pojawiają, nie wezwawszy wsparcia. Na tym etapie życia właściwie nie szukałem związków.

Znałem Murdocka na tyle dobrze, by wiedzieć, że zapewne stara się okazać mi grzeczność. Chyba uznał, że skoro się nie umawiam, nie najlepiej poczuję się w atmosferze randki, albo zakładał, że skoro ja go nie zapraszam, to i on mnie nie zaprasza. Albo jedno i drugie. Murdock jest całkiem śmiały, ale zbyt uprzejmy, by po prostu powiedzieć mi, żebym spadał. Staliśmy obaj na rogu, jakbyśmy na coś czekali.

– Dobra, zobaczymy się później – rzuciłem w końcu.

– Daj znać, jeśli na coś wpadniesz. Miłej nocy – odparł i ruszył przez przejście dla pieszych.

Wróciłem Aleją aż do sklepu z maskami. Rzeczywiście był tam osioł, z pyskiem częściowo otwartym w szyderczym uśmiechu. Murdock nie był taki znów daleki od prawdy, kiedy wspominał

o Gildii. Tam szło na noże. Duży talent zwykle szedł w parze z wysokim przekonaniem o własnej wartości, a takie osobowości niechętnie współpracowały. Konkurencja o uznanie i awans była mordercza. W Gildii trzymało się karty przy orderach, a informacjami dzieliło na zasadzie coś za coś. Stawką były pieniądze, sława i władza. No i ryzykowało się gwałtowną utratę wszystkich trzech. Mogło się spaść na dno dużo szybciej, niż się poszło w górę. A ja byłem cholernie dobry.

Mówiąc zupełnie szczerze, przegryzłem się na sam szczyt. Szczyt. Wielki Mistrz Bostonu. Przez całe zeszłe stulecie Mistrzami zostawały głównie wróżki, co zrozumiałe, zważywszy, że to Dwór Seelie płacił rachunki. Żaden elf nigdy nie zajął tego miejsca i pewnie nigdy nie zajmie. Nieliczni druidzi płci obojga miewali swoje krótkie kadencje i to wystarczyło, bym uważał, że mam jakąś szansę.

Ale potem „wydarzyła się tragedia”, jak to nazwano. Moja przepustka została unieważniona, jeszcze zanim wyszedłem ze szpitala. Gildia ma ścisłe przepisy dotyczące dostępu bezpieczeństwa dla posiadaczy wysokich zdolności. Rok później straciłem mój apartament w Beacon Hill, ale większość tak zwanych przyjaciół przestała się do mnie odzywać dużo wcześniej. Nasza znajomość nie miała w sobie nic użytecznego, przynajmniej dla nich. Gdyby zobaczyli mój obecny mały loft, byłiby przerażeni. Jedyni ludzie, którzy zostali

przy mnie, to Stinkwort, Briallen, rodzina i okazjonalni znajomi.

Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej rozumiałem, że Murdock miał rację. Nie przywykłem do pracy w zespole, a co dopiero jako młodszy partner. Może i miałem wiedzę o fata, ale to on wnosił do spółki wsparcie usankcjonowanego prawa. Bez tego byłem tylko samotnym straceńcem, do którego nie chciała się przyznawać ani Gildia, ani Bostoński Departament Policji.

A bez wsparcia byłem tylko wypalonym druidem bez perspektyw.

Poczułem nagłe zakłopotanie i odsunąłem się od wystawy. Być przedrzeźnianym przez gumową maskę w publicznym miejscu to jedno z tych ambarasujących doświadczeń, po których człowiek może poczuć się głupio. Na szczęście nikt na ulicy niczego nie zauważył.

Ja natomiast znienacka zauważyłem „Flutterbug”. Znajdował się po drugiej stronie ulicy, po drodze do domu. Ciężkie, metalowe drzwi pomalowane na czerwono pod logo przedstawiającym trzy pary skrzydeł, których migotanie przywodziło na myśl raczej popsuty neon niż efekt artystyczny. Większość ludzi mijająca go obojętnie w drodze do lepiej oświetlonych barów o odrobinę lepszej reputacji.

Przeszedłem przez ulicę przy akompaniamencie samochodowych klaksonów.

Kiedy pchnąłem odrzwia, wyczułem subtelne

zaklęcie strażnicze, które natychmiast zostało splukane przez natłok różnych esencji wypełniających wnętrze. Wiele lokali fata używało takich zaklęć, przede wszystkim do ochrony i odpierania złych wpływów. Rzecz jasna, co się uzna za zły wpływ, to już kwestia względna. Zaklęcia mogły być wyczulone na cokolwiek, od policyjnej odznaki po konkretnych ludzi, zależnie od potrzeb i zdolności zaklinającego. We „Flitterbugu”, jak wyczułem, nastawione były najprawdopodobniej na chłopców noszących się na niebiesko.

Po tym, jak przestąpiłem próg, moje zmysły opanowało wrażenie stęchłej atmosfery. Zastały odór piwa. Zastały dym. Zastały pot. Unoszące się w powietrzu ślady esencji stałych bywalców. Całe pomieszczenie miało ze dwadzieścia metrów szerokości. Panowała tu ciemność, rozbijana tylko przez halogenowe reflektorki, które oświetlały niewiele więcej niż miejsce w punkcie skupienia, oraz czerwone i niebieskie wiązki laserów krzyżujące się na suficie. Głośno dudniła muzyka house, ale niewielki parkiet pod przeciwległą ścianą był zupełnie pusty. Wzdłuż bocznej ściany stał rząd odrapanych stolików i ławka w nieokreślonym kolorze. Przeciwległą zajmował bar.

Przy jednym ze stolików siedziała zjawiskowo chuda kobieta z małą szklaneczką w dłoni. Gapiała się w ścianę. Kawałek dalej dwa elfy

pograżone w rozmowie posłały mi jedno spojrzenie, po czym zdecydowały się mnie zignorować. Poza nimi nie było żadnych klientów, o ile tych troje to w ogóle klienci. Było jeszcze wcześniej. „Flutterbug” należał do tych knajp, w których cokolwiek zaczynało się dziać, kiedy większość populacji była już dawno w łózkach.

Podszedłem. Krasnolud pracowicie wycierający porysowany blat miał jakiś metr wzrostu, nosił lewisy i czarną koszulkę. Zdawało się, że głębokie zmarszczki na jego twarzy są wypełnione sadzą, jakby właśnie wyjechał z kopalni i nie zdążył się umyć. Przylepione do czaszki jakimś żelem włosy lśniły ostro w przytłumionym świetle.

– Proszę guinnessa – powiedziałem. Oczy barmana spoczęły na mnie, po czym krasnolud odwrócił się, zszedł z podwyższenia, które miał po swojej stronie szynkwasu, skierował się do półek i przyniósł mi najmniejsze piwo, jakie widziałem od bardzo dawna. A barman wrócił do pucowania.

– Pracowałeś w tym tygodniu? – zagadnąłem. Wzruszył ramionami.

– Taa.

Wyjąłem portret pamięciowy i podsunąłem w jego stronę.

– Poznajesz go?

Spojrzał nad moim ramieniem w stronę elfów za stolikiem.

– Nie zapłaciłeś za piwo – zauważył, nie

przerywając bezsensownego szorowania. Rozpłaszczyłem na blacie dziesiątkę tuż obok rysunku. Szybkim, płynnym ruchem schował banknot do kieszeni.

– Wygląda jak każdy zgred, który tu tkwi.

– Miał dziwny głos. Może chrypiący albo zgrzytliwy?

Karzeł znów wzruszył ramionami.

– Potrzebuję czegoś więcej.

Położyłem kolejną dziesiątkę na barze.

– Dobra, chyba sobie kogoś takiego przypominam.

– Pamiętasz kiedy?

Porzucił szmatę i poczęstował mnie długim, uważnym spojrzeniem. Na jego usta wypłynął krzywy uśmiezek.

– Zachowujesz się jak koleś z Gildii, ale na takiego nie wyglądasz. Coś mi mówi, że chcesz usłyszeć: „We wtorek”. Może jeszcze browarek, kolego?

Nie zdążyłem tknąć pierwszego. I nie sędzę, żebym mógł, zważywszy na parę miejsc, które minąłem tego wieczoru. Wyjąłem kolejną dziesiątkę. Murdock mnie zabije, kiedy zobaczy rozliczenie wydatków. Banknot zniknął.

– Był tu w zeszły czwartek. Widziałem, jak gada z ludzkim dzieciakiem ulicy imieniem Shay, a potem ten mały głupek został zabity.

– Shay? Ten, co wygląda jak dziewczyna? – upewniłem się.

Skinał głową.

– Jak mała zdzira. Kilku moich kumpli pracowało z nim przez chwilę, ale ich wycyckał.

Wydałem wargi.

– Widziałeś ich przedtem razem?

– Nie. Tylko wtedy Ale gościa widziałem już wcześniej. Często wpadał zeszłej jesieni. Zawsze siadywał w rogu. Nie pił, tylko się gapił. A potem zniknął.

– Pamiętasz coś jeszcze?

Wzruszył ramionami i wrócił do pucowania kontuaru.

– Przychodzą tu różni, ale ten typ miał w sobie coś takiego, że ciarki przechodziły. Może nie gram w twojej lidze, ale wyczuwam esencję fata, odróżnię druida od ropuchy. I za diabła nie wiem, kim był ten gość, poza tym, że nie był normalny.

– Dzięki. – Wstałem i ruszyłem do wyjścia, ale barman jeszcze mnie zatrzymał.

– Ej, kolego. Nie wiem, jak się w to wplątałeś, ale na twoim miejscu bym uważał. Nie znam gościa, ale wiem, że silny jest jak cholera.

– Wezmę to pod uwagę – odparłem.

Skinał, nie patrząc na mnie.

– Tak zrób. Nie było tej rozmowy.

Nie powiedział więcej ani słowa, tylko odszedł w przeciwny kraniec baru i zaczął go polerować.

Zaintrygowało mnie, że Shay nie wspomniał o rozmowie z podejrzanym. Byłem ciekaw, co chciał ukryć, i jeśli tak było, to po co podsunął mi

informację, dzięki której mogłem to odkryć. Murdock ostrzegał, żebym nie lekceważył Shaya. Kiedy to mówił, chciał go skomplementować. Teraz nie byłem pewien, czy dalej będzie miał o nim tak dobre zdanie.

Już na chodniku skuliłem się pod uderzeniem chłodnego, wiosennego wiatru. Trafiłem na wieczorną przerwę, gdy tłum japiszonów poszedł już poszukać bezpiecznego schronienia, a ci, którzy naprawdę nazywali to miejsce domem, dopiero wypełzali na ulicę. Twarze ludzi, których mijalem, stały się bardziej ponure, zacięte i tajemnicze. Głosy brzmiały donośniej, jakby tubalny śmiech mógł zażegnać niebezpieczeństwo. Ruch uliczny także zwolnił, samochody obecnie krążyły tylko w poszukiwaniu dostępu do prochów lub ciepłego ciała.

Nagle na ulicy wybuchł krzyk. Ludzie czmychnęli od zasłoniętej deskami wystawy jak szczury opuszczające okręt. Zobaczyłem kłębiącą się niewielką grupkę mężczyzn, właściwie chłopców, wymachujących rękoma niczym w klasycznym kraulu. Byłem w połowie drogi na drugą stronę ulicy, kiedy przypomniałem sobie, że tego typu sprawy nie należą już do mojej pracy. A potem, że jestem sam.

Jeden z chłopaków wyleciał w powietrze i runął na zaparkowany samochód. Usłyszałem wiązaną niemieckich przekleństw i nagle ukazał się obiekt ich ataku. Krasnolud zamachnął się

pięciami jak kowadła i kolejnych dwóch chłopaków wzbilo się do lotu. Pozostali żule otaczali karła kręgiem, starając się pozostać poza zasięgiem. Ksenosi, którzy wybrali się, by sprawić komuś manto. Stwierdziłem, że jest czterech na jednego, i zdecydowałem, że – bez względu na ich przewagę – wchodzę. Kolejnych trzech krasnoludów nadciągało pędem, wrzeszcząc, jak tylko oni potrafią. Pozostali chuligani przemyśleli swój błąd i prysnęli.

– Poradziłbym sobie – powiedział krasnolud do swoich nowych towarzyszy.

– Jasne, to trzeba było – odparł jeden z nich. Odeszli, burcząc coś pod nosem.

Chodnik opustoszał, ale nagle wyczułem druida. Wyteżyłem wzrok i w tym momencie z głębi mrocznej bramy wyszła wysoka kobieta okryta długim płaszczem. Miała tak silną esencję, że wykryłem ją z dużej odległości, ale bez wątpienia kobieta również wyczuła moją obecność. Nieznajoma kryła twarz w cieniu kaptura. Odwróciła się i odeszła pospiesznie. Rozwazałem, czy nie iść za nią, ale odpuściłem. Miałem za sobą długą noc.

Wróciłem do mieszkania, zwałem się na futon i oglądałem telewizję tak długo, aż mogłem cytować wiadomości z pamięci. Na Zgromadzeniu Fata w Irlandii Dwór Seelie i Konsorcjum Teutońskie dotarły do ostatniego etapu negocjacji. Pozostało do rozstrzygnięcia kilka kluczowych

spraw, zwłaszcza dotyczących autonomii elfich i krasnoludzkich kolonii we wschodnich Niemczech oraz struktura Trybunału Fata, który miał sprawować władzę nad obiema partiami. Celtyccy i teutońscy fata walczyli ze sobą od zawsze. Wojny terytorialne rozpoczęte przed wiekiem przeistoczyły się w spory ideologiczne i polityczne. Konwergencja na przełomie stuleci jeszcze znacząco skomplikowała sprawy. Obecnie Konsorcjum Teutońskie chciało przydziału funduszy na badania nad ewentualnym powrotem do Faerie, a Dwór Seelie naciskał, by zajęto się kwestiami związanymi z życiem w nowej rzeczywistości. Oba stronnictwa zgadzały się tylko w jednym względzie: nie ma mowy, by ustąpić oponentom w czymkolwiek. Zgromadzenie Fata było ostatnią instancją pozwalającą uniknąć otwartej wojny.

Tylko krótka informacja o decyzji burmistrza dotyczącej skierowania na ulicę dodatkowych patroli miała związek z morderstwami. Ale zabójstwa wspomniane były na marginesie, główny nacisk położono na bezpieczeństwo na drogach w trakcie festiwalu. Jeśli zabójca szukał rozgłosu, to źle wybrał ofiary. W końcu wyłączyłem telewizor i zapadłem w ciężki sen, wypełniony rojeniami na granicy koszmaru.

Rozdział 4

W niedzielę z samego ranka poszedłem pobiegać na nabrzeżu. Dzięki siłowni i bieganiu znajdowałem się w lepszej formie niż kiedykolwiek w życiu. Wybrałem skomplikowaną trasę pomiędzy częściowo zwalonymi umocnieniami brzegowymi, stertami desek rzuconymi pomiędzy pale, pogruchotanymi betonowymi płytami niegdysiejszych parkingów i zardzewiałymi torami. W pozostałościach zrujnowanych budynków można było odczytać całą historię tego miejsca, które ewoluowało od rybackiego nabrzeża poprzez ruchliwy port i bocznice kolejową do składów i ostatecznie – Weird.

Obecni mieszkańcy okolicy wszędzie pozostawiali po sobie ślady. Słoiki po spirytusie wały się w rynsztokach obok budynków; przypadkowe graffiti okazywało się klątwami zapisanymi oghamem, o ile ktoś umiał je przeczytać, deski i kamyki pokryte starymi runami leżały wszędzie oklejone wodorostami, ogarki świec poniewierały się wokół jak konfetti. Czasami rozmaite porzucone zaklęcia, talizmany i amulety tworzyły tak silne interferencje, że czułem wyładowania statyczne i aż jeżyły mi się włoski na ramionach i nogach.

Był to jeden z tych wczesnych czerwcowych

poranków, które mają obietnicą zbliżającego się lata, słońce ogrzewa twarz, a niebo ma głęboki lazurowy kolor. Zwykle wiatr wiejący od portu obniżał temperaturę i wywoływał chłód, ale dziś był ledwo wyczuwalny. Moja trasa prowadziła do południowego Bostonu, przez rodowitych mieszkańców z dumą nazywanego Southie. To dzielnica irlandzkich emigrantów, zrodzona z epidemii i głodu w Starym Kraju. Nic dziwnego, że fata także ciągnęły do Bostonu. Biegłem wzdłuż rzędu samochodów, przy których krzatali się mężczyźni, dzieci bawiły się na ulicy, podczas gdy kobiety w średnim wieku gawędziły w grupce przed narożnym spożywczaikiem. Wszystko to, co emanuje atmosferą miłego sąsiedztwa rodem z jakiegoś idealnego świata.

Wbiegłem na alejkę otaczającą Fort Independence. Stary bastion z czasu wojny o niepodległość tkwił na końcu nabrzeża, ze strategicznym widokiem na miasto. Tutejsi zwali to miejsce Wyspą Zamkową, chcąc podkreślić, że kiedyś rzeczywiście była tu wyspa, zanim połączono ją nasypem z resztą miasta. Dla niewtajemniczonych fort rzeczywiście przypominał średniowieczny zamek, dzięki swoim granitowym murom oporowym i pięciu bateriom. W letnie weekendy po Dniu Pamięci przewodnicy w strojach z epoki oprowadzali zwiedzających po wnętrzach, dodając mu lokalnego kolorytu.

Przez chwilę truchtałem w miejscu, czekając

na zmianę świateł i patrząc na port. Lśniaca powierzchnia wody była zupełnie spokojna, pokryta tylko drobnymi zmarszczkami, za małymi, by mogły zmienić się w fale. Nagle ciarki przebiegły mi po skórze. Rozejrzałem się w poszukiwaniu ich źródła. Ktoś w pobliżu rzucał zaklęcie albo wróżył. Jeszcze kiedy się rozglądałem, uczucie osłabło i zanikło. Zdecydowanie bez swoich zdolności zacząłem popadać w paranoję.

Patrząc na tłum gromadzący się w punktach widokowych, zdecydowałem się zrezygnować z fortu i zawrócić pętlą przez Southie. Zakończyłem swoją pięciomilową trasę pod domem, zatrzymując się tylko na Alei, żeby kupić bajgle. Ostatecznie kiedy dotarłem na górę i wszedłem pod prysznic, była dziewiąta. Nie najgorzej jak na weekend. Wprawdzie stwierdziłem, że czuję się lepiej, gdy kładę się wcześniej i trzymam rygor treningów, ale nie popadłem w taki fanatyzm, żeby całkiem zrezygnować z życia nocami. Muszę też stwierdzić z satysfakcją, że byłem w stanie odwalić rano kupe roboty.

Zasiadłem przed komputerem. W trakcie przebieżki stwierdziłem, że być może rytualny aspekt morderstwa rozpatruję ze złej strony. Czasami najprostsze rozwiązania są najlepsze: skoro rytuał wyskoczył na miejscu zbrodni, to gdzieś powinien istnieć jego porządny opis, pozwalający go wyjaśnić. Rzetelna przesłanka,

zakładająca oczywiście, że powinienem zbadać każdy pasujący ryt. I od tego miejsca trop wiódł na manowce. Nie wszystko zostało spisane.

A rytuał to jeszcze nie wszystko. Mając odpowiednie zdolności i odpowiednie składniki oraz wolę, by użyć jednego i drugiego, dowolna liczba ludzi mogłaby przeprowadzić ten sam rytuał od różnych końców. Ja skoncentrowałem się w przypadku Wtorkowego Zabójcy na „jak”, zupełnie tracąc z oczu „po co”.

Po moim wypadku długo usiłowałem ustalić, co mi się właściwie przytrafiło. Jak większość ludzi, których dotknęły poważne fizyczne przypadłości, zacząłem czytać, prowadzić badania, aż w końcu stałem się lepszym ekspertem od własnego przypadku niż lekarze. I doszedłem do tej samej konkluzji co oni: diagnoza nieznana. Największy problem polegał na tym, że miałem fizyczną przypadłość, która nie miała fizycznej reprezentacji. Ciemność w moim mózgu nie miała masy, żadnej materialnej manifestacji innej niż niewyjaśniona plama mroku, która pojawiała się na dowolnym urządzeniu diagnostycznym. Czymkolwiek to było, wywoływało krótkie spięcie, ilekroć usiłowałem użyć moich zdolności na jakimkolwiek poziomie. Kiedy usiłowałem to przełamać, miałem uczucie, jakby mój mózg zmieniał się w tłuczone szkło. Gdy naciskałem silniej – mdlałem. Doprowadziło mnie to do wniosku, że ciemna plama stanowiła rodzaj energii

związanej immanentnie z samą istotą fata.

Część moich badań wypełniały książki poświęcone wyłącznie kwestii esencji. Od wieków ludzie usiłowali dociec, na czym polega zjawisko czyniące z fata fata. Zainteresowanie tym wzrosło gwałtownie w zeszłym wieku, odkąd coraz więcej ludzi miało możliwość dostępu do badań. Jednak to współcześni druidzi, ryzykując, że zostaną posądzeni o elitaryzm, napisali najlepsze opracowania filozoficzne w tej materii. Cóż, mamy długą tradycję badania otaczającego świata.

Wyjąłem cienki tomik nazwany „Esencja esencji”. Briallen podarowała mi go dawno temu, przypuszczalnie dlatego, że było to jej ulubione opracowanie. Autor pozostawał nieznany, podejrzewałem, że sama napisała tę książkę. Koncentrował się na rozważaniach duchowych obejmujących połączenia pomiędzy rzeczami. Sednem całej dyskusji było założenie, że wszystkie rzeczy, zarówno organiczne, jak i nieorganiczne, od najwyższej królowej po najmniejszy kamyczek, zawierają nieuchwytną energię, którą nazywamy esencją. Elementy nieorganiczne zwykle posiadały esencję całkowicie jednolitą. Tym, co skłoniło mnie do otwarcia tej książki, była teoria, że u istot inteligentnych – zgodnie z ich organiczną naturą – esencja koncentrowała się w jednym miejscu. W sercu.

Biorąc pod uwagę naturę morderstw, przypuszczałem, że rytuał zawiera element

przejęcia albo odebrania mocy – jak wspomniałem Murdockowi. Większość fata intuicyjnie zdawała sobie sprawę, że ich serce jest związane z esencją ich jestestwa. Umysł może aktywować nasze zdolności, ale moc płynie z jednego z najlepiej chronionych organów naszego ciała. Czujemy to, ilekroć ujmujemy w dłoń cisową różdżkę, nachylamy się nad taflą wróżebnego źródła albo wzywamy przyjaciela.

Ani przy drugim, ani przy trzecim miejscu zbrodni nie wyczułem żadnych duchowych pozostałości rytuału. Murdock nie wzywał mnie, nim doszło do drugiego zabójstwa, ale patrząc, jak sprawy się potoczyły, wątpię, żebym znalazł przy pierwszych zwłokach cokolwiek użytecznego. Jak dotąd stwierdziłem, że kluczem były zabrane serca. Rozumując na najprostszym poziomie, zwykli seryjni zabójcy lubili kolekcjonować pamiątki po swoich ofiarach. Dawało im to poczucie osiągnięcia celu oraz mocy. Czynnikiem obecności esencji oraz fakt, że serca mogły ją zachowywać przez dłuższy czas, sprawiał, że pojęcie mocy zyskiwało znacznie bardziej realny wymiar.

Moje krzesło zaprotestowało przeciągłym jękiem, kiedy usiadłem prosto. Brak pozostałości rytuału na miejscu zbrodni. To po prostu oznaczało, że zabójstwo nie należało do rytuału. Traciłem czas, szukając przyczyn, dla których obsiano ogródek, podczas gdy znaczenie miały zioła znajdujące się w kociołku. Im dłużej o tym

myślałem, tym bardziej oczywiste się to wydawało.

Morderstwa były ledwie sposobem na pozyskanie serc. Przystawiłem ponownie krzesło do regału przy przeciwległej ścianie, zamierzając podążyć tą nową linią rozważań, gdy nagle usłyszałem bardzo głośny bulgot, jakby ktoś płukał gardło. Zeskoczyłem, a mój osobisty amulet zareagował tak gwałtownie, że odczułem to jak uderzenie w tył głowy. Wszedłem do salonu.

Stinkwort siedział na krawędzi kuchennego blatu z nadgryzioną czekoladową markizą Oreo w dłoni.

– Nie masz mleka? – zapytał z pełnymi ustami.

Złość i poczucie ulgi spływały ze mnie, gdy mamrotałem krótką inkantację mającą dezaktywować amulet ochronny. To było jedno z niewielu zaklęć, jakie mi jeszcze pozostały.

– Nie spróbowałbyś pukania? – powiedziałem. Odgryzł kolejny kęs ciastka.

– Spróbowałbym, gdybym wchodził drzwiami – odparł. Nie miał problemów z wdzieraniem się do mojego mieszkania, ale nienawidził dotykać lodówki. Twierdził, że odstręcza go nienaturalne zimno, ale sądzę, że to bzdura. Po prostu lubi, kiedy go obsługuję. Nalałem mu trochę mleka do kieliszka.

– Daj dwie szklaneczki – powiedział.

Splotłem ramiona i spojrzałem, jak żuje.

– Dlaczego?

Joe przestał jeść i rozejrzał się niepewnie.

Odłożył szczątki ciastka, wstał i przeszedł wzdłuż blatu, przestawiając pojemniki. Zajrzał za ekspres do kawy i wyszeptał coś tak cicho, że nie mogłem usłyszeć. Podniósł ręce.

– Nie, naprawdę. Wszystko w porządku – oznajmił.

Ukazało się jasnożółte skrzydło, a za nim wysunęła się maleńka twarz.

– Chodź, jest mleko – powiedział Joe po kornwalijsku.

Maleńki chochlik wyszedł w pole widzenia. Miał jasnożółte skrzydła, większe w stosunku do reszty ciała niż u Joego, choć przybysz był o połowę mniejszy. To ona, uświadomiłem sobie. Bardzo jasne włosy zwisały jej aż do bioder, niemal zasłaniając jasnozieloną tunikę. Skóra była tak biała, że wydawała się przezroczysta. Zmierzyła mnie uroczystym spojrzeniem wielkich zielonych oczu, ale nie poruszyła się więcej.

– To jest Tansy – oznajmił Stinkwort.

Kiedy usłyszała swoje imię, spojrzała na Joego. Skierowała do przodu rączki z wyprostowanymi palcami, ukłoniła mi się i powiedziała:

– De da.

– De da, Tansy – odpowiedziałem, oddając jej formalny ukłon, kiedy Joe mnie przedstawiał.

Joe spojrzał na mnie.

– Nie mówi za dobrze po angielsku.

Posłałem jej uspokajający uśmiech.

– To maleństwo, nie? Jesteś pewien, że to właśnie ona?

Joe z irytacją wywrócił oczami.

– Zmarnowałem ćwierć dnia, słuchając jej paplania na temat zapachu wiosennej trawy. Wierz mi, nie znosiłbym tego, gdybym nie był pewien, że to ona.

– Pan wreugh why debry? – odezwała się z topornym, wiejskim akcentem.

– Ciastka i mleko – oznajmił Joe, pstrykając na mnie palcami.

Zacisnąłem zęby, uśmiechnąłem się do niego i napełniłem kolejny kieliszek. Wyjąłem z szafki otwartą paczkę ciastek i położyłem na blacie. Tansy natychmiast wzięła jedno i zaczęła jeść, rozglądając się po mieszkaniu.

Patrzyłem, jak wędruje do ekspresu, obwąchuje go, a potem marszczy nos.

– Prawie wcale jej nie rozumiem – powiedziałem. – Do jakiego klanu należy?

Joe wzruszył ramionami i potrząsnął głową z nieskrywaną pogardą.

– Ich nazwa ma coś wspólnego z wikliną i packaniem, co nieźle pasuje, bo jest tępa i ma zszarganą reputację.

Nie mogłem nic poradzić, że parsknąłem. Stinkwort nie tolerował hierarchii dziobania wśród fata, ale nie miał nic przeciw stosowaniu jej wobec swoich. Chochliki są skryte, jeżeli chodzi o struktury społeczne, ale już dawno temu

stwierdziłem, że Stinkwort pochodził ze znacznego rodu. Nie królewskiego, to dawno by mi dał do zrozumienia, ale w pewnym sensie ważnego.

– Czy ona mnie rozumie?

Joe zabalgotał z głową zwieszoną do kieliszka, mała kropelka mleka kołysała mu się na końcu nosa.

– Próbuje uczyć się angielskiego. Jeśli poczekaś parędziesiąt lat, będzie się już całkiem nieźle porozumiewała.

– Wpadłeś pomóc czy tylko coś zjeść? – zapytałem.

Joe wyrzucił w górę rękę.

– Powiedziałaś, żebym ją znalazł, a nie, żebym polubił.

– W porządku. Zapytaj, czy znała Gamelyna Dananna Sidhe. – Na dźwięk trzeciego członu imienia denata Tansy wyprostowała się i spojrzała na mnie.

– Zdaje się, że to akurat rozumiała – oświadczył Joe sucho.

– Daruj sobie, Stinky – napomniałem. – Spytaj, czy była z nim w zeszły wtorek.

– A wrussta gweles Gamelyn war wtorek? – zapytał Joe.

Tansy patrzyła intensywnie na swoje dłonie, licząc na palcach. Po długiej przerwie przytaknęła energicznie.

– Me a wrug gweles.

– Czy widziała mężczyznę, z którym Gamelyn

wyszedł?

– Me a wrug gweles – powtórzyła.

– Jak wyglądał?

Zamilkła, słuchając Joego i marszcząc się z wysiłku umysłowego.

– Bra ha ska ew den – powiedziała, a potem w topornym angielskim: – On – ja chora, tak? Ef a wrug ow claf vy.

– Mówi że to był duży mężczyzna, od którego robiło jej się niedobrze – przełożył Joe.

– Był fata?

– Ska – wypluła Tansy.

Joe w zaskoczeniu sfrunął z blatu, a potem wylądował na nim ponownie. – Mówi, że był po prostu zły – oznajmił.

– Zły? Ale jak? Jak człowiek czy jak fata?

Kłócili się przez chwilę, Joe zdaje się nalegał, a Tansy powtarzała swoje. W końcu zaczęła machać ramionami i krzyczeć w złości i frustracji.

– Ska! Ska na ew an den. Ska ew an pysky!
Ska ew an aelf! Ska! Me na wra gothvos!

Joe i ja cofnęliśmy się odruchowo. Jej gwałtowny potok słów był dla mnie zupełnie niezrozumiały. Joe potrząsnął głową w zakłopotaniu.

– Mówi, że był zły jak fata, nie jak człowiek. Tak sędzę. To idiotka, Connor. Cały czas powtarza w kółko, że był zły, i tyle.

– Widziała, jak zabijał Gamelyna?

Tansy zakryła twarz, gdy Joe zadawał pytanie.

Zaniósła się płaczem, jej słowa mieszały się ze szlochem. Joe nachylił się, nasłuchując, usilnie starając się zrozumieć, co mówi.

– Mówi, że Gamelyn kazał jej czekać na siebie przed barem, ale i tak poleciała za nim. Kiedy znalazła go w zaułku, Gamelyn leżał na ziemi, a ten mężczyzna trzymał nóż. Zobaczył ją i odesłał.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Co znaczy odesłał? Jakimś zaklęciem? – spytałem. Joe przytaknął. – No, to definitywnie wyklucza ludzi.

Wszedłem do biura i wyjąłem z teczki portret pamięciowy. Wróciłem do kuchni i podałem go Tansy.

– Czy to ten człowiek?

Zasyczała na portret i odskoczyła, wymachując ramionami i mamrocząc. Oczy Joego otworzyły się szeroko.

– Przestań! Przestań! – wrzasnął na nią.

Rysunek buchnął w moich dłoniach płomieniami. Rzuciłem go na podłogę i zdeptałem ogień. Kiedy podniosłem wzrok, oboje zniknęli.

Joe wrócił niemal natychmiast.

– Jest jej przykro – oznajmił i wziął kolejną markizę.

Usiadłem ciężko na krześle w salonie i wbiłem wzrok w sufit.

– Przynajmniej wiemy, że szkic Shaya jest dokładny.

– Ta. Albo że ona się boi papieru – powiedział

Joe.

Nie zareagowałem na to.

– Dasz radę ją znowu znaleźć?

Joemu opadła szczęka.

– A po co? Ona ma głowę jak bańka mydlana.

– Jest świadkiem, Joe. Może być lepszym świadkiem niż Shay. – Opowiedziałem mu, czego dowiedziałem się o Shayu od barmana.

Joe wzruszył ramionami.

– Cóż. Nie kłamał. Po prostu nie powiedział ci wszystkiego. To jeszcze nie zbrodnia.

– Nie – przyznałem. – Tylko że prokurator może uznać, że to podważa jego wiarygodność. Już ma jeden argument, prostytutkę.

– Rozumiem. Więc ptasi mózdzek będzie wiarygodniejsza przed sądem. Nic dziwnego, że tylu fata uważa ten kraj za zadziwiający.

Zamknąłem i przetałem oczy.

– Nie chce mi się toczyć z tobą dysput nad amerykańskim systemem prawnym, Joe. Jeśli Murdock będzie potrzebował tej małej, dasz radę ją znaleźć?

– Jasne. Znalazłem ją, chociaż jej w ogóle nie znałem, pamiętasz? Nie będzie trudno wytropić ją znowu.

Patrzyłem na niego przez chwilę.

– Pewnie nie wiesz, jak ktoś mógłby wykorzystać serca fata do pozyskania esencji, co?

Spojrzał na podłogę, kołyszając nogami. Jeśli jest coś, czego chochlik nie lubi jeszcze bardziej,

niż być otoczonym przez większych od siebie, to rozmowa o martwym fata. Są niemal nieśmiertelni, więc to nie jest temat, który uznaliby za czarujący.

– Taka rzecz byłaby bez honoru, Connor. Żaden fata by tego nie zrobił. Nawet smutni bracia Unseelie nie złamaliby takiej reguły. Zniszczyć kogoś w szlachetnej bitwie jest słuszne. Ale zniewolić jego duszę to coś poza Obrotem Koła. To by zniszczyło wszystko.

Ciarki przeszły mi po skórze. Joe rzadko bywał taki poważny.

– Mówisz, że ktoś mógł to zrobić? – spytałem cicho.

Wystartował z blatu.

– Nie. Świat wciąż stoi, prawda? Muszę lecieć. – Zniknął. Chwilę później wśmignął znowu do pokoju.

– Przy okazji, powinieneś dokupić ciastek. – Znow zniknął.

Sprzątnąłem z podłogi białe kłaczki, które pozostały po pożarze, i wróciłem do biura, by przejrzeć półkę z książkami. Większość tytułów traktujących o esencji stanowiły filozoficzne dysputy albo teorie medyczne. Z kolei te o rytuałach koncentrowały się na procesach. Nie mogłem przypomnieć sobie żadnej książki na temat wykorzystania cudzej esencji. Oczywiście użycie esencji zwierząt, kamieni albo roślin było w rytuałach obecne, ba – stanowiło ich sedno. Przez lata mojej nauki nie natrafiłem na żadną wzmiankę

na temat wykorzystania ofiar z ludzi. Nawet najstarsze obrzędy druidyczne zwykle dotyczyły składania w ofierze ludzkich dzieci, najczęściej płci męskiej. Tylko że esencja dzieci w ogóle jest bardzo słaba, a w wypadku ludzi właściwie pomijalna.

Poczułem dreszcz ekscytacji. W tradycji druidycznej wszystko opierało się o przekazy ustne, nauczanie i samodzielne odkrycia. Wyższą rangę osiągało się, gdy osądzono, że adept jest gotów lub ma dosyć intuicyjnej wiedzy, by samodzielnie odkryć kolejny poziom tajemnicy. To sposób pozwalający na radzenie sobie z potężną wiedzą, którą można osiąść dopiero, kiedy osiągnie się odpowiednią mądrość płynącą z doświadczenia. Gdyby wszystko było po prostu spisane, pokusa, by biegać, zanim się nauczyło chodzić, byłaby nie do odparcia. Milczenie wokół zamordowanych fata mogło wynikać z tego, że rytuały należały do sekretnej wiedzy, nigdy nieprzekazanej nieprzygotowanym ani niespisanej przez nieroztropnych.

A to oznaczało, że mogę nie poznać przyczyny tego milczenia. To wiedza przekazywana w obrębie łańcucha zaufania, z ust do ust, z mistrza na ucznia. Nie mogłem po prostu iść do kogoś i zapytać. Moi dawni mentorzy odeszli, wędrując własnymi ścieżkami. Mógłbym ich odnaleźć, ale to wymagało czasu, którego nie miałem. Musiałem sprawdzić, czy zdołam skłonić Briallen, by coś

wyjawiła.

Wyszedłem do salonu, jeszcze zanim usłyszałem pukanie. Poczulem ucisk w klatce piersiowej, zupełnie jakby mój organizm wiedział, że wydarzy się coś nieprzewidzianego. W czasach służby dla Gildii narobiłem sobie mnóstwo wrogów. Ludzi, którzy byliby bardzo szczęśliwi, gdyby zdybali mnie w obecnym stanie, bezbronnego i wystawionego na atak. Gildia wyposażyła mnie w trochę talizmanów ochronnych, głównie pełniących rolę ostrzegawczych nadajników. Te chroniące okna dawały im zwiększoną odporność na stłuczenie albo ciśnienie czegoś z większej odległości. Czułem, że wszystkie są na miejscu. I nikt nie zadzwonił domofonem.

Przekradłem się ostrożnie przez salon, nasłuchując. Jedynym dźwiękiem był odległy huk silników samolotu startującego z lotniska. Pukanie rozległo się znowu, takie samo jak poprzednim razem, nie bardziej gwałtowne czy ponaglące. Może to tylko sąsiad.

– Kto tam? – spytałem w końcu.

– Keeva – nadeszła niewyraźna odpowiedź.

Rozgoryczony, potrząsnąłem głową i otworzyłem drzwi. Keeva stała oparta o przeciwległą ścianę z najbledszym cieniem uśmiechu na ustach. Była wysoka jak na wróżkę, niemal mojego wzrostu, a ogniście czerwone włosy opadały jej kaskadą na ramiona. Zawsze miała

trochę wyniosłą postawę, co stanowiło skazę w jej niemal doskonałej urodzie. Zielone oczy były odrobinę zbyt chłodne, ciemne wargi odrobinę zbyt wąskie. Mieliśmy za sobą krótki flirt, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ale nie wydarzyło się nic poważnego. A potem poznaliśmy się lepiej, a szczerze mówiąc, to ja poznałem ją lepiej, i jakiegokolwiek zauroczenie zniknęło. Keeva była wystarczająco bystra, by wyczuć zmianę, i nie naciskała. Gdy bywam miły, zwykle nazywam ją drapieżnikiem. Nie biorę żadnej odpowiedzialności za to, co powiedziałbym na jej temat po pijaku. Talizmany nie zadziałały, bo to ona je ustawiała, zanim się wprowadziłem. A zamek w drzwiach klatki schodowej najwyraźniej nie stanowił dla niej przeszkody.

– Cóż... witaj – uśmiechnąłem się z przymusem.

Odepchnęła się od ściany i uśmiechnęła odrobinę szerzej. Odrobinę. I tak sobie staliśmy naprzeciw siebie.

– Cześć. Nie zaprosisz mnie do środka?

Cofnąłem się i gestem zaprosiłem ją do mieszkania.

Minęła mnie, spowita chmurą zapachu kapryfolium, z zaklęciem maskującym jej skrzydła. Większość wrózek używa do tego zaklęć w miejscach publicznych. Po prostu nie chcą przyciągać uwagi. Obcisły czarny kombinezon, który miała na sobie, wyglądał na markowy. Kiedy

przyjrzałem się bliżej, zobaczyłem dwie niewielkie szczeliny na plecach, w miejscu, gdzie wyrastały skrzydła. Keeva podeszła do okna i zapatrzyła się na chwilę, zanim odwróciła się w moją stronę.

– Naprawdę, Connor. Nie może być aż tak źle, żebyś musiał tu mieszkać.

– Ach, to towarzyska pogawędka? – uśmiechnąłem się jadownicie.

Parsknęła, starannie sprawdzając fotel, zanim usiadła.

– Jak się masz? Bez zmian? – jej głos brzmiał neutralnie i mógł oznaczać zarówno sympatię, jak i obojętność.

Nie chciałem być nieuprzejmy i stać przy drzwiach, więc usiadłem naprzeciwko.

– Żadnych. Co cię sprowadza na tę stronę kanału, Keeva? To do ciebie niepodobne, wpadać ot, tak sobie.

– Wierz mi albo nie, ale naprawdę byłam w okolicy. Paru moich przyjaciół przyjedzie na Przesilenie i chcą zwiedzić Weird. Pomyślałam, że fajnie byłoby zjeść tu kolację, i rozglądałam się po miejscowych lokalach. Jakież rekomendacje?

Zawahałem się. Keeva McNeve jedząca lunch w Weird to zdarzenie równie prawdopodobne, jak królowa brytyjska, która wyskoczyła na jednego do pubu na rogu.

– „Szczekający Krab” to zawsze dobry i bezpieczny wybór. I mają tam niezły miks – zapewniłem. Nie wspomniałem ani słowem, że to

samo polecał dowolny przewodnik po okolicy. Chociaż raczej nie życzyłem sobie, by kumple Keevy nawiedzali moje ulubione jadłodajnie.

Skineła obojętnie głową, nawet nie słuchając.

– Dawno nie wpadałeś do Domu Gildii.

Pomyślałam, że przydałoby ci się parę aktualizacji. Bergen Vize był parę razy widziany w Bawarii miesiąc temu. Zanotowaliśmy też wzrost aktywności ekoterrorystów wokół Czarnego Lasu.

Przechyliłem głowę. Ze wszystkich ludzi na świecie akurat Keeva McNeve prowadziła śledztwo w mojej sprawie. Nadal nie udało mi się ustalić, czy jej to przydzielono, czy sama chciała. Vize to był ten dupek z pierścieniem, który pochrzanił mi w głowie. Co parę miesiące dowiadywałem się u Keevy o postępy i dostawałem te same bezużyteczne informacje, tylko lokalizacja się zmieniała. Czasem pojawiał się w Londynie, czasem w Niemczech. W Stanach upodobał sobie Kalifornię i południowy wschód. Nigdy nie bywał w Nowej Anglii. Zdecydowałem się odegrać swój kawałek.

– Ktoś zdołał się do niego zbliżyć?

Rzecz jasna, potrząsnęła głową.

– Próbujemy, Connor. Wiesz, że niełatwo go dorwać.

Przytaknąłem.

– Czyli wciąż pracujesz dla MacDuina?

Nagły rumieniec zabarwił jej policzki. Była to fizjologiczna reakcja, z której albo nie zdawała

sobie sprawy, albo nic na nią nie mogła poradzić. Lorcan MacDuin był szefem Biura Kontaktów Społecznościowych departamentu Gildii, który monitorował przestępstwa lokalne. Kiedy oboje, Keena i ja, pracowaliśmy tam jako partnerzy, dzieliliśmy ciągłą frustrację wywołaną przez fatalne zarządzanie wydziałem. Ostatecznie to MacDuin decydował, czy Gildia angażuje się w jakiś incydent z udziałem fata.

W czasie II wojny światowej niemieckie elfy aktywnie wspierały hitlerowców w nadziei, że zwycięstwo osi da im szansę, by odtworzyć królestwo Faerie na ziemi. Lorcan, jak wiele wróżek pragnący wrócić do domu, sympatyzował z nimi, co sprawiło, że w wyższych sferach Gildii stał się wyrzutkiem. Obecnie, w dobie politycznego zbliżenia pomiędzy rasami, nie mówiono o tym publicznie, niemniej Lorcan wiedział, co ludzie sądzą na jego temat, i usiłował wybielić się, wykazując dużo większą gorliwość, niż było trzeba. Irytował Keewę, bo doskonale wiedziała, że przez niego nigdy nie zrobi kariery.

Wyciągnęła się w fotelu, krzyżując nogi.

– Tak. MacDuin to MacDuin. Wiesz, jak to jest.

Przytaknąłem. Ludzie rzadko krytykują przełożonych, jeśli podejrzewają, że to może dotrzeć do uszu zwierzchników. Nawet najgorsze relacje mogły przecież być wstępem do czegoś lepszego.

– To nad czym teraz pracujesz? – zapytałem znowu.

Wzruszyła ramionami.

– Oprócz Vize, nad niczym interesującym. Mam teraz jedno zaginięcie, które chcę rozwikłać.

– Mogę jakoś pomóc?

Uśmiechnęła się z troską.

– Radzę sobie, Connor.

Wstała i zaczęła przechadzać się po salonie. Tu dotknęła grzbietu książki, tam poprawiła wiszący na ścianie obrazek. Zatrzymała się przy kuchennym blacie. Wróżki nie najlepiej wyczuwają esencję innych fatak, ale Joe i Tansy wyszli tak niedawno, że przypuszczalnie jednak Keeva coś poczuła. Cofnęła się, otrzepując dłonie.

– Powinieneś zmieść te okruszki.

Podeszła do okna i wyjrzała. Stała tak, że mogłem widzieć jej profil. Naprawdę coś by mogło z niej być, gdyby nie ten wieczny cierpki ton.

– A co u ciebie? Słyszałam, że pracujesz nad tymi morderstwami? Jak ci idzie?

Pojałem, że to był prawdziwy powód, dla którego Keeva tu wpadła. Potwierdziła moje podejrzenie, cierpliwie przeczekując przedłużającą się ciszę.

– Mamy mały trop, przypuszczalnie naocznego świadka.

Usiadła znów w fotelu.

– Czytałam raport.

Zaskoczyła mnie.

– To Gildia też prowadzi śledztwo? –
spytałem.

W roztargnieniu wplotła palce w te długie,
rude loki.

– Nie, dostajemy tylko standartowy przegląd
wydarzeń. Tak, żeby MacDuin był na bieżąco.
Wpadło mi w oko twoje nazwisko, więc się
zainteresowałam i przeczytałam akta. A czego nie
było w raporcie?

Uśmiechnąłem się do niej, odpowiedziała
uśmiechem.

– A gdybym powiedział ci, że to może być
sytuacja „fata na fata”?

Uniosła brwi.

– Może być czy jest?

– Wciąż zakładam, że „może”. Ludzki
świadek twierdzi, że facet był dziwny, jakby coś z
nim było nie tak.

– I to wszystko? Ludzka męska prostytutka
wyobraża sobie, że umie wyczuwać esencję, a ty
od razu zakładasz, że podejrzany to fata?

Wzruszyłem ramionami.

– Inny świadek także widział podejrzanego w
okolicznym barze. Tym razem fata.

– Pewnie pracujący dla jednego z tych
mieśniaków – powiedziała.

Zacisnąłem szczęki, słysząc ledwo maskowaną
niechęć w jej głosie. To był stary numer Keevy i
kilka razy dałem się nabrać, kiedy jeszcze razem
pracowaliśmy. Podchodziła sceptycznie do moich

teorii, żeby mnie sprowokować. W takich sytuacjach wykrzykiwałem wszystko, co wiedziałem, byle dowieść swego. O to właśnie chodziło Keevie. Nie miała nic przeciwko temu, by partner, z którym prowadziła śledztwo, poczuł się jak idiota.

Ale tym razem nie miałem zamiaru mówić jej o Tansy.

– Może to nie najlepszy świadek, ale na razie tylko tyle mamy. A czemu cię to ciekawi?

Wzruszyła ramionami.

– Zawodowa troska. I może jeszcze osobista. Marnujesz się tutaj, Connor. Wystarczy, że poprosisz, a znajdę ci robotę przy śledztwie.

Po raz kolejny udałem, że to rozważam. Pomysł był głupi pod każdym względem. Musiałbym pracować pod komendą ludzi, którymi przedtem dowodziłem. Musiałbym prowadzić dochodzenia, które by mi zlecono, zamiast tych, które wybrałem. Gdybym zgodził się na rolę podrzędnego pomagiera, już nigdy nie odzyskałbym szacunku, nawet gdyby moje zdolności wróciły całkowicie. Byłbym uważany za zbrukanego, zresztą pewnie już tak było. No i zdecydowanie nie chciałem być podwładnym Keevy McNeve. Nie miałem ochoty odwalać za nią papierkowej roboty.

– Nie, dzięki – powiedziałem. – Wolę najpierw zobaczyć, jak się sprawy potoczą.

Wstała i wyprostowała ramiona.

– Okay. Nie mów, że nie zaproponowałam. Muszę lecieć. Jeśli będę mogła ci jakoś pomóc, daj znać.

Odprowadziłem ją do drzwi.

– Na pewno. Jeśli okaże się, że to sprawa fata, pierwsza się dowiesz.

Uśmiechnęła się słabo.

– Tak, przypuszczalnie tak. To pewnie zakończy moją sprawę.

Roześmieliśmy się w udawanej przyjaźni. Poklepała mnie po ramieniu i odeszła. Patrzyłem chłodno na jej oddalające się plecy, aż znikły na schodach.

Zamknąłem drzwi i wróciłem do komputera. Dotarło do mnie, że przy rozległych kontaktach Keeva mogła znać rodzinę choć jednej z ofiar. Nazwać którąś z wrózek Danann Sidhe odpowiadało nazwaniu Anglika Smith. Sidhe związane było zwykle z rasą, a Danann wskazywało na przynależność klanową. Od czasu do czasu ktoś z królewskimi koneksjami mógł przedstawiać się jako Aes Sidhe, żeby odróżnić się od plebsu. Znacznie częściej jednak używano rodzinnych imion. Na przykład znałem pełne imię Keevy i wiedziałem, że naprawdę nazywa się Caoimhe ap Laoire MacNiamh Aes Sidhe. Dla prestiżu posługiwała się imieniem słynnego dziadka, ze zanglicyzowaną wymową. MacNiamh należał do arystokratów w Starym Kraju i Keeva chętnie się z tym afiszowała.

Otworzyłem bazę danych i szybko przejrzałem profile ofiar. Spojrzałem w martwe twarze Pacha, Ragnella i Gamelyna. Ciekawe, co w nich mogło w ogóle zainteresować Gildię, a szczególnie Keevę. To, co do nich przyciągnęło zabójcę, można było ująć w eleganckich kategoriach: wygląd, zawód, płeć i rasa. Zerknąłem w dane osobowe, ale wiele tam nie znalazłem. Pach i Ragnell mieszkali w Bostonie dość długo, by trafić do aresztu, ale nie Gamelyn. Zauważyłem, że brakuje jeszcze dwóch istotnych informacji: skąd dokładnie w Irlandii pochodzili i z kim byli spokrewnieni.

Założenie, że wszystkie ofiary miały królewskie koligacje, wydawało się nieprawdopodobne, a przypuszczenie, że ktoś by o tym wiedział, wydawało się jeszcze bardziej wątpliwe. Gdyby zamordowani pochodzili z wysokiego rodu, Gildia wkroczyłaby dawno temu, choćby po to, żeby chronić prywatność rodzin. Jednak gdyby zaczęła zajmować się prostytutkami, natychmiast przyciągnęłoby to uwagę. Zachichotałem pod nosem. Oto Gildia uwięziona pomiędzy własną arogancją a notoryczną obojętnością. Moje szydercze uwagi o Gildii, która za wszelką cenę unikała uwikłania w sprawę Wtorkowego Zabójcy, oraz ironia kryjąca się w moich podejrzeniach, że jednak organizacja ma w tym interes, nie odbiegały tak bardzo od rzeczywistości.

Wróżki, którym zdarzało się spaść na dno,

unikają ujawniania rodowych imion. Honor krwi, te rzeczy. Jeśli koligacja z wysokim rodem nie wypłynęła podczas wcześniejszych aresztowań, to pewnie jej tam nie było. Jednak wyjątkiem był Gamelyn. On nigdy nie był aresztowany. Poza tym Keeva nie pokazywała się wcześniej, przyszła dopiero po jego śmierci. Może to po prostu ślepy traf – kolejny arystokrata, który zabłąkał się w złe miejsce o złym czasie. Muszę poprosić Murdocka, żeby to sprawdził.

Czekałem, aż zaparzy się świeża kawa, żując ostatnie ciastko, które Joe był łaskaw zostawić. Obrzydzenie na twarzy Tansy na widok policyjnego portretu pamięciowego nie dawało mi spokoju. Nawet najędzniejszy chochlik lubi przygody, ale ta mała dostała więcej, niżby chciała. Wciąż czułem swąd spalenizny. Parząc kawę, zastanawiałem się, dlaczego Tansy uparcie nazywała zabójcę ska. Mój kornwalijski był w najlepszym przypadku podstawowy, ale powinienem dysponować przynajmniej takim zasobem słów jak wsiowy chochlik. I wiedziałem, że podstawowym określeniem zła było drog. W ogóle nie znałem znaczenia słowa ska i zapomniałem zapytać o to Joego, zanim zniknął.

Kiedy organizowałem sobie w głowie resztę dnia, pomyślałem, że najwyższy czas spotkać się z Briallen i zobaczyć, czy nie pomogłaby mi pozbierać to wszystko w całość. Przy okazji mógłbym zapytać o rytuały z wykorzystaniem

esencji fata. To przypomniało mi, że muszę więcej poczytać. Zamierzałem prosić Briallen o pomoc, ale nie miałem ochoty, żeby przyłapała mnie na braku podstawowej wiedzy.

Rozdział 5

Niedzielne poranki to kawa, gazeta i, jak się okazuje, sterczenie na rogu Newbury i Dartmouth przez pieprzone pół godziny i czekanie na spóźniającego się Murdocka. Niektórzy ludzie, słysząc dzwonek telefonu w środku nocy, domyślają się, kto dzwoni. Ja, kiedy w niedzielny poranek o siódmej zostaję wybudzony telefonem, wiem, że to Murdock. On zaś zdaje sobie sprawę, że jest jedyną osobą, której nie zabiję za coś podobnego, bo miałbym na karku jego ojca i braci, nie mówiąc już o całym departamencie bostońskiej policji.

Nawet w tak słoneczny poranek ulica Newbury była cicha. Ekskluzywnych butików nie otwierano przed dziesiątą. Chodniki zamieniają się w pokaz mody koło południa, szpanerzy i neohipole będą kroczyć dumnie ze swoimi kosztownymi zakupami w ręku, paplając do najnowszych modeli komórek. Większość spacerowiczów to mieszkańcy Black Bay odświeżający się filiżanką kawy nad „Sunday Boston Globe”. Znikną stąd za parę godzin razem ze swoimi designerskimi dresami.

Po drugiej stronie ulicy miałem widok na starą szkołę Prince. Kiedy mieszkańcy dzielnicy zaczęli dochodzić do wniosku, że zamiast mieć dzieci, wolą mieć bmw, szkoła zaczęła popadać w ruinę i

stała się ulubionym siedliskiem dla dzikich lokatorów, aż deweloper postanowił zmienić ją w apartamentowiec. I zanim właściciele zrozumieli, z kim mają do czynienia, cały parter został wynajęty przez rozmaitych fata, którzy przezwali to miejsce Artefaktorium. Mówiło się, że kupcy, którzy zaczęli tam sprzedawać, dysponowali prawie wszystkim, co fata posiadali legalnie, a jeśli ktoś miał znajomości, mógł też kupić parę rzeczy spod lady. Ludzkie dzieciaki lubiły tu zachodzić, żeby popatrzeć na rozmaite fata, a potem wychodziły, ale rzadko sprawiały kłopoty. Z reguły wystarczyło raz nabawić się nagłej swędzącej wysypki, by zrozumieć, że gapienie się na kogoś jest niegrzeczne.

Murdock wyszedł zza rogu nonszalanckim krokiem, zupełnie jakby był na czas. Obdarzył mnie miłym uśmiechem.

– Przepraszam za spóźnienie. Msza się przedłużyła.

Murdock na katolickiej mszy, pierwszej, jaką odprawia się w niedzielę. Nie to, żeby łatwo mi to było sobie wyobrazić, ale również nie coś, co bym potępiał. Kościół rzymskokatolicki wrzał od czasu ostatniej encykliki dotyczącej fata. Papież nie dostrzegał niczego złego w fata, dopóki nie zachowywali się jak fata. Och, no i o ile nawrócili się na katolicyzm. Poza tym nie widział problemu. Ale dopóki Murdock nie odstawił przede mną katolika, i ja nie miałem problemu. Zwykle mnie

szanował.

W jego zainteresowaniu fata najbardziej podobało mi się, że naprawdę rzetelnie starał się zrozumieć. Nie chciał tylko dostawać konkretnych odpowiedzi na pytania związane z jakąś sprawą. Chciał zebrać dość wiedzy, żeby zrozumieć sytuację. Dlatego w niemal każdą niedzielę, chyba że któryś z nas miał kaca, udzielałem mu małych korepetycji. Artefaktorium było naszą typową salą wykładową.

Przeszliśmy przez ulicę i wkroczyliśmy w wielki portal bocznych drzwi. Kiedy zstąpiliśmy do piwnicy, intensywny odór tłęcej się lawendy uderzył nas w nozdrza. Klatka schodowa wznosiła się po przeciwnej stronie budynku, którego wewnętrzna przestrzeń rozciągała się przed nami, wielka jak cały kwartał miejski. W jasno oświetlonej nawie głównej kłębił się tłum ludzi, kręcących się wokół straganów ustawionych w długich rzędach. Po drugiej stronie znajdowały się dwie nieco mniejsze absydy, już nie tak jasno oświetlone, gdzie załatwiano poważniejsze interesy, wymagające bardziej dyskretnych miejsc, z dala od ciekawskich oczu. Stragany zielarzy ustawiono na prawo od wejścia, sądząc po zapachu.

Ruszyliśmy powoli wzdłuż stoisk, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby popatrzeć. Kupcy wzdłuż głównej nawy wystawiali mieszaninę towarów, od rzeczy wartościowych do kiczu.

Wydawało się, że na każdego alchemika przypada dwóch sprzedawców koszulek, polujących na przygodnych turystów.

Rynek eliksirów przeżywał ostatnio istne odrodzenie – mijaliśmy ludzi oferujących środki służące do przyciągnięcia ukochanego albo odstraszenia niechcianego zalotnika. Jednak moim ulubionym odkryciem była substancja opracowana, jak twierdzono, w celu spowodowania, by szef zapomniał, po co właściwie przyszedł do biura.

– Jak randka? – zapytałem. Murdok wzruszył ramionami.

– To było tylko wyjście na drinka.

– I?

Posłał mi uśmiezek.

– I tyle. Może coś z tego będzie, może nie.

I już. Murdock był, mówiąc oględnie, czarusem. Miał typ urody, który podobał się kobietom, i chętnie to wykorzystywał. Niewiele mi opowiadał o tym aspekcie swojego życia towarzyskiego, ale domyślałem się, że większość jego randek nie kończyła się tylko na drinku. I to mu odpowiadało.

Wytwórcy strojów zwijali się jak w ukropie, szykując na ostatnią chwilę przebrania na festiwal Przesilenia. Gotowe stroje na paradę zwisały wszędzie z wieszaków.

O oczko wyżej znajdowali się sprzedawcy klejnotów i kamieni, przekrzykujący się głośno i zachwalający te same towary. A bliżej środka

pomieszczenia natknęliśmy się na handlarza różdżek.

Wyjąłem jedną z pudełka, w którym leżały dziesiątki identycznych. Była wykonana z polerowanej sosny, miała jakieś czterdzieści centymetrów długości i około centymetra średnicy z szerszego, zaokrąglonego końca. Pod czujnym okiem kramarza przesunąłem się i wydłubałem kolejną ze splecionej wiązki leżącej na sąsiednim stoisku. Była to koślawa, stara gałązka cisu, prosta z jednego końca, porośnięta na całej długości małymi zgrubieniami. Zaprezentowałem obie Murdockowi.

– Okay. Która z nich ma jakieś praktyczne zastosowanie? – spytałem.

Zważył obie różdżki w dłoniach.

– Normalnie powiedziałbym, że ta ładniejsza jest lepsza, ale sądzę, że prawdziwe pytanie brzmi: dlaczego nie jest lepsza?

Uśmiechnąłem się.

– Bardzo dobrze. Wyjaśnienie: została obrobiona, w tym przypadku maszynowo. Nawet gdybyś to zrobił nożem, i tak przestałaby być skuteczna. W każdym przypadku to nienaturalna ingerencja. Obróbka niszczy naturalne linie wzrostu drewna, zaburza przepływ energii i dlatego różdżka nie ma mocy. Ma nadal swoją esencję, oczywiście, ale brakuje woli, by użyć nawet tej odrobiny. Większość ludzi używa ich do skupiania energii, mogą też być używane jako

przewodniki dla tej energii.

Wyjąłem tę starą z jego dłoni. Była miła w dotyku, powierzchnia miała maślaną gładkość. Wykonałem szybki gest, sprawdzając, jak reaguje na ruch ręki.

– No, ta staruszka jeszcze się do czegoś nadaje. Została wypolerowana przez trzymanie w dłoni, drewno miało czas, by zaadaptować przepływ energii do zmiany konfiguracji. Szybka obróbka nigdy na to nie pozwala.

Murdock wziął ją z powrotem i obejrzał uważniej. Powtórzył nawet dokładnie ruch, który wykonałem.

– A co z sękami? Czy obłamywanie bocznych gałązek nie zaburzy przepływu?

Splotłem ręce na piersi i energicznie przytaknąłem.

– Robisz się w tym dobry. Boczne odrosty są naturalnym zaburzeniem przepływu w głównym konarze. Trzeba je pousuwać ręcznie. To ważne, chyba że jesteś niewiarygodnie potężny. Inaczej zaburzą przepływ i stworzą opór. W efekcie stworzysz zaburzenie zaburzenia i naturalna esencja głównego konaru straci kurs.

Powtórzył ruch sosnową różdżką.

– Więc ta jest bezużyteczna?

Wzruszyłem ramionami.

– Prawie. Ktoś, kto by jej potrzebował, mógłby zrobić coś drobnego. Osobiście wolałem posługiwać się rękami, chyba że robiłem coś

bardzo precyzyjnie.

Wyjąłem różdżkę z jego dłoni i odłożyłem z powrotem do pudełka.

– Sugeruję, żebyś kupił dwie, będą z nich niezłe pałeczki do jedzenia.

Handlarz usłyszał i posłał mi wściekłe spojrzenie.

Murdock odłożył drugą różdżkę i kontynuowaliśmy spacer. Skierowałem go do stoiska z kamieniami. Były tam zarówno półszlachetne minerały, jak i zwykłe kawałki skały.

– Kamienie to z kolei zupełnie inna sprawa. Obróbka za pomocą narzędzi jest w tym wypadku wymagana i możesz ukształtować kamień jak chcesz. Większość kamieni ma bardzo niewiele esencji i emanuje nią przypadkowo we wszystkich kierunkach. Dzięki temu są świetnym materiałem na przewodniki, rezonatory, cewki indukcyjne i kondensatory.

– To jak elektryczność? – spytał.

– Dokładnie. Jedyne różnica polega na tym, że elektryczność zachowuje się w sposób przewidywalny. Kiedy kamień zostanie naładowany esencją, stoi za tym czyjaś wola. Uwolni ją w sposób przewidywalny, ale zgodny z intencjami użytkownika.

Murdock zagłębił palce w pudełku pełnym płaskich, rzecznych otoczków średnicy orzecha włoskiego. Podniosłem jeden, patrząc uważnie na sprzedawcę, małego, włochatego krasnoluda

pograżonego w rozmowie z grupką elfów. Nie chcąc go obrazić, cofnąłem się trochę i spojrzałem na tłum przez otwór w kamyku.

– To ma niby być naturalnie perforowany kamień. Wnętrze zostaje przeerodowane na wylot przez wodę i działanie innych otoczków w strumieniach i rzekach. Są na tyle rzadkie, że nie znajdziesz pełnego pudełka stojącego sobie na stoisku. Gdyby był prawdziwy, to patrząc przez otwór, zawsze zobaczyłbyś prawdę, nieważne, pod jakim urokiem by ją ukryto.

Wrzuciłem kamyk z powrotem. Murdock wyciągnął inny i spojrzał przez otwór. Śmiejąc się, popatrzył na tłum.

– Ten jest całkiem niezły – oświadczył.

Zaskoczony, wziąłem kamyk z jego dłoni i spojrzałem.

Rzeczywiście, ukryte przed wzrokiem skrzydła wrózek nagle stały się widoczne. Wysoka, smukła postać przy stoisku z mieczami okazała się wyjątkowo szpetnym ogrem. Wzdłuż całej nawy widziałem wiele osób w różnym stopniu kryjących się pod urokiem. Chichocząc, odwróciłem się i skinąłem na kupca.

– Hej, ten jest prawdziwy – powiedziałem, rzucając mu otoczek. Chwycił go z grymasem powątpiewania, jednak kiedy spojrzał na tłum, opadła mu szczęka. Mrugnął do mnie i wsunął kamyk do kieszeni.

– Możesz sobie wybrać coś z pierwszego

rzędu pudełek – wskazał na pojemniki zupełnie bezużytecznych małych talizmanów.

– Nie trzeba. – Ze śmiechem uniosłem dłonie.

Ruszyliśmy dalej, kiedy nagle spłynęło na mnie olśnienie. Stałem i odwróciłem się do Murdocka.

– Za mną. Mam pomysł.

Poprowadziłem go pomiędzy dwoma straganami do bocznej absydy. Tłum był tu mniejszy, ceny wyższe, a towary znacznie lepszej jakości. Rozejrzałem się wśród stoisk i zauważyłem stragan jubilera. Liczne amulety rozmaitej jakości wprawione w łańcuchy i naszyjniki zwisały z drutu rozciągniętego nad blatem, zasypałym pierścieniami, bransoletami, naramiennikami i pasami.

Poczułem, że brzęczenie w moim ciemieniu zadomowiło się na dobre. Pochyliłem się pod rzędem naszyjników, jeden z nich otarł się o moją głowę.

Murdock podniósł szybko brwi.

– Wydajesz się jakiś większy – zauważył. – Zupełnie jakbyś ćwiczył tyle, ile opowiadasz.

– Bardzo śmieszne. To są kamienie uroków. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy przyskrznić zabójcę, podsuwając mu funkcjonariusza ucharakteryzowanego na potencjalną ofiarę za pomocą czegoś takiego.

Murdock potrząsnął głową, nieprzekonany.

– Takie numery zawsze są ryzykowne.

– Do wtorku zostało dwa dni, Murdock. Jeśli portret pamięciowy nic nie zmieni, to mamy problem.

Zadumał się, patrząc na rząd naszyjników.

– Muszę to przekazać Ruizowi.

Ruiz był dla Murdocka oficerem nadzorującym. Spotkałem go kilka razy. Całkiem sympatyczny gość jak na kogoś, kto pracuje w najgorszym dystrykcie policyjnym w mieście. Zwróciłem na siebie uwagę sprzedawcy, kolejnego krasnoluda, i spytałem go po gaelicku o urok wróżek. Czasami rozmowa w rodzinnym języku ułatwia negocjacje. Wyciągnął spod lady zestaw kamieni. Po dłuższym grzebaniu znalazł kilka, które powinny stworzyć iluzję wysokiej, jasnowłosej wróżki, i wymienił cenę. Potrząsnąłem głową, wiedząc, że daleko przekraczała budżet Murdocka. Krasnolud nie był w nastroju do dyskusji. Nie chciał ryzykować, że kamienie się rozładują i potem nie będzie mógł ściągnąć za nie należności.

Przeszedłem się wzdłuż nawy, szukając czegoś tańszego, ale, jak było do przewidzenia, amulety pozostawały poza naszym zasięgiem.

W końcu przystanąłem, walcząc z pokusą, by chwycić amulet i uciekać.

– Masz na służbie jakichś wysokich blondynów, którzy mogliby udawać wróżki? Myślę, że moglibyśmy kupić amulet wzmacniający, coś takiego jak ten pierwszy,

którego próbowałem. Stworzyłby aurę wroźki wokół człowieka i dał mu złudzenie skrzydeł, chociaż nie jest dość silny, żeby zupełnie zmienić jego wygląd fizyczny.

Wzruszył ramionami.

– Mogę się rozejrzeć.

Kurtuazyjnie wróciłem do pierwszego kupca. Był wyjątkowo uprzejmy podczas pierwszej nieudanej transakcji, a teraz też nie okazywał żadnego rozczarowania, kiedy wróciliśmy szukać taniochy. Uważam, że powinno się nagradzać takie zachowanie, jak to tylko możliwe. W kilka chwil mieliśmy już kamień, który mógł załatwić sprawę. Sprzedawca zamknął go nawet w ochronnej kasecie, chroniącej urok przed przedwczesną aktywacją i rozładowaniem. Wyszliśmy z budynku i pomaszerowaliśmy w stronę placu Copley.

– Może wpadniesz na obiad? – zapytał Murdock, otwierając drzwiczki swojego samochodu.

Uroczysty niedzielny obiad u Murdocków organizowano co tydzień o drugiej po południu. Oferta była kusząca, ale gdybym poszedł, wsiąkłbym na ładne kilka godzin.

– Moglibyśmy to przełożyć na kiedy indziej? Muszę przeczytać parę rzeczy, zanim zobaczę się dzisiaj z Briallen.

– Jasne. Zresztą może i słusznie. Dzisiaj kolej Bara w kuchni – powiedział, nie kryjąc złośliwego uśmiešku. Bar, czyli młodszy brat Murdocka,

Barnard, słysząc z tego, że garściami sypał wszelkie przyprawy, jakie mu wpadły w ręce. Wprawdzie reszta rodziny narzekała, ale nikt nie był aż tak niezadowolony, żeby wziąć na siebie dodatkowy dyżur w kuchni i gotować dla całej armii, która się tam złążyła.

Zsunąwszy stertę czasopism na podłogę, wślizgnąłem się na siedzenie pasażera. Murdock zapalił silnik i po prostu włączył się do ruchu, nie oglądając na nic. Fajnie jest nosić odznakę.

– Każdy może użyć tego amuletu od uroku? Nawet nie fata? – zapytał.

– Jasne. Czasem potrzebują go fata, ale jak jest naładowany, to jest naładowany. Powinien działać dla każdego, nawet dla człowieka.

– Myślałem, że potrzeba esencji, żeby to zadziało.

Przeciął dwa pasy pełne jadących w przeciwną stronę pojazdów, żeby skrócić w prawo.

– Esencja jest w talizmanie, który następnie wchodzi w interakcję z esencją użytkownika.

– A co się stanie, jeśli ten wzmacniacz, który właśnie kupiliśmy, założy ktoś, kto już jest wróżką?

– Będzie działał jak ten pierwszy. Da mu potężniejszy wygląd.

– To dlatego mogłem użyć tego kamienia z dziurką?

– Tak jest. To są narzędzia. Nie zadziałają tylko wtedy, kiedy potrzebują do tego dopływu

esencji. Tak jak różdżka. W rękach człowieka nie zrobi nic, bez względu na to, jak się nią będzie wymachiwać, bo nie przechowuje żadnej aktywnej esencji w sobie ani na sobie. Można ją zupełnie bezpiecznie nosić.

– To dobrze. Ruiz nie przepada za fata. Będzie chciał wiedzieć, czy to bezpieczne.

Stłumiłem westchnienie. Głina, który nie lubi fata, to już stereotyp. Jasne, fata sprawiali kłopoty, ale tak samo jak każdy po złej stronie prawa. Obawiałem się, że nie wyjdzie to na dobre kontaktom między rasami, jeśli funkcjonariusze prawa będą stanowili część problemu.

Murdock wysadził mnie pod domem i odjechał jak zwykle bez pożegnania. Zadzwoiłem do Briallen, ale odezwała się automatyczna sekretarka.

– Wiem, co zaraz powiesz, ale i tak zostaw wiadomość.

Zostawiłem. Teraz pozostało mi tylko czekać, aż Briallen oddzwoni, więc wyszedłem na dach, by poczytać w słońcu. Niedługo potem drzemałem.

Obudziły mnie dreszcze i chłodny podmuch bryzy na skórze. Dreszcz momentalnie zmienił się w uczucie pieczenia. Wyłączyłem się na parę godzin i teraz przód mojego ciała przybrał odcień jasnoczerwony. Kłąłem, zbierając książki. Nie można by mnie nazwać typowym Irlandczykiem – moja skóra nie była zupełnie blada, tylko odrobinę bardziej śniada, ale i tak powinienem uważać na słońce. Wskoczyłem pod prysznic, puszczając na

siebie tak zimną wodę, jak to tylko możliwe.

Briallen nie oddzwoniła. To samo w sobie jednak nic nie znaczyło. Często ignorowała telefon i czasem całymi dniami nie sprawdzała wiadomości. Wiedziała, że gdyby ktoś naprawdę chciał się z nią skontaktować, mógłby wysłać świetlika. Postanowiłem, że do niej pójde. W najlepszym przypadku ucieszy się, że mnie widzi. W najgorszym nie będzie jej w domu.

Wskoczyłem do taksówki i odbyłem krótki kurs na Beacon Hill. Zapłaciłem kierowcy i stanąłem na chodniku przed domem Briallen na placu Loisburg w samym sercu bramińskiej [bramin - przedstawiciel najwyższej hinduskiej kasty, tutaj slangowe określenie przedstawicieli starych arystokratycznych rodów z Nowej Anglii (przyp. tłum.).] dzielnicy. Mieszkała w tym domu od dziesięcioleci. Była to szeroka, pięciopiętrowa budowla z cegły, z wykuszami i dzielonymi oknami z purpurowych gomółek. Frontowe wejście stanowiły wielkie podwójne wrota pomalowane na zielono z wiszącymi po bokach wciąż działającymi gazowymi lampami. Młode pnącza bluszczu dotarły już na wysokość drugiego piętra.

Nacisnąłem dzwonek. Po paru chwilach nacisnąłem ponownie. Kiedy nie doczekałem się odpowiedzi, przekręciłem klamkę i ku mojemu zdumieniu drzwi się otworzyły. Wszedłem. Powitał mnie wielki, pusty hall, ogromne schody wznosiły się po prawej. Rzadko bywałem u Briallen w domu sam. Było cicho, w powietrzu wisiał zapach historii. Nie stęchlizny, ale gęsta woń

bezczasowości. Mahoniowe drzwi i schody były wyfroterowane, wypolerowano mosiężne klamki. Wielki szafkowy zegar z lewej odmierzał czas miarowymi, powolnymi tyknięciami. Briallen nieodmiennie lubiła przebywać w bawialni z tyłu na drugim piętrze, więc wszedłem na schody.

Pośrodku stopni, tam gdzie skręcały na tyły domu, przez okno na półpiętrze widać było ogród. Dostrzegłem tam jakiś ruch. Drzewa zasłaniały widok, ale byłem pewien, że ktoś się tam porusza. Szybko pokonałem schody, minąłem piętro i długą, pełną aromatów kuchnię.

Kiedy otworzyłem tylne drzwi, zobaczyłem światełka błyskające wieloma kolorami i usłyszałem szepty. Zatrzymałem się na stopniach w zdumieniu. Briallen siedziała na ziemi otoczona rojem chochlików, które mówiły jedne przez drugie, usiłując przyciągnąć jej uwagę. Musiało tu być kilkadziesiąt tych maluchów, a jeszcze nigdy nie widziałem więcej niż trzy, cztery naraz. Kawalek żwiru rozpadł się po moim obcasem z głośnym chrupnięciem. Przy wtórze chóru cichych pisków i jęków chochliki znikły. Obszedłem drzewo, akurat by natknąć się na wstającą z ziemi Briallen z zagniewaną twarzą.

– Kto... ? – zaczęła tylko po to, by uzewnętrznić gniew, ale wówczas mnie rozpoznała. W tej samej chwili przed jej twarzą pojawił się chochlik. Fata o błękitnych skrzydełkach obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem,

spojrzał na Briallen, powiedział coś miękko i zniknął.

– Connor! Jesteś wcześniej. Spodziewałam się, że przyjdiesz za jakąś godzinę. – Briallen podeszła do mnie po przyciętym krótko trawniku z wyciągniętymi ramionami. Miała na sobie długą szatę z białego jedwabiu, haftowaną w jaskrawe pomarańczowe i czerwone wzory, która układała się zmysłowo na jej ciele, kiedy się poruszała. Miała krótsze włosy, niż kiedy widziałem ją ostatnio. Teraz niemal kończyły się nad uszami i spadały swobodną, kasztanową falą. Wyglądała wstrząsająco jak zwykle.

Briallen Gwyll była moją pierwszą i najtrwalszą nieszczęśliwą miłością. Spotkałem ją po raz pierwszy w wieku dwunastu lat, kiedy sprowadzono mnie przed jej oblicze, żeby oceniła moje zdolności. Tamtego wieczoru wyszła nago ze swojej sypialni, by przeprowadzić obrzęd księżycowy. Zrobiło to na mnie takie wrażenie, że potem przez jakiś rok musiałem krzyżować nogi na sam jej widok.

– Nie chciałem przeszkadzać. Wiedziałaś, że drzwi są otwarte? – spytałem, kiedy się obejmowaliśmy.

Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła przez ogród.

– Byłam zajęta. A drzwi nie są otwarte, po prostu nie chronią przed tobą. Chodź, usiądź.

Pchnęła mnie lekko na kamienną ławę

ogrodową, która była przyjemnie twarda i chłodna. Milcząc, objęła dłońmi moją głowę i zamknęła oczy. Przez moment poczułem lekki ucisk, jakbym włożył zbyt ciasny kapelusz, a potem uczucie odeszło. Był to już stały rytuał, odbywany za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy bez świadków. Briallen opuściła ręce i usiadła obok na ławce.

– Bez zmian – oznajmiła.

W jakiś nieznany mi sposób Briallen wyczuwała to coś w mojej głowie. Wydawało się, że drażni ją to jeszcze bardziej niż mnie, o ile to w ogóle możliwe. Briallen nienawidzi wszystkiego, czego nie rozumie. Za każdym razem kiedy się spotykaliśmy, badała ten mój fenomen, żeby sprawdzić, czy się nie zmienia, ze słabą nadzieją, że może znikł.

– Co tu robiłaś? – spytałem.

Jej orzechowe oczy odbiły blask księżyca.

– Przekonałam prawie całą rodzinę walijskich chochlików, żeby pozwoliły mi się zbadać!

Trzydzieści dwoje! Widziałeś kiedyś naraz trzydzieści dwa chochliki? Czy to nie cudowne?

– Cudowne. A co badasz?

– Można by powiedzieć, że ich socjologię. I antropologię. I biologię, kiedy mi pozwalają. – Wstała raptownie. – Chodź, coś ci pokażę.

Ruszyła, oglądając się, czy idę za nią, chociaż sam pomyślałem, że bym miał nie robić tego, co chce, nawet nie zaświtał jej w głowie. Miała oczywiście

rację. Znow przeszliśmy przez kuchnię drażniącą cudownymi zapachami, a potem w górę po schodach, do małej pracowni na trzecim piętrze. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały sięgające aż do sufitu, wypchane książkami. Zakurzone kryształowe kule utrzymywały tomy na miejscu, małe pudełka oklejone chińskim jedwabiem przeplatały się ze starymi, krytymi skórą foliałami. Stary monitor na najniższej półce rozsiewał księżycowy blask, ale na pewno nie używano go od czasów, gdy tenis był przebojem wśród gier telewizyjnych. Wszędzie też piętrzyły się papiery w całym spektrum barw, od niemal brązowych płacht pergaminu po lśniące bielą nowiutkie fotokopie. W ciasnym pokoju rozpychał się ogromny stół, zastawiony stertami książek i papieru oraz pękniętym astrolabium, filiżankami do herbaty, różnymi piórami, włącznie z ręcznie ostrzonym gęsim, pudełkiem otoczków, czternastym wydaniem „Zbioru Cytatów Bartletta” i kuchennym zmywakiem. Na oczyszczonym ze szpargałów środku blatu stał szklany sześcian zawierający coś, co wyglądało jak wyschły strąk trojeści.

Briallen uniosła sześcian i ostrożnie wyjęła to coś, po czym podała mi z błyszczącymi oczami.

Kiedy ująłem przedmiot, poczułem silne zakłęcie strażnicze. Spojrzałem uważnie, usiłując zrozumieć, co trzymam. A potem nagle przeszedł mnie dreszcz i omal to upuściłem. To, co wzięłem

za wyschniętą łupinę, okazało się szarymi, martwymi skrzydłami chochlika. Były nienaturalnie zwinięte do przodu, osłaniając umieszczone wewnątrz sztywne, skurczone ciało. Martwa, obojętna twarz była ledwie widoczna w szczelinie pomiędzy skrzydłami. Briallen bez słowa odebrała mi truchelko i odłożyła na miejsce.

Poszedłem za nią z pracowni do kuchni, gdzie zabrała się za sałatkę.

– Nigdy dotąd nie widziałem martwego chochlika – zauważyłem.

Zaczęła siekać jarzyny.

– Mało kto widział. Rozmawiałam z jednym z moich podmiotów o obyczajach grzebalnych chochlików, które kilka razy widziałam, i przyznałam, że nigdy nie dostrzegłam ostatecznego złożenia ciała. Dziś po południu wrócił z tym ciałem. Powiedział, że po prostu składają je przed świtem na szczycie wzgórza, skąd zabiera je pierwszy promień słońca.

– Ale dlaczego ci je dał?

Zaczęła grzebać pod blatem, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że wielka, ceramiczna misa jest za duża na sałatkę. Ostatecznie postanowiła jej użyć.

– Nie dał mi. Po prostu pomyślał, że chciałabym je zobaczyć. Obiecałam, że wyniosę ciało przed świtem.

– Ale obłożyłaś je zaklęciem strażniczym – powiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

– Tylko czasowo. Zauważyłam, że skurczyło się znacząco, odkąd mam je tu w środku. Sądzę, że proces wywołuje każde światło, a słońce mogło go jeszcze przyspieszyć.

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się.

– Chciałabym wiedzieć. Sądzę, że to ma coś wspólnego z esencją opuszczającą ciało. To niemal nie do wiary, że tak małe istoty jak chochliki egzystują na każdym poziomie odczuwania. Zastanawiam się, czy nie składają się z większej ilości esencji niż materia fizyczna.

Sięgałem do misy z sałatą tak często, jak to tylko było możliwe.

– A propos esencji...

Briallen uniosła ostrzegawczo dłoń, zanim znów sięgnąłem, znajomy uśmiech zatańczył na jej wargach.

– Najpierw będziemy się zachowywać, jak przystało na przyjaciół. O interesach pogadamy później. Weź talerze.

Skinąłem głową z uśmiechem. Briallen rzadko dawała się zaskoczyć. Wyjęła z piekarnika ogromną pieczeń, znacznie większą, niż oboje moglibyśmy zjeść, wystawiła kolejne miski z warzywami i ziemniakami. Wdrapaliśmy się na kuchenne stołki przy blacie i zabraliśmy do roboty. Ja oczywiście miałem niewiele do powiedzenia w kwestiach, które jakoś nie łączyłyby się z pracą. Na

szczęście Briallen miała dość wieści za nas oboje.

Ostatnio wzięła urlop naukowy w Harvardzie, gdzie wykładała historię, jak lubiła to nazywać, nie tak znowu Ciemnych Wieków, rok temu wzięła się do badania znacznie bliższego okresu, do tego zaczęła pracować z klanem chochlików, uprawiać pewne gatunki roślin w surowym klimacie Nowej Anglii i rozpoczęła naukę gotowania po tajsku. Miałem przeczucie, że to przygotowania do mającej nastąpić w przyszłości podróży.

Briallen uczestniczyła we wczesnej fazie rozmów przed Zgromadzeniem Fata i rozważała wizytę w Niemczech, by ocenić tamtejszą sytuację polityczną. Brała też czynny udział w zakładaniu Gildii Strażniczej, ale nie służyła Najwyższej Królowej. Jej sympatie leżały raczej po stronie Dworu Seelie. W większości krajów europejskich miała status dyplomatyczny jako przywódczyni Szkoły Druidzkiej i często występowała jako doradca światowych przywódców. Upłynęły lata, nim uświadomiłem sobie, jak ważną personą jest Briallen. Myślałem przedtem, że to po prostu miła pani, która uczyła mnie zaklęć.

Zaczęła sprzątać talerze.

– Jesteś taki cichy, Connor. Powiedz mi, co robisz prócz pracy.

Wiedziałem, o co pyta. Uważała, że powinienem poświęcić cały swój czas i siły na odzyskanie zdolności. Podejmowałem wprawdzie pewne wysiłki, ale jak mi się wydawało, dalece

niewystarczające, by ją zadowolić. Czasami zastanawiałem się, czy frustruje ją mój stan, czy raczej to, że nie znała odpowiedzi.

– Cóż, po pierwsze, jestem teraz w lepszej kondycji fizycznej niż kiedykolwiek w życiu.

– Zawsze jakiś początek. – Nalała porto do dwóch szklaneczek. Podała mi jedną, ujęła butelkę i wypłynęła z kuchni. Rzecz jasna, podążyłem za nią do bawialni na piętrze.

W tym pokoju zawsze, nawet latem, płonął ogień w kominku, ale temperatura nigdy nie była niekomfortowa. Briallen miała cały dom do dyspozycji, ale wiedziałem, że upodobała sobie właśnie ten pokój. Tu były wygodne, tapicerowane krzesła, jeszcze więcej książek i widok na ogród. Wyobrażałem sobie, że często zasiada tu popołudniami, czytając do świtu.

– No i... ? – zagała.

Zapadłem się w głęboki fotel przy palenisku.

– Moje zaklęcia ochronne chyba aktywują się instynktownie. Moje zdolności wyczuwania zachowują się czasem, jakbym był przeciążony. Nadal nie mogę wykonać żadnego prawdziwego przywołania. Wróżby są poza zasięgiem. To tak, jakbym zapominał inkantacji, jeszcze zanim je rozpocznę.

Wydeła wargi.

– To wszystko wiem. Ale co zrobiłeś ostatnio?

– Pewnego dnia próbowałem spowodować zapalenie się świeczki i podpaliłem sobie biurko –

odparłem, usiłując nie uśmiechać się ironicznie.

Wydmuchnęła gwałtownie powietrze.

– A wsłuchałeś się przedtem w bicie swojego serca? – Poczułem, że policzki zaczynają mi płonąć z irytacji.

– Briallen, ja znam elementarz.

Teraz to ona się zirytowała.

– Zaczynam w to wątpić. Chcesz precyzyjnie przywołać ogień. Chcesz odczytać wróżbę. Chcesz wypowiedzieć zaklęcie. A jak dotąd nawet się do tego nie zabrałeś. Myślę, że gdybyś połamał nogi, po prostu byś usiadł i czekał, aż będziesz mógł wstać i przebiec maraton. I odniósłbyś właśnie tyle samo sukcesów co teraz.

– To nie fair – zaprotestowałem. Jej słowa ubodły mnie do żywego.

– I co z tego? Nie jestem twoją matką. Nie sprawię, żeby to wszystko odeszło. To ty masz nadzwyczajny talent i po prostu odmawiasz korzystania z niego.

– Nie mam już talentu – sam się zaskoczyłem. Jeszcze nigdy dotąd nie podniosłem na Briallen głosu.

Rozładowała moją zgrozę śmiechem.

– Tylko tym teraz jesteś, Connor? Ciałem pozbawionym talentu? Ja mówię o twoim umyśle. Musisz wydedukować, jak się wykaraskać ze swoich kłopotów. Ale przede wszystkim musisz przystąpić do działania. Uzyskałeś parę odpowiedzi, które nie rozwiązały twojego

problemu, i już. A teraz chcesz, żebym ci współczuła. Powinieneś znać mnie na tyle dobrze, Connor, żeby wiedzieć, że ja nie współczuję tym, którzy się poddają.

Poczułem, jak gorąco oblewa mi twarz.

– Przyszedłem tu po pomoc – wycedziłem.

– I otrzymujesz ją.

– Wcale tego nie czuję.

Na jej twarzy pojawiła się uważna troska.

– Connor, ty też musisz sobie pomóc. Nie możesz oczekiwać, że rzucę wszystko, żeby zbadać, co ci się stało. Pomogę ci. Już mówiłam. Ale nie zrobię tego za ciebie.

Patrzyłem w ogień i czułem, jak gniew mnie opuszcza. Miała rację. Surową, bezlitosną, ale jednak rację. Wcale nie byłem zły na Briallen. Byłem zły na to, że miała rację. Od długiego czasu czułem się rozbitkiem. W moim życiu nastąpił zwrot, którego nie chciałem, a ja pozwoliłem, by to przejęło nade mną kontrolę, wyobrażając sobie, że pewnego dnia po prostu obudzę się i wszystko wróci na swoje miejsce.

Skoncentrowałem się na płomieniach, pozwalając, by emocje ze mnie wyciekły. Wiedziałem, że to potrafię, ale chciałem, by Briallen też zobaczyła, że potrafię. Nie wydała najmniejszego dźwięku, ale niemal czułem jej wyteżoną uwagę. Spowolniłem oddech, wyłączając dźwięki wokół mnie. Płomienie stały się nagle bezgłośnymi wstęgami światła. Skoncentrowałem

się na pracy mojego serca, siedząc z półprzymkniętymi oczami i pogrążając się w ciszy. Nie ruszałem się, jeszcze bardziej spowalniając oddech, aż przestałem czuć ruchy mojej klatki piersiowej. Zapadłem się w siebie. Przez chwilę niczego nie słyszałem, aż nagle dotarł do mnie głuchy odgłos, który rozpoznałem. Słyszałem uderzenie własnego serca. Zatrzymałem się na tym momencie, wspominając, jak po raz pierwszy się tego nauczyłem, wspominałem obietnice mojego dzieciństwa. Zaczerpnąłem głęboko tchu i otworzyłem oczy. Czułem się, jakbym wynurzał się z bardzo głębokiego basenu.

Briallen wzięła maleńki łyk ze swojej szklanki.

– To trudniejsze, niż sądziłeś, prawda?

Skinałem głową. Czułem słaby powiew oddechu na moich wargach.

– Przepraszam.

– Nie obraziłam się. Teraz powiedz, co wiesz o tych morderstwach.

Opowiedziałem jej o moich ostatnich przesłuchaniach, włącznie z podejrzeniami na temat Shaya. Komentarze Stinkworta na temat Tansy sprawiły jej nieświadomą przyjemność, więc z pewnym zakłopotaniem uraczyłem ją moją imitacją stylu mówienia małego chochlika.

– Musisz popracować nad akcentem. – Zachichotała. Zamyśliła się na chwilę, stukając palcem w brzeg szklanki.

– Ska. Interesujące słowo.

– Nigdy go dotąd nie słyszałem. Joe przetłumaczył je jako „zły”.

Briallen zakołysała głową z boku na bok.

– To w najlepszym razie uproszczenie. Słowo pochodzi z najbardziej wiejskich obszarów i oznacza coś, co jest irytujące i niepokojące, ale tak naprawdę chodzi o właściwości fizyczne. Jedną z wielu osobliwości dotyczących chochlików jest to, że mnożą się jak króliki, ale rzadko możesz zobaczyć je w grupach. Są niewybredne w doborze partnerów, co w połączeniu z ich klanową dumą sprawia, że wchodzą w związki ze zbyt bliskimi krewnymi. Rezultatem są zdarzające się ciągle narodziny dzieci z kazirodczych związków, które określa się właśnie jako „ska”, co oznacza „coś, co nie powinno się było wydarzyć”. W sensie, że sam świat odrzuca takie narodziny. Jest tam również taka konotacja, że dziecko nie tylko nie należy do klanu, ale że w ogóle nie należy nigdzie.

Ponownie spojrzałem w ogień. Każdy, kto spotkał Wtorkowego Zabójcę, twierdził, że czuł się źle w jego obecności. Jeżeli tajemniczy klient na kamienie u Belgora był również mordercą wrózek, to emanował dziwną esencją, która wpędzała ludzi w zakłopotanie, bo nie byli w stanie jej umiejscowić. Może nie dawało się go do niczego przypasować właśnie dlatego, że nigdzie nie należał. Może prostytutki były idealnymi ofiarami, bo akceptowały ludzi odbiegających od normy. I być może ktoś taki odkrył rytuał, który pozwoliłby

mu czuć się bardziej na miejscu.

– Zastanawiam się, czy zabójca jest owocem związku ska, który przeżył.

– To by była sprzeczność z etymologicznego punktu widzenia – odparła Briallen. – Bo skoro przeżył, to może miał przeżyć. Ska inherentnie oznacza, że nie może żyć, i to nie tylko dlatego, że do tej pory zabił troje ludzi.

– To może ska jest po prostu słowem, które najlepiej go określa. Może jest wyjątkowy.

– I jeśli tak jest, to może będziemy za to wdzięczni. – Briallen uniosła swoją szklanę.

– Zastanawiałem się też nad samą przyczyną zabójstw – wyznałem. I przedstawiłem jej moje pomysły na temat wykorzystania esencji serca. Briallen słuchała tego, siedząc cicho. Zbyt cicho. – Więc powiedz mi, czy to, na co się natknąłem, istnieje jako jakiś poziom wiedzy?

Zanim odpowiedziała, patrzyła przez chwilę do swojej szklanki, a potem prosto na mnie.

– Ściśle rzecz biorąc, tak. Istnieje wiedza tego rodzaju. Jej używanie jest zakazane.

Wzięłem głęboki oddech, by stłumić ekscytację.

– Stinkwort powiedział dokładnie to samo. Możesz mnie nauczyć?

Zakręciła porto w szklance i patrzyła przez dłuższą chwilę, jak rubinowy płyn chwycił odblaski światła. Odstawiła ostrożnie naczynie na stoliczek, który miała pod ręką. Wstała powoli,

podeszła do okna i wyjrzała na ogród.

– Nie.

Poczułem, jak zalewa mnie lodowata fala niedowierzania. Nie spodziewałem się, że będzie tak bezpośrednia.

– Co? Dlaczego nie?

Spojrzała prosto na mnie z powagą.

– Mówiąc brutalnie, Connor, dlatego, że nie jesteś wart tej wiedzy. Lata temu zszedłeś ze ścieżki druida, usamodzielniałeś się, żeby zająć się osobistymi potrzebami. To tak nie działa.

Znowu poczułem gorąco na policzkach.

– Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz?

Potrząsnęła głową.

– Tu nie chodzi o moje osobiste uczucia. Są sprawy dużo większe niż cokolwiek tak błahaego, jak relacje personalne. To niebezpieczne sprawy, wiedza, która powinna była zniknąć natychmiast, gdy ją wymyślono.

– Ska – oznajmiłem z nutą szyderstwa w głosie.

Briallen skinęła głową.

– W gruncie rzeczy tak. Jeśli będę mogła, powiem ci to, czego będziesz potrzebował, żeby zatrzymać tego świra. Jeśli nie będę mogła, sama się tym zajmę. Tak czy inaczej, nie nauczę cię. Nie mogę. Nie teraz. Nie w twoim obecnym stanie.

Potarłem twarz. Spróbowałem westchnieniem usunąć ciężar, który osiadł na mojej piersi.

– To chyba najbardziej przykry wieczór, jaki z

tobą spędziłem.

– Dla mnie wcale nie był łatwiejszy. Tak bywa z poważnymi kwestiami.

– Muszę już iść – powiedziałem.

Briallen odeszła od okna i opuściła pokój. Poszedłem za nią do frontowego hallu, zastałem ją przy otwartym oknie.

– Sprawdzisz moje pomysły? – spytałem.

– Tak. Są bardzo obiecujące. – Ujęła moją twarz w dłonie i pochyliła mi głowę, żeby ucałować w czoło. – Przejdziemy przez to, Connor. Przez wszystko.

Uścisnąłem ją.

– Tak trudno mi złościć się na ciebie.

Wzięła mnie pod ramię.

– Może nie starałeś się zbyt mocno. Och, poczekaj chwilę, mam coś dla ciebie. – Wyszła pospiesznie do kuchni i zaraz wróciła z małą plastikową butelką. – Proszę. To na twoje oparzenie słoneczne. Używaj ostrożnie.

Uniosłem naczynie do światła. Przez przejrzysty plastik prześwitywał jakiś żel.

– Zrobiłaś eliksir na oparzenia słoneczne? – zapytałem, zdumiony, że miała czas zajmować się takim drobiazgiem. Roześmiała się.

– Nie, kochany. To maść aloesowa. Niektóre rzeczy są wystarczająco dobre takie, jakie są.

Rozdział 6

Obudziłem się nagle w bladym świetle przedświtu, z rozdygotanym sercem i tępym bólem głowy. Przez całą noc, odkąd wróciłem od Briallen, nękały mnie koszmary. Uciekałem w nich przed jakimś nieokreślonym zagrożeniem. Spadałem z budynku. Tonąłem w głębinach wód. Wyciągałem bezsilnie ramiona, by postawić przed sobą ochronę, albo wznosiłem głos, usiłując rzucać nieudolne zaklęcia, tylko po to, by poczuć jak oddech opuszcza moje ciało. Kiedy w końcu się obudziłem, mój puls szalał.

Przetoczyłem się do okna, rozkopując przepocone prześcieradła splecione wokół moich stóp. Za portem samotny jacht sunął wzdłuż różowiejącego, zamglonego horyzontu. Łódź płynęła powoli, z wciągniętym jednym żaglem, usiłując złowić lekki podmuch wiatru. Lekko zmarszczona powierzchnia wody znaczyła odbłaskami ścieżkę, za którą wschodziło słońce, fale toczyły się leniwie. Kochałem wodę, ale nie łódzie. Uczyłem się żeglować na rzece Karola, ale nigdy tego tak naprawdę nie polubiłem. W żegludze zbyt wiele zależało od przypadku. W chwili gdy patrzyłem, wiatr ustał zupełnie, a żagiel oklapł. Biedny palant tam na wodzie miał przed sobą długie czekanie.

Krawędź tarczy słonecznej musnęła horyzont.

I jak na zamówienie pojawiła się lekka bryza. Wydawało mi się, że widzę maleńką figurkę skaczącą po pokładzie i manewrującą bomem. Żagiel, oślepiająco biały w świetle wschodzącego słońca, chwycił wiatr, jacht zaczął ciąć wodę.

Wyszedłem z łóżka, odepchnąłem futon i stanąłem nagi przed oknem. Zaśpiewałem inwokację na powitanie słońca, wznosząc ramiona i zadzierając głowę. Oblało mnie światło świtu, pieśń sprowadziła na mnie potop odnawiającej energii. Nie był to żaden wielki wyczyn, raczej podstawowe ćwiczenie. Odpowiednik odświeżenia esencji pod prysznicem. I nie bolało. W gruncie rzeczy czułem się wspaniale. Wyśmienicie. Briallen miała rację. Właśnie tak należało postępować, jeżeli chciałem odzyskać to, co utraciłem – posuwać się do przodu małymi kroczkami. Inaczej byłem tylko łódką bezsilnie czekającą na podmuch wiatru.

Wziąłem prysznic, a potem zadzwoniłem do Avalon Memoriał i zostawiłem wiadomość dla Gillena Yora, mojego uzdrowiciela. I ledwie odłożyłem słuchawkę na widełki, rozległ się dzwonek. To był Gillen.

Rzuciłem okiem na zegar.

– Wcześniej wstałeś, Gillen. Dzwoniłem, żeby umówić się na wizytę.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic. Chciałem tylko zrobić badania.

– Byłem pewien, że coś się dzieje. W

południe?

– Tylko pod warunkiem, że nie stracisz lunchu.

– Jestem uzdrowicielem, Connor. Po prostu się pojawia, dla odmiany. – Rozłączył się. Kiedy odkładałem słuchawkę, nie miałem mu za złe tej obcesowości. Wyciągnął mnie już z niejednych tarapatów.

Spędziłem poranek, planując swoją powtórna edukację. Duma nie pozwoliła mi szukać sobie nauczyciela, ale dla treningów, które zamierzałem podjąć, też żadnego nie potrzebowałem. Mogłem zacząć od najbardziej podstawowych lekcji i budować na tej podstawie, uczyć się zaklęć, ćwiczyć pamięć, próbować prostych inwokacji, by wzmocnić rdzeń mojej esencji.

Prawdziwy druid nigdy nie porzuca ścieżki wiedzy. Poza tym prawdziwy druid może podążać dalej, tylko korzystając z wiedzy, którą dotąd zgromadził. Miałem wystarczające kwalifikacje, żeby nauczać, ale pozwoliłem, by skusił mnie świat Gildii. Można pozostać na ścieżce i jednocześnie służyć w Gildii, ale niestety pokusa korzyści finansowych okazała się dla mnie zbyt silna. To właśnie miała na myśli Briallen, twierdząc, że zszedłem ze ścieżki.

Zdolności są wrodzone, ale potencjał może obudzić tylko intensywna edukacja. Wymaga cierpliwości i zdecydowania. Większość ludzi nie ma w sobie dość samozaparciu, by podążać ścieżką

prawdy. Rezygnują ze swoich zdolności albo porzucają życie badacza dla bardziej przyziemnych korzyści, zadowolając się przepowiadaniem pogody dla lokalnej społeczności w ich wiosce lub wygłaszając nieokreślone proroctwa ostrzegające przed zagrożeniem. Ale nie są już częścią kręgu, prawdziwymi druidami ścieżki. Jeśli miałem poznać prawdę o moim stanie, najpierw musiałem poznać prawdę o sobie. Musiałem ponownie znaleźć się na ścieżce.

Za pięć dwunasta grzecznie siedziałem w poczekalni Gillena Yora. Jako główny lekarz w Avalon Memoriał, Gillen miał do dyspozycji obszerny gabinet na najwyższym, dziesiątym piętrze z widokiem na rzekę Karola i Cambridge. Kilku zirytowanych w różnym stopniu ludzi siedziało w poczekalni, większość samotnie, z wyjątkiem kobiety w towarzystwie małego chłopca z rogiem wyrastającym z boku czoła. Dzieciak wyglądał mi na kogoś, kto rozrabiał w apteczce z eliksirami rodziców. Na opuszczonym biurku recepcjonistki nieustannie dzwonił telefon, a rój świetlików wirował wokół pustego krzesła.

Dokładnie w samo południe Gillen Yor wyszedł z bocznego korytarza i skierował się do poczekalni. Był chudym mężczyzną mającym metr pięćdziesiąt parę wzrostu, z lśniącym plackiem łysiny na czubku głowy oraz długą siwą brodą. Jego przenikliwe czarne oczy zerkały spod niebywale krzaczastych brwi. Spod standardowego

fartucha laboratoryjnego wystawały bufiaste granatowe pantalony i zamszowe buty, sięgające mu do kolan.

– Grey – szczechnął, nie zaszczycając poczekalni nawet spojrzeniem, i zniknął w gabinecie.

Wstałem i podążyłem za nim. Zdążył już usiąść za biurkiem, a kiedy podsunąłem krzesło, uniósł dłoń i pstryknął palcami. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Złożył dłonie na czyściutkim blacie i pochylił się do mnie.

– O co chodzi?

Spróbowałem się rozluźnić.

– Jadłem wczoraj kolację z Briallen i namówiła mnie, żebym spróbował raz jeszcze.

Zmrużył oczy.

– Uleczyła cię.

– Nie! Sprawdza mnie, ilekroć się spotykamy, ale nie leczy mnie tak naprawdę.

– To dobrze. Źle, że nie robisz tego, co kazałem. Brakuje jeszcze, żeby ktoś inny zaczął majstrować w tej twojej ciasnej głowie.

Najbardziej uwielbiam u Gillena Yora to, że nigdy nie wiadomo, czy się z niego śmiać, czy się na niego złościć. To jeden z najbardziej drażliwych ludzi, jakich spotkałem w życiu, i najlepszy uzdrowiciel na północnym wschodzie, jeśli nie w ogóle w Stanach. Chodziły słuchy, że kiedy postanowił wyjechać do Ameryki całe dekady temu, Dwór Seelie żądał, by pozostał w Irlandii

albo na wyspie Man. Gillen uprzejmie poinformował królową, że nie jest jej poddanym. Kiedy nalegała, wyjechał i tak, po czym wysłał jej swoją wizytówkę z dopiskiem, by najpierw umówiła się telefonicznie.

Przyłożył mi dłoń do czoła, mamrocząc pod nosem. Czułem wiązkę gorąca pulsującą mi w głowie. Po chwili zabrał rękę i wrócił na krzesło. Mamrocząc, odwrócił się do komputera i zaczął klepać w klawiaturę. Z miejsca, gdzie siedziałem, mogłem się zorientować tylko, że przegląda moje dane. Telefon zadzwonił, ale Gillen go zignorował. Przez chwilę czytał z ekranu, przewijając dane, a potem odwrócił się do mnie.

– Według moich obserwacji nic się nie zmieniło – oznajmił. Telefon zadzwonił ponownie. Spojrzał na niego, ale nie odebrał.

– Briallen uważa, że powinienem ponownie przejść trening, żeby sprawdzić, czy proces pozwoli mi odzyskać choć część zdolności.

Telefon zadzwonił ponownie. Uzdrowiciel chwycił słuchawkę, wrzasnął: „Jem lunch!”, po czym rzucił ją z powrotem na widełki i spojrzał na mnie z namysłem.

– To nie jest zły pomysł. Nigdy nie zbadaliśmy, jak głęboko sięga blokada.

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Gillen wyskoczył zza biurka i podkradł się do drzwi, po czym je uchylił. Chmura świetlików zawirowała wokół niego. Usiłowałem się nie śmiać, patrząc,

jak się od nich opęda. Zniknął na chwilę, wyrzaskując czyjeś imię. Wsadził głowę ponownie do gabinetu.

– Zaraz wracam. Muszę tylko kogoś wylać.
Nie wychodź.

Przechyliłem się przez biurko, by spojrzeć na moje dane. Większość notatek wyglądała znajomo, opisywała brak postępów. Zgarbiłem się i rozejrzałem po pokoju, a potem znowu wbiłem wzrok w ekran. Zerknąłem na drzwi i obszedłem w końcu biurko.

Włączyłem główne menu i otworzyłem katalog kliniczny. W okienku wyszukiwania wpisałem „ska” i natychmiast otrzymałem słownikową definicję, niemal identyczną z tym, co twierdziła Briallen.

Hasło miało linki do przypadków kazirodztwa, poronień oraz potomstwa ze związków międzygatunkowych. Kazirodztwo oznaczało kolejną definicję z odnośnikami do pozostałych dwóch. Kliknąłem na związki międzygatunkowe. W dziale dotyczącym diagnozy różnicującej tekst zalecał, by uzdrowiciel zadbał o obecność chochlika w trakcie badania pacjenta przejawiającego niezwykle wrodzone zdolności, których nie dało się wyjaśnić cechami fizycznymi. Wydawało się, że chochliki posiadały wyjątkową wrażliwość na obecność potomstwa międzygatunkowego i mogły wyczuć zaburzenia esencji pacjenta.

Spojrzałem nerwowo na drzwi. Wyszedłem z menu głównego, moja karta pacjenta wyskoczyła ponownie na ekran. Cofnąłem się od niej do strony głównej dostępu Gillena. Zrobiłem kilka szybkich ruchów, przeskoczyłem po różnych odnośnikach i w końcu znalazłem bazę danych. Z lekką obawą kliknąłem na krzyżówki międzygatunkowe i otrzymałem czternaście przypadków. Dziko waląc w klawisze, przebiegłem wzrokiem opis każdego pacjenta tak szybko, jak tylko mogłem, zamknąłem stronę i wywołałem z powrotem moje akta. Zdążyłem wrócić na swoje krzesło akurat w chwili, kiedy Gillen wrócił.

Nadal poirytowany, usadowił się za biurkiem.

– Musimy się umówić na porządną konsultację, Connor. Miałem nadzieję, że jakoś zmieszczę cię dzisiaj, ale nie. Ale koniecznie spisz swoje zamiary i wyślij mi mejlem. Oczekuję raportu o postępach.

– W porządku. Rozumiem, że wepchnąłem się znieuważnie. – Wstałem i ruszyłem do drzwi. Zauważyłem, że biurko recepcji wciąż było puste i rzuciłem przez ramię: – Zadzwoń, jak będziesz miał więcej czasu.

Zmrużył oczy i pochylił się do ekranu.

– Jedną z pierwszych rzeczy, którą musisz wyćwiczyć, to jak nie zostawiać wszędzie śladów swojej esencji. To musi być kłopotliwe w twojej obecnej pracy.

Skinąłem głową, starając się nie okazywać

poczucia winy.

– Postaram się.

Wychodziłem, kiedy zawołał mnie znowu.

– I tak dla pamięci: jeśli obecność twojej esencji po mojej stronie biurka okaże się wynikiem czego innego niż twój stan, to sprawię, że twoje obecne położenie wyda ci się drobną uciążliwością. Zrozumiano?

Ponownie, zbyt zawstydzony, by to ukryć, spojrzałem w przestrzeń.

– Tak, Gillen. Wkrótce zadzwonię.

Wyszedłem przez drzwi ewakuacyjne i rozejrzałem się po ulicy w poszukiwaniu samochodu Murdocka. Zadzwoniłem do niego wcześniej i poprosiłem, żeby mnie podwiózł, ale się spóźniał. Boston jest dość mały i łatwo się w nim obyć bez samochodu (nie żeby mnie było stać na jakąkolwiek brykę), więc większość ludzi przemieszcza się pieszo. Jednak nawet szybkim krokiem do Avalon Memoriał ode mnie idzie się dobre pół godziny. Dlatego chętnie korzystałem z okazji, gdy mogłem się załapać na podwózkę. Już traciłem nadzieję, gdy Murdock wreszcie podjechał. Wyrzuciłem na tył pudełko po pizzy z siedzenia pasażera.

– Coś z tobą nie tak? – zapytał, wpychając się w Storow Drive.

– Nie. Tylko badanie. Nie gadaj teraz, usiłuję coś zapamiętać – odparłem.

Murdock przywykł do moich zmian nastrojów.

Doceniałem jego troskę o moje zdrowie, ale nie mogłem stracić tego, co utrzymywałem w głowie. Jako dziecko przeszedłem standardowe szkolenie, gdy tylko ujawniły się moje druidzkie zdolności. Lwią część tej nauki prowadzono tylko ustnie, by dochować tradycji. W rezultacie miałem świetną pamięć. Dla przeciętnego człowieka byłaby to zapewne umiejętność nadzwyczajna, ale dla przeciętnego druida – nic zadziwiającego. Nie wiem, czy dobre zapamiętywanie było talentem, czy ubocznym efektem rozwijania zupełnie innych talentów. Ważne, że okazywało się wyjątkowo przydatne.

Wjechał na trasę szybkiego ruchu, potem na estakadę i zjazd na Summer Street. Dosłownie po chwili parkowaliśmy przed moim domem. Na frontowych drzwiach ktoś wyskrobał swoje inicjały w znakach ogham oraz wymalował datę roczną na zamku. Zdaje się, że powinienem być wdzięczny, bo zwykle dzieciaki po prostu psuły zamek. Studenci sztuki notorycznie gubili klucze i uważali, że to jest rozwiązanie.

Murdock towarzyszył mi na górę. Otworzyłem drzwi, machnięciem dłoni wskazałem lodówkę i pospieszyłem do pracowni. Siadłem do komputera i zacząłem przepisywać z pamięci, co przeczytałem u Gillena. Murdock stanął za mną, siorbiąc ze szklanki z wodą. Wklepałem w końcu wszystko, odchyliłem się i spojrzałem na ekran. Gdybym wyznał Murdockowi prawdę, zbeształby mnie

oczywiście, a potem i tak wykorzystał informacje. Zaspokoilem jego ciekawosc w kwestii spotkania z Briallen, a potem powiedzialem po prostu, ze informacje mam od zrodla w szpitalu.

– I czego sie dowiedziales? – zapytal.

Przejrzałem notatki.

– Dwie krzyzówki krasnolud – czlowiek, piec czlowiek – wrózka, dwie czlowiek – elf i piec wrózka – elf.

– Zdaje sie, ze mozemy pominac przypadki krasnoludzkie – zauwazył, zagladajac mi przez ramie. Przytaknałem. U mieszanców krasnoludzko-ludzkich przewazaly cechy karłów. Nie wyczułem ani sladu esencji krasnoluda na miejscu zbrodni, wiec nie pasowali do profilu.

– Większość tych dzieciaków nie przeżyje okresu dojrzewania – stwierdziłem. Liczyłem po cichu. – Zostaje dwa przypadki czlowiek – wrózka, jeden czlowiek – elf, i trzy elf – wrózka.

– Dlaczego są tu tylko nazwiska matek? Ojców sie nie zapisuje?

Potrząsnąłem głową.

– Dopóki w grę nie wchodzi kwestie majątkowe, fata rzadko zawierają formalne związki małżeńskie. Kobiety najchętniej wychowują samotnie dziewczynki, a chłopców oddają do adopcji.

Wszystkie dzieci cierpiały na rozmaite fizyczne ułomności, na dodatek miały sporo upośledzeń w sferze mentalnej. Pomyślałem

ironicznie, że to nic nadzwyczajnego u kogoś, kto zarzyna ludzi. Wątpiłem, by wzmianki o agresywnych tendencjach występowały w materiale, który zdobyłem, ale to nie znaczyło, że ich nie ma. Większość informacji była w najlepszym wypadku powierzchowna, szczegóły dotyczące każdego dziecka z osobna znajdowały się w indywidualnych aktach, do których nie miałem czasu zajrzeć.

– Dobra, bierzmy się za nich – zdecydował Murdock. – Wezmę Dealle Sidhe i Teri Esposito, bo obie są w rejonie Bostonu. Mogę też zadzwonić do Nowego Jorku, żeby mi sprawdzono Ann Cody.

Wydrukowałem mu kopię.

– Znam kogoś w Anglii, więc nie będzie problemu z wytropieniem Cheryl Atworth. Z Niemcami może być większy problem. Gerda i Britt Alfheim to chyba pospolite nazwisko. A jak tam z naszą przynętą?

Murdock zasepił się i wzruszył ramionami.

– To jest Boston, Connor, nie kraj nordycki. Większość funkcjonariuszy to Irlandczycy, Włosi i Hiszpanie.

– Nie możesz znaleźć jednej chudej, jasnowłosej gliny? Zostało tylko dwadzieścia cztery godziny. Mamy plan B?

– Wiem, że nienawidzisz, kiedy to mówię, ale czy ty możesz coś zrobić?

Postukałem palcami w biurko, tłumiąc irytację. Murdock miał wszelkie prawo, żeby zadać mi to

pytanie, a moje zwykłe zdenerwowanie sprawiło, że znowu wróciła do mnie rozmowa z Briallen. Złościło mnie nie to, że domagał się łatwej odpowiedzi, tylko to, że nie byłem w stanie jej udzielić.

– Próbuję, Murdock.

– Pytałeś w Gildii o zgubione kamienie? – zapytał.

– Szlag! Kompletnie o tym zapomniałem – odparłem, sięgając po telefon. Wykręciłem numer centrali i kazałem się połączyć z Meryl Dian, starą znajomą z archiwum. Oczywiście kazano mi czekać, zatapiając w żalobnym zawodzeniu fletów, które miało mnie ukoić podczas oczekiwania.

– Grey! Od dawna nie słyszałam tego nazwiska – odezwała się Meryl w słuchawce.

– Byłem w terenie.

– Pff! Raczej na zielonej trawce. Wylali cię, z tego, co słyszałam. – Zamarłem zaskoczony. – Zapewne chcesz przysługi. Czego tym razem? Pełnej historii rytuałów z użyciem muchomorów na jutro rano? Ach nie, przecież już o to prosiłeś. Jeśli zgubiłeś jak zwykle, na pewno mam kopię. A może chcesz, żebym posiedziała po nocy i znalazła ci imiona najstarszej druidycznej kapłanki Ulsteru i wszystkich jej zwierzątek? Oczywiście, już się do tego rzucam. «

Poczułem, jak krew napływa mi do twarzy. Osłupiałe spojrzenie Murdocka podpowiedziało mi, że przypuszczalnie wyglądam tak, jak się

czuję.

– Meryl, chyba zadzwoniłem w złym momencie...

– Tu na dole żaden moment nie będzie dobry, Grey. Te same nierozsądne bzdury i żadnych korzyści. Czego chcesz?

– Naprawdę, Meryl, jeśli wolisz nie...

– Connor – przerwała mi – oszczędź mi nieudolnej psychologii. Przechodziłam to milion razy i jeśli myślisz, że kiedykolwiek działało, to się mylisz. Jeśli nie zechcę czegoś zrobić, pochlebstwa i troska ze strony wstrętnych gnomów tego nie zmieniają. A teraz wykrztuś, czego chcesz.

– Szukam kilku kamieni z selenitu, niedawno sprawdzanych dla bostońskiej policji. Zostały zgubione. Są związane z morderstwami wróżek w Weird – powiedziałem tak szybko, jak się dało.

– Kiedy były sprawdzane?

Otworzyłem akta w swoim komputerze i podałem jej datę. Słyszałem, jak przekłada papiery na biurku. A potem westchnęła ciężko.

– Dobra, mój komputer akurat padł, więc nie mogę sprawdzić raportów. Zadzwon za parę dni.

– Pewno wiesz, że kamienie są tajne i nie mogą przeciec do prasy.

– Ojej, a ja już przygotowałam oświadczenie dla mediów.

Zmusiłem się do chichotu.

– Jesteś najlepsza, Meryl.

– Wiem – odpowiedziała i przerwała

połączenie. Powoli odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Murdocka.

– Też byłem takim fiutem, kiedy pracowałem dla Gildii?

– Nie znałem cię wtedy. – Zasepił się. – Ale jeśli to jakaś pociecha, uważam, że teraz jesteś fiutem.

Spojrzałem na niego groźnie, parsknął w odpowiedzi.

– Ale nie takim znowu wielkim.

Poddałem się i też parsknąłem śmiechem.

– Dobra, to znaczy, że rozprzestrzeniłem wokół trochę złej karmy. Ale pracuję nad tym. Pracuję.

– No to świetnie. Chyba muszę już iść.

Odprowadziłem go do drzwi i wypuściłem z mieszkania. Murdock nigdy się nie żegnał. Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, byłem zakłopotany jego obcesowością, ale już przywykłem. Na swój sposób chciał zostawiać wszystkie sprawy zakończone.

Wróciłem do pracowni, gdzie usiłowałem przypomnieć sobie, czym właściwie obraziłem Meryl Dian. Rzadko ją widywałem, nawet kiedy służyłem w Gildii. Moje biuro mieściło się na dziesiątym piętrze, a ona siedziała w skrzydle archiwalnym w piwnicach. Większość naszych kontaktów miała miejsce przez telefon i z reguły dotyczyły badań związanych ze sprawami, które akurat prowadziłem. Była bystra, choć odrobinę

mroczna i trochę przerażająca, aczkolwiek na swój zdzirowaty sposób bywała urocza. Potrafiła na przykład referować sytuację polityczną dziesięciowiecznej Brytanii i na jednym oddechu zrobić nagle dygresję na temat rozkładu ciał na polu bitwy. Przerazała mnie myśl, skąd Dian wiedziała, które części ciał kruki lubiły najbardziej.

Przypomniałem sobie druidzką kapłankę i sprawę, nad którą wtedy pracowałem. Chodziło o człowieka, seryjnego zabójcę na przyładku Cod, który zwykł trzymać ludzi jak zwierzęta domowe, zanim skończyli w jego wannie. Natomiast żadnej sprawy z muchomorami w ogóle sobie nie przypominałem. Im bardziej o tym myślałem, tym bardziej uświadamiałem sobie, że pewnie nie byłem wobec Meryl zbyt troskliwy. W ogniu śledztwa miałem skłonność do traktowania wszystkich jak podwładnych. I dlatego nie mogłem skorzystać z oferty Keevy. Nie chodzi o to, że musiałbym pracować z Meryl.

W rzeczywistości wówczas pomiatałem ludźmi i bardzo to lubiłem. I właśnie z takimi palantami jak ja nie chciałem mieć do czynienia.

W ciągu zeszłego tygodnia przypomniano mi całą moją arogancję, nieczułość i samozadowolenie. Od wypadku zdecydowanie nie byłem już tym samym człowiekiem, którego znano w Gildii. Nie trzeba dużo czasu, by spojrzenie z nowej perspektywy sprawiło, że uświadomiłem sobie parę faktów na temat życia, a może i samego

siebie. Nie to, żeby nagle przeppełniła mnie dobroć świata. Jednak byłem zbyt głęboko świadom swoich wad, by udawać, że nie istnieją. Tak czy owak, definitywnie nie wyobrażałem sobie, żebym nadal odruchowo pomiatał ludźmi. A nawet gdybym sam na to nie wpadł, to Briallen bezlitośnie otworzyła mi oczy wczorajszej nocy.

Wróciłem do moich danych i jeszcze raz zacząłem przeglądać akta. Bolesna pokusa, by poużalać się nad sobą, musiała poczekać. Zamartwiać się tym, co inni o mnie sądzą, mogłem kiedy indziej. Na razie miałem niecały dzień, by sprawić, żeby jakiś wyrodek przestał zarzynać ludzi.

Rozdział 7

Obudziłem się. Leżałem bez ruchu, z otwartymi oczami i wzrokiem wbitym w sufit. W bladym świetle przedświtu poczułem, jak miękko napływa fala subtelного pragnienia. Przypominało to łagodne uczucie nałogowego głodu. Wystarczyło ledwo parę dni rozpoczętych inwokacją do świtu i moje ciało natychmiast zsynchronizowało się ze wschodem słońca. Wiedziałem, że pragnęło powtarzać to miłe wrażenie opływającego je światła, rozświetlającego przebudzenie falą ożywczej energii. Kiedy byłem chłopakiem i po raz pierwszy nauczyłem się tego rytuału, esencja mojego ciała potrzebowała tygodni, by dopasować się do rytmu słońca. Teraz nastąpiło to natychmiast, jakbym przestawił budzik.

Sturlałem się z łóżka i stanąłem przed oknem z odrzuconą głową i ramionami skrzyżowanymi na klatce piersiowej. Kiedy dysk słoneczny wyłonił się zza horyzontu, pierwszy ciepły blask padł na moje czoło. Oddychając głęboko, uniosłem ramiona. Zdążyłem już zapomnieć, jak odżywczy był ten rytuał: śpiewanie starożytnej gaelickiej pieśni i budzenie ciała w rozciągających je pozycjach. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego go zarzuciłem. Nie mogłem pojąć, w jaki sposób znalazłem się w punkcie życia, gdzie coś

tak prostego wydało mi się nieistotne. Kiedy słońce wynurzyło się na tyle, że na chwilę usiadło na krawędzi horyzontu, zakończyłem inwokację, stojąc w ostatniej postawie, z odrzuconą głową, unosząc i opuszczając ramiona, a światło padało wprost na moją pierś, siedzibę mojej esencji.

Świadomość tego, że nadszedł wtorek, dopadła mnie w chwilę później, kiedy brałem prysznic. Wtorek. To słowo dźgnęło mnie w mózg. Jego niewinny dźwięk podkreślony był grozą. Oto upłynął kolejny tydzień, odkąd stanąłem po raz pierwszy w wilgotnym zaułku, patrząc na kolejną rozdartą pierś. Dziś cykl miał się powtórzyć. Osuszyłem się ręcznikiem, podniosłem kubek z kawą i poszedłem do pracowni.

Po pierwsze, należało zadzwonić do Murdocka i dowiedzieć się, jak tam nasza przynęta. Ale detektyw nie dotarł jeszcze na posterunek. Wciąż było bardzo wcześnie. Zrezygnowałem z dzwonienia na jego pager albo do domu i zostawiłem mu wiadomość. Myśl o przynęcie przypomniała mi, że chciałem, by Tansy obserwowała otoczenie, oczywiście o ile zechce. Wyjąłem świetlika z lodówki, a potem zacisnąłem w dłoni i poczułem, jak budzi się do życia. Zdumiało mnie, jak szybko dostałem odpowiedź. Posłałem następnie świetlika do Joego z prośbą, by odnalazł Tansy i skontaktował się ze mną jeszcze dziś.

Zdecydowałem też zacząć dzwonić do Europy,

zanim zrobi się za późno. Telefony międzynarodowe w tym przypadku oznaczały kierunek wschodni, z czego wynikało, że muszę zdążyć z nimi do południa. W przeciwnym przypadku wszyscy pójdą do domu. Nie znosiłem typowych godzin pracy, które zwykle przesypiałem, ale nie mogłem oczekiwać, że szwarccharaktery powstrzymają się od podróży, by sprawić mi przyjemność.

Baza danych szpitala Avalon wymieniała Cheryl Atworth – ludzką kobietę, która urodziła chłopca imieniem William i przebywała w Anglii. Ojciec był wróżką. Przebywała w Stanach w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, co oznaczało, że obecnie ma około sześćdziesięciu pięciu lat. Dom Gildii w Londynie był trochę powolny, jeśli idzie o papierkową robotę, ale zważywszy, że fata cieszyły się szacunkiem na Wyspach, było mało prawdopodobne, by Atworth ukrywała swoje związki z byłym kochankiem. Dlatego pierwszy telefon wykonałem do Roryego Deana, starego kumpla od kieliszka z czasów niemal zapomnianych bachanalii wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Zdecydowanie był mi winien parę przysług, a kto wie, może i kilka browarów. Po niekończącym się przedzieraniu przez labirynt systemu powiadamiania głosowego usłyszałem w końcu Roryego, głoszącego słodkim tonem, że wyszedł na lunch. Zostawiłem mu wiadomość, zawierającą szczegóły, jakie tylko posiadałem,

blaǳałem o pośpiech i obiecywałem, że go odwiedzę.

Niemcy to inna sprawa. Jedyni, których tam znałem, odnosili się do Amerykanów z jawną pogardą, ale i tak były to cieplejsze uczucia niż te, które żywili wobec Anglików i Irlandczyków. Na początku zeszłego wieku krasnoludy i elfy zawarły porozumienie zwane Konsorcjum Teutońskim i wywołały rzeź. Pod koniec II wojny Konsorcjum zawarło umowę z Rosją, że nie będą powstrzymywać głównego natarcia na Berlin w zamian za tereny północno-wschodnich Niemiec. Kiedy runął mur berliński, zdemilitaryzowana strefa fata przylegała do terytorium Konsorcjum. Aż do tej pory największym wyzwaniem Fata stojącym przed Zgromadzeniem były nieustanne utarczki zbrojne pomiędzy Konsorcjum Teutońskim a wojownikami dworu Maeve. Elfy nieustannie zagrożone były możliwością zepchnięcia do granicy z Francją. Ludzie po upadku Sowietów rozwiązyli większość swoich problemów, natomiast fata wciąż łypali na siebie złowrogo z nastawionymi włóczniami, w każdej chwili gotowi dokończyć swoją krwawą wojenkę.

Naprawdę nie miałem żadnych kontaktów w Niemczech, ale bez wątpienia tamtejsza Gildia byłaby w stanie znaleźć dwoje poszukiwanych przeze mnie ludzi. Berlin starannie śledził poczynania wszystkich fata. Pozwalano funkcjonować Gildii tylko pod ścisłym nadzorem

rządowym. Przed wojną fata ignorowali ten edykt, ale teraz, gdy w grę wchodziła także energia atomowa, stawka wzrosła i zgodzili się na bardziej rygorystyczne warunki.

Dysponowałem jedynie imionami i datami. Gerda przebywała w USA około tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego i miała syna imieniem Gethin. Britt była tu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim i powiła córkę imieniem Welfrey. Jako ich nazwiska podano Alfheim, co było po prostu ogólnym określeniem oznaczającym przynależność do elfiego klanu. Berliński Dom Gildii posiadał biuro obsługi klientów, szyderczo nazwane „centrum informacyjnym”. Anonimowi, niewiarygodnie podejrzliwi agenci, którzy w większości byli ludźmi, notowali pytania, nie udzielali żadnych informacji i ewentualnie w rzadkich przypadkach oddzwaniali. Wiedziałem, że pracownik biurowy, na którego wpadnę, będzie marudził, bo przynależność klanowa to w najlepszym wypadku niedostateczna informacja, i tak też było. Tak uprzejmie jak tylko potrafiłem, podałem mu imiona i daty, dyplomatycznie poprosiłem o pośpiech oraz zaopatrzyłem go w numer i nazwisko Murdocka, by upewnił się, że chodzi o oficjalne śledztwo.

Sfrustrowany wałęsałem się po Alei, patrząc na sklepy, puby i składy, które wydawały się znajome tylko dzięki swojej lokalizacji. Zmieniały się codziennie, na wystawach pojawiała się trochę

więcej ubrań albo nowa warstwa farby na froncie. Klientami byli ludzie, którzy trafili tu przypadkiem, nigdy nie zamierzali wrócić albo przyszli po raz pierwszy. Tymczasem mnie wydawało się, że sklepy są wciąż te same, zwłaszcza wcześniej rano, kiedy wszystko było opustoszałe. Długa, wyludniona ulica wyglądała jak scena czekająca na odegranie sztuki.

Wielka, stara kobieta siedziała na podmurówce, ubrana w postrzępioną bluzę. Siwe włosy wypełzające spod czarnej wełnianej czapeczki okalały jej twarz. Potrząsała tekturowym kubeczkiem do kawy, wywołując rytmiczne grzechotanie. Obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem, kiedy przechodziłem.

– Grosik za prawdę! Grosik za prawdę! – rzuciła do rytmu z grzechotem kubka.

Zatrzymałem się, pogrzebałem w kieszeni. Nie zależało mi tak bardzo na tym, by usłyszeć prawdę, ale zamierzałem dać jej pieniądze. Zwykle ignorowałem ulicznych żebraków. W Weird było ich po prostu za dużo, a do tego jeśli raz dało się im dziesięć centów, pamiętali to i nie odpuszczali. Uciążliwa sytuacja, gdy się mieszka w sąsiedztwie... Ale dziś było wcześniej, a ja czułem się bezsilny, więc wrzuciłem jej parę ćwierćdolarówek do kubka. Spojrzała na nie, a potem podniosła wzrok na mnie i obdarzy szerokim szczerbatym uśmiechem.

– Rozmienione – powiedziała.

– Tak – przyznałem.

Dźwignęła swoje cielsko, dzięki czemu mogła oprzeć się o paczkę gazet.

– Zmiany. To twoja prawda. – Zachichotała, po czym zamknęła oczy i wyglądało na to, że zasnęła.

Parsknąłem i poszedłem sobie. Od niechcienia zastanawiałem się, czy była okaleczoną druidką, jedną z tych, którym talentu wystarcza jedynie na wygłoszenie prostego proroctwa, czy po prostu żebraczką, która wymyśliła prosty trick. Tak czy inaczej, wiedziałem z doświadczenia, że zmiany niekoniecznie oznaczały cokolwiek dobrego. Naprawdę liczyło się to, jak sobie z nimi poradzić.

Wyszedłem na główny odcinek Alei, udekorowany już na paradę podczas Przesilenia. Na szczytach latarni umieszczono lśniące celofanowe słońca, a ich słupy połączone girlandami z wściekle zielonych frędzli, które miały symbolizować świeżą letnią trawę. Każdy wolny kawałek ścian budynków pokrywały plakaty reklamujące imprezy i wyprzedaże oraz najnowsze zagraniczne zespoły, które miały grać podczas festiwalu.

Na biodrze zawibrowała mi komórka. I zaskakujące, jak bardzo przypomina to uczucie wywoływane przez świetlika. Dzwonił Murdock.

– Znalazłeś kogoś na przynętę? – spytałem.

– Jeszcze nie. Znasz może jakieś prawdziwe wróżki, które mogłyby współpracować?

Odpowiedź na to pytanie byłaby zarazem wstydliva i przygnębiająca. Nigdy nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo przyjaźń zależy od rzeczy takich jak władza i pieniądze, póki ich nie stracimy.

– Mam pewien pomysł. Spotkasz się ze mną na rogu Pittsburgh i Alei?

– Piętnaście minut – powiedział i rozłączył się.

Do rogu miałem blisko, więc musiałem czekać niekończący się kwadrans na przyjazd Murdocka. Wsiadłem do wozu.

– Jak tam twoja intuicja, znalazłeś kogoś?

Zmarszczył brwi.

– Nie.

– To może Robin?

Potrząsnął głową.

– W życiu. Przecież to cywil.

– Nadaje się idealnie.

– Jest podejrzanym – odparł Murdock z naciskiem.

– To ja twierdziłem, że jest podejrzanym, nie ty – zaoponowałem.

– Więc się z tobą zgadzam.

– Poza tym jest słabo podejrzanym.

– Connor, już ci mówiłem, że rzeczy małe często zmieniają się w wielkie.

Siedzieliśmy, gapiąc się przez przednią szybę. Upłynęła długa, ciężka minuta.

– Nadaje się idealnie – powtórzyłem.

Murdock przekręcił się w fotelu i spojrzał na

mnie.

– A jeżeli to naprawdę zabójca? Jeżeli schrzanimy sprawę, która powinna być wymierzona przeciw niemu?

– Nie schrzanimy. Sprawcy bardzo często zgłaszają się do pomocy. Zresztą wątpię, żeby to był on. Szkic na podstawie jego zeznań został zweryfikowany przez Tansy.

– ... związaną z ofiarą, którą znali i Shay, i Robin – odparł Murdock.

– Teraz ty dostajesz paranoi, Murdock. Zastanów się. Nie mamy nic innego. Utknęliśmy. Jeśli to rzeczywiście Robin, to nie ma lepszego sposobu na uniemożliwienie mu zabójstwa. Będziemy go mieli okablowanego i pod obserwacją. Co więcej, to go może utwierdzić w przekonaniu, że go nie podejrzewamy. A jeśli to nie on morduje, będziemy mieli sporą szansę złapać mordercę.

– Ruiz się na to nie zgodzi.

– Nie musi wiedzieć. Zebrałeś już sprzęt. Jeśli nic się nie zdarzy, po prostu nie złożysz raportu. Jeśli się zdarzy, będziesz bohaterem.

– Szlag... – mruknął pod nosem. Zacisnął szczęki i kilka razy w milczeniu potrząsnął głową, podczas gdy w jego umyśle toczyła się burzliwa debata. Odwrócił się z powrotem na siedzeniu i wrzucił bieg. Odetchnąłem z ulgą, widząc, że kierujemy się w uliczkę, przy której mieszkali Shay i Robin. Zatrzymaliśmy się przed kamienicą

zabita deskami i wysiedliśmy.

Detektyw otworzył drzwi i polazł mrocznym korytarzem.

– Nie włączaj tego pieprzonego światła! – wrzasnął. Kiedy dotarliśmy do końca hallu, Robin, wyglądający na wściekłego, otworzył drzwi.

Pokój wyglądał jak pobojuwisko. Wszędzie poniewierały się porozrzucone ubrania. Jedno z łóżek odsunięto od ściany. Mała szafka nocna leżała na boku. Shay klęczał na łóżku, wsparty na stercie ubrań. Miał na sobie haftowany kordonkiem płaszcz kąpielowy. Rozpuścił włosy, które teraz okalały jego twarz z rozmazanym makijażem. Wyszarpywał ze sterty zmiętoszone ubrania i składał je gwałtownymi ruchami. Robin opierał się o przeciwległą ścianę, miał na sobie bladozieloną koszulkę i workowate, postrzępione dżinsy. Ramiona splótł ciasno na piersi i mierzył nas nieprzyjaznym wzrokiem.

Murdock odstawił małe przedstawienie, oglądając z uwagą pokój, po czym nonszalancko poprawił oprawiony w ramki plakat, wiszący krzywo na ścianie.

– Przeszkadzamy w czymś?

Shay spojrzał na nas przeciągle, po czym wrócił do składania ubrań.

– Wiosenne porządki – odparł. Czujęm promieniującą od niego złość jak falę gorącą. Gdybym zamknął oczy, nadal bym go wyczuwał i wiedział dokładnie, gdzie jest.

Murdock postawił krzesło, pochylił się, umieścił ciężko łokcie na oparciu i spojrzał na Robina.

- Mam dla ciebie propozycję.
- Wielu ma – wzruszył ramionami Robin.
- A może pomógłbyś nam dorwać gościa, który załatwił Gamelyna?

Shay przerwał to, co robił, ale nie podniósł wzroku.

- A co z tego będę miał?
- Nie chcesz najpierw usłyszeć, czego od ciebie chcemy? – zapytałem.

Wykrzywił się szyderczo.

- A niby mam wybór?
- Każdy ma wybór – odparłem.
- Może w twoim świecie, Connorze Greyu. Tu, na dole, jest inaczej.

- Żyję tu, na dole – oświadczyłem.

Ruszył powoli w moją stronę. Kątem oka zauważyłem, że Murdock odruchowo przyjął bardziej obronną pozycję. Ja się nie poruszyłem. Robin stanął tuż przede mną, patrząc mi zimno prosto w oczy. Czułem, że moja tarcza usiłuje się aktywować i starałem się stłumić odruchową reakcję. Nie chciałem, żeby Robin odniósł wrażenie, że może mnie przestraszyć. Uniósł dłoń i jednym palcem pogładził powietrze przy moim policzku.

- Tylko czy kiedyś to poczułeś? – rzucił.
- Chcemy, żebyś zagrał przynętę – odezwał

się nagle Murdock. Robin i ja nadal patrzyliśmy sobie w oczy.

W końcu on parsknął i odszedł, po czym oparł się znowu o ścianę.

– Myślałem, że morderca poluje na wróżki.

– Bo tak jest – odparłem. – Będziesz miał uroczy kamień. To go zmyli.

– Już pytałem: co z tego będę miał? – powtórzył.

– Nie! Coś ci się może stać! – Shay zwlókł się z łóżka i stanął przed Robinem.

– Zamknij się, Shay. – Robin nie spuszczał oczu z Murdocka.

– Będzie miał założony podsłuch, a my w razie czego będziemy czekali w pobliżu – wyjaśnił Murdock.

Shay spojrzał na niego.

– I co? Tamten świr zaczeka z dźgnięciem nożem, aż się zjawicie?

– Powiedziałem, zamknij się, Shay – wycedził Robin, odsuwając się od niego.

– Nie, nie zamknę się, Robin. Nie zniosę tego więcej.

– Czego więcej nie zniesiesz, Shay? – wtrąciłem.

Odwrócił się i zaczął zbierać ubrania.

– Tego wszystkiego. Walki. Strachu. Ryzyka. Przyjechałem, żeby od tego uciec. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. – Usiadł na łóżku bokiem do nas, wpatrując się w rozbabraną szafę.

– Co z tego będę miał? – powtórzył cicho Robin.

– Pogadamy o tym, kiedy będzie trzeba.

Wydał wargi.

– A jeśli nie zechcę tego zrobić?

Murdock wzruszył ramionami.

– To załatwimy to po staremu.

Robin wyszczerzył się do mnie.

– I miałeś rację. Mam wybór. Mogę sobie wybierać: nic, nic albo ewentualnie – nic. I żadnej gwarancji, że mnie nie udupi, jeśli odmówię. – Uniósł na mnie brwi, czekając, ale nie dałem się podpuścić.

Był zbyt mądry, żeby przyjąć za dobrą monetę frazesy, jakie mogłem mu zaoferować, i zbyt głupi, żeby pojąć, iż znalazł się w tym położeniu na własne życzenie.

– Kiedy to zrobimy? – spytał.

– Dziś w nocy – odrzekł Murdock.

– Świetnie.

Shay wydał z siebie zduszony dźwięk, który mógł być szlochem albo warknięciem, po czym wszedł gwałtownie do wnekowej garderoby, szarpnięciem zasuwając za sobą kotarę.

Murdock i ja wyszliśmy na ulicę, po czym wsiedliśmy do samochodu.

– O co tam chodziło? – spytałem.

– Sądzę, że Robin go trzepnął – powiedział Murdock. Zapalił silnik i wyjechał na ulicę. Samochód zakotłosał się na wybojach, rozrzucając

papiery na tylnym siedzeniu.

Zastanowiłem się. Makijaż Shaya wyglądał na rozmazany raczej od snu niż od uderzenia albo spoliczkowania. Wydawało się też, że złość Robina wywołało raczej nasze wtargnięcie niż Shay. Z całą pewnością się pokłócili, ale nie wiadomo o co.

– Wysłałem wiadomość do Joego, chochlika. Myślę, że pomoże nam sprowadzić Tansy – zauważyłem. Murdock skinął głową.

– A jak chcesz ją ochronić?

– Przecież to chochlik. Śmignie, jeśli zrobi się gorąco – odparłem uspokajająco.

– Lepiej, żebyś miał rację, Connor.

Nie odpowiedziałem. Miałem dosyć własnych wątpliwości po wplątaniu Shaya, Robina i Tansy w tę sprawę, ale uznałem, że lepiej tego nie wygłaszać przed Murdockiem. Wciąż gotów był zrezygnować.

– Możesz zebrać więcej materiałów na Shaya?
– spytałem.

– Jasne, przecież nie mam nic do roboty – prychnął sarkastycznie.

– Naprawdę. Coś tu jest nie w porządku. Już po raz drugi poczułem od niego dziwne wibracje. To z całą pewnością człowiek. Jego esencja jest wyjątkowo silna. Mogę nawet dostrzec jego aureę. Ma regularne kontakty z fata, co zapewne wzmocniło efekt u kogoś z tak silną esencją.

– A co to za wibracje?

Wzruszyłem ramionami.

– To tylko takie przeczucie. Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy, chciał pomocy. Teraz nie chce mieć ze sprawą nic wspólnego.

– Connor, zapominasz, że mamy do czynienia z ludźmi żyjącymi po złej stronie prawa. Oni zawsze tak fikają.

– Może masz rację. Shay jest pod obserwacją? Podjechał pod bramę mojej kamienicy.

– Od dnia, kiedy go spotkaliśmy. Zabawne, ale jak na prostytutkę, nie pracuje za dużo. Miał tylko dwa podejrzone spotkania, obydwie w hotelu z różnymi facetami. Poza tym wraca do domu jeszcze przed zamknięciem baru.

– Nie aresztowałeś go?

Potrząsnął głową.

– Nie. Kazałem go śledzić tylko dlatego, że miałeś podejrzenia. Mamy masę czasu, żeby go udupić. Słuchaj, pošlę kogoś, żeby się rozejrzał, ale jutro. Dziś nie chcę, żeby ktoś wywęszył, dlaczego interesuję się Shayem.

Wysiadłem z samochodu.

– Dzięki, Murdock. I nie tylko za to.

– Wpadnę po ciebie później – rzucił i odjechał.

W domu zaparzyłem sobie kolejną kawę. Po wyjściu z chlewu, w jaki Murdock zamienił swój samochód, spojrzałem na moje mieszkanie świeżym okiem. Zdecydowałem, że porządki będą kolejnym krokiem na mojej drodze do samodoskonalenia. Przynajmniej posprzątam salon, pracownia to jednak za wiele. Musiałem

zmobilizować do tego całą wewnętrzną dyscyplinę. Zasałem futon i złożyłem go na pół, jak kanapę. Zebrałem z podłogi czasopisma, pięć brudnych kubków po kawie umieściłem w zlewie i przeszedłem się z kubłem na śmieci, zbierając zużyte chusteczki i przysłane pocztą reklamówki. Potem zmyłem i odkurzyłem poziome powierzchnie i pogrążyłem się w głębokim samozadowoleniu.

Zwaliłem się na bujany fotel, wyłożyłem nogi na parapet i pociągałem sobie zimną kawę z kubka. Coś w Shayu nie dawało mi spokoju i nie mogłem przejść nad tym do porządku dziennego. Zdecydowanie nie chodziło o jego androgynię. Coś mnie w nim fascynowało. Kiedy patrzyłem na Shaya, automatycznie usiłowałem przyporządkować go do jakiejś kategorii płciowej, ale jego ciało i twarz uparcie do tego nie pasowały. Nie mogłem się opędzić od myśli, że ktoś słabiej kontrolujący emocje mógłby być tym poirytowany, zwłaszcza jeśli miał wątpliwości co do własnej seksualności. Shay był równocześnie śliczny i przystojny, męski i kobiecy.

Wydawał się wykształcony, ale to nic nie znaczyło. Nawet idąc tym tokiem rozumowania, nie byłby pierwszym miłym dzieciakiem z klasy średniej, który trafił na ulicę. Może Murdock miał rację. Może życie na tych przedmieściach z zielonymi trawnikami i płotami z białej siatki nie było szczególnie miłe dla kogoś, kto nie pasował

do wzorca przeciętnych Dicka i Jane. Mnóstwo dzieciaków trafiało do Weird. To tam mieszkali fata, to tam działy się najfajniejsze rzeczy. Większość smarkaczy wpadała przejazdem. Shay jednak został i jakoś skończył w towarzystwie Robina. W tym nie było jednak nic tajemniczego. Tu, na dzielnicy, warto było mieć przyjaciela, zwłaszcza większego albo silniejszego.

Najbardziej niepokoiło mnie, że Shay nie wspomniał o rozmowie z mordercą. Barman we „Flitterbugu” wspomniał o tym z własnej woli, bez nakłaniania, więc informację można było uznać za wiarygodną. Nie mogłem pogodzić milczenia Shaya na ten temat i jego chęci współpracy przy tworzeniu portretu pamięciowego. To nie miało sensu. Mógł albo w ogóle nic nam nie mówić, albo dać wszystko. Cokolwiek znaczyło to zachowanie, zdecydowanie wskazywało, że wokół Shaya dzieje się znacznie więcej, niżby sobie życzył. I zamierzałem to wyjaśnić, chciał czy nie.

W ciągu dnia zrobiło się gorąco, lekka mgła zasnuła horyzont. Siedziałem w salonie, czytając i drzemiąc, aż szare niebo przybrało głębszy odcień. Czekałem na nadejście nocy.

Zmierzch nastał i już pozostał, bo wiszące nisko chmury odbijały światła miasta. Widoczne za portem sygnalizatory pozycyjne lotniska lśniły jaskrawą czerwienią, kiedy samoloty, hucząc, startowały w niebo jak metalowe owady.

Dźwignąłem się i wrzuciłem zamrożone taco

do mikrofalówki. Kiedy nalewałem sobie szklanę wody, rozległ się za mną głos:

– Przygotuj dwa.

Odwracając się, niemal upuściłem szklanę i ujrzałem Stinkworta oraz Tansy, unoszących się w salonie.

– Musimy ustalić, jak mógłbyś pukać.

Tansy jęknęła z zachwytu i podfrunęła prosto do mikrofalówki. Przyłożyła obie dłonie do szyby i zaczęła uważnie obserwować obracające się taco.

– Dlaczego? Nie przerywam ci przecież randki – odparł Joe.

– Jasne. I kto to mówi? – Siorbnałem łyk wody. Mikrofalówka zadzwoniła, Tansy odskoczyła z piskiem zaskoczenia.

Wyjąłem taco i oparzyłem palce, wyrzucając tłuste placki na talerz.

– Chcemy zastawić pułapkę na mordercę. Mam nadzieję, że Tansy pomoże go szukać.

Na dźwięk swojego imienia podfrunęła do mojego talerza i ostrożnie obejrzała taco. Zaproponowałem jej kawałeczek mięsa podany na koniuszku palca. Wzięła go ostrożnie, obwąchała kilka razy, a potem rzuciła na blat z grymasem obrzydzenia. Kiedy jadłem, Joe tłumaczył moją prośbę.

Zauważyłem, że na początku Tansy wydawała się przerażona pomysłem. Jej twarzyczka, o ile to możliwe, zrobiła się jeszcze bledsza. Po dalszej wymianie zdań, zbyt szybko, żebym cokolwiek

zrozumiał, Joe odwrócił się do mnie.

– Pójdzie, ale tylko pod warunkiem, że i ja tam będę.

– Miałem nadzieję, że i tak pójdziesz.

– Świetnie. Tak nas pchasz do siebie, że w tym tempie wylądujemy w łóżku jeszcze przed końcem filmu. – Spojrzał na Tansy z namysłem. – Może i zafunduję jej stare dobre ryps-wypsy, tak dla jaj.

– Ale z ciebie burak.

Spojrzał na mnie szyderczo.

– Jasne, a ty jesteś z tych chrześcijańskich świętych. Nie zwykłem pukać, pamiętasz?

Zaśmiałem się.

– W gruncie rzeczy sędzę, że zrujnowałeś większość związków, jakie kiedykolwiek miałem.

– Nie było z tym za dużo roboty – odparł.

Rozległ się brzęczyk domofonu.

– To Murdock.

Murdock nie był w lepszym nastroju niż wtedy, kiedy go zostawiłem. Wyglądał na wymiętego, co w jego przypadku oznaczało zagniecenia na koszuli i lekko poluzowany węzeł krawata. Z detektywa emanowało napięcie, Stinkwort i Tansy tańczyli w powietrzu nad tylnym siedzeniem. Nie rozmawialiśmy podczas jazdy. Wiedziałem, że Murdocka nie warto naciskać, kiedy był w takim stanie. Zaparkowaliśmy w bocznej uliczce przy wtórze nieustannego paplania Tansy. O ile mogłem się zorientować, cierpiała na przemożny przymus identyfikowania wszystkiego,

co widziała. Zdążyła już wskazać samochód, drzewo i ciężarówkę, każde po kilka razy.

Przekroczyliśmy drzwi z desek. Shay już czekał nerwowo, kiedy się zbliżaliśmy. Miał na sobie krótką czerwoną tunikę, obszytą zbyt wieloma paciorkami, i związał włosy w kok na czubku głowy. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że wygląda jak młodociana gejsza.

– Spóźniliście się – powiedział Robin z drugiej strony pokoju. Miał na sobie jaskrawozieloną koszulkę i pasujące do niej szorty. Rozpuszczone włosy spływały falami na ramiona.

– Założmy kable – odezwał się Murdock. Bez słowa Robin uniósł T-shirt. Murdock z widoczną wprawą przykleił cienkie przewody na jego opiętej na mięśniach skórze i chłopak opuścił koszulkę. Murdock skinął na mnie głową i wyjąłem małe drewniane pudełko kryjące talizman.

Wydawało się, że kasetka z polerowanego orzechowego drewna wibruje w moich dłoniach. Wiedziałem, że wrażenie bierze się z ochronnego zaklęcia, a nie kamienia. Pudełko było tylko po to, by chronić i maskować talizman. Zdjąłem pokrywkę i wydobyłem kamień. Był to mały, czysty kryształ, nie większy niż jedna ósma cala, oprawiony w tani, złoty krążek i zawieszony na brązowym rzemieniu. Uniosłem go, kamień błysnął i poczułem bijącą od niego esencję wróżki. Podałem talizman Robinowi.

Spojrzał na kamyk przelotnie, po czym założył

go na szyję. Kiedy rzemień opadł poniżej linii jego włosów, Shay gwałtownie nabrał powietrza. Robin wydał się nagle wyższy i bardziej ciężki w biodrach. Jego wargi skłonne do zaciskania się w wąską linię w wyrazie udreki teraz zyskały rys bardziej wyrafinowanej arogancji. Jego oczy zalśniły stalowym błyskiem, a włosy ułożyły się na ramionach bardziej elegancko. Ostatecznym efektem jednak był blady zarys skrzydeł trzepoczących za jego plecami. Wyglądał na wróżkę z lekkim urokiem maskującym częściowo obecność skrzydeł.

Tansy latała nad nowym Robinem, z zachwytem dotykając jego włosów.

– Śliczny! Śliczny! – wrzeszczała.

Shay wyciągnął rękę i także dotknął włosów towarzysza.

– Wyglądasz cudownie – wyszeptał.

– Nic nie czuję – odparł tamten.

– I nie powinieneś – zapewniłem.

Murdock spojrzał na mnie.

– Wygląda w porządku. To zadziała?

Skinąłem głową.

– Jeśli się przyjrzeć, jego ludzka esencja jest tam gdzieś pod spodem, ale na pierwszy rzut oka wydaje się, że to wróżka. W zatłoczonym barze wystarczy.

– A co będzie, kiedy wyjdę z baru?

Murdock potrząsnął głową.

– Nie wyjdiesz. Chcemy tylko, żebyś się z

nim pobawił, dał nam opis i skończył z tym.
Pójdziemy za nim stamtąd.

– A co potem? A jeśli pójdzie za Robinem? – zapytał Shay.

– Nie sędzę. Bez talizmanu nie zwróci na Robina większej uwagi niż na mnie – odparłem. Shay nic nie mówił, wyglądał na osłupiałego.

Wsiedliśmy do samochodu Murdocka. Po znacznym przemeblowaniu tylnego siedzenia, co objęło kilka spacerów do najbliższego śmietnika, Shay i Robin zajęli miejsca. Okrążyliśmy powoli kwartał i wjechaliśmy w Aleję. Ruch przefiltrowany przez światła na skrzyżowaniu nie był gęsty, więc znaleźliśmy miejsce do parkowania o pół przecznicy od „Flutterbuga”, z dobrym widokiem na wejście.

Murdock obrócił się na siedzeniu.

– Teraz słuchaj, Robin. Chcę słyszeć twój komentarz. Kiedy będziesz sam, mów nam, co widzisz, bez zwracania na siebie uwagi. Jeśli ktoś będzie do ciebie startował, chcę, żebyś wplótł w rozmowę jego opis, ale bez wzbudzania podejrzeń. Jeśli zacznie się do ciebie dowalać ktoś, kto nie pasuje do opisu Shaya, pozbądź się go jak najprędzej.

– A co ja mam robić? – zapytał Shay.

– Nic. Zostań tutaj i słuchaj przekazu. Mówiłeś, że nigdy nie zapomnisz jego głosu.

Omam się nie roześmiałem na widok zaskoczenia na jego twarzy.

– W życiu! Ja jestem waszym głównym świadkiem!

– Jeśli ty go rozpoznasz, on rozpozna ciebie. A jeśli on cię zauważy pierwszy, to się zmyje, zanim będziemy o tym wiedzieli. Koniec dyskusji.

Shay splótł ramiona i zgarbił się na siedzeniu.

– Tu nawet nie ma porządnej tapicerki – wymamrotał.

Robin wysiadł z wozu i poszedł prosto do baru, a Stinkwort i Tansy fruwali mu nad głową. Kiedy dotarł do wejścia, zawahał się, co upewniło mnie, że wcale nie jest taki pewny siebie, jak się zdawało.

– Słyszycie mnie? – zapytał Robin. Jego głos był stłumiony, ale dobrze słyszalny. Murdock dał jeden sygnał klaksonem, krótki, tak, by nikt nie zdołał wyśledzić źródła. Robin skinął głową i wszedł do baru. Dało się słyszeć dudnienie muzyki i wyobraziłem sobie, jak nasz tajniak przedziera się przez parkiet do tańca. Miałem nadzieję, że ma dosyć rozumu, żeby trzymać się z dala od głośników. W tym samym momencie odgłos muzyki przycichł i zmienił się w tło.

– Jak leci? – odezwał się Robin.

– Ja cię znam? – padło niechętne pytanie i zrozumiałem, że to barman, ale nie byłem pewien, czy ten sam, z którym rozmawiałem.

– To Bem. Straszny z niego dupek – odezwał się Shay z tylnego siedzenia.

– Nie. Daj mi mineralną – odrzekł Robin.

– Nie zarabiam na mineralnej – powiedział Bem.

– To dolej do niej wódki i zamknij się – odparował Robin.

– Nie zwrócę mu za chłanie – nadał się Murdock.

– Może zajmiemy się tym później – zauważyłem dyplomatycznie.

Siedzieliśmy w irytującej ciszy, przerywanej tylko stłumionymi odgłosami baru. Za każdym razem, kiedy Shay wiercił się na tylnym siedzeniu, paciorki na jego tunice brzęczały cicho. Aleją obojętnie krążyło kilka samochodów, jakby oczadziały od duchoty. Wyglądało to tak, jakby świadomość, że po mieście grasuje morderca, wpłynęła na miejski tłum. To i fakt, że był środek tygodnia.

– Hej, przystojniaku, ile ty masz lat? Sześćdziesiąt dwa? Trzy? – odezwał się Robin.

– Ile? – odezwał się szorstki głos.

– Mówiłem, że sześćdziesiąt dwa albo trzy – odparł Robin.

– Nie o to mi chodziło – zabrzmiała odpowiedź.

– Wiem. Wy, trolle, jesteście tacy niecierpliwi. Gdzie zarobiłeś tę bliznę? Uderzyłeś się o most? – to znowu Robin. Murdock właściwie zachichotał.

– Pierdolone wróżki, wydaje się wam, że jesteście lepsi od innych, co? – prychnął troll. A potem zachichotał. – A chcesz zarobić własną

szramę? Co?

A potem nastąpiła długa cisza, z barem w tle.

– Poznałeś ten głos, Shay? – zapytałem.

Paciorki zabrzęczały na tylnym siedzeniu.

– Nie, tamten zdecydowanie nie był trollem.

Co wy myślicie, że nie wiem, jak wygląda troll?

Jak na zamówienie troll zaklął ponownie i odszedł.

– I jeszcze śmierdział jak roquefort – zamruczał Robin.

– Tylko jeśli nie myją rąk – powiedziałem, wiedząc, że i tak mnie nie słyszy.

Płynęły godziny. W miarę jak pogłębiał się wieczór, coraz więcej gości uderzało do Robina z coraz mniej oryginalnymi tekstami. Zapomniałem już, jak toporne potrafią być próby podrywu. Jedyną rozrywką były sarkastyczne teksty Robina, odsyłającego niedoszłych klientów. Chłopak zdecydowanie wiedział, jak spławiać absztyfikantów. Był też całkiem sprawny w podsyłaniu nam rysopisów bez wzbudzania podejrzeń. Większość natrętów była ludźmi. Raz tylko trafił się elf, przypuszczalnie pragnący nieco osłabić animozje pomiędzy gatunkami.

– To jest nudne – powiedział Shay.

– Zdaje się, zamartwiałeś się, że raczej niebezpieczne – odparłem.

– Bo się martwię. Po prostu nie myślałem, że niebezpieczeństwo potrafi być nudne.

– Tak się zastanawiam, Shay, skoro słyszałeś

tamtego gościa tak wyraźnie, to może dlatego, że mówił do ciebie.

Zapadła długa cisza.

– Nie. Pamiętałbym chyba, nie? Zapamiętałem jego głos, bo stałem obok Gamelyna, kiedy się umawiali.

Coś w jego głosie sprawiło, że odwróciłem się i spojrzałem na chłopaka. Siedział z głową opartą bokiem o szybę i patrzył gdzieś w przestrzeń za oknem.

– Pamiętałbym – wymamrotał ponownie, nie wiadomo do mnie czy do siebie.

– Hej, zobaczcie, jaki czad. – Murdock pokazał coś na ulicy.

Wróżka kroczyła chodnikiem w pełnej chwale, jej olbrzymie skrzydła barwy babiego lata wznosiły się za nią jak wielkie srebrne welony. Miała na sobie tradycyjną zieloną suknię dla klas niższych, kostium omalże groteskowy przy bijącym od niej majestacie. Skłębione rude włosy tańczyły wokół jej głowy jakby były żywe, iluzję podtrzymywały wirujące wokół niej chochliki. Chochliki uwielbiają efektowne wróżki.

Shay pociągnął nosem z tylnego siedzenia.

– Proszę, nawiedza slumsy.

Wróżka dotarła do wejścia „Flutterbuga” i zatrzymała się. Kiedy wchodziła do środka, w odbitym świetle ulicy zobaczyłem jej twarz. W przyplywie nagłej wściekłości poczułem oblewającą mnie falę gorąca. Keeva.

– Co ona, do diabła, sobie wyobraża? –
Szarpnąłem klamkę przy drzwiach.

Przebiegłem przez ulicę, słysząc chór klaksonów. Ledwie dobiegłem do chodnika po drugiej stronie, a pojawienie się Keevy już wywołało efekt. Wyglądała na agentkę Gildii albo na kogoś, kto szuka kłopotów. Klienci dosłownie uciekali z baru. Przepchnąłem się do wejścia – zbombardowała mnie muzyka i ludzki gwar. Przytłoczył mnie skoncentrowany odór esencji zabarwiony seksem, złością, desperacją i odrobiną rozbawienia. Większość ludzi przepychała się na zewnątrz. Zobaczyłem Keewę po przeciwnej stronie parkietu.

Podszedłem i chwyciłem ją za ramię. Odwróciła się, gwałtownie wyrywając rękę, jej oczy rozjarzyły się białym blaskiem mocy. Moja osobista tarcza wzbudziła się tak nagle, że poczułem ostrze bólu orzące mi czoło. Powietrze niemal trzaskało od nadmiaru energii, ludzie zaczęli odsuwać się od nas w przerażeniu.

– Opuść sobie, Keeva – powiedziałem.

Blask w jej oczach przygasł, kiedy mnie rozpoznała, ale nadal lśniły z gniewu. Wyszarpnęła ramię.

– Nie dotykaj mnie.

Widziałem w odległym kącie baru Robina w otoczeniu klientów wyglądających na poirytowanych. Stinkwort pojawił się nad Keewą z podejrzliwym grymasem. Ze sposobu, w jaki

trzymał ramiona, zrozumiałem, że ściska rękojeść miecza, który nosił okazjonalnie, osłonięty urokiem. Miałem nadzieję, że jego umiejętności dorównują determinacji.

– Co ty tu, do diabła, robisz? – spytałem.

– Pracuję. Wynoś się, zanim wszystko popsujesz – syknęła.

– Bo co? Zepsuję ci przykrywkę? Mogłaś tu równie dobrze wejść z włączonym kogutem na głowie.

– Zjeżdżaj stąd albo cię oskarżę o utrudnianie.

Przysunąłem się do niej tak, żeby nikt więcej nas nie słyszał.

– To ty utrudniasz. Mam tu robotę do zrobienia.

Uniosła brwi, po czym rzuciła spojrzenie przez ramię. Stinkwort wyszczerzył się do niej, odpowiedziała mu tym samym i znów patrzyła mi w oczy.

– Pogadajmy. – Pchnęła mnie i wymaszerowała przez drzwi.

Stinkwort latał w pobliżu.

– Wszystko okay?

– Tak, dzięki za wsparcie. – Spojrzałem na koniec baru. Robin pochylał się, słuchając kogoś, kto stał obok. – Jak tam leci?

– Ten Robin to niezły fiut. Od dziesięciu minut drażni się z tym starszym gościem.

Spojrzałem na niemal pusty bar.

– Pilnuj drzwi, kiedy będę rozmawiał z Keevą.

Odprowadził mnie przez parkiet i został przy drzwiach, kiedy wychodziłem. Keeva czekała jakieś dwadzieścia metrów dalej z rękami opartymi na biodrach.

– O co chodzi? Chcesz tu wszystkich przestraszyć? – Podeszedłem do niej. Uśmiechnęła się.

– W sumie tak. Mówiłam ci. Pracuję. Szukam zaginionej osoby.

– Zabawny sposób szukania. Rozwaliłaś mi zasadzkę.

– Jak działałam, to moja sprawa. Nie zgłaszałeś żadnej zasadzki.

Miała mnie. Jeśliby zraportowała o naszej próbie inwigilacji, Murdock zwyczajnie by mnie zabił.

– Jak działałam, to moja sprawa – rozpaczliwie usiłowałem znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Patrzyliśmy na siebie długo.

– Wygląda na to, że obie operacje są spalone – zauważyłem. Trąciła mnie mocno w pierś.

– Dzięki tobie.

Wzięłem kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

– W tej chwili nie chodzi o winę.

– Po prostu przeszkodziłaś w operacji Gildii – powiedziała.

– A ty po prostu rzuciłaś okiem na poranny wykaz operacji, nie zadając sobie trudu, żeby sprawdzić, czy są uaktualnione. Nie mówiąc o tym,

że najtańsza dziecięca dziwka zauważyłaby mnie w ciemnym samochodzie. Nawet się nie rozejrzałaś. – Pierwsze zdanie było czystym blefem.

Departament policji niekoniecznie ogłaszał o wszystkich swoich operacjach. Keeva rzadko miała do czynienia z ludzką policją, więc zakładałem, że o tym nie wie.

Wlepiała we mnie wzrok.

– O co ci chodzi?

– Oboje mamy przechlapane. – Nabrałem powietrza, w nadziei, że chwyci przynętę. O ile znałem Keevę McNeve, najbardziej nienawidziła, kiedy wyglądało na to, że nawaliła.

Jej twarz stężała, a na policzki wypłynął rumieniec.

– Co proponujesz?

Zrobiłem powolny wydech i rozłożyłem ręce w pojednawczym geście.

– Oboje złożymy raport, że nasze operacje nie przyniosły rezultatów. Nic więcej.

Niemal było widać, jak w jej umyśle obracają się trybiki.

– Nic ci nie jestem winna – oznajmiła w końcu.

– Jeśli oboje zameldujemy, że nic się nie zdarzyło, sprawa skończona. *Quid pro quo.*

– Dobra, ale odtąd masz mi meldować o wszystkich poczynaniach.

Uśmiechnąłem się i potrząsałem głową.

– *Quid pro quo.*

- Sukinsyn.
- Też za tobą tęskniłem.

Chciała jeszcze coś dodać, ale urwała i popatrzyła ponad moim ramieniem. Murdock wjechał na krawężnik. Pochylił się i otworzył drzwi pasażera, po czym odchylił siedzenie. Shay ze zirytowaną miną gramolił się na zewnątrz.

Murdock pomachał na mnie.

– Wsiadaj. Podali przez radio, że mają kogoś w areszcie. To może być nasz facet.

Wymieniłem jedno zdziwione spojrzenie z Kevą i wskoczyłem do samochodu. Murdock odpalił swojego koguta i zawrócił z wyciem syreny. Stinkwort utknął w małej przestrzeni za lusterkiem wstecznym. Znienacka Murdock wdepnął hamulec. Stinkwort rąbnął w przednią szybę i spadł na deskę rozdzielczą.

– Niezły refleks – oznajmił, rozcierając czoło.

– Przepraszam, Joe. – Murdock znowu nacisnął gaz. Stinkwort dźwignął się mozolnie.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Aresztowali kogoś – powiedziałem.

– To znaczy, że koniec z robotą niańki? – zapytał.

– Tak. Powiedz Robinowi i Shayowi, że kończymy na tę noc – odparłem.

– I upewnij się, że pojeźli, jak trafić do domu. Odwiedzę ich o świcie – dorzucił Murdock.

Stinkwort przewrócił oczami i wyśmignął.

– Kto go przyskrzypił? – spytałem, kiedy

Murdock kluczył między samochodami.

– Nie wiem – jego głos był jakiś zduszony. Murdock nienawidził wypadać z gry, szczególnie gdy chodziło o jego śledztwo.

Zajechaliśmy przed budynek komendy rejonowej, gdzie chodniki roiły się od mundurowych. Murdock zaparkował pod hydrantem i wysiedliśmy. Kiedy śpieszyliśmy po schodach, zauważyłem, że większość gliniarzy ma to szczególne spojrzenie, jakby zamierzali zbadać i ocenić wszystko, co widzą dookoła. Każdego rozpieierała ciekawość, nawet jeśli ofiary należały do gatunku, który ludzi nic nie obchodził.

W wielkim westybulu Murdock zatrzymał się gwałtownie. Keeva ze śliskim uśmiechem przytrzymała mu uprzejmie wewnętrzne drzwi.

– Jak się tu, cholera, dostałaś? – wycedził zdumiony.

– Może pan nie zauważył, detektywie, ale mam skrzydła – odpowiedziała.

Murdock posłał mi zdziwione spojrzenie, ale ja pokiwałem tylko głową. Skrzydła wrózek wydawały się zbyt nierzeczywiste i niematerialne, żeby mogły utrzymać kogokolwiek w powietrzu i byłoby to niemożliwe, gdyby sprowadzało się li tylko do aerodynamiki oraz siły mięśni. Jednak w rzeczywistości cienkie błonki skrzydeł stanowiły przekąźnik, pozwalały manipulować esencją. Wrózki były w stanie poruszać się cholernie szybko, jeśli chciały, a chochliki były jeszcze

szybsze.

Weszliśmy do gwarne go hallu, gdzie siedział oficer dyżurny w swoim akwarium z kuloodpornego szkła. Kiedy tylko rozpoznał Murdocka, wcisnął brzęczyk, otwierając nam drzwi z prawej strony budki. Przeszliśmy gęsiego do mniejszego korytarza, gdzie znajdowały się umieszczone z tyłu biura i panował względny spokój. Śledczy w cywilu przeciągali się za swoimi biurkami i udawali, że pracują. Rzucali przeciągłe, tęskne spojrzenia zamkniętym drzwiom na końcu pomieszczenia i łatwo było zorientować się, gdzie teraz toczy się główna akcja. Murdock minął ich żwawym krokiem, zapukał i otworzył drzwi.

W wąskim, ciemnym pokoju tłoczyli się ludzie, usiłujący dopchać się do zajmującej całą ścianę tafl i weneckiego lustra. Za szybą, przed poprzypalany m papierosami stołem, siedział wysoki mężczyzna ze splecionymi na piersi rękoma i kiwał się powoli na krześle. Miał ogoloną głowę, a na jednej stronie twarzy kilka siniaków tworzyło ciemny wzór. Prócz niego w pokoju znajdował się tylko mundurowy funkcjonariusz, stojący pod ścianą jak najdalej od podejrzanego. Z małego głośniczka dobiegało monotonne: „Nie chciałem. Nie chciałem. Nie chciałem. Nie chciałem” – wciąż i wciąż od nowa.

Przeniknęło mnie dziwne uczucie. Wydawało się, że czas w mrocznym pomieszczeniu nie płynie, zawieszony dzięki monotonnemu kołysaniu się

mężczyzny. Jego oczy patrzyły mętnie przed siebie. Czułem jego esencję, stosunkowo silną, i łatwo mogłem sobie wyobrazić, że byłby zdolny do zdominowania wróżki. Mając odpowiednie zdolności, mógłby nawet oprzeć się innym fata. Wydawało się, że wie, co robi, i wcale nie jest tak dezorientowany, jak by się wydawało. Chciałbym sprawdzić, kto z obecnych odpychał jego wibracje, ale w takim tłoku było to niemożliwe.

– Kapitan na was czeka – ktoś przerwał ciszę. Murdock ruchem głowy kazał nam iść ze sobą. Keeva i ja ruszyliśmy tuż za nim. Kiedy przechodziliśmy przez pokój operacyjny, zauważyłem siedzącego w rogu wróżkę o skręconych w pukle ciemnoblonde włosach, w podartej czerwonej tunice. Łzy wyślubiły w jego makijażu kręte kanały.

Detektywi w cywilu nie udawali już, że pracują, za to wodzili za nami wzrokiem pełnym wyraźnej niechęci, a nawet pogardy. Coś było nie tak. Gdy podeszliśmy do biura kapitana, fala skoncentrowanej, doskonale rozpoznawalnej esencji uderzyła mnie w twarz. Otworzyły się drzwi, wypuszczając jednego z asyentów, i wcisnęliśmy się do kolejnego ciasnego pomieszczenia.

Emilio Ruiz, kapitan obwodu B, przywołał nas niecierpliwym gestem. Jak twierdził Murdock, Ruiz był sztywnym facetem, na ogół trzymającym się regulaminu. Dochrapał się

kapitana, wspinając po szczeblach policyjnej kariery stopień po stopniu, i chciał, żeby tak zostało. Ruiz robił swoje, regularnie pomijany przy okresowych awansach, i trzymał się z dala od polityki. Dlatego poczułem żal, kiedy zobaczyłem, że dwóch największych graczy politycznych w mieście rozsiadło się wokół biurka kapitana policji.

Najpierw rozpoznałem siedzącego do nas plecami komisarza Scotta Murdocka, ojca Murdocka. Komisarz odwrócił głowę, by zobaczyć, kto przyszedł. Był wysokim mężczyzną, niemal mojego wzrostu, i miał równie ciemne oczy jak jego syn. Wiek nie zmiękczył jego rysów i myślę, że wciąż przyciągał spojrzenia na ulicy, z tymi swoimi wysokimi kośćmi policzkowymi i przyprószonymi siwizną krótkimi, cienkimi włosami. O ile mogłem się zorientować, nie przepadał za mną.

A po lewej stronie biurka zasiadł ten, którego esencję tak łatwo rozpoznałem. Lorcan MacDuin, szef Biura Kontaktów Społecznościowych. Był wyjątkowo wysoki, co w Starym Kraju często było oznaką przynależności do rodów królewskich. Jasnoblond włosy związał w koński ogon, który zwisał mu aż do bioder. Jak zwykle miał na sobie szyty na miarę czarny garnitur i czarny cienki golf, który sprawiał, że MacDuin wydawał się jeszcze wyższy. Niewielkie falowanie nad jego ramionami wskazywało, że użył standardowego uroku do zamaskowania skrzydeł. Skinął głową Keevie, ale

wydawało się, że nie zauważył ani mnie, ani Murdocka. Dobrze wiedziałem, że mnie nie znosił.

Komisarz skinął dłonią.

– Kontynuuj, Lorcan.

MacDuin nie poruszył się. Jego świdrujące zielone oczy przeskoczyły z Murdocka na mnie, zanim zaczął mówić.

– Jak już mówiłem, Gildia będzie niewymownie wdzięczna za zatrzymanie podejrzanego w areszcie. Nalegamy na to. W tej sprawie jest wiele niecodziennych aspektów, które z całą pewnością zostaną potwierdzone przez naszych ekspertów.

– Czy ktoś może mnie szybko wprowadzić? – przerwał Murdock. W pokoju zapadła brzemienna cisza. Ostatecznie to Ruiz zdecydował się wyjaśnić sytuację.

– Dyrektor MacDuin dostarczył podejrzanego zatrzymanego podczas usiłowania morderstwa na męskiej prostytutce w zaułku przy Congress. Obecnie ustalamy jurysdykcję.

– Pan wybaczy, szefie, ale napastnik to człowiek, chyba to oczywiste, że jest nasz? – zauważył Murdock. Ruiz rzucił komisarzowi szybkie, zakłopotane spojrzenie.

– Patrząc z jednej strony, rzeczywiście, jednak z drugiej, zatrzymania dokonał pracownik Gildii.

Odwróciłem lekko głowę, by spojrzeć przez szybę oddzielającą biuro Ruiza od pokoju operacyjnego, chciałem się przyjrzeć niedoszłej

ofierze. Widziałem go z profilu, nie poruszał się, tylko raz zaczesał za ucho kosmyk włosów. Gdy odwróciłem wzrok z powrotem na biuro, przyłapałem Keevę na nieudolnej próbie zademonstrowania, jak to wcale mnie nie obserwuje.

– Gildia generalnie przejmuje te sprawy, w których oficjalnie bierze udział – zauważył Murdock.

MacDuin sprawiał wrażenie znudzonego.

– Jak już mówiłem komisarzowi, detektywie, w interesie uspokojenia opinii publicznej Gildia z radością odda tego mordercę w ręce sprawiedliwości za zbrodnie wyrządzone naszemu ludowi.

Ton jego głosu dosłownie porysował parkiet.

Murdock spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Pan uważa, że to jest facet, który mordował wróżki?

MacDuin zacisnął wargi.

– To on.

Murdock przez chwilę kiwał głową, w zamyśleniu wypychając językiem policzek.

– Więc cały nasz departament od tygodnia w stanie najwyższej gotowości poszukuje tego gościa, aż tu nagle pan wybiera się na spacer i chwyta go na gorącym uczynku. Niezły ruch.

– Murdock... – zaczął Ruiz ostrzegawczo. Sam byłem lekko zaskoczony jego tonem. Murdock potrafił być zgryźliwy, ale nawet on musiał

wiedzieć, że drwienie z dyrektora Gildii w obecności swoich szefów to stąpanie po kruchym lodzie.

Przywołał swój najlepszy uśmiech skruchy.

– Przepraszam, szefie. To wszystko odrobinę wyprowadziło mnie z równowagi.

– Dlaczego uważacie, że ta istota ludzka byłaby w stanie dokonać tych morderstw? – zapytałem. I kiedy tylko wypowiedziałem te słowa, poczułem, jak arogancko musiały zabrzmieć. – Bez obrazy dla tu obecnych – dodałem szybko.

MacDuin rzucił mi spojrzenie pełne namysłu, jakby zastanawiał się, czy ma mnie skarcić, czy nie.

– Właśnie dlatego Gildia powinna przejąć dalsze śledztwo. Jestem bardzo ciekaw, w jaki sposób osoba pozbawiona zdolności magicznych zdołała zdominować kilka wrózek, panie Grey.

– Ofiara została pobita. To jest poza profilem naszego napastnika – zauważyłem.

– To nieistotny szczegół.

– Nie, Connor ma rację – odezwał się Murdock. – To nie pasuje do wzorca. Wszystkie pozostałe ofiary były całkowicie przypadkowe. Sprawca, którego szukamy, doskonale wie, jak zrobić swoje poza zasięgiem ciekawskich oczu. To również żadna tajemnica, że mamy portret pamięciowy, więc jest jasne, że byłby jeszcze znacznie ostrożniejszy. Myślę, że tu mamy do czynienia z naśladowcą.

MacDuin pochylił się i sięgnął po przezroczystą plastikową torebkę leżącą na blacie biurka. Położył ją ostrożnie na stosie papierów. Wewnątrz torby spoczywał czarny, obły kamień.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale poza tym pokojem niewielu ludzi o tym słyszało.

Gapiliśmy się na torbę. Murdock spojrzał na mnie, wzruszyłem ramionami.

Komisarz obrócił się na krześle.

– Zachowano milczenie na temat kamieni?

Murdock skinął głową. Komisarz przymknął oczy.

– Zostawmy to na razie. Lorcan, zabierz ofiarę, przesłuchaj czy co tam, tylko jej nie wypuszczaj. My zatrzymamy podejrzanego, póki nie zdecyduję, jakie dalsze kroki podjąć.

– Muszę zaprotestować, komisarzu – powiedział MacDuin.

Komisarz wstał i wyciągnął do niego rękę.

– Wiem, że musisz, Lorcan. Ale już późno, jestem zmęczony i wszyscy czujemy się lepiej w świetle dnia. Może moglibyśmy kontynuować dyskusję przed jutrzejszym spotkaniem?

Przez chwilę wydawało się, że MacDuin nie uściśnie mu dłoni. Ostatecznie skinął jednak głową i odwzajemnił gest.

– Zatem porozmawiamy jutro. – Machnął dłonią w stronę drzwi. – Keeva, pomóż mi eskortować poszkodowanego.

Otworzyła drzwi i oboje wyszli. Kiedy

odwróciłem się z powrotem do Murdocka, zauważyłem, że komisarz posłał mi porozumiewawcze mrugnięcie.

– Dziękujemy za pomoc, Connor – powiedział, wyciągając do mnie dłoń. Bez dwóch zdań, facet umiał odprawić człowieka naprawdę kurtuazyjnie.

– Zawsze dobrze pana spotkać, sir – odparłem. Rzuciłem Murdockowi krótkie spojrzenie i zamknąłem za sobą drzwi. Wszyscy gapili się, kiedy przechodziłem przez pokój operacyjny. Kiedy otwierałem główne drzwi, wpadłem na MacDuina, Keevę i ich wróżkę.

– Niezły połów, Lorcan – powiedziałem.

– Dziękuję – odparł, patrząc uważnie na ulicę poza mną. Stałem przed nim.

– Chodzi mi o to, że Murdock miał rację. To niezwykle szczęśliwy traf, że akurat sobie tamtędy przechodziłeś.

– Tak. – Wciąż na mnie nie patrzył.

– Więc, Lorcan, co cię sprowadziło do Weird w środku nocy?

Wreszcie obdarzył mnie spojrzeniem.

– Tylko dlatego, że kiedyś służyłeś w Gildii, Connor, zrobię ci tę uprzejmość i powiem, że nadzorowałem operację. Ale to było ostatnie pytanie i moja ostatnia odpowiedź dzisiejszej nocy.

Keeva wcisnęła się między nas.

– Connor, może zadzwonisz jutro? Możemy wymienić się aktami.

Długa czarna limuzyna podjechała do

krawężnika. Stali, czekając, aż kierowca wysiadzie i otworzy im drzwi. Lorcan i Keeva wślizgnęli się na tylne siedzenie i usiedli wyprostowani jak posagi. prostytutka i kierowca patrzyli na siebie niepewnie. Dotknąłem napadniętego ostrożnie w obojczyk, prowadząc go do wozu.

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Dana – odpowiedział, gramoląc się do środka.

Odwróciłem się tak, żeby MacDuin mnie widział.

Ledwie udawało mi się opanować śmiech.

– Interesujący kolor włosów ma twoja ofiara, Lorcan. Kiedy jeszcze byłem w Gildii, robiło się profil sprawcy. Wychodzą wtedy różne drobne prawidłowości, jak choćby to, że ofiary miały ten sam kolor włosów. Zauważyłem, że wszyscy zabici mają jasne włosy. Nie ciemne.

MacDuin posłał mi spojrzenie, którym mógłby zwarzyć mleko.

Kierowca ponownie obszedł samochód, wsiadł i ruszył. Patrzyłem, aż tylne światła limuzyny znikły za rogiem. A potem wróciłem do wozu Murdocka i zająłem siedzenie pasażera. Żaden z mundurowych nie zwrócił na mnie uwagi.

Przywykli do mojego widoku i najwyraźniej uważali, że Murdock nie ma nic przeciwko temu. W przeciwnym razie nawet nie dotknąłbym policyjnego samochodu, nie zaliczywszy porządnego szturchnięcia pałką. Gapiłem się przez

brudną szybę i próbowałem zrozumieć, co tu właściwie, do diabła, zaszło.

Nie musiałem długo czekać na Murdocka. Wypadł z komendy, zapuścił silnik, zanim na dobre usiadł, i zaczął torować sobie drogę w ruchu ulicznym. Nie odzywałem się podczas wymijania samochodów. Po kilku gwałtownych zakrętach detektyw podjechał przed front mojego budynku i zgasił silnik. Siedzieliśmy, słuchając elektronicznych piknięć dobiegających spod maski.

– O co chodziło między tobą a starym?

Dlaczego mrugnął?

Wzruszył ramionami.

– To taka nasza gra. Kiedykolwiek Gildia włązi nam w drogę, lubi, jak jej przedstawiciele dostają po uszach. Jednak z uwagi na swoją pozycję nie chce wyglądać na uprzedzonego, więc to ja próbuję im dokopać za niego.

– Chyba nie przepada za fata.

Murdock roześmiał się.

– Och, nie. Po prostu nie przepada za tobą.

– Dzięki.

Leo parsknął.

– Spójrz na to z jego punktu widzenia. Fata sprawiają mu więcej kłopotu niż ktokolwiek inny. Gildia zwała mnóstwo spraw na przepracowany departament policji, a następnie, kiedy wygląda na to, że zdołamy przyskrzynić wielką tłustą rybę wśród fata, szuchy z Gildii pociągają za sznurki i wyciszają sprawę. Zatem tak, fata to nie jest jego

ulubiony gatunek.

Rozparłem się wygodnie na fotelu.

– Ten gość wyglądał mi na powiązanego z gangiem, który dokonał morderstwa na ulicy D. Wygląda na ksenosa. Bez obrazy, Murdock, ale to po prostu niemożliwe, żeby ten koleś mógł być sprawcą. Człowiek ewentualnie dałby radę raz zrobić taki numer, ale już po pierwszym czy drugim zabójstwie wszyscy mieli się na baczności. Wiemy od Tansy i barmana we „Flitterbugu”, że gość miał wyjątkową esencję i zdecydowanie nie jest to ten psychol, który kiwa się w celi. Ofiara też się nie zgadza. Za ciemne włosy, nie wyczułem alkoholu. I dobrze zaciągnąłem się też jego esencją. Idę o zakład, że gość aż do dzisiaj nie był w Weird.

– Możesz to wyczuć?

Wzruszyłem ramionami.

– Czasami. Jeśli długo siedzisz w jakimś miejscu, przyjmujesz trochę lokalnej esencji. W Weird jest tyłu fata, że łatwo wyczuć, czy ktoś tu mieszka albo pracuje.

Murdock westchnął ciężko.

– A dlaczego Gildia nagle się tym tak interesuje?

Potrząsnąłem głową.

– W zeszłym tygodniu widziałem Keevę. To nie przypadek. Coś ukrywają.

– Myślisz, że to po prostu agent Gildii?

– Jest taka możliwość, ale sądzę, że

słyszałbym jakieś plotki. Keeva i MacDuin bardzo dbają o swoją reputację.

Może się nawzajem nienawidzą, ale jeszcze bardziej nie znoszą źle wypadać.

Murdock potarł twarz.

– Dobra, fajrant na dzisiaj. Jutro konferencja prasowa.

Wysiadłem z wozu i przeciągnąłem się. Oparłem dłonie na dachu, kiedy Leo odpalał silnik. Przechylił się przez siedzenie pasażera i spojrzał na mnie.

– Jest tylko jeden problem z tym wszystkim, Connor. Jest wtorek, a my nie mamy ciała. Gdzie twój zabójca?

Potrząsnąłem głową.

– Może zmusiliśmy go, żeby się gdzieś zaszył. Albo po prostu jeszcze nie znaleźliśmy ciała.

Nie chciałem, żeby odjeżdżał. Byłem zbyt zmęczony, żeby wspinać się po schodach, więc odbyłem koszmarną podróż windą. W mieszkaniu rozebrałem się i zwałem na futon, nie zwracając sobie głowy jego rozkładaniem.

Wiedziałem, że coś mi umyka. Keeva może i czytała policyjne raporty, ale ja zbierałem dowody, dotykałem ich, spałem z nimi. Nasza okazyjna przyjacielska rywalizacja to jedno, ale nie mogłem pojąć, jakim cudem wpadła na mnie we „Flitterbugu”. Do tego MacDuin kręcący się po okolicy – tego było już za wiele. Możliwe, że przyszedł tam razem z Keevą. Niestety, jedyny

sposób, w jaki mógłbym się tego dowiedzieć,
przypląciłem dźgnięciem depresji. Zakopałem się
głębiej w poduszki, rozważając, jak bym sobie
radził z powrotem w Domu Gildii.

Rozdział 8

Obudziłem się przed świtem. Wiedziałem na pewno, bo padł na mnie pierwszy promień słońca. Po wczorajszej nocy czułem się wyczerpany i postanowiłem zignorować impuls każący mi wstać. Na to ocknęła się również gwałtowna potrzeba oddania moczu i zdecydowała za mnie. Powlokłem się do łazienki, by mimo wszystko dokończyć rytuał, więc ostatecznie wylądowałem przed oknem, podczas gdy słońce gramoliło się zza horyzontu. Poczułem się lepiej, ale wcale nie byłem orzeźwiony. Położyłem się z powrotem do łóżka.

Ledwo zamknąłem oczy, zacząłem śnić, że oto unoszę się na wznak na powierzchni płynącej wody i gapię w nocne niebo, a wokół mnie słysząc krzyki. Woda zalewała mi oczy, okrywała śliską, chłodną powierzchnią, która w każdej chwili mogła zakryć mi twarz. Odgłos eksplozji rozdarł powietrze gwałtownym deszczem gwiazd, jaskrawoczerwonych i pomarańczowych, których odbłask błyskał na mojej mokrej skórze, jakby wypalał ją na wylot, by ukazać moje bijące serce. Obudziłem się skąpany w pocie.

Kiedy wyszedłem spod prysznic, było już zdrowo po południu. Usiadłem za biurkiem z kubkiem kawy w ręku i z osłupieniem skonstatowałem własną podatność na sugestie. Na

ekranie widniało otwarte zdjęcie z miejsca zbrodni, przedstawiające nagie ciało wróżki z rozdartą klatką piersiową, rozkrzyżowane wśród kartonów, ogarków świec i gnijących odpadków.

Najwidoczniej obraz wdarł się do mojego śniącego mózgu, dryfującego w nieświadomości.

Zamknąłem plik ze zdjęciem.

Dioda na obudowie automatycznej sekretarki mrugała na mnie wyczekująco, więc wcisnąłem przycisk odtwarzania. Pokój wypełniła seria elektrostatycznych trzasków i szumów, potem odgłos, jakby kogoś znokautowano, stłumione przekleństwo, a wreszcie głośnik eksplodował głosem Rory'ego Deana.

– Connor! Dzwonię o tej pogańskiej godzinie tylko po to, żeby się dowiedzieć, że cię nie ma. Będę się zatem streszczał, skoro i tak nie docenisz mojego uroku. Zadzwoiłem do tej Atworth, udało mi się do niej dotrzeć raczej łatwo. Zapewniłem ją, że wszystko jest w porządku, co, jak mam nadzieję, jest prawdą. Tak czy owak, to przemiła kobieta, aczkolwiek obecnie odrobinę przygłucha i raczej samotna. W każdym razie poinformowała mnie, że jej dzieciak odszedł – jakieś dziesięć lat temu z powodu jakichś medycznych komplikacji. Nie wiem, czy to dla ciebie dobra czy, zła wiadomość, ale skasowało go okropnie. Nie wiem, o co chodzi, bo byłeś cholernie tajemniczy. Odezwałbyś się czasem i dał znać, co jest grane i z kim tam ostatnio chlejesz.

Urządzenie zabrzączało i wyświetliło czas rozmowy: trzecia trzydzieści rano. Nie sprawdzałem więcej, nie miało to w tej chwili większego znaczenia – uzupełniłem tylko akta. Murdock chciał, żeby były kompletne. Znalazł Teri Esposito w północnym Bostonie, ale jej córka nie żyła.

To samo dotyczyło nowojorskiego tropu. Nadal nie miałem żadnych sygnałów z Niemiec. Welfrey skreśliłem z listy podejrzanych, bo była kobietą. Pozostawał Gethin, syn Gerdy Alfheim, i Corcan, męski potomek Dealle Sidhe.

Na myśl o Murdocku podniosłem słuchawkę i wykręciłem jego numer. Udało mi się dodzwonić do sekretarki jego wydziału, która rzecz jasna nie powiedziała mi, co się dzieje, poza tym, że detektyw jest nieosiągalny.

Nie zazdrościłem mu ani bzdurnej roboty papierkowej, w której z pewnością tonął, ani tym bardziej niekończących się, szarpiących nerwy narad, które poprzedzały spotkania z prasą.

Włączyłem sobie w tle telewizor, czekając na konferencję prasową, i po raz kolejny obsesyjnie przejrzałem akta. Letnie Zgromadzenie było w toku, wróżki i elfy toczyły niekończący się przez tyle lat spór na temat wzajemnych stosunków. Maeve nie lubiła, kiedy ją fotografowano, więc reporterzy stali bezsilnie przed ścianą mgły otaczającą Tarę i stanowiącą surrealistyczne tło. Napięcia pomiędzy elfami i wrózkami nie

wzbudzały zachwyty wśród ludzi, więc przez Londyn i Berlin przetoczyły się gwałtowne zamieszki.

Konferencja prasowa zaczęła się późnym popołudniem, akurat w najlepszym czasie, by mogła być transmitowana na żywo w pierwszych wieczornych wiadomościach. Komisarz Murdock stał na podium, spokojny i pewien swego, jakby tkwił w tej sprawie od samego początku. Murdock we własnej osobie stał za swoim ojcem i uważnie taksował tłum, jakby spodziewał się, że ktoś zniecka popełni przestępstwo. Ten facet nigdy sobie nie odpuszczał. Poza grupką policjantów, z boku, stał Lorcan MacDuin. Nie przemawiał ani w ogóle się nie poruszał. Nie wspomiano o jego wkładzie w osobiste aresztowanie podejrzanego. Nawet wykazano się na tyle złym smakiem, by z całą paradą pokazać wciąż sprawiającego wrażenie otumanionego sprawcę wyprowadzanego z furgonetki do miejskiego więzienia. Dzięki temu mogłem mieć wrażenie, że światowa demokracja pozostała niezagrożona. Wyłączyłem telewizor. Przynajmniej dowiedziałem się, gdzie jest teraz Murdock.

Założyłem bejsbolówkę i wyszedłem z domu. Pogoda tego dnia kompletnie nie pasowała do mojego nastroju. Czysta, lazurowa kopuła nieba nad głową, żadnej wilgoci. Woda w porcie falowała leciutko i była tak gładka, że robiła wrażenie zupełnie czystej, podczas gdy odbijała

tylko błękit nieba.

Komenda okręgowa była niedaleko, ale wzięłem taksówkę. Wozy transmisyjne stacji telewizyjnych wciąż parkowały nielegalnie przed budynkiem. Idąc chodnikiem, mijałem ekipy zwijające sprzęt i zastanawiałem się, gdzie szukać Murdocka. Rozwikłał mój dylemat sam, ukazując się w drzwiach. Przepuścił ostatnich reporterów. Kiedy mnie zauważył, ruchem głowy wskazał swój samochód. Otworzył drzwiczki i wydłubał ulotkę spod wycieraczki.

– Jak się trzymasz? – Wcisnąłem się na miejsce pasażera.

– W porządku. – Spojrzał na ulotkę i rzucił ją na siedzenie. Wyjechaliśmy na ulicę i ruszyliśmy w kierunku Weird.

– Zamierzamy go oddać – powiedział, skręcając w Pittsburgh. Potrzęsnał z niesmakiem głową. – Tata chce go podrzucić Gildii. Po konferencji prasowej mamy z głowy całe public relations, więc chce się go pozbyć.

– Dlaczego?

Pokręcił głową i spojrzał na mnie spode łba.

– Znasz odpowiedź.

Znałem, niestety. Policja go nie chciała. Albo raczej, nie chciał go prokurator okręgowy. Większość ludzi bała się fata i uważała, że mają za dużo władzy i potęgi, zarówno w sensie rzeczywistym, jak i niematerialnym. Skomplikowane śledztwo za pieniądze podatników

mogłoby pograżyć kupę ludzi. Dodajmy do tego profesję ofiar, a resztki współczucia wyparują. Oddanie sprawcy Gildii było rozwiązaniem, na którym wszyscy wygrywali. Państwo unikało konieczności oskarżenia człowieka za zbrodnie przeciwko nielubianej mniejszości, a Gildia sprawiała wrażenie, że sprząta po sobie bałagan.

Zatrzymał się przed budynkiem Shaya i Robina.

– Przy okazji, wylali cię.

Zaśmiałem się.

– Wiedziałem, że tak będzie.

Wysiadł z samochodu.

– Nie miałem dzisiaj szansy zabrać sprzętu.

Idziesz ze mną?

– Nie jestem w towarzyskim nastroju.

Zamknął drzwi i zniknął w budynku.

Podniosłem ulotkę. Glif z alfabetu ogham dzielił kartkę na połowy. Generalnie pismo to składa się z długiej, pionowej linii, z ukośnikami reprezentującymi dźwięki. Litery rozpoznaje się dzięki ich położeniu względem centralnej linii. Mogą znajdować się z jej lewej lub prawej strony, mogą ją przecinać poziomo albo pod różnymi kątami. Na ulotce pionowa linia znajdowała się na osi, miała pięć kresek z lewej, dwie przecinające się z osią, i trzy z prawej, co odpowiadało literom a, q, g, f. Starogaelicki to wyzwanie dla ucha i języka, ale te akurat litery nie przypominały mi żadnego znanego słowa.

Na dole wydrukowano cyfry – 12432. Glif z czymś mi się kojarzył, być może widziałem go na plakacie jakiegoś zespołu wiszącym na ścianie. Rzuciłem ulotkę na siedzenie.

Murdock zniemacka pojawił się przy samochodzie.

– Nie ma ich.

– Mówiłeś, że miałeś tu być rano.

Rzucił mi urażone spojrzenie.

– Byłem zajęty. Gdzie cię podwieźć?

Spojrzałem na zegarek.

– Podrzucić mnie do domu. Mam ochotę tarzać się w zgryzocie.

Jechaliśmy w milczeniu i obaj przepatrywaliśmy chodniki. Czasami można ocenić, co się stanie w nocy, sprawdzając, kto wyszedł z domu. Kiedy na ulicy kręci się zbyt wielu znanych zakapiorów, jasne, że szykuje się coś głupiego. Zwykła mieszanka czarnych charakterów i normalnych gości to znak, że zapowiada się zwykła noc z pewną ilością nerwowych przypadków. Chodniki są puste, nikogo nie ma i już wiadomo, że tej nocy piekło otworzy podwoje. Teraz na ulicy kręciła się zwykła mieszanka przechodniów, szykowała się zatem dość spokojna noc w Weird. Podjechaliśmy pod drzwi mojego budynku.

– Słuchaj, Connor – powiedział Murdock. – Nie bierz tego tak bardzo do siebie. Jak chcesz grać, to musisz grać. Zrobiliśmy kawał dobrej

roboty. Zwyczajnie nie wiedzieliśmy, że tym razem powinniśmy byli dać sobie spokój.

– Uwaga, nadciąga ekstra ładunek budżetów.

Posłał mi krzywy uśmiech.

– To część gry. I wciąż w niej jesteśmy. Tylko reguły właśnie się zmieniły. Teraz musimy dowiedzieć się dlaczego.

Wysiadłem z wozu.

– Jak mówiłem, idę na górę. Żeby się tarzać.

Potrząsnął głową i wrzucił bieg.

– A ja jadę się przespać.

Patrzyłem, jak samochód rusza i znika za rogiem. Murdock nie naigrawał się ze mnie. Był bardziej wściekły, niż chciał pokazać.

Rozpoznawałem symptomy: jego nonszalancką reakcję na utratę sprawy, racjonalizację w rodzaju „raz się wygrywa, raz przegrywa”. Współczułem temu, kto jako pierwszy wejdzie mu w drogę. Całe szczęście, że miał odznakę, bo już dawno by go o coś oskarżono.

Przekręciłem klucz w zamku i zamarłem. Glif w oghamie na ulotce w samochodzie Murdocka nie wydawał mi się znajomy dlatego, że widziałem go na plakacie. Był znajomy, bo od dwóch dni dzień w dzień widziałem go wymalowany farbą na drzwiach mojego budynku. Dotknąłem znaku, mając nadzieję na jakiś ślad esencji. Rozpoznałem aurę kilku moich sąsiadów, ale nic poza tym i nic związanego bezpośrednio ze znakiem. Minęło zbyt dużo czasu.

Wszedłem po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, i dopadłem biblioteki CD, zanim jeszcze usiadłem. Nic nie znalazłem, więc postanowiłem poszukać w Necie, choć to także nic nie dało. Wiedziałem, że to nie jest słowo, ale musiałem sprawdzić. Miałem ogham jako czcionkę w edytorze tekstu, więc wpisałem znak do osobnego pliku i opatrzyłem notatką dla Murdocka. To musiało coś znaczyć. Szczególnie interesujące było, kto zostawił mi te runy.

Z salonu dobiegło walenie w drzwi. Wiedziony paranoicznym odruchem spojrzałem najpierw przez wizjer, ale nikogo nie zobaczyłem. Kolejne gwałtowne tłuczenie odrzuciło mnie do tyłu. Zrozumiałem, że łomotanie dobiega tuż znad podłogi, i zmarszczyłem brwi. Otworzyłem. Stinkwort stał w korytarzu z beczelnym wyrazem twarzy.

– Rozwalisz mi drzwi – powiedziałem, kiedy gramolił się do środka.

– Nijak cię nie można zadowolić. – Westchnął i śmignął na kontuar w kuchni. Otworzył sobie szafkę, przez chwilę grzebał w środku, po czym ukazał się, taszcząc pudełko rodzyneków.

Rozsiadłem się w bujanym fotelu.

– Przyszedłeś mi pogratulować?

Zasiadł wygodnie na krawędzi blatu i zabrał się do jedzenia rodzyńka niemal tak wielkiego jak jego głowa.

– A dlaczego potrzebujesz gratulacji?

– Nie słyszałeś wczoraj w nocy? Aresztowali kogoś.

Zamarł pomiędzy jednym kęsem a drugim.

– Pogubiłem się. A dlaczego to miałoby być coś złego?

– Bo złapali nie tego faceta.

Sięgnął po następny rodzynek.

– Jesteś pewien?

– Po pierwsze, to człowiek.

Stinkwort upuścił rodzynek.

– Co?! Kto, do diabła, przy zdrowych zmysłach pomyślałby, że człowiek mógłby załatwić trzech z ludu Danann?

– Lorcan MacDuin.

Stinkwort zaśmiał się.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

Potrząsnąłem głową.

– Przyprowadził gościa ze sobą. Twierdzi, że złapał go na gorącym uczynku.

Stinkwort wzruszył ramionami.

– To niech go trzymają, Connor. Zawsze mówisz, że za mało robią.

– Ale wcale nie jestem pewien, czy tym razem robią coś z sensem. A jak tam twoje kontakty?

Zaśmiał się i śmignął do salonu.

– Nic nowego. Chochliki zajmują się własnymi sprawami. Chodź, pójdziemy się nawalić. Dawno nie byliśmy nigdzie razem.

Patrzyłem przez chwilę, jak unosi się koło okna. Można robić na chandrę gorsze rzeczy, niż

iść na kielicha z kumplem, który jest głównie w różowym kolorze. Mogłem mu powiedzieć, że jest w zbyt dobrym nastroju, żebym był w stanie dotrzymać mu kroku. Zastanowiło mnie, że zaczął nucić pod nosem.

– Spałeś z kimś – zauważyłem. Roześmiał się i wykręcił pólsalto.

– Mówiłem ci, że mam zamiar.

– Tansy?

Wyleciał spiralą za parapet, śmiejąc się przez cały czas, a potem powrócił z szerokim, obleśnym uśmiechem.

– To zdumiewające, jakie można zrobić wrażenie na tych wieśniaczkach, kiedy pokażesz im swój miecz.

– Widziałem ten twój miecz. Nie robi aż takiego wrażenia – odparłem.

Postukał się palcami po szczękę.

– Hmm... pomyślmy, ile to czasu upłynęło, odkąd ktokolwiek chciał oglądać twój?

– Dobra, dobra! Jeśli pójdę z tobą na drinka, odpuścimy sobie te paskudne przekomarzanki?

– Czy kiedykolwiek opowiadałem ci pikantne szczegóły? – zapytał, lecąc do drzwi.

– Tylko kiedy jesteśmy wlani – już mówiąc, podjąłem decyzję. Nie było sposobu, żeby zatrzymać Stinkworta, kiedy się tak nakręcił.

Szczerze mówiąc, miał dużo więcej takich historii do opowiedzenia niż ja kiedykolwiek, nawet gdyby wziąć pod uwagę moje wczesne lata dwudzieste.

Chochliki traktują seks bardzo lekko, zarówno samą czynność, jak i rozmowy na ten temat. Nie byłbym zaskoczony, gdyby w tym samym czasie Tansy siedziała gdzieś z przyjaciółkami wśród ochów i achów.

Nawiedzaliśmy jeden zatłoczony bar po drugim. Wieści o schwytaniu mordercy już się rozeszły. Mnóstwo wróżek pasujących do profilu wyszło na miasto i właśnie celebrowało tryumfalny powrót na ulicę. Nieoficjalna tygodniowa impreza na święto Przesilenia zaczęła się dzień wcześniej. Stinkwort kipiał entuzjazmem i jego nastrój zaczął mi się pomалу udzielać.

Wytoczyliśmy się z jakiegoś bezimiennego baru przy Stilling. Stinkwort fruwał mi nad głową, i to niekoniecznie w linii prostej.

– Zaraz, moment, Joe. A co, jeśli Lorcan jest w to zamieszany? – spytałem w chwili pijackiego olśnienia.

– Jesteś nadźgany. Lorcan jest za wielkim tchórzem. – Chochlik uderzył w znak stopu i prawie spadł na beton, zanim zdołał odzyskać równowagę.

– Nie wiem, słyszałem różne rzeczy z czasu wojny. Trzymał z elfami. Chyba nie bardzo mu się podoba Zgromadzenie Fata.

– Wszystkie te historie dotyczą jego znajomych. Sam nie ma krwi na rękach.

– Dobra, ale najpierw go ta sprawa nie obchodziła. A teraz nagle tak i oczywiście chce ją

udupić. Po dobrej stronie i w Gildii jest dopiero od parudziesięciu lat. Może wciąż jest czarnym charakterem.

– A może po prostu jest dupkiem. Mówiłeś kiedyś, że uwielbiał zamykać twoje sprawy.

– Daj mi moment. – Wszedłem za budynek składu i ulżyłem sobie, łamiąc prawa miejskie i własne poczucie przyzwoitości.

Stinkwort czekał w odległości paru metrów. Podszedłem do niego w milczeniu. Unosił się na wysokości jakichś czterech metrów, krawędzie jego skrzydeł wibrowały tak szybko, że zaczęły brzęczeć. Obracał głowę z lewa na prawo, przybierając dziwaczny, napięty wyraz twarzy, jakby usiłował dosłyszeć jakiś odległy dźwięk.

– Joe?

Jego oddech zmienił się w urywane sapnięcia, kiedy obracał się powoli wokół osi, przepatrując ulicę. Zbladł jak ściana, a oczy wyszły mu na wierzch.

Jeszcze nigdy go takim nie widziałem.

– Stinkwort, odezwij się!

Przybrał nagle przerażający wygląd, kiedy otoczyła go migotliwa, widmowa poświata. Jego włosy uniosły się jak naelektryzowane. Rozwarł usta na niemożliwą szerokość i nagle wydał z siebie przeraźliwy, rwący wrzask. Gwałtownie zasłoniłem uszy, by się odciąć od tego dźwięku. Jęknąłem spazmatycznie. Krzyk wznosił się w rozmaitych rejestrach, aż zrozumiałem, że

wszystkie chochliki w okolicy też zaczęły wrzeszczeć.

Kiedy szarpiący nerwy krzyk ucichł, w dłoni Stinkworta nagle zmaterializował się miecz, dobyty z osłoniętej urokiem pochwy. Jaśniał niczym struna z białego ognia, otoczony błękitnymi płomieniami. Chochlik wskazał ostrzem w głąb ulicy, podleciał kilka metrów i zniknął. Otoczyła mnie nagła cisza. Oparłem się o ścianę, a wokół ludzie błakali się bezradnie, mamrocąc w zaskoczeniu.

Wziąłem głęboki oddech, żeby trochę się otrzeźwić, i puściłem się biegiem w kierunku wskazanym przez Stinkworta. Adrenalina zaczęła pożerać alkohol w moich żyłach. Po prostu gnałem przed siebie, nie wiedząc, co robię i dlaczego, ale chciałem być w ruchu. Przede mną na jezdni tłoczył się strumień samochodów, rozlegał się chór klaksonów i ludzki wrzask. Do Alei miałem półtorej przecznicy zakorkowanej wozami i panikującym tłumem.

Stinkwort pojawił się dokładnie przede mną. Wciąż trzymał miecz, widziałem ciemne plamy na ostrzu.

– Aleja! – zawył i znów zniknął.

Skręciłem w lewo i wcisnąłem się w wąskie przejście pomiędzy dwoma budynkami. Ktoś przebiegł tuż za mną, trącąc mnie w ramię. Poczulem za sobą coś dziwnego, jakieś tchnienie zła, niczym wyładowanie negatywnej energii. W powietrzu unosił się zapach krwi. Kiedy dobiegłem

do ściany, odór stał się dojmujący. Wybiegłem za róg i stanąłem jak wryty.

Człowiek – chłopak – leżał na plecach, obie nogi miał podwinięte pod siebie i głowę przekreconą w bok. Stinkwort klęczał na ziemi obok niego, piastując coś w ramionach i nucąc cicho. Spojrzałem na chłopaka. Nie ulegało wątpliwości, że jest martwy. Przód jego zielonej tuniki był rozdarty, ciemny i mokry od krwi. Klatka piersiowa była pocięta, jakby zabójca dźgał ją i ciął w obłąkańczej furii. Bryzgi krwi pokrywały wszystko w promieniu paru metrów. Nie było tu śladu metodycznego okaleczania, którego się spodziewałem. Światło migotało na małym naszyjniku wplątany w jego włosy, a ja zacząłem dławić w sobie gwałtowne torsje. Odgarnąłem martwemu z twarzy pasmo jasnych włosów i gwałtownie nabrałem powietrza.

– Kurwa – wykrztusiłem i cofnąłem się. To był Robin.

Obszedłem ciało i stanąłem obok Stinkworta. Dopiero teraz zauważyłem, że trzyma w ramionach małego chochlika. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy rozpoznałem blaknący, żółtobiały wzór na skrzydłach. Kiedy Stinkwort kołysał ostrożnie drobne ciało, odbłask esencji Tansy zamigotał i zbladł, zmieniając się w szarość. Chochlik zamarł na chwilę w milczeniu, szarpiąc jej pyszne, jasne włosy, a potem złożył Tansy delikatnie na ziemi i podniósł swój miecz. Jego oczy zaśniły

rubinowym blaskiem.

– Mam jego trop – krzyknął i zniknął.

Wstałem i rozejrzałem się po ulicy. Też go miałem. Moja uwaga tak była wyostrzona przez wstrząs, że niemal mogłem widzieć smugę esencji snującą się od miejsca zbrodni. Mogłem wyczuć ją na własnym ramieniu, gdzie morderca potrącił mnie, gdy przebiegł obok. Stinkwort błysnął wśród świateł u wylotu ulicy i znowu zniknął. Pognałem za nim.

Trop prowadził wzdłuż zaułka prosto do Alei. Rzecz jasna kręciło się tam mnóstwo ludzi, rozmawiających podniesionymi głosami, wstrząśniętych słyszaniem przed chwilą krzykiem chochlików. Kiedy wybiegłem zza rogu, czułem, jak fluid mordercy miesza się z innymi. Przepchnąłem się przez tłum gapiów debatujących nad stłuczką samochodową. Po drugiej stronie Alei ślad mordercy znów się wzmocnił. Skręciłem w kolejny zaułek i nagle stanąłem jak wryty. Ślad się ulotnił. Niezdecydowanie wróciłem w tłum na chodnikach Alei.

Nabrałem głęboko powietrza i zacząłem gromadzić w głowie własną esencję, budząc do życia jedyną prawdziwą zdolność, jaka mi jeszcze pozostała. Pulsujący ból przeszył moje czoło, kiedy esencja zabójcy musnęła moją twarz. Wcale nie znikła. Zabójca zdecydował się na przyspieszenie, do którego byłby zdolny jedynie fata, więc niemal nie pozostawiał za sobą śladu. To tyle w sprawie

teorii Lorcana, że mordercą jest człowiek.

Pozwoliłem mojej własnej esencji rozpląnąć się z powrotem w ciele i ruszyłem wzdłuż Alei. W miejscu, gdzie morderca ponownie zwolnił, odór esencji przybrał gwałtownie na sile. Poruszając się z taką prędkością, zużywał mnóstwo fluidu, a zabicie, jeśli nawet nie Robina, to przynajmniej Tansy, kosztowało go sporo. Po prostu oszczędzał to, co mu zostało. Podążałem uparcie jego tropem, szykując się na kontakt wizualny. Ból w mojej głowie zmienił się w tępe pulsowanie, ale znowu zaczął się nasilać. Im prędzej przestanę natężyć swoje mizerne ocalałe zdolności, tym prędzej ustanie.

Kluczyłem pomiędzy ścianami kontenerów i wśród sprzętu załadunkowego. Smuga esencji rozpraszała się, wyczuwałem nagromadzone pozostałości w rozmaitych zakamarkach, a na otwartej przestrzeni ponownie zaczynała się rozrzedzać. Nie miałem wrażenia, że morderca zdaje sobie sprawę, że jest ścigany. Wydawało się, że to raczej on na kogoś poluje. Dwa razy natrafiłem na wyraźny ślad Stinkworta, ale natychmiast go traciłem. Fajnie mieć skrzydła i zdolność do teleportacji.

Od portu zawiąła słaba bryza, marszcząc powierzchnię wody. Poczułem, że ślad zaczyna się rozwiewać, i przyspieszyłem kroku. Skręciłem w kolejny zaułek, natrafiłem na zamknięte drzwi jakiegoś starego magazynu. Kiedy unosiłem rękę,

żeby je otworzyć, przez moją twarz przebiegła fala dreszczy, delikatny dotyk, jakbym trafił w pajęczynę. Oznaczało to, że tarcza obronna aktywowała się bez udziału mojej woli. Wrażenie ścierpięcia osłabło, ale czułem, jak pole otacza moje ciało. Pchnąłem drzwi i ostrożnie wszedłem.

Poczułem przemożną chęć, by położyć się na ziemi. Czułem gdzieś blisko wibracje zaklęcia obronnego, ale nie miałem żadnych zdolności, które mógłbym mu przeciwstawić. Ignorując wrzask protestu, który rozległ się w moim mózgu, przepchnąłem większość mojej esencji do tarczy. Nie odrzuciło to zaklęcia, ale przynajmniej pozwoliło mi oprzeć się sile, która kazała mi natychmiast położyć się i zasnąć. Jeśli szybko nie znalazłbym tego, co emanowało zaklęciem, i tak zemdlałbym z bólu.

Pomieszczenie, w którym się znalazłem, okazało się dużym biurem. Z prawej strony światło ubywającego księżycy przedzierało się przez brudne szyby i oświetlało rzędy ustawionych parami biurka. Z każdym krokiem czułem, jak zaklęcie staje się silniejsze. Obszedłem pierwsze biurko i natknąłem się na wróżkę. Leżał na podłodze, jego skrzydła drgały słabo w półmroku. Przykleknąłem i dotknąłem jego ramienia, przetoczył się niemrawo na plecy. Wciąż żył.

Ostrożnie ruszyłem naprzód, czując esencję mordercy wszędzie wokół siebie. Minałem trzecie biurko i wyczułem Stinkworta. Dwa fluidy

mieszały się pośrodku pomieszczenia. Kilka biurek było porozsuwanych krzywo, ich zawartość zaścielała podłogę. Stinkwort walczył z mordercą.

Wyczułem też trzecią esencję, należącą do wróżki. Tuż za poroztrzcanymi biurkami nie wyczuwałem już Stinkworta, tylko mordercę i nową wróżkę. Nawet kiedy ogarnął mnie odór krwi, wciąż działało bijące od amuletów zaklęcie, które próbowało pogrążyć mnie w letargu. Coraz wolniej wlokłem się w głąb pomieszczenia. A na końcu rzędu biurek, w kącie za fotokopiarką, wreszcie znalazłem ofiarę.

Był młody, o jasnych włosach, dobrze ubrany, wyjąwszy fakt, że jego koszula rozdarta była z przodu, a w nagiej klatce piersiowej ziała dziura. Tak samo jak pozostali leżał na wznak, ze skrzydłami przyszpilonymi do podłogi dwoma tanimi amuletami. Osunąłem się na podłogę, gapiąc się w czarno-czerwoną ranę w piersi chłopaka i desperacko usiłując nie zasnąć.

Oba amulety działały równocześnie. Im więcej kamieni składa się na zaklęcie, tym większy wywierają wpływ i tym efektywniej wykorzystują energię. Ale też łatwiej zaburzyć ich działanie niż pojedynczego amuletu. Dotknąłem jednego z nich, ryzykując, że nastąpi sprzężenie energii, które nie tylko mogło mnie ogłuszyć, ale przypuszczalnie również pokiereszować fizycznie.

Potoczyłem nieprzytomnym wzrokiem po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, czym

mógłbym stracić jeden z nich. Podniosłem zszywacz, ale zrezygnowałem. Zawierał tyle metalu, że mógł zadziałać jak przewodnik. Rozgarnąłem leżące wokół mnie papiery i znalazłem drewniany przymiar. Dziękując wszelkim bogom, którzy mogliby mnie słuchać, podczołgałem się do ciała. Ignorując ostrzegawcze pulsowanie bólu w głowie, posłałem porcję własnej esencji w linijkę, mając nadzieję, że jej nagłe wyładowanie zablokuje sprzężenie, i straciłem amulet. Wrzasnąłem, czując eksplozję pod czaszką.

Zacisnąłem kurczowo powieki, usiłując oddychać pomimo upiornego bólu. Nie musiałem patrzeć, czułem, że zaklęcie zostało zerwane. Nie odczuwałem już kompulsywnej potrzeby snu, aczkolwiek omdlewałem z innych przyczyn. Moje ramię ścierpło po uderzeniu energii zaklęcia przepuszczonej przez liniał, ale przynajmniej mogłem ruszać palcami.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na ciało. Moje nerwy były tak wyostrzone, że wyczuwałem wokół stare ślady ludzkiej esencji. Ale najbardziej zdumiewające było ciągłe pulsowanie fluidu bijące od ciała. Próbowałem zajrzeć do rany, ale było zbyt ciemno, bym cokolwiek zobaczył. Walcząc z falą mdłości, zagłębiłem dłoń w wilgotnej, śliskiej ranie i dotknąłem czegoś twardego. Wyszarpnąłem dłoń, kiedy przeszło mnie gwałtowne wrażenie zła. Cokolwiek to było, sprawiało wrażenie, że

zostało naładowane przez elfa. Wydawało się, że nie może zrobić mi większej krzywdy, jak tylko znów przeszyć przerażeniem, więc sięgnąłem ponownie. Poczulem szorstką powierzchnię kamienia wewnątrz klatki piersiowej chłopaka. Kamienia, który stał się wizytówką mordercy. I tym razem miał w sobie moc. Wykrzywiłem się na obrzydliwy młasczący odgłos, który rozległ się, kiedy wyciągałem rękę. Moja dłoń lśniła krwawo w świetle księżyca. Kamień wydawał się szary i nie różnił się szczególnie od pozostałych. Promieniująca z niego esencja natomiast nie miała sensu. Głównie czułem elfa, potem subtelną domieszkę wróżki, potem znów elfa. Kiedy usiłowałem skonkretyzować to uczucie, przypomnieli mi się Shay. Chłopak, który był równocześnie i śliczny, i przystojny, oraz uczucie dezorientacji, kiedy usiłowało się ustalić, jakiej jest płci.

Ocalały wróżka jęknął, więc wróciłem do niego. Drząc na całym ciele, odczołgał się ode mnie w przerażeniu.

– Już dobrze – zapewniłem, ale nie zareagował. Wyjąłem telefon i zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście. Operator wziął ode mnie adres i kazał pozostać na linii.

A wtedy kamień zaczął migotać. Energia zaczęła się rozpraszać. Spojrzałem na wróżkę, który tymczasem do połowy wpełzł pod biurko. Jak dotąd chyba mu się nie pogarszało. Chyba

jednak nie doceni, jak mu powiem, że żyje wyłącznie dzięki kaprysowi losu, który obdarzył go ciemnymi włosami.

Podjąłem decyzję i rozłączyłem się. Już i tak zanieczyściłem ślady na miejscu zbrodni, wyjmując kamień, a teraz jeszcze to, co go zasilalo, właśnie zaczęło słabnąć. Miałem tylko nadzieję, że Murdock nie będzie zbyt wściekły, kiedy mnie tu znajdzie. Jak to powiadają: wejście za pensa, wyjście za funta.

– Pomoc jest już w drodze – powiedziałem dzieciakowi. – Zostań tu. I niczego nie dotykaj.

Wyszedłem na ulicę i przebiegłem przecznice czy dwie do Alei. Niestety, całe to kluczenie pomiędzy kontenerami i składami sprawiło, że wylądowałem na przeciwległym krańcu Weird. Po prawej stronie ruch był już jedną barykadą zbudowaną z tylnych świateł i klaksonów, a korek rósł i przesuwiał się w moim kierunku. Samochody nadjeżdżające z lewej skręcały w Eastern Service Road, usiłując uniknąć tego bałaganu. Przekląłem własną niezdolność do wykonania zaklęcia przesłania.

Taksówka wynurzyła się powoli zza rogu, kierowca zwolnił, usiłując zorientować się, skąd to zamieszanie. Wskoczyłem na tylne siedzenie, zanim nacisnął gaz. Weird to jedyne miejsce, w którym człowiek z krwią na rękach może złapać taksówkę. Podałem adres Briallen. Kierowca natychmiast zawrócił w niedozwolonym miejscu i

ruszył szybko wzdłuż Southie. Trzymałem kamień ostrożnie pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem, na tyle mocno, żeby mi nie wypadł.

Zawarta w nim esencja ewidentnie słabła.

Dotarliśmy na plac Loisburg w zapierające dech w piersi dziesięć minut. Zaskoczyło mnie to, że dom Briallen był całkowicie oświetlony, drzwi szeroko otwarte, a ona sama stała na progu. Zapłaciłem kierowcy i ruszyłem szybkim krokiem.

– Skąd wiedziałaś?

– Właściwie nie wiedziałam – odparła, zamykając za nami drzwi. – To była szansa.

Ewentualność. Nie coś takiego jak przesłanie, ale ogólne wrażenie, że mnie potrzebujesz. Co się dzieje? Co to jest? – wskazała na kamień.

– Do pracowni! – zawołałem. Bez słowa wyjaśnienia ruszyłem w górę po schodach. Briallen pobiegła tuż za mną z gracją i szybkością, które nie przestawała mnie zdumiewać. Nie po raz pierwszy zastanowiło mnie, ile ta kobieta ma lat. Wszedłem do pracowni i położyłem kamień pośrodku stołu.

– Szybko! Jaką ma w sobie esencję?

Briallen przyglądała się przez sekundę, a potem podniosła kamień. Natychmiast upuściła go i odskoczyła do tyłu.

– Jest pokryty krwią wróżki!

– Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić.

– Krew mordu – wymamrotała, znów podnosząc kamień. Obróciła go w palcach, patrząc uważnie, jej usta wygięły się w grymasie

niesmaku.

– Jest elfia, ale jakaś pokręcona. Wyczuwam tu też esencję wróżki, ale dopiero po namyśle.

– Ja też. Ale co to znaczy?

Z ulgą odłożyła kamień na stół.

– Odbieram to po prostu jak zło. Co jeszcze dziwniejsze, kamień został tym obdarzony w jakimś celu i z pełną świadomością, jak przy tworzeniu amuletu. Już prawie wygasło.

– Podejrzewam, że pozostałe kamienie były takie same, ale widziałem je już po tym, jak esencja się rozproszyła.

– Możliwe. To były kamienie tego samego rodzaju?

Skinąłem głową.

– Jeden biały, jeden czarny, a jeden szary, tak jak ten. Jestem przekonany, że wszystkie składają się z tego samego kryształu, z selenitu, ale wszystkie zniknęły, zanim przeprowadzono badania.

Uśmiechnęła się i uniosła brwi.

– Och, to selenit, oczywiście. Ale również pochodzi sprzed Konwergencji.

Spojrzałem na kamień, zaskoczony. Kiedy fata zostali nagle przeniesieni do tego świata podczas Konwergencji, niektóre fizyczne fragmenty ich świata przeniosły się razem z nimi. Czasem chodziło o dom, a czasem jeszcze mniej. Elementów było niewiele i starannie je chroniono. Pochodzący z nich materiał organiczny i

nieorganiczny jest bardzo poszukiwany, ponieważ naturalne zdolności fata działają na niego najlepiej. Przedmioty sprzed Konwergencji, pochodzące z prawdziwego królestwa Faerie, to coś niebywale rzadkiego.

– Muszą być warte fortunę – zauważyłem.

Otworzyła usta, żeby mi odpowiedzieć, ale zamiast tego nabrała gwałtownie powietrza.

– Connor, ty krwawisz.

Kiedy to mówiła, poczułem łaskotanie kropeł krwi toczących mi się z nosa. Podała mi chusteczkę, a potem położyła dłoń na czole.

– Co się, do diabła, dzisiaj stało?

– Chyba przekroczyłem swoje granice.

– Usiądź w pracowni. Natychmiast.

Wziąłem następną chusteczkę, a potem zrobiłem, co mi kazano. Adrenalina wypaliła się w moich żyłach i czułem się wyczerpany do szpiku kości, nie wspominając już o pulsującym bólu głowy, który groził eksplozją mogącą rozerwać mi kości czołowe. W pracowni jak zwykle płonął ogień, zapewniający przytulną atmosferę, choć od okna także biło letnie ciepło. Wyczerpany zwałem się na fotel.

Briallen wróciła i bez słowa podała mi filiżankę. Wypiłem bez gadania ziemny eliksir, który spłynął mi po gardle miodową strugą i rozgrzał pierś gładką falą ciepła. Briallen przymknęła oczy, trzymając dłonie przy mojej twarzy. Stały się blade i rozsiewały

fluorescencyjny poblask. Czułem miękką siłę jej esencji spływającą z palców, która dopasowywała się do kształtu mojej twarzy. Zamknąłem oczy, kiedy wrażenie zaczęło się nasilać, było to słodko-bolesne uczucie, które wibrowało w moim ciele od czaszki aż po pachwinę.

Po kilku chwilach wrażenie zanikło, jak ciepły kompres, który nagle został zdjęty.

Otworzyłem oczy. Briallen stała przede mną ze skrzyżowanymi ramionami, słabe, białe światełko migotało w jej oczach.

– Próbujesz się zabić?

– Usiłowałem powstrzymać mordercę.

– I omal sam nie zginąłeś. Nawet nie nosisz broni, co?

– Mam nóż – odparłem słabo. Ból w głowie zredukował się do tępego kołatania gdzieś u podstawy czaszki.

Briallen parsknęła i usiadła.

– Nie na wiele ci się to zdało. Co dokładnie wydarzyło się dzisiejszej nocy?

Streściłem jej wszystko, poczynając od spotkania Keevy we „Flitterbugu”, żeby mogła się zorientować, od czego zaczęła się cała katastrofa.

– Nie rozumiem tylko, co przeoczyłem.

Zawsze działał w siedmiodniowym cyklu. Więc dlaczego dzisiaj, a nie wczoraj?

Briallen wyciągnęła się w fotelu i zapatrzyła w sufit.

– Od kilku dni przeglądam książki. A teraz... –

Raptem skoczyła na równe nogi i zaczęła krzyczeć.
– Co za kretynka! Idiotka! To cykl księżycowy,
Connor!

– Jesteś pewna?

Zmarszczyła brwi.

– Śmiertelnie pewna. Kalendarz to próba nieudolnego odtworzenia zachowania księżyca, a nie na odwrót. Pierwsze zabójstwo odbyło się w pierwszej kwadrze, trzy tygodnie temu od wczoraj, drugie w drugiej kwadrze, trzecie tydzień później podczas pełni, a czwarte teraz, w ostatniej kwadrze.

Usiłowałem na wyścigi ułożyć sobie daty w głowie.

– Jesteś pewna?

– Przestań to powtarzać! – Strzeliła palcami. – Jestem i kobietą, i druidką. Chyba znam cykl księżycowy. Tylko nie dotarło do mnie, że każdej nocy, kiedy odbywało się morderstwo, odprawiałam inkantacje w ogrodzie. Jestem od tego wszystkiego tak daleko, nie skojarzyłam związku.

Oboje skamienieliśmy na nagły odgłos upadku dobiegający z hallu. Po chwili napiętej ciszy rozległ się głośny jęk. Zanim ja podniosłem się z fotela, Briallen wybiegła już z pokoju i znajdowała się w połowie schodów. Na dole, w westybulu, na podłodze leżał jęczący chochlik. Rozpoznałbym wszędzie te różowe skrzydełka.

– Stinkwort! – Puściłem się po schodach za

Briallen.

Podpełzł po podłodze i dźwignął się do pozycji siedzącej. Lewe ramię przyciskał do boku.

– Mów mi Joe, kurna – miał słaby głos.

Spojrzał na Briallen. – Proszę o wybaczenie, pani.

– Nie przejmuj się – zamruczała Briallen, wyciągając do niego rękę. Zdumiewające, ale usiadł jej na dłoni, co normalnie uważał za rzecz grubo poniżej swojej godności. Ostrożnie odsunęła jego ramię, by zobaczyć ranę. Głęboka szrama ciągnęła się przez całą długość jego przedramienia do podstawy dłoni. Rzadka krew wypełniła cięcie, więc znów przycisnął kończynę do boku.

– Ta noc jest przeklęta – wymruczała Briallen. Kołyszając Stinkworta w dłoniach, wstała i ruszyła po schodach do pracowni. Złożyła go ostrożnie na stole i zaczęła grzebać w pudełkach wyjętych spod blatu.

– Co się stało? – spytałem niecierpliwie.

– Dopadł następnego – powiedział Stinkwort przez zaciśnięte zęby. – Śledziłem go do magazynu, ale było już za późno. Ścigałem gnoja przez całą drogę do Charlestown, nim odwrócił się i zaczął walczyć. Prawie go dostałem. Użył jakiejś inkantacji, której nigdy dotąd nie słyszałem. Spowolnił mnie, a potem uziemił. Ten pieprzony świr mnie uziemił.

Briallen naląła czegoś przeraźliwie cuchnącego na szmatkę, a potem zbliżyła do ramienia Stinkworta.

– Może zapiec.

Pomyślałem, że czemuś zawsze piecze.

Briallen uniosła ramię Joego, a potem ostrożnie przyłożyła opatrunek, zanim rana znowu zaczęła krwawić. Stinkwort zawył, ale druidka nadal trzymała okład. Światło zamigotało w jej dłoniach, blada poświata migocąca jak świeczka we mgle. Wokół ciała chochlika zapłonęła różowa aura. Splotła się z białym światłem wokół jego ramienia rozżarzonym wirem. Zawył z bólu.

Briallen wyciągnęła wolną rękę i chwyciła mnie za ramię.

– Przepraszam, Connor, muszę część tego odzyskać.

Poczułem ucisk w piersi i zakołysało mi się w głowie. Wydawało mi się, że upłynęło bardzo dużo czasu, zanim kobieta mnie puściła. Zatoczyłem się, potrząsając głową, w której wszystko zdawało się pływać. Lśniaca esencja Briallen opływała ramię Stinkworta, leżącego z zaciśniętymi kurczowo powiekami. W pewnym momencie blask znikł tak nagle, jakby ktoś nacisnął przełącznik. Chochlik usiadł, oddychając ciężko, z bezwładnym ramieniem. To, co przed chwilą było raną, zmieniło się w paskudną szczelinę wypełnioną bliznowatą tkanką. Z kolei ja czułem się tak, jakby moje kończyny związane drutem. Wytoczyłem się z pokoju do pracowni i tam zwałem na fotel. Briallen przyszła niedługo potem i też usiadła. Trwała tak, patrząc w ogień, i wydawała się bardzo

blada.

– Jak się ma?

Ocknęła się na chwilę.

– Teraz już przeżyje. Omal nie umarł. Stracił mnóstwo krwi i bardzo osłabił esencję, usiłując utrzymać się przy życiu. Dlatego musiałam cię wykorzystać.

Powaga w jej głosie zastanowiła mnie.

– Cóż... Przynajmniej mam jedną osobę mniej na sumieniu dzisiejszej nocy.

– Nikogo nie zabiłeś, Connor.

– Nie? Wysłałem aroganckiego dzieciaka w towarzystwie prostego, wiejskiego chochlika prosto w zasadzkę. To ja im dałem amulet.

– Przestań być taki egocentryczny. Tu w ogóle nie chodzi o ciebie. Zdarza się.

– Nie pojmuję, jak możesz być taka obojętna – odparłem, tłumiąc gniew.

– Nie jestem. Po prostu nie biorę wszystkiego do siebie. Mądrość polega na odróżnianiu, kiedy twoja wrażliwość zostaje wystawiona na próbę, a kiedy sytuacja może złamać ci serce. Ja ci tylko radzę, żebyś nie tracił perspektywy.

Zapadłem się głębiej w fotel.

– Jakim sposobem zmuszasz mnie do przeproszenia za każdym razem, kiedy mnie wkurzysz?

Uśmiechnęła się.

– Cały czas mając rację. Jak się czujesz? Dasz radę przejść się kawałek?

– Jestem wyczerpany, ale pójdę, jeśli tak chcesz.

Wstała.

– To zaproszenie jest zarazem zaszczytem i obowiązkiem.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła za sobą. Przez moment poczułem zawrót głowy, ale to uczucie natychmiast minęło. Wyszliśmy na ulicę.

– Gdzie idziemy?

– Okazać szacunek.

Szliśmy ulicą w chłodnym powietrzu przedświtu.

O tej porze miasto było niemal zupełnie ciche. Kiedy skręciliśmy w Beacon Street, niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć. Weszliśmy na błonia przez starą żelazną bramę, a potem powędrowaliśmy brukowaną uliczką. Na dole pusta betonowa sadzawka lśniła kremowo w świetle ulicznych latarni. Małe kamyki i odłamki szkła zgrzytały nam pod nogami, gdy doszliśmy do wzgórza. Briallen ujęła mnie za rękę i zaczęliśmy się wspinać na zbocze. Krąg drzew otaczał okrągłą, porośniętą trawą przestrzeń na szczycie. Dotarliśmy tam i stanęliśmy, czekając.

Usłyszałem śpiew, który przerwał ciszę przedświtu. Głosy wznosiły się i opadały w niskiej tonacji, śpiewając cicho ponurą pieśń, która stawała się coraz głośniejsza. Z pobliskich krzaków wynurzyła się grupka siedmiu chochlików, ich skrzydła lśniły przytłumionym

blaskiem. Na głowach miały proste czerwone
czapeczki, każdy trzymał pęk mirtowych gałązek z
liśćmi. Chochliki niosły mary splecione z traw i
witek, na których spoczywały zwłoki Tansy Na jej
twarzy zwróconej w niebo malował się wyraz
głębokiego spokoju, skrzydełka zawinęły się już
wokół ciała jak pomarszczony, szary całun. Miękki
głos Briallen dołączył do pieśni.

*Śpij, dziecko, śpij
Nisko miesiąc lśni
Gwiazdy już bledną.
Trzeba ci iść Śpij, dziecko, śpij
Ciemny wieje wiatr
Twoja gwiazdka spadła
Musisz opuścić świat
Śpij, dziecko, śpij
Nocny idzie pływ
Świt już nadchodzi
Trzeba ci iść*

Procesja wkroczyła uroczyście na szczyt
wzgórza i złożyła Tansy na ziemi. Chochliki
otoczyły ciało i okrążając je, sypały listki, aż
usypały na nim stos mirtu. A potem zaczęły zniknąć
jeden po drugim, aż został tylko Stinkwort. Wyjął
maleńką herbacianą różę z za poły swojej tuniki i
ostrożnie złożył ją na piersi Tansy. A potem i on
zniknął.

Briallen w milczeniu dotknęła mojego

ramienia i zaczęliśmy schodzić. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Bez względu na to, co twierdziła wcześniej, nic nie mogłem poradzić, że czułem się odpowiedzialny. Scena, którą przed chwilą oglądałem, wydarzyła się przede mną. Dotarliśmy już do drzwi, kiedy Stinkwort pojawił się nagle tuż przed nami.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedział, chyląc głowę w oszczędnym ukłonie.

Brialen oddała ukłon.

– To był zaszczyt.

– Przykro mi, Joe. Wiem, ile dla ciebie znaczyła – odezwałem się cicho.

Apatycznie wzruszył ramionami.

– Uczciłem jej życie i jej ducha. Oplakuję stratę, która nie powinna się była zdarzyć. Tylko tyle. Nasi ludzie nie umierają często, a już z pewnością nie z powodu bezsensownych mordów. Granica została przekroczona.

Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby Stinkwort był tak poważny i mówił tak oficjalnie. Nie przypominał kapryśnego błazna, którego znałem od lat, i poczułem się nieswojo. Szurnałem nogą po chodniku, niemal zbyt zakłopotany, by cicho zadać mu następne pytanie.

– Zdołałeś mu się przyjrzeć?

– Pasuje do opisu, który już masz – odezwał się z nieprzeniknioną twarzą. – Jest też bardzo silny.

– Wejdź do środka, Joe. Musisz odpocząć –

odezwała się Briallen.

Wydawało się, że przez jego ciało przepłynął strumień energii. W oczach zamigotało mu białe, charakterystyczne dla fata światło. Jego skrzydełka załopotały nerwowo, odfrunął od nas kawałek i wyjął miecz. Trzymał go w gotowości z wyrazem determinacji na twarzy.

– Nie, pani. Nie będzie odpoczynku. Ten skurwiel ska jest mój.

Zniknął.

Rozdział 9

Poczułem, jak gorąca fala gniewu oblewa mi ciało.

– Przywołaj go z powrotem, Briallen.

Przywołaj go.

Przez chwilę, kiedy wpatrywała się w jaśniejące niebo, sądziłem, że rzeczywiście go przywołuje. Ale po chwili ujęła mnie za ramię i łagodnie poprowadziła do domu.

– Daj mu spokój, Connor. Wystarczy już nerwów na jedną noc.

Odsunąłem się od niej.

– Wyjął miecz w twoich progach!

Spojrzała mi w twarz. Delikatne zmarszczki wokół jej oczu wydawały się głębsze niż zwykle.

– Connor, nie jestem w nastroju do roztrząsania starożytnych reguł gościnności. Jest ranny. Jest wściekły, a przede wszystkim wstrząśnięty atakiem na innego chochlika. Zawstydzanie go w tej chwili niczemu nie służy.

– Zawstydzanie? Doskonale wie, że ci ubliżył. Pogwałcił twoją gościnność, wyjmując broń w twoich progach.

Wydeła wargi.

– Po pierwsze, nie w progach, tylko przed progiem. Po drugie, nie przyjął świadomie mojego zaproszenia, zanim to zrobił, a przede wszystkim nie znajdował się w domu, kiedy się to zdarzyło,

więc technicznie nie było żadnej gościny, którą mógłby pogwałcić. Daj. Spokój.

– Naciągasz fakty, żeby mu darować.

Potrząsnęła głową i ruszyła przed siebie.

– Connor, nie po to doprowadziłam się do wycieńczenia, ratując go i lecząc ciebie, żebyś teraz zanudził mnie na śmierć. Potrzebujesz snu jeszcze bardziej niż on. Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż zastanawianie się nad naruszeniem zasad etykiety.

Tryumfalnie założyłem ręce na piersi.

– Ha! Sama powiedziałaś „naruszenie”!

Ledwo to powiedziałem, poczułem się jak idiota. Briallen jeszcze spotęgowała to uczucie, parskając w wyjątkowo irytujący sposób.

– Chodź na tył domu, zanim świt nam przepadnie.

Pokornie poszedłem za nią przez kuchnię aż na podwórko. Nawet w mdłym świetle przedświtu ogród był niezwykłym miejscem. Niedaleko drzwi kuchennych stał węzlasty, stary dąb, który wrósł częściowo w ceglany mur oddzielający ogród Briallen od sąsiedniego. Wąska, wyłożona płytami ścieżka okrążała drzewo i wiła się pomiędzy kępami kwiatów i ziół, które w półmroku wydawały się plamami szarości. Daleko z tyłu znajdował się mały półksiężyc trawy, otaczający płytką sadzawkę przy granicy posiadłości.

Briallen zaprowadziła mnie na trawę, stanęła z jednej strony fontanny i wskazała mi miejsce po

drugiej.

– Nie widać stąd dokładnie samego wschodu, ale dociera wystarczająco dużo światła, żeby inwokacja była wartościowa.

Uniosła ramiona do pozycji wyjściowej, uczyniłem to samo. Czułem, że słońce wstaje, że opływa nas jego ożywcze światło. Już mieliśmy zacząć inwokację, gdy nagle Briallen powiedziała:

– Bez obaw, nie rozbieram się do słonecznych rytuałów.

Zdusiłem śmiech, kiedy zaczęliśmy śpiewać.

Kiedy skończyliśmy, ogród był już skąpany w słonecznych barwach. Purpurowe naparstnice sterczały nad kępami lawendy i wrzосу. Nad obłożonymi kamieniami rabatami kłębiła się koniczyna i pierwiosnki. Białe pnące róże oplatały mur niczym kurtyna. Zapach był oszałamiający. Poczujęm się lepiej fizycznie i psychicznie. Nadal bolało mnie całe ciało, ale ogłuszające dzwony w mojej głowie niemal przycichły. Odpłynął też gniew. Wciąż miałem zamiar wygłosić parę słów do Stinkworta, kiedy go spotkam, nawet jeśli Briallen uważała, że nic się nie stało, ale chyba bym go już nie trzepnął.

Wróciliśmy do kuchni, Briallen napełniła czajnik i ustawiła go na palniku. Oparła się o blat.

– Powinieneś się przespać.

– Wiem. Jestem wykończony.

Siedzieliśmy w milczeniu, słuchając, jak czajnik śpiewa, rozgrzewając się od ciepła. Gdy

zaczął gwizdać, Briallen napełniła kubki i podała mi jeden. Ostrożnie siorbnałem gorącego płynu. Miał miętowo-ziemny smak z nutą ziół, chyba jakiegoś rodzaju herbaty. Briallen wolała parzyć własne mieszanki, zamiast zamoczyć torebkę. Poczułem krótki przyływ euforii, który rozpląnął się w kojącym wrażeniu ciepła. Ciekaw byłem, co fda [Food and Drugs Administration - amerykańska organizacja rządowa kontrolująca żywność, produkty medyczne, suplementy diety i leki (przyp. tłum.)] powiedziałyby na temat pewnych produktów, które Briallen serwowała swoim gościom.

– Masz coś w rodzaju plastikowej torebki?

– Coś w tym rodzaju – odparła sarkastycznie, otworzyła szafkę i wyjęła pudełko polietylenowych woreczków. – Proszę. Używam tych dziwnych plastikowych rzeczy, kiedy moje jutowe worki są w praniu.

– Bardzo śmieszne. Potrzebuję tylko jednej. Do spakowania kamienia.

Odstawiłem kubek i wróciłem do pracowni Briallen. Wiedziałem, że teraz jest to już odrobinę bez sensu, ale założyłem torebkę na dłoń jak rękawiczkę, żeby nie dotykać kamienia, a potem odwróciłem ją na drugą stronę, opakowując go starannie. Dziwna esencja już się rozeszła, pozostawiając tylko słabe echo. Na dnie torebki zebrało się trochę ziaren i nagle przypomniałem sobie szorstką, zapiaszczoną powierzchnię wewnątrz rany ofiary. Uniosłem woreczek do porannego światła. Wyglądało to jak zwykły

piasek. Pierwsza ofiara też miała takie pozostałości w ranie, o ile dobrze sobie przypomi nałem. Nie widziałem tego wtedy dokładnie i nie byłem pewien, czy chodziło o piasek.

Wróciłem do Briallen siedzącej w kuchni.

– Chcesz się tu przespać? – Zdjęła czajnik z płyty i napełniła go ponownie.

– Powinienem iść do domu.

Wyjąłem telefon, żeby wezwać taksówkę, kiedy nagle zaczął dzwonić. Przez chwilę patrzyłem na niego tępo. Nikt przy zdrowych zmysłach nie dzwonił do mnie o świcie. Kiedy odezwał się ponownie, odebrałem.

– Tu Murdock. Gdzie jesteś?

– U Briallen. Musimy pogadać.

– Nie może być. Nie ruszaj się stamtąd. –

Rozłączył się.

Briallen splotła ramiona.

– Wiesz, że musisz odpocząć.

– Odpocznę – odparłem, ale żadne z nas w to nie uwierzyło.

Dzwonek zadzwieczał, gdy dopijałem resztkę herbaty. Briallen odprowadziła mnie do drzwi i otworzyła. Murdock stał na progu w świeżo odprasowanej koszuli, bez śladu zaspania na twarzy mimo wczesnej godziny. Złożył Briallen nieznaczny ukłon.

– Dzień dobry, pani Gwyll.

– Dzień dobry, Leonardzie. Jak to miło z twojej strony, że użyłeś dzwonka – powiedziała z

szerokim uśmiechem. Sam ledwo pohamowałem własny. Poprzednim razem, kiedy Murdock miał zabrać mnie od Briallen, popełnił ten błąd, że został w samochodzie i zaczął trąbić. Nie dość, że tak się nie robi na placu Loisburg, to na pewno nigdy pod domem Briallen. Klakson wył potem jeszcze przez godzinę, bez względu na to, co Murdock kombinował z kablami.

– Przepraszam za tamto – odparł i spojrzał na mnie. – Pozwoli pani, że zabiorę Connora?

– Naturalnie. Ma skłonność do nadużywania gościnności, a potem wzywa taksówkę. – Zabrała mi kubek i wypchnęła delikatnie za drzwi.

Murdock chrząknął dyskretnie i cofnął się o krok, żeby mnie przepuścić.

Potrząsnąłem głową.

– Nie wyobrażasz sobie, jaką miałem noc – powiedziałem, kiedy szliśmy do samochodu zaparkowanego nielegalnie pod hydrantem.

– A teraz czeka cię nie lepszy dzień.

Przerzuciłem czasopisma na tylne siedzenie i wsiadłem.

– Co to miało znaczyć?

Murdock uruchomił silnik i cofnął się pod prąd aż do Mt. Vernon.

– Dwa ciała i jeden znajomy rysopis. Dodaj sobie.

– Trzy ciała. – Opowiedziałem mu o Tansy.

– Szlag – wymamrotał. – Dwoje fata i jeden człowiek. Ciężko będzie cię z tego wyciągnąć.

– Mnie!

– Tak, ciebie, ty porąbany durniu! Jak ci się zdawało, o kim mówiłem?

– O podejrzanym! Pamiętasz? Wielki facet, brzydko pachnie?

– Mam rysopis potwierdzony przez wielu niezależnych świadków oraz kierowcę taksówki, który wiózł zeszłej nocy klienta z krwią na rękach. Brzmi znajomo?

Opadłem na siedzenie.

– To chyba jakiś żart.

Murdock zaparkował w zaułku za Downtown Crossing.

– Nie. To nie żart. A teraz powiedz mi, co się wydarzyło.

Opowiedziałem. Kiedy dotarłem do momentu, w którym wyciągam kamień z piersi ofiary, Murdock zajęczał rozpaczliwie. Wyjąłem amulet i podałem mu. Spojrzał na niego badawczo i wsunął do kieszeni koszuli. Odrzucił głowę na zagłówek i zapatrzył się w sufit.

Dokończyłem tak zwięźle, jak potrafiłem, Murdock nie powiedział ani słowa. Westchnął, zapalił silnik i pojechaliśmy dalej.

– Dobra, może cię wyplączę z oskarżenia o naruszenie dowodów dzięki tym historiom z esencjami, ale łatwo nie będzie. Najtrudniej będzie sprawić, żebyś nie wylądował na dołku jako podejrzany.

– To jakiś obłąd. Pracuję przy tej cholernej

sprawie.

– Nie. Nie pracujesz. Zostałeś wylany, pamiętasz?

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Murdock przejechał most Broadway, kierując się do południowego Bostonu, i nagle zwolnił. Nawet z tej odległości widzieliśmy samochody stłoczone przed komisariatem. Nie dało się nie zauważyć furgonetek sieci telewizyjnych z olbrzymimi antenami wycelowanymi w niebo i gotowymi do akcji.

Detektyw skręcił w boczną uliczkę i wjechał na wewnętrzny plac przy komendzie, zwykle służący do wyprowadzania podejrzanych do więźniarek, które wiozły zatrzymanych do miejskiego aresztu. Wpasował się w ciasne miejsce, gdzie nie blokował nikomu wyjazdu. Prawdopodobnie tylko na takich placach przy komendach gliny parkowały po ludzku. Obawa, że zablokuje się brykę komuś, od kogo może zależeć awans, wystarczyła, by przypomnieli sobie, jak wygląda parkowanie równoległe.

Kiedy wysiadaliśmy, zauważyłem czarnego sedana należącego do komisarza Murdocka. Nie powinienem być zdziwiony, zważywszy na sytuację, ale jednak ledwie dochodziła siódma rano.

Murdock poprowadził mnie przez zabezpieczone drzwi. Gdy szliśmy korytarzem, obejrzał się przez ramię.

– Nie mówiłem ci jeszcze. Pamiętasz tego dzieciaka zamordowanego w magazynie? Jego stary jest jakąś szycią z Nowego Jorku.

– Dlaczego po prostu nie wpakujesz mi kuli w łeb? – Pstryknąłem palcami. Zignorował mnie.

Weszliśmy po schodach i ponownie wylądowaliśmy w pokoju operacyjnym. Kłębiło się tam więcej ludzi niż ostatnim razem, bo jeszcze do tego wszystkiego spotkały się naraz dwie zmiany. Murdock pomaszerował prosto do biura Ruiza, zastukał raz i wszedł. Zamknął mi drzwi przed nosem, ale zdążyłem poczuć esencję wewnątrz biura. Moje wnętrzości ścisnęły się z irytacji. W środku siedział MacDuin. Murdock nie żartował, twierdząc, że czeka mnie ciężki dzień.

Odwróciłem się do sali tak nonszalancko, jak tylko potrafiłem. Wiele twarzy odwróciło się w inną stronę, a na niejednej widniał uśmiezek.

Po kilku szarpiących nerwy minutach Murdock wyszedł.

– Streszczaj się i nikogo nie wkurzaj – nakazał. Byłem zbyt zmęczony, żeby się obrazić.

Wchodząc do biura Ruiza, czułem się inaczej niż poprzednim razem. Nie lubię być w centrum zainteresowania podczas takich sytuacji. Komisarz zajmował to samo miejsce, MacDuin ponownie stał z lewej strony, a biedny Ruiz przycupnął na swoim krześle za biurkiem w takiej pozycji, jakby chciał czmychnąć przy pierwszej sposobności. Murdock przecisnął się na drugą stronę gabinetu i stanął

obok Ruiza, robiąc mi miejsce pomiędzy sobą a swoim ojcem. Znam lepsze sposoby spędzania czasu niż stanie pomiędzy dwoma wkurzonymi Murdockami. MacDuin sterczał sztywno wyprostowany i gapił się na mnie, starając się ze wszelkich sił wyglądać groźnie.

Komisarz skinął na mnie głową, jego ciemne oczy taksowały mnie przez dłuższą chwilę. Nie chciały być jego dzieckiem, mając na sumieniu wybitą szybę.

– Detektyw Murdock wspominał, że miałeś ciężką noc, Connor.

Postanowiłem zachowywać się oficjalnie.

– Mogę wyjaśnić wszystko, co wtedy zaszło, sir.

Skinął głową, nie odrywając badawczego spojrzenia od mojej twarzy.

– A jakże – oznajmił MacDuin. – To bardzo ciekawe, jak zamierzasz wyjaśnić, w jaki sposób przypadkiem natknąłeś się nie na jedno, ale na dwa morderstwa.

Zignorowałem go i mówiłem bezpośrednio do komisarza.

– Nie natknąłem się na te zabójstwa przypadkiem. Wszedłem do miasta z przyjacielem. Chochlikiem występującym pod imieniem Joe. Możecie nie wiedzieć, ale tej nocy zginęła jeszcze jedna osoba. Inny chochlik, imieniem Tansy. Kiedy Tansy umierała, Joe wyczuł to i doprowadził mnie na miejsce zbrodni.

– Co to znaczy „Wyczuł”? – zapytał komisarz.
– Dosłownie. To zdolność. Wszystkie
chochliki w pobliżu wyczuły to i zaczęły krzyczeć.

– Słyszałem o tym – wtrącił Ruiz. – Ale nie
wiedziałem, że to ma związek.

– To bezpośrednia konsekwencja, kapitanie.
Kiedy docierałem na miejsce, uciekający napastnik
potrącił mnie niechcący, umożliwiając mi śledzenie
go dzięki śladowi jego esencji. Od tego momentu
mogłem go ścigać. Niestety, na miejsce drugiej
zbrodni dotarłem za późno. Już go tam nie było.

– Tak – powiedział komisarz. – Detektyw
Murdock opisywał tę twoją zdolność.

– Nie przypuszczałem, że masz w ogóle jakieś
zdolności – zauważył MacDuin. Obdarzyłem go
szczerym uśmiechem.

– Mam ich wiele, Lorcan.

– Nikt nie widział tego tak zwanego mordercy.
Wszyscy natomiast widzieli ciebie – odparł
MacDuin.

– Poruszał się szybko. W moim obecnym
stanie nie mogłem za nim nadążyć.

– Zostałeś odsunięty od tej sprawy, prawda? –
spytał komisarz.

– Tak, sir. Podkreślam, że wyszedłem w
celach towarzyskich. Nie szukałem niczego
związanego ze sprawą.

MacDuin uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Wierzę, że w pańskim mniemaniu tak
właśnie wygląda towarzyskie wyjście na miasto,

panie Grey. Komisarzu, ten człowiek odniósł poważne uszkodzenie mózgu w służbie Gildii. Z tego, co wiem, jest nieuleczalne i najwyraźniej zaczęło wpływać na jego zdolności umysłowe.

– Do czego zmierzasz, MacDuin?

Spojrzał na mnie z udawanym żalem.

– Connor, mamy podejrzanego w areszcie.

Wiem, że się nie zgadzaliśmy, ale to już zaszło za daleko.

Złożyłem ręce na krawędzi blatu i pochyliłem się w jego stronę.

– Co imputujesz?

Wzruszył ramionami.

– Niczego nie imputuję. Twierdzę, że zabiłeś dwoje, przepraszam, troje ludzi zeszłej nocy w żalostnej próbie kontynuowania zamkniętej sprawy, by podtrzymać iluzję, że posiadasz jakiegokolwiek zdolności.

Murdock wykazał się przytomnością umysłu i położył mi rękę na ramieniu. To wystarczyło, żeby powstrzymać mnie przed rzuceniem się przez biurko. Wzięłem kilka głębokich oddechów.

– Nikogo nie zabiłem.

MacDuin zwrócił się do komisarza.

– Naprawdę, sir. Jaka jest szansa, że nikt nie zauważył tego tajemniczego napastnika opisywanego przez Greya? Gdzie ten chochlik, który mu pomagał? A to kolejne ciało?

– Chochliki same o siebie dbają i ty doskonale o tym wiesz – odparłem. MacDuin spojrzał na

mnie niecierpliwie. Wchodziłem prosto do jego pułapki. Postanowiłem trochę zwolnić. Zdaje się, że wyczerpanie zaczęło brać nade mną górę.

Komisarz przerwał ciszę.

– Dlaczego uciekłeś z miejsca zbrodni?

– Nie uciekłem z miejsca zbrodni.

Zabezpieczałem dowód.

Murdock wyjął kamień z kieszeni i położył na biurku. Zrozumiałem, jak MacDuin musiał czuć się dwa dni temu, kiedy wykonywał ten sam ruch.

Wyraz jego twarzy był bezcenny. Oczywiście wiedział, że przy ofiarach znajdowano amulety, ale chciał to wykorzystać przeciw mnie.

– Znalazłem to przy ofierze. Emanowało dziwną esencją, która zaczynała zanikać, więc zawiozłem to do zbadania, zanim wygaśnie całkowicie.

Komisarz pochylił się nad stołem i podniósł torebkę, żeby przyjrzeć się jej uważnie.

– Zdaje się, że strasznie dużo kamieni ląduje na pańskim biurku, kapitanie Ruiz.

– Ee... tak, sir – odparł. Biedny Ruiz. Usiłował wyglądać na zaangażowanego, a jego czoło lśniło od potu. Jeszcze nie widziałem kapitana policji tak mocno zepchniętego na margines. Oczywiście, biorąc pod uwagę, ile władzy i animozji mieściło się w tym pokoju, niewielu kapitanów wytrzymałoby długo w takiej sytuacji.

Komisarz wręczył torebkę MacDuinowi, który przyjął ją tak, jakby wręczono mu martwą mysz.

Kiedy MacDuin odstawiał przedstawienie, badając kamień, ciszę przerwał ostry, ćwierkający dźwięk. Murdock spojrział na swój pager i wyłączył go. MacDuin odrzucił kamień na biurko.

– Kolejny korzystny zbieg okoliczności. Nikt tego nie widział na miejscu zbrodni.

– Może powinieneś podyskutować o zbiegach okoliczności z Briallen ab Gwyll. Zaniósłem jej to do zbadania.

Trzeba MacDuinowi przyznać, że nie zbladł całkowicie. Udało mu się zachować panowanie nad sobą, ale oczywiście nie spodziewał się, że wmieszam w to Briallen. Komisarz chrząknął.

– Zdziwniej i zdziwniej, jak powiadają. Zdaje się, Lorcan, że ten młody człowiek zasłużył na nagrodę. Od lat nie widziałem, by ktoś wyślizgnął się z twojej sieci. Zwłaszcza tak ciasnej.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – odparł MacDuin.

– Mówię, że jego historia wyglądała tak, jak mówi. No, chyba że chcesz poprzytykać się o to ze starą wiedźmą.

Nie zdawałem sobie sprawy, że Murdock trzyma mnie za ramię, aż ścisnął je stanowczo. Tym razem jednak nie musiał się martwić. Jestem pewien, że Briallen swego czasu nazywano znacznie gorszymi słowami. Poza tym zobaczyłem promyczek nadziei, bo w tonie komisarza zabrzmiało odrobinę szacunku.

MacDuin spojrział na mnie lodowatym

wzrokiem. Obraz skrzydeł pojawił się nagle za jego plecami, kiedy napięcie osłabiło urok.

– Przyjmując na razie, że ta historyjka jest prawdziwa, to co odkryłeś?

– Ja... nie jestem pewien. Myślę, że to potwierdzenie mojej wcześniejszej teorii, że zabójca cierpi na jakiś wrodzony defekt. Esencja bijąca z kamienia miała dziwną, niestabilną charakterystykę. Sądzę, że te zabójstwa są z tym związane.

– Innymi słowy, nie masz nic – skwitował MacDuin.

Potrząsnąłem głową i poklepałem się po nosie.

– Mam jego ślad. Mogę go wytropić. Mogę przewidzieć, gdzie się pojawi następnie. Mam na to większe szanse niż ktokolwiek, ale nie wtedy, gdy będę siedział w celi.

Komisarz zmarszczył się z irytacją i machnął ręką.

– Nie jesteś aresztowany.

– Komisarzu, muszę nalegać... – zaczął MacDuin, ale komisarz przerwał mu w pół słowa.

– Odpuść, Lorcan. Tracimy tylko czas. Nie jesteś tu jedynym, który musi dbać o politykę. Nie zamierzam robić sobie wstydu i pakować kolejnego podejrzanego do aresztu, jeśli zostanie popełnione następne morderstwo. Już i tak prasa będzie miała używanie. Chcę twardych dowodów, i to na wczoraj. – Spojrzał na Murdocka. – Wyraziłem się jasno, detektywie?

– Tak jest, sir – odpowiedział Murdock.

– No, to ruchy – ponaglił komisarz.

Nie musiał mi tego powtarzać dwa razy.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem do pokoju operacyjnego, zanim zmieni zdanie. Murdock wyszedł tuż za mną z uśmiechem. Wróciliśmy tą samą drogą i wsiedliśmy do samochodu.

– La! – powiedziałem.

Murdock parsknął i włączył silnik.

– Powinieneś go zobaczyć, kiedy jest naprawdę wściekły.

– Nie o to chodzi, że jestem niewdzięczny, ale dlaczego twój ojciec mi pomógł?

Murdock wjechał w Zachodnią Broadway, a stamtąd prosto na ulicę A.

– Może nie lubi MacDuina jeszcze bardziej niż ciebie.

Skręcił w przecznicę i na Pittsburgh.

Przejechaliśmy powoli wzdłuż zaułka. Mała honda, która najlepsze lata miała dawno za sobą, parkowała za śmietnikiem. Murdock ustawił się za nią. Brudna szyba kierowcy opadła i zobaczyliśmy roześmiane oblicze Barnarda Murdocka.

– Hej, Bar – przywitałem się. Młodszy brat Murdocka wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać. Te same ciemne włosy, takie same ciemne oczy, rozdzielone identycznym orlim nosem. Tylko trochę mniejszym. Wszyscy zwracali się do niego Bar. Nikt nie odważył się mówić o nim „Barney”.

– Connor! Bohater dnia. Możesz wdepnąć w to jeszcze głębiej?

– Też się cieszę, że cię widzę, Bar.

Wskazał podbródkiem na Murdocka stojącego za moimi plecami.

– Dlaczego nie odpowiadasz na pager?

– Odpowiadam. Wciąż tam jest? – zapytał Murdock.

– Jest. Potrzebne wsparcie?

– Nie. Poradzimy sobie.

Bar wzruszył ramionami.

– Obsłużcie się. Wpadniesz w niedzielę na obiad, Connor?

– Jestem ostatnim człowiekiem, którego twój ojciec chciałby widzieć przy swoim stole.

Bar zaśmiał się z uznaniem.

– Miałem telefon od kogoś, kto dostarcza mi informacji. Zaraz za wami wyszedł facet z Gildii, wkurzony jak cholera. Dobra robota.

Murdock dojechał do końca zaułka i zaparkował pod drzwiami Shaya. Wysiadł, wyciągając broń, ale trzymał ją przy boku, lufą w dół.

– Czy to konieczne? – spytałem.

Spojrzał na mnie poirytowany.

– Zeszłej nocy straciliśmy Robina. Jak chcesz się przyznać do tych morderstw, to ją schowam.

Uniosłem rękę.

– Dobra, dobra. Po prostu wydaje mi się to trochę gruboskórne.

– Świetnie, idź pierwszy.

Zawahałem się, aż Murdock wyminął mnie z tryumfalnym wyrazem twarzy. To, że nie sądziłem, by Shay był zdolny popełnić te morderstwa, nie oznaczało jeszcze, że jestem idiotą. Murdock pchnął drzwi. Włączyło się jaskrawe światło w hallu. Ruszyliśmy powoli po jednej stronie korytarza, niemal ocierając się o ścianę. Murdock zatrzymał się przy drzwiach, zza których słychać było, że ktoś się porusza.

Cofnęliśmy się.

– Shay? – zawołał Murdock. Ruch za drzwiami ustał. – Tu policja, Shay, otwieraj. – Bez odpowiedzi. Murdock spojrzał na mnie, przytaknąłem. Wycelował w drzwi, ja przeszedłem na przeciwległą stronę korytarza. Na twarzy poczułem ciarki towarzyszące aktywowaniu się tarczy. Akurat kiedy skoncentrowałem się, żeby kopnąć, drzwi nagle się otworzyły.

Shay stał w progu, skamieniały na widok wymierzonej w niego broni. Murdock przesunął lufę.

– Jezus, Shay. Mogłeś odpowiedzieć.

– Przepraszam – odparł. Odwrócił się i wszedł do pokoju. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło, odkąd byliśmy tu po raz ostatni. Ubrania poniewierały się wszędzie, w większości spiętrzone na łóżku. Na podłodze zauważyłem otwarte walizki.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał Murdock.

Nie schował broni.

– Już mówiłem. Mam dosyć. Wynoszę się. –
Chłopak kontynuował pakowanie.

– Nie wydaje mi się, że powinieneś teraz
wyjeżdżać – powiedział Murdock.

Shay przerwał i spojrzał na niego.

– Chodzi o rysopis? Jeśli potrzebujecie
świadka, to nie muszę być ja. Spytajcie Robina.
Okłamał was. Też go widział.

Murdock i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Gdzie byłeś zeszłej nocy, Shay? – odezwał
się Murdock.

Policzki Shaya zabarwiły się nagle, kiedy
nerwowo odgarnął włosy za ramię.

– Pracowałem.

– Byłeś zeszłej nocy z Robinem?

– Tak. Przez chwilę. Pokłóciliśmy się o ten
głupi amulet z urokiem. Zauważyłem, że z
pośpiechu go zapomnieliście, a Robin postanowił,
że będzie go używał. Mówiłem mu, że to
niebezpieczne udawać fata, gdy się nim nie jest.

– Dlaczego sądziłeś, że to niebezpieczne?

Aresztowaliśmy kogoś – zauważył Murdock.

– Słyszałem, że to człowiek. Ten, którego ja
widziałem, na pewno nim nie był.

– Kiedy widziałeś Robina ostatni raz?

– Co? – zapytał Shay.

– Odpowiedz na pytanie – nacisnął Murdock.

– Około północy. Zostawiłem go w jakiejś
norze na Congress. – Shay opadł powoli na łóżko,

nie odrywając od nas oczu. – Dlaczego nie mówicie, co z Robinem? Gdzie on jest?

Im bardziej się denerwowałem, tym spokojniej mówiłem. Ani ja, ani Murdock nie odpowiedzieliśmy i Shay zrobił się nieco bardziej ponury.

Pracowałem przy wystarczająco wielu sprawach, by się na to napatrzeć. Zerknąłem na Murdocka, skinął głową.

– Znalazłem go w zaułku zeszłej nocy, Shay.

Zamknąłem oczy i osunąłem się do przodu, zwijając się w kłębek. Szlochałem cicho, a my staliśmy nad nim i patrzyliśmy z zakłopotaniem. Nie wydawało mi się, żeby Shay udawał. Ani się nie kontrolował, ani nie tracił panowania nad sobą, jednak miał w sobie ładunek hamowanej hysterii, charakterystyczny dla ludzi, którzy rozpaczliwie nie chcą uwierzyć w to, co usłyszeli. Zrobiłem krok w jego stronę i oparłem mu delikatnie dłoń na plecach. Murdock zmarszczył się niechętnie, ale go zignorowałem. Rozejrzałem się za jakimiś chusteczkami i podałem Shayowi kilka wyjętych z pudełka na szafce nocnej. Wytrzeł mocno twarz, zanim uniósł wzrok.

– Co się stało? – zapytał.

– Został zamordowany. Zabójca dostał też Tansy.

Gniew wykrzywił mu twarz.

– Nie złapaliście go, prawda?

Zabrzmiało to jak zarzut. Potrząsnąłem głową.

– Dlaczego go zostawiłeś?

– Miałem spotkanie.
– Z kim? – spytał Murdock.
– Murdock... – zacząłem. Nie widziałem powodu, dla którego miałby teraz na to naciskać.
– Odpowiedz mi – rozkazał.
– Nie przedstawił mi się – odrzekł Shay.
– Zdaje mi się, że w ten wygodny sposób mówisz, że i tak go rozpoznałeś.
– Nawet gdybym ci podał jego nazwisko, to sądzisz, że przyznałby się do spotkania ze mną? – Shay spojrzał na Murdocka tak, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że jest idiotą. Szczerze mówiąc, pomyślałem, że wiele się nie myli.
– Widziałeś ostatniej nocy tego gościa z twojego portretu pamięciowego? – zapytałem.
– Nie. – Zawahał się przez króciutki moment, ale to wystarczyło, żebym się zaniepokoił. Wciąż nie potrafiłem zrozumieć, w jaki sposób Shay miałby być zamieszany w sprawę. Jego historie brzmiały wiarygodnie, nawet jeśli zawierały niepokojące zbiegi okoliczności, a jego współudział nie miał sensu. Nie był fata. Nie był silny. I niczego nie próbował ukryć, a przynajmniej tak mi się zdawało. Może Murdock pozostawał sceptyczny, bo Shay był najmniej prawdopodobnym podejrzanym. Nikt normalnie nie miewał aż takiego pecha. No, może poza mną.
– Gdzie mój sprzęt? – spytał Murdock.
Shay wstał z łóżka i pogrzebał w stercie ubrań na sąsiednim legowisku. Znalazł nadajnik i kable,

po czym oddał je Murdockowi.

– Nigdzie nie wyjeżdżasz, Shay. Rozumiesz? –
Chłopak skinął głową.

Murdock wyszedł z pokoju, podążyłem za nim. Odwróciłem się i spojrzałem na Shaya, z rozpaczą wpatrującego się w podłogę. Wydawał się o wiele za młody, żeby mógł przeżyć aż do tej pory, ale wszystkie dzieciaki w Weird podobne do niego jakoś przeżywały.

– Przykro mi, Shay.

Uśmiechnął się blado.

– Dzięki, Connor. To miło wiedzieć, że komuś jeszcze jest przykro.

Murdock siedział już w wozie, gdy zszedłem na dół. Kiedy minęliśmy samochód Bara, pomachaliśmy sobie bez przekonania, jakby nie było powodu, ale rozstanie się bez pozdrowienia było zbyt nieuprzejme.

– Byłeś dla niego raczej twardy – zauważyłem.

– A czegoś się spodziewał? To jedyny trop, jaki mamy, a Shay nie ma alibi.

– Wydawało mi się, że dałeś mu nadzór.

– Bo dałem. Zeszłej nocy wymknął się z baru wyjściem, o którym nie wiedzieliśmy.

– To nie on, Murdock. Nie było go w miejscu zbrodni zeszłej nocy.

– A skąd możesz wiedzieć?

– Bo wyczułbym jego esencję.

Murdock podjechał pod mój budynek. Zaparkował i odwrócił się do mnie.

– A skąd wiesz, że nie wyczułeś?

Patrzyłem na niego przez chwilę w zaskoczeniu, a on siedział po prostu, cierpliwie przyglądając mi się przez ramię.

– Connor, sam mówiłeś, że czujesz od niego dziwne wibracje. Twoje własne słowa.

Nadal nic nie mówiłem.

– A zabójca miał dziwną esencję, z jaką nigdy wcześniej się nie zetknąłeś.

Opadłem z powrotem na siedzenie.

– Ha! – powiedziałem.

– Dziękuję – odparł Murdock.

– Daj mi chwilę pomyśleć. – Nie byłem pewien, czy to możliwe. Shay miał silną esencję, ale również bez wątpienia był człowiekiem. Z pewnością miał u siebie w pokoju masę gadżetów fata. Wydawało się, że jest możliwe, żeby natrafił na coś, co mogło wzmocnić jego esencję i nawet dać mu siłę nieproporcjonalną do jego zdolności.

Musiałoby to być coś o ogromnym potencjale i wydawało mi się, że człowiek nie byłby w stanie z tego skorzystać, ale pewności nie miałem.

– Po co miałby zabić Robina?

– Może Robin się dowiedział – zauważył Murdock.

– Nawet jeśli to on, naprawdę z dużym „jeśli”, to jaki ma motyw?

Murdock parsknął.

– Zemsta? Zazdrość? Dreszczyk emocji?
Wybierz sobie.

Westchnąłem.

– Naciągane, ale w obecnej chwili nie jestem w stanie tego obalić. Jestem tak wyczerpany, że nie mogę już myśleć, Murdock. – Wysiadłem z samochodu.

– Wyglądasz parszywie. – Zaśmiał się i odjechał. Uwielbiam jego talenty towarzyskie. Spojrzałem w zamglone niebo. W powietrzu już się czuło narastającą wilgoć. Potrzebowałem prysznic i własnego łóżka. Wyczerpanie przepęłniało każdą kość mojego ciała. Ziewnąłem głęboko w windzie.

Może Briallen miała rację. Może zbyt brałem wszystko do siebie. Robin z dużym prawdopodobieństwem i tak by zginął, w ten czy inny sposób. Z kolei Tansy była zbyt naiwna, żeby ustrzec się złego. Wchodząc do mieszkania, pomyślałem, że być może, tak czy owak, sprawy potoczyłyby się tak samo. Ale pomyślałem też, że być może Briallen była w błędzie.

Rozdział 10

Zawsze mnie zdumiewało, jak to się dzieje, że kiedy budzę się w ubraniu, to ono śmierdzi o wiele gorzej, niż kiedy kładłem się spać. Rzecz jasna przespanie piętnastu godzin aż do czwartej rano nie poprawia specjalnie sytuacji. Nie mogłem znieść własnego smrodu, więc wygrzebałem się z kłębówiska prześcieradeł i poszedłem pod prysznic. Zasnęty pot i wcale nie tak mało krwi odpadały ode mnie jak warstwa martwej skóry. Kiedy wreszcie wyszedłem z łazienki, byłem zbyt rozbudzony, żeby wracać do łóżka. Zrobiłem sobie kawę, wślizgnąłem się w bokserki i wyszedłem na dach.

Mimo że byłem prawie nagi i właściwie trwała jeszcze noc, powietrze wydało mi się gorące. Duchota poprzedniego dnia wcale nie ustała, zapowiadając jeszcze bardziej parny dzień. Usiadłem na leżaku i siorbnałem z kubka. Bez względu na temperaturę zawsze piłem kawę. Dzień bez kofeiny to dzień właściwie bez jakiegokolwiek znaczenia.

Po drugiej stronie kanału mglisty opar wisiał nad dokami jak brudna szmata. Widziałem punkty światła jaśniejące z biurów, z gabinetów, gdzie jeszcze przez całe godziny nikt nie zasiądzie do pracy. Puste biura emanowały bezruchem. Tylne światła taksówek ślizgały się cicho w tajemniczych

nocnych kursach. Jedynym dźwiękiem był pusty biały szum miasta i rzadkie zawrozczenie syren z oddali. Mimo że bary zamknięto i nawet pijacy znaleźli drogę do domu, miasto dalej miotało się jak w ataku bezsenności. Czas kompletnego odpoczynku wciąż nie nadchodził, chociaż do świtu nie zostało już dużo czasu. Miasto nie zasypia, ale śni. Śni o stracie i obietnicach.

Sam się tak czułem od cholernie długiego czasu. Od mojego wypadku byłem rozdarty pomiędzy nadzieją na przyszłość i utraconą chwałą. I nienawidziłem tego, nienawidziłem nieokreślonego stanu, w jakim się znalazłem.

A jeśli moje zdolności nigdy nie wrócą – kim będę? Słowa Briallen wirowały mi w głowie. Jak to jest być tylko ciałem pozbawionym talentu? Wiem, chodziło jej o to, że nie ma czegoś takiego, ale to tak naprawdę nie stanowiło odpowiedzi na pytanie.

Od dawna wyrzucałem sobie arogancję. Jak mogłem nie doceniać tego, co miałem? Jak mogłem patrzeć na każdego jak na konkurenta? Tyle tylko, że obecnie nie było mnie stać na samobiczowanie. Musiałem odnaleźć znowu swoją ścieżkę, a jedynym sposobem, by tego dokonać, było działanie. Inaczej nie czeka mnie nic więcej, jak odbieranie czeków z rentą i siedzenie w gaciach z kawą w ręku w środku nocy.

Gdy niebo zaczęło szarzeć, usiadłem przy komputerze i zabrałem się ponownie do

przeoglądania dowodów. Przede wszystkim metodycznie spisałem wszystko, co mi się przydarzyło przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. Był to najdłuższy pojedynczy wpis w aktach. Nie ma nic gorszego dla śledczego, niż stać się częścią własnej sprawy. Nawet jeśli Briallen i Murdock mieli różne punkty widzenia, mówili to samo: nie traktuj tego jak czegoś osobistego. To było trudne. Mieli może rację, ale to trudne. Westchnąłem ciężko.

Wyprostowałem się na fotelu i przejrzałem półkę z książkami. Znałem każdy tom w tym pokoju, większość z nich przeczytałem dwa razy, a niektóre więcej, ale przeglądanie ich pomagało mi uporządkować myśli. W oko wpadły mi klechdy celtyckie – są tacy, którzy nazwaliby je historią. Pełno tam było legendarnych bohaterów, którzy urastali do niezwykłych rozmiarów, nabierając przy tym nadnaturalnych sił. Wprawdzie nic podobnego nie wydarzyło się od Konwergencji, w związku z czym trwała debata nad tym, co było mitem, a co historią. Fata, szczególnie ci długowieczni, skłaniali się do tego, że chodziło o historię, i często sobie przeczyli. Z jednej strony uwielbiali hołubić pradawne urazy, a z drugiej – nie byli zbyt otwarci na obcych. Z ich punktu widzenia każdy był obcy.

Sprawdziłem dane Murdocka na temat Shaya. O ile można się było zorientować, urodził się z ludzkich rodziców. Jedyne istoty rodem z Faerie,

jakie po Konwergencji pojawiły się na ziemi, to fata – druidzi, wróżki, elfy i krasnoludy, żadnych zwykłych ludzi o tak zwanych fantastycznych zdolnościach. Zgodnie z opowieściami ludzie również grali swoją rolę w Faerie, ale nie zostali przeniesieni przez niewytłumaczalne połączenie dwóch światów. Bez jakiegokolwiek związku z Faerie nie dało się dopasować Shaya do profilu mordercy.

Wróciłem do esencji. Esencja zachowuje się jak energia – można nią manipulować na kilka sposobów. To jedna z kwestii sprawiająca, że poszczególne rasy z Faerie tak różnią się między sobą. Druidzi na przykład potrafią podłączyć swoją osobistą esencję do aury czegokolwiek innego, z czym chcemy pracować. Jesteśmy w tym dobrzy, ale dlatego szybko się męczymy. Wróżki nie muszą tego robić. Mogą dosłownie czerpać esencję z czegokolwiek, nie naruszając własnego zapasu, chyba że same chcą. To sprawia, że są bardzo potężne, ale płacą za to niskim poziomem umiejętności. Z kolei elfy mogą manipulować esencją jedynie przez inkantacje. Nie kontrolują poza tym bezpośrednio żadnej esencji poza własną, której używają tylko w ostateczności. Ludzie mogą aktywować esencję, ale tylko jeśli jakiś fata wyposaży ich w odpowiednie przedmioty.

Ktoś taki jak Shay nie mógł tego dokonać na własną rękę.

Podskoczyłem na nagły brzęczyk,

sygnalizujący, że nadeszła wiadomość na automatyczną sekretarkę. Zanim wczoraj padłem, wyłączyłem głośnik i dzwonek. Teraz zgłosiłem, akurat by usłyszeć Murdocka mówiącego: „ty idioto”. Rozłączył się. Wyświetlacz wskazywał sześć komunikatów, więc nacisnąłem przewijanie. Pierwszy komunikat był od Murdocka, informującego mnie, że wysłał mi mejlem uaktualnione akta sprawy. Następne cztery ponownie od Murdocka, z tą samą wiadomością, żebym oddzwonił. Ostatni komunikat to był właśnie ten, który przyszedł przed chwilą. Wkurzony Murdock mówił: „Oddzwoń. Twoja komórka padła, ty idioto”.

Oddzwoniłem, odebrał natychmiast.

– Gildia przejmuje sprawę – powiedział.

Dobry stary Murdock, wali prosto z mostu. A ja poczułem się jak wydymany przez frajera. – Ojciec ostatniej ofiary zrobił piekło. Mówiłem ci, że to jakaś sycha z Nowego Jorku. MacDuin chyba nawet nie miał wyboru.

– To za proste. MacDuin coś wie. Wydawało mi się, że chciał to wyciszyć za wszelką cenę.

– Cóż. Teraz to jego sprawa – powiedział Murdock. – Spakuj wszystkie notatki i prześlij mi mejlem. Muszę wszystko odesłać do Gildii jeszcze dziś po południu.

Jego głos brzmiał, jakby myślał o czymś innym.

– To już? Zamierzasz tak po prostu odpuścić?

Chrząknął sucho.

– Witamy w Bostońskim Departamencie Policji, Connor. Kiedy Gildia dowiedzie swoich praw do sprawy, nie mamy nic do gadania. Przypuszczalnie sam nam to zrobiłeś parę razy.

Miał rację. Takie były reguły gry. Jeśli przestępstwa dotyczyły fata, Gildia mogła zabrać sprawę bez gadania. Jęczałem, że Gildia bierze się tylko do spraw, z których ma polityczną korzyść, a teraz właśnie dowiodła, że miałem rację.

– Wpadnij na obiad w niedzielę – powiedział Murdock po chwili ciszy.

– Przemyślę to. – Osobiście nadal wątpiłem, czy komisarz chciałby mnie widzieć przy swoim stole. Odłożyłem słuchawkę i zagapiłem się w okno. Wstawał dzień, miasto przeszło w tryb poranny. Estakady zapchały się samochodami, samoloty startowały i lądowały, chodniki zapełniły się ludźmi snującymi się somnambulicznie w narastającym upale. Gildia przejęła sprawę i świat się jakoś nie skończył. Niezbyt zaskakujące.

MacDuin przypuszczalnie został zmuszony do oficjalnego przejęcia sprawy, kiedy ojciec ofiary pociągnął za sznurki. W to byłem w stanie uwierzyć. Nie miałem najmniejszych złudzeń, że pozostałe ofiary doczekają się sprawiedliwości. Nie obchodzili nikogo poza garstką najbliższych przyjaciół. Wszystko, co MacDuin miał zrobić, to znaleźć zabójcę albo wystawić kolejnego frajera, dopiąć mu ostatnią sprawę i na tym zakończyć.

Gildia skupi się na tym jednym jedynym przypadku i nic innego jej nie będzie obchodziło. Mieszkańcy Weird nie mieli znaczenia. A cokolwiek MacDuin chciał wykombinować przy pomocy rzekomego sprawcy, właśnie wzięło w łeb.

Sprawdziłem pliki, żeby zobaczyć, czego jeszcze nie dostałem od Murdocka, a potem przejrzałem je znowu. Nie miałem specjalnej ochoty pomagać MacDuinowi, ale nie znośłem zostawiać nieskończonej roboty. Wrzuciłem wszystko do mejla i wysłałem. Nie było sensu irytować Murdocka, wysyłając mu rozgrzebane pliki.

A potem chodziłem po mieszkaniu tam i z powrotem, nie mając nic do roboty, aż Murdock przyjdzie z następną sprawą. To obrzydliwe uczucie – czekać, aż wydarzy się coś złego po to, żeby ktoś dał ci pracę. Dusiła mnie frustracja. Generalnie – kiedy wszystko inne zawodzi, pozostają zachowania sublimacyjne. Chwyciłem gąbkę, wyczyściłem kuchnię i łazienkę, żeby zająć czymś umysł. Kiedy wyrzucałem z lodówki zaschnięte resztki chińszczyzny, moją uwagę przykuł słoik świetlików. Postanowiłem rozgrzać jednego i posłać Stinkwortowi. Mógłbym przynajmniej spuścić trochę pary, wydzierając się na niego za zachowanie u Briallen. Nie miałem pojęcia, jak długo potrwa, zanim dostanie wiadomość.

Po jakimś czasie zorientowałem się, że

czołgam się pod kanapą, polując na kłębki kurzu. Usiadłem więc na tyłku. Tak naprawdę miałem gdzieś, czy pod moją kanapą czają się kłębki kurzu, czy nie.

– Dobra, wystarczy tego – powiedziałem na głos. Umyłem ręce, zabrałem klucze i wyszedłem z domu. Nie mogłem odpuścić. Musiałem się dowiedzieć, co MacDuin knuje.

Lubiłem mieszkać w Weird, ale komunikacja nie była mocną stroną tej dzielnicy. W środku dnia można było stąd pojechać tylko do centrum i tam szukać innych połączeń. Jak na małe miasto, często okazywało się, że trwa to zbyt długo, żeby dostać się tam, gdzie się chciało. Najczęściej prościej było iść na piechotę. Miałem tym razem szczęście i złapałem autobus siódmkę na Congress, który dowiózł mnie do linii pomarańczowej w piętnaście minut. Stałem na Downtown Crossing i rozważałem, czy nie iść do metra. Niewiele by mi to dało, a do tego ugotowałbym się z gorąca. Zdecydowałem przejść resztę drogi ulicą Waszyngtona.

Ulica Waszyngtona biegła prosto przez Combat Zone – dzielnicę, przy pomocy której jakiś geniusz urbanistyki postanowił zalegalizować wszelkie ludzkie ścieki. W efekcie dzielnica składała się obecnie z budynków zabitych dechami i stojących to tu, to tam biur pomocy społecznej. W nocy cały teren zapełniał się prostytutkami, co doprowadzało do szału mieszkańców pobliskiego

Chinatown. Jedyłą pociechą stanowiło kino prezentujące stare filmy akcji. Dwa pozostałe stanowiły głównie schronienie przed deszczem. W ciągu dnia biznesmeni z dzielnicy finansowej wpadali tu w czasie przerwy na lunch, szukając szybkiej rozrywki w budach z peep show oraz starając się nie zaplamieć drogich garniturów. To był miły spacer, jeśli nie myślało się za wiele.

Skręciłem przez plac Parkowy i za róg Charles. Południowy ruch śmigał wokół mnie. Pomimo okularów przeciwsłonecznych blask raził mnie tak, jakby ktoś wbijał mi sztylety w oczy. Sen, który sobie zafundowałem, pomógł, ale i tak czułem się, jakby przejechała mnie ciężarówka. Nie chciało mi się nawet myśleć, jak bym się czuł, gdyby Briallen nie pozbierała mnie do kupy.

Po drugiej stronie hotel Park Plaza bódł niebo swoim bramińskim przepychem gzymsów i równych bloków ciosanego granitu. Jak większość miejskich wielkich wieżowców usytuowanych na przestrzeni kilku przecznic, wbijał się w plac niczym statek wchodzący do portu. Kiedy światła zatrzymały ruch, zadarłem głowę, żeby spojrzeć na następny.

Dom Gildii wyglądał jak typowy stary bostoński budynek. Nade mną piętrzyły się płyty z portlandzkiego piaskowca, blankowane wieże wznosiły się ryzykownie na wysokość, o jakiej nie słyszano w starym Faerie. Odrobina zdolności fata i współczesna inżynieria architektoniczna zrobiły

swoje. Gargulce zajmowały całą dostępną przestrzeń. Nie były częścią oryginalnego projektu, ale nagromadziły się przez lata, przyciągane przez poziom energii, którą emanował budynek.

Skierowałem się do nakrytego łukami głównego wejścia od strony placu. Kolczasty od pinakli portyk wznosił się nad dużymi szklanymi drzwiami. Nigdy nie wiedziałem, czy było to z jakiegoś powodu zamierzone, czy stanowiło czysty przejaw kiczu. Na wprost głównego wejścia sterczała kamienna głowa smoka z rozdziawioną paszczą, długi ozór owijał się wokół ostrych jak igły zębów. W odróżnieniu od gargulców smok należał do oryginalnego wystroju, ale nigdy nie zaskarbił sobie sympatii rezydentów budynku. Moim zdaniem jego położenie było zbyt stresujące.

Poczułem w mózgu przepływ wibracji, jak chłodny podmuch wiatru. Wrażenie było znajome, ale nie czułem go od bardzo dawna. A teraz wróciło znowu, poprzedzane przez dźwięk brzęczy, jakby kamień tarł po piachu.

– Wróciłeś – rozległ się suchy szept w mojej głowie. Popatrzyłem nad głównym wejściem. Setki gargulców tłoczyły się w zwieńczonych łukami niszach – demony, zwierzęta, gady, a także groteskowe postaci półludzkie. I wszystkie wpatrywały się we mnie.

– Tutaj – rozległo się znowu. Cofnąłem się od budynku i przepatrzyłem ornamenty na froncie. I dojrzałem go po chwili: przykucniętego małego

człowieczka, nie większego od kota, który zaszył się w rzeźbionych liściach akantu na kapitulu kolumny. Był pucołowaty, nagi i obdarzony wyjątkowo zagadkowym wyrazem popielato-szarej twarzy, który nie pasował do jego wzrostu. Miał jedno przenikliwe oko pośrodku czoła, tuż pod niewielkim, spiralnie skręconym rogiem. Jak na gargulca był miłym gościem.

Uspokoilem umysł i pomyślałem:

– Cześć, Virgil. – Nie było to właściwie przesłanie. Nie można przesłać gargulcowi swoich myśli. Słuchają, czego chcą słuchać. Virgil w pewnym sensie był moim starym kumplem. Swego czasu przesiadywał na gzymsie przy oknie mojego biura w Gildii. Kiedy pierwszy raz do mnie przemówił, właśnie czytałem na nowo Dantego, stąd to imię. Nie miałem pojęcia, jak naprawdę się nazywał, o ile w ogóle jakoś. I byłem zaskoczony, że teraz znalazłem go w tak widocznym miejscu.

– Czekałem – powiedział.

– Na mnie? – spytałem.

– Tak.

Gargulce to zadziwiające istoty. Według ich własnej tradycji pochodzą z Europy, ale można je spotkać niemal wszędzie. Nie jest jasne, czy te, które mogą się poruszać, zyskały tę umiejętność w wyniku Konwergencji, ale zdarzyło się to w tym samym czasie. Szczególnie upodobały sobie budynki Domów Gildii. Pierwszy z nich, zbudowany w Nowym Jorku, zawalił się pod ich

ciężarem, więc teraz są budowane z zapasem pozwalającym im wytrzymać kilka ton kamienia, który je obsiadzie.

Niemal nigdy nie mówią. Nawet nie wiem, czy wszystkie potrafią, ale te, które mogą, robią to bardzo rzadko. Poruszają się tylko w nocy, i to bardzo wolno, chyba że pod wyjątkowym przymusem i nigdy, kiedy ktokolwiek patrzy. Raz obserwowałem postępy uskrzydłonej żaby, która podążała z parapetu mojego okna na podłogę pod spodem. Zajął jej to półtora miesiąca. Została tam dzień czy dwa, a potem nagle zniknęła. Nigdy nie dowiedziałem się dlaczego.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytałem. Nie potrafiłem sobie wprawdzie wyobrazić, jak mógłbym wspomóc nawiedzany przez ducha kawał kamienia, który żyje przez wieki. Gargulce nie potrzebują wiele opieki. Odpowiedział mi głuchy, zgrzytliwy dźwięk, który mógł być śmiechem.

– Nie twój księżyc – powiedział Virgil.

– Nie rozumiem – odrzekłem.

– Nie wiem. Wola.

– Wola? Chcesz powiedzieć, że ty coś wolisz? Czyja? – pomyślałem tak głośno, jak potrafiłem. Czułem na sobie skoncentrowaną uwagę kilku innych gargulców. Virgil nie odpowiedział. Stałem spokojnie, czekając, żeby powiedział coś więcej, ale trwał tylko nieruchomo, patrząc na mnie rezolutnie. Kiedy stało się jasne, że więcej się nie odezwie, skinąłem głową.

– Dziękuję.

Poczułem lodowaty węzeł w żołądku. Czy przyjąłem błędne wnioski? Czy cykl księżycowy był kolejną teorią opartą na zbiegach okoliczności? Nie rozumiałem, dlaczego Virgil do mnie przemówił i w czym chciał mi pomóc. Zwykle dopiero po fakcie okazywało się, że jego słowa miały sens i oznaczały coś niewiarygodnie oczywistego, co przeoczyłem. Wiem, że gdybym i tym razem w końcu zrozumiał, sam bym się kopnął w tyłek.

Wchodziłem do Domu Gildii po raz pierwszy od prawie roku.

Olbrzymie marmurowe foyer wznosiło się na wysokość dwóch pięter, oświetlone kinkietami przypominającymi pochodnie. Grupka zwiedzających tłoczyła się pod jedną ścianą, podczas gdy ich przewodnik głosił coś, wskazując w nieokreślonym kierunku. Dom Gildii to biurowiec, a nie muzeum, ale ludzie i tak byli ciekawi, jak wygląda w środku. Wycieczki nie docierały nigdy dalej niż do hallu, i to pod warunkiem, że miały szczęście.

Na lewo od wejścia stała długa, zakrzywiona kolejka fata i ludzi, a ich twarze wyrażały różne stopnie desperacji, lęku albo nadziei. Nazywaliśmy ich „suplikantami”. Niektórzy z nich szukali zaginionych ukochanych, inni mieli skargi przeciwko fata, a jeszcze inni nie mieli się już do kogo zwrócić po pomoc, bez względu na

bezpośrednie przyczyny, które sprowadziły ich właśnie tutaj.

Przychodzili tu codziennie i wypełniali formularz prośby o audiencję, której udzielano bardzo rzadko. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że mieli znacznie większą szansę dostać się na Harvard, niż uzyskać spotkanie z członkiem Gildii. W tamtych czasach, o ile w ogóle raczyłem zwrócić na nich uwagę, jedynie mnie irytowali. Byłem taki sam jak reszta pracujących na górze. Jeśli coś nie miało związku z moją karierą, nie interesowało mnie w najmniejszym stopniu. Teraz widziałem w nich ludzi, którzy zasługiwali na pomoc.

Obszedłem kolejkę, by dostać się do recepcji. Za biurkiem siedziały dwie kobiety, elfki. Nie rozpoznałem żadnej z nich. Kiedy podszedłem, ta z włosami upiętymi w koński ogon podniosła na mnie zbyt niebieskie oczy i wyciągnęła podkładkę z papierami przypiętymi klipssem.

– Proszę wypełnić zgłoszenie i wrzucić je do skrzynki na końcu lady.

– Connor Grey na spotkanie z Keevą McNeve.

– Ma pan przepustkę?

– Nie.

– Bez przepustki nie możemy zadzwonić, sir.

Może pan wypełnić zgłoszenie, jeśli pan chce.

Wróciła do swoich papierów.

Spojrzałem na ludzi stojących w kolejce. Moje zachowanie przynajmniej łamało monotonię, ale

niektórzy zaczęli zwracać na mnie szczególną uwagę. Pochyliłem się nad biurkiem, wziąłem długopis i napisałem bezpośredni numer Keevy na jakimś świstku. Zabiłaby mnie, gdyby ktokolwiek go podejrział.

– To jest bezpośrednia linia. Gdybym jej nie znał, nie miałbym tego numeru. Proszę do niej zadzwonić.

Wpatrywała się uważnie w cyfry, ale oczywiście wiedziała, że to wewnętrzny numer. Po serii grymasów mających wyrażać irytację sięgnęła w końcu po słuchawkę i postukała w klawisze.

– Odzywa się jej poczta głosowa. Chce pan zostawić wiadomość?

– Nie. Może mógłbym podejść do jej biura i sprawdzić, czy tam jest?

– Nie.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do swoich papierów. Kiedyś miałem miłutkie własne biuro w tylnej wieży, z widokiem na Common. Teraz nie mogłem dostać się bez zaproszenia nawet na pierwsze piętro.

Kiedy zastanawiałem się, co powiedzieć, znajoma postać weszła przez frontowe drzwi z dwoma kawałkami pizzy w ręku. Obrzuciła piorunującym spojrzeniem kogoś, kto stał zbyt blisko, kiedy przechodziła. Miała na sobie czarną koronkową chustę przewiazaną na biodrze, czarną letnią sukienkę i glany. Jej skóra miała charakterystyczny biały odcień właściwy osobom

rzadko wychodzącym z budynku. Jedynym kolorowym akcentem w jej wyglądzie były włosy. Miewała już czarne, czerwone, śliwkowe, a kiedyś przez cały tydzień były błękitne. Dziś zafarbowała je na pomarańczowo i ściągnęła kolczastą spinką.

Zatrzymała się na mój widok. Uważne oczy zmierzyły mnie badawczo spode łba. Sięgała mi ledwo do ramienia, ale zachowywała się tak, jakby miała dwa razy więcej wzrostu. Ugryzła po kolei oba kawałki pizzy.

– Grey. Znowu chcesz przysługi?

Poczułem gorąco na policzkach.

– Szczerze mówiąc... – Skinąłem w kierunku recepcji. – Potraktowały mnie oficjalnie i nie wpuściły do środka.

Recepcjonistka usłyszała i zmierzyła mnie obrażonym spojrzeniem.

Meryl obejrzała mnie sobie z dołu do góry.

– Masz broń?

– Mam nóż.

Skinęła głową.

– To dobrze. Jeśli cię zabiję, powołam się na obronę konieczną. – Ruszyła obok recepcji. – On jest ze mną – rzuciła przez ramię.

– Proszę okazać przepustkę – powiedziała recepcjonistka.

Meryl odwróciła się powoli.

– Oglądasz moją przepustkę średnio cztery razy dziennie. Ja sądzę, że jesteś debilką. Ty sądzisz, że jestem suką. Dociera? – Ruszyła dalej,

podążyłem za nią.

– Znalazłeś te kamienie, które zgubiłeś? – spytała. Dotarliśmy do windy, akurat kiedy drzwi się otwierały, więc wszedłem za Meryl.

– To miejsce je zgubiło. Nie ja.

Winda ruszyła.

– Wszystko jedno – odparła z ustami pełnymi pizzy. – Sprawdziłam. Zostały przyjęte na stan przez departament MacDuina, potem nikt ich nie widział.

Trzy piętra pod poziomem ulicy winda otworzyła się, ukazując sklepiony, ceglany korytarz. Wzdłuż ciągnęły się w regularnych odstępach rzędy drzwi i wszystkie pozostałe światła w piwnicy były wygaszone. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny.

Meryl wyszła z windy.

– Idziesz czy nie?

– No... chciałem z tobą porozmawiać.

Zatrzymaliśmy się przed starymi dębowymi drzwiami ponabijanymi żelaznymi ćwiekami, zaopatrzonymi w stary, kuty zamek.

– Och, a ja myślałam, że chciałeś trochę pomyszkować w budynku. Wiedziałaś, że gdybyś zaczął krzyczeć tu, na dole, to nikt cię nie usłyszy?

I wrzasnęła.

Zamek zazgrzytał i otworzył się ze szczękiem, a mnie wszystkie włosy stały już dęba.

Zachichotała i pchnęła drzwi.

– Zabawiałam się trochę z dźwiękowymi

zakłęciami. Nieźle działają, tylko w zeszłym tygodniu miałam chrypkę i zabrało mi dwadzieścia minut, żeby trafić na właściwą nutę.

Po ciemnościach korytarza jaskrawe światło jej biura oślepiło mnie. Błękitne biurowe regały ciągnęły się pod ścianami, zastawione pudłami różnej wielkości. Pośrodku pokoju stało szare wojskowe biurko z komputerem, który wyglądał, jakby jego wnętrze eksplodowały od strony twardego dysku. Przewody i kable wiły się aż do szafki pod ścianą, gdzie stał następny komputer.

Coś mi mówiło, że Meryl ma spokojny dostęp do mainframeu całego budynku.

– Siadaj i niczego nie dotykaj. – Śmignęła dookoła biurka i usiadła, po czym cisnęła pustą tackę po pizzy do kosza na śmieci.

Zdjąłem stertę papierów z jej gościnnego krzesła i położyłem na ziemi. Siadając, zauważyłem tablicę wiszącą nad jej głową. Gazetowe zdjęcia i wycinki prasowe pokrywały niemal całą powierzchnię. Osłupiały zauważyłem też karteczki z notatkami poprzyklepane to tu, to tam. Na każdej znajdował się napis w oghamie oraz cyfry napisane na dole. Podobne karteczki zaścielały biurko.

– Cholera, Meryl, co to jest?

Jej twarz wykrzywiła się z irytacją.

– Gdybyś niegdyś od czasu do czasu sprawdzał coś sam, a nie tylko przysyłał swoich pacholków, tobyś wiedział.

Uśmiechnąłem się uroczo.

– Pamiętaj, że mam nóż.

Odpowiedziała uśmiechem.

– A pod krzesłem masz łaskę dynamitu. No i moja tarcza działa.

– Istny wybuch intelektu. – To była tak nędzna replika, że poczułem niesmak.

Zaśmiała się.

– Patrzysz na mój system segregowania.

System alfabetyczno-cyfrowy słabo się sprawdza w miejscu, gdzie wystarczy położyć nieodpowiednie rzeczy obok siebie, żeby porosnąć włosami w nieoczekiwanych miejscach. Musisz starannie równoważyć energię, żeby wszystko przepływało spokojnie. Próbowałam do niego przekonać inne Domy, ale czekają na totalny chtoniczny kataklizm, zanim przyznają, że mój sposób działa.

Sięgnąłem po długopis i zapisałem znaki oghamu, które znalazłem na ulotce w samochodzie Murdocka.

– Czy to coś znaczy?

Spojrzała na kartkę, a potem z powrotem na mnie.

– Stałeś się na starość geologiem? Te kamienie przepadły zeszłej zimy.

– Jakie kamienie?

Przysunęła sobie kartkę i wskazała mój glif.

– Te kamienie. Jest ich pięć. Selenit wysokiej jakości. Sprzed Konwergencji. Znalezione w kontenerze z kontrabandą pięć lat temu.

– Wiesz to wszystko, patrząc na glif?
Skinęła głową.

– Tak były u mnie oznakowane. To ja stwierdziłam, że zniknęły. Używałam tych kamieni do zneutralizowania pewnych amuletów. Kiedy weszłam do pomieszczenia, usłyszałam wibracje, co oznaczało, że nie działają prawidłowo. Sprawdziłam. Znikły. Musiałam wypełnić wagon formularzy z tego powodu. Chcesz powiedzieć, że znalazłeś je i znowu zgubiłeś?

– Nie zgubiłem ich – odparłem.

– Wszystko jedno.

– Pokażesz mi?

Wyszliśmy z biura. Meryl poprowadziła mnie na dół spiralną klatką schodową. Dotarliśmy na kolejny poziom korytarzy identycznych z tymi powyżej i zeszliśmy jeszcze głębiej w piwnice budynku. Powietrze wibrowało rezonansem wszelkiego rodzaju energii. Po chwili zaczęło mi też brzęczeć w głowie.

– Rany, co wy tu, do diabła, macie?

– Po trochu wszystkiego: broń, zbroje, kryształy, księgi. Wymień nazwę, a znajdziemy. Część to dowody w toczących się sprawach, część archiwalia przeznaczone do zbadania. Reszta to mnóstwo śmieci. Czy już wspomniałam, że gdybyś pofatygował się samemu coś sprawdzić, tobyś wiedział?

– I wcale nie jesteś rozgoryczona z tego powodu, jak i jakiegokolwiek innego.

Uniosła ręce w obronnym geście.

– Jaki delikatniusi. Przepraszam, że o tym wspomniałam.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami. Meryl przyłożyła dłoń do ściany opodal zamka. Zamruczała coś w języku, który brzmiał jak staroangielski. Nagły błysk światła skoczył z jej dłoni prosto w ścianę, na której ukazała się klawiatura. Spojrzała na mnie wymownie i zakreśliła palcem kółko. Odwróciłem się plecami i usiłowałem poskromić odruch, by zapamiętać dźwięk klawiszy.

– Nie wysilaj szarych komórek. I tak zmienię kod po twoim wyjściu – powiedziała Meryl.

Weszliśmy do wysokiego pomieszczenia rozjaśnionego tylko stłumionym światłem. Gwizdnąłem z uznaniem. Po obu stronach na wysokość pięciu metrów wznosiły się stalowe półki. Najniższe poziomy zawierały szafki i szuflady. Sądząc z szerokości naw przede mną i za mną, pomieszczenie miało ponad akr. Żeby coś takiego w ogóle się tu zmieściło, musieliśmy być głęboko pod poziomem linii metra.

W mojej głowie nadal coś brzęczało, ale teraz wrażenie było stłumione jak przez warstwę waty, co oznaczało, że talizmany są na miejscu i działają.

– Teraz rozumiem, dlaczego lubisz swoją pracę – powiedziałem.

Skrzywiła się.

– Wcale nie lubię mojej pracy, tylko miejsce,

w którym ją wykonuję.

Ruszyliśmy wzdłuż nawy, omijając pudła na podłodze i krocząc wzdłuż półek metodycznie oznakowanych nalepkami. Moja noga zderzyła się z czymś, co poturlało się po podłodze, wydając gruchoczący odgłos.

Pochyliłem się i podniosłem małą czarę wyrzeźbioną z jednego kawałka drewna i doskonale pasującą do mojej dłoni.

– Ładne. To drzewo oliwne, nie?

Meryl westchnęła głośno.

– To ten cholerny Parker. Tymczasowy pracownik, który nie byłby w stanie sam obciąć sobie paznokci. Mógłby trochę uważać, zważywszy, co to jest.

– A co to jest?

– Nie poznałeś? To święty Graal.

Wstrząśnięty trzymałem czarę tak, jakby mogła ugryźć.

– Święty Graal?!

Zaśmiała się, wyjęła czarę z moich rąk, a następnie otworzyła szafkę pełną podobnych naczyń i wrzuciła pucharek do środka.

– Jak i te. Uwierzysz, że jakiś baran usiłował je sprzedawać? Naprawdę, każdy może zobaczyć, że drewno nie ma więcej niż dwieście lat. Jeśli zrobimy następną wyprzedaż magazynową, mogłabym kupić je sobie do domu na sałatki.

Meryl trąciła drzwiczki biodrem, żeby sprawdzić, czy są zamknięte, i odeszła, nucąc.

Muszę przyznać, że mój szacunek do niej zaczął wzrastać.

Dogoniłem ją przy ścianie pełnej szuflad. Wysunęła jedną, całkiem małą, i odskoczyła zdumiona.

– Poczujesz to? Coś właśnie odeszło.

Potrząsnąłem głową.

– Moje zdolności nie są wielkie nawet w sprzyjających okolicznościach, a to miejsce jest dobrze chronione.

Zajrzeliśmy do szufladki. W obitym czarnym aksamitem wnętrzu znajdowało się pięć wgłębień, z których dwa były zajęte. Biały kamień i czarny kamień. Rozpoznałem je.

– Czy to te same kamienie, które znikły w zeszłym roku?

Skinęła głową.

– Dość długo gapiłam się na ich zdjęcia.

– Ja też.

– Ale dlaczego odłożono je z powrotem? – zapytała Meryl.

Uśmiechnąłem się.

– Najlepszy sposób, żeby coś ukryć, to odłożyć tam, skąd to zabrano. Nikt ich tu nie będzie ponownie szukał.

– Więc gdzie podziała się reszta, cwaniaczku?

– Szary jest na górze u MacDuina wraz z dowodami przeciwko temu lipnemu zabójcy. Drugi szary jest w komendzie bostońskiej policji, a w tej chwili pewnie już w drodze do MacDuina. Ostatni

ma zabójca.

– Czarny – oznajmiła Meryl.

– Wiem. Myślałem, że zabójstwa odbywają się w tygodniowym cyklu, dopóki nie zorientowałem się, że chodzi o kwadry księżyca. Biały dla pełni, szare na półksiężycie i czarny dla nowiu.

– Trzecia kwadra była ledwo dwie noce temu.

– I znalazłem wtedy szary kamień w piersi martwego wróżki.

Potrząsnęła głową.

– Szlag! Kto by pomyślał, że moje kamienie skończą w ten sposób?

– Twoje kamienie? – powtórzyłem. Machnęła lekceważąco dłonią.

– Skrót myślowy.

Mówiła jeszcze, kiedy usłyszałem charakterystyczny dźwięk zamykanych drzwi. Sądząc z reakcji Meryl, też to słyszała. Położyłem palec na ustach. Skrzywiła się.

– Bob? Parker, czy to ty? – zawołała.

– Cśśś – zasyczałem.

– Sam się cśśś. Mam prawo tu być – odparła. – Nie ruszaj się.

Odeszła szybkim krokiem wzdłuż nawy i znikła mi z oczu. Po chwili usłyszałem, jak znowu woła Parkera, ale nikt nie odpowiedział. Słyszałem jej oddalające się kroki i odgłos otwieranej zasuwki. Meryl zawołała jeszcze kilka razy, jej głos stawał się coraz bardziej odległy. Po dłuższym nasłuchiowaniu stwierdziłem, że już niczego nie

słyszę.

Dotarło do mnie, że Meryl, otwierając szufladę, mogła obudzić alarmowe zakłęcie. Ktokolwiek wszedł, zapewne zmierzał do niszy, w której stałem. Rozejrzałem się, ale w pobliżu nie było niczego, za czym mógłbym się ukryć. Jak najciszej zamknąłem szufladę z kamieniami i wysunąłem kolejną, na tyle tylko, żebym mógł oprzeć o nią nogę. Tak cicho jak to tylko możliwe wspiąłem się i chwyciłem pierwszej półki. A potem wspiąłem się po pozostałych półkach jak po drabinie na sam szczyt. Położyłem się w grubej warstwie kurzu i zamarłem w bezruchu.

Sekundy wydawały mi się minutami, a minuty zmieniły się w eony. Bez trudu mogłem usłyszeć bicie własnego serca. Opływał mnie chłodny powiew. W pomieszczeniu było tyle amuletów, że nie byłem w stanie zrozumieć, czy to reakcja mojej esencji, czy tylko wentylacja. Po chwili usłyszałem kroki i wsunąłem się głębiej. Dźwięk zbliżał się – rytmiczny, spokojny krok kogoś, kto wie, dokąd idzie. Zatrzymał się dokładnie pode mną.

Wzdrygnąłem się, kiedy usłyszałem szept Meryl tuż przy uchu.

– Może tak zejdziesz?

Stała, zadzierając głowę, z rękoma na biodrach, w postawie zniecierpliwienia. Zwiesiłem nogi, a potem zgramoliłem się na dół po półkach, ostatnie dwa metry zeskoczywszy. Próbowałem otrzepać kurz i pajęczyny, które okrywały mnie

grubą warstwą.

– Nic – powiedziała. – Ktoś tu na pewno był, ale nie zdołałam wyczuć ani śladu esencji.

Staliśmy chwilę w milczeniu.

– To był Bob – oznajmiła Meryl.

– To dlaczego nie odpowiedział?

– Bo jest tymczasowy i zdaje mu się, że dostaje pensję za spanie w magazynie, kiedy nie widzę.

– Ktoś ustawił alarm, Meryl. Ktoś, kto chciał doprowadzić mnie do tej szuflady, zostawił mi też te runy w oghamie, Meryl, oraz ustawił alarm, by sprawdzić, czy znalazłem kamienie.

– To ja doprowadziłam cię do szuflady, Grey. Ktoś, kto nie chciał być w to zamieszany, pamiętał kradzież i podsunął ci podpowiedź.

Wyjąłem kamienie. Meryl nadstawiła wyczekująco rękę. Po chwili wahania wysypałem je na jej dłoń. Nie miałem prawa ich zatrzymać, a jeśli Meryl naprawdę chciałaby postąpić jak suka, wsypałaby mnie, jeszcze nim wsiadłbym do windy.

– Nie możemy nikomu o tym powiedzieć – zauważyłem.

– Chyba żartujesz! Wiesz, przez jakie piekło przeszłam przez te maleństwa?

– Meryl, ktoś nie chce, żeby te kamienie zostały znalezione, a ktoś inny, żeby zostały. Nie możemy powiedzieć nikomu, nim nie ustalę, kto jest kim.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Masz czas do poniedziałku.

– Tylko jeśli znajdę zabójcę. W innym razie muszę mieć czas do nowiu we środę.

Przez jej twarz przebiegł cień irytacji.

– Niczego się nie uczysz, Grey? Księżyc nie przejmuje się kalendarzem. Następny nów jest we czwartek.

Poczułem lodowate ciarki na plecach.

Następny czwartek. Wigilia Letniego Przesilenia. I Weird pełne tysięcy imprezujących ludzi.

Meryl odprowadziła mnie do windy.

– Zanim się pożegnamy, muszę ci jeszcze opowiedzieć o śnie. Śniłam o tobie.

Świetnie, pomyślałem. To będzie krępujące. Intrygujące, ale krępujące.

– Śniłaś o mnie? – zapytałem obojętnie.

– To nie był zwykły sen. Jestem wieszczką.

Mam przymus, geas, by mówić o moich wróżebnych wizjach – wyjaśniła Meryl.

To mnie zaskoczyło. Nad większością fata ciąży jakiś rodzaj geas. To powinność, obowiązek, jakiego nie można zlekceważyć, bo wówczas tego, na kim ten obowiązek spoczywa, spotykają naprawdę nieprzyjemne rzeczy. Geas otrzymać można na różne sposoby. Niektórych dotyka, ponieważ ktoś obecny przy narodzinach miał wizję. Na innych ludzi jest rzucane jak klątwa, jeżeli kogoś skrzywdzą. O geas nie mówi się ot tak, po prostu, bo jest związane przeznaczeniem. Zaskoczyło mnie, że Meryl powiedziała o swoim.

Zwykle trzyma się to w sekrecie, by uniknąć manipulacji, jakie ułatwia obowiązek i przymus związany z geas. Nade mną też parę ciążyło, ale nikt o tym nie wiedział.

– Nie do wiary, że mi powiedziałaś o swoim geas.

Meryl wzruszyła ramionami.

– Trudno utrzymać to w sekrecie, gdy geas nakazuje mówić. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Nie martw się. Wątpię, czy dogrzebiesz się tych, które trzymam w tajemnicy.

– Co takiego śniłaś?

– Śnię metaforami. Widzę cię zakutego w łańcuchy, ale wyrywasz się na wolność. Widzę, jak toniesz w basenie pełnym runów oghamu. Ale to chyba już wyjaśniliśmy. Widzę cię otoczonego przez ostrza, gwiazdy i sztylety. Widzę, jak wdzieras się do Domu Gildii przez czarną dziurę i idziesz pustymi korytarzami. Ale najczęściej widzę cię połamanego i otoczonego ciałami zmarłych. A chociaż to nie należy do wróżby, powiem ci jeszcze, że ostatnio nie mam żadnych innych proroczych snów. Tylko te, jak leżysz połamany wśród trupów.

Wysłuchałem jej bardzo uważnie. Nie opłaca się lekceważyć żadnego fata ze zdolnością czytania snów.

– Kurwa – mruknąłem.

Rozległ się dzwonek i drzwi windy się rozsunęły. Meryl posłała mi uśmiech.

– Właśnie. Ale i tak miło cię było widzieć.

Rozdział 11

Biegłem zlany potem. Miałem nadzieję, że jeśli pójdę pobiegać zaraz po powitaniu słońca, będzie chłodniej niż później w ciągu dnia. Myliłem się. Do tego obijałem się cały tydzień, potem jeszcze zrezygnowałem z gimnastycznej randki z Murdockiem w siłowni, a teraz przyszło mi za to płacić. Oczywiście mógłbym zaliczyć sobie pościg za mordercą jako sprint, a zapadnięcie niemalże w śpiączkę jako ćwiczenia, ale niestety nie miałem wtedy na sobie odpowiednich butów. Toteż przy każdym uderzeniu podeszew o chodnik moje ścięgna wyły z bólu.

Nie obchodziło mnie, że oficjalnie odebrano mi sprawę. Strona oficjalna nigdy specjalnie mnie nie obchodziła. Nic nie mogło zmienić faktu, że byłem zaangażowany w sprawę, odkąd zginęli Robin i Tansy. Od tego czasu nie mogłem tak po prostu odpuścić. Moje akta jeszcze w Gildii zawsze były doprowadzone do końca. Z wyjątkiem sprawy Bergena Vize każdą poprzednią doprowadzałem do końca. Zresztą ta akurat, przynajmniej oficjalnie, wciąż była w toku. Vize po tym, co mi zrobił, cały czas ukrywał się, więc przynajmniej nie działał jako ekologiczny ekstremista. Miałem jeszcze czas, żeby go dorwać. Tymczasem w tej sprawie nie miałem czasu i musiałem ją tak czy inaczej zakończyć.

Za pięć dni Weird zapełni się świętującymi Przesilenie. W zwykłe święta policja i Gildia działały w najwyższej gotowości. Skoro Gildia przejęła sprawę, policja mogła z radością rozwiązać zespoły zadaniowe i posłać więcej ludzi na ulicę. I nawet biorąc pod uwagę skrytość Gildii, nie natrafiłem choćby na najcichszą plotkę o tym, by formowali własny zespół dochodzeniowy. Może MacDuin roił sobie, że wszystko załatwi sam.

Nad moją głową przetoczył się grzmot. Od samego świtu gęstą, białą opończę, która rozlazła się po niebie w ciągu nocy, przeszywały świetliste nitki błyskawic. Wyglądało na to, że tak samo będzie przez cały dzień. Przyspieszyłem kroku na pustych ulicach, nie chciałem, by złapał mnie deszcz. Jednak kiedy dobiegłem do Sleeper, nadal nie padało i chyba nawet się nie zanosilo. Zakończyłem przebieżkę rozgrzewką przed frontem mojej kamienicy. Kiedy wchodziłem już na chodnik, znajomy stary chevy, dosłownie krzyczący z daleka: „Uwaga! Gliniarz w cywilu!”, wtoczył się na ulicę.

– Wcześniej wstałeś – powiedział Murdock, opuściwszy okno. Z wnętrza buchnęła orzeźwiająca bryza z włączonej klimatyzacji. Wprawdzie krawat i koszulę miał nienaganne jak zwykle, ale udręka użerania się z politykami była wyraźnie widoczna w napięciu mięśni wokół oczu. Policjant, który nie rozwikłał sprawy, przypomina syczący zbiornik pod ciśnieniem. Przyglądanie się,

jak sprawa wymyka się z rąk bez wyjaśnienia, jest jeszcze gorsze.

– Po prostu spuszcza trochę pary.

Murdock uniósł brwi.

– Wiesz coś, czym chciałbyś się podzielić?

Patrzyłem nonszalancko na ulicę,
rozprostowując nogi.

– Zależy. Gdybym był w posiadaniu informacji, które zainteresowałyby MacDuina, to jako funkcjonariusz prawa byłbyś zmuszony mu je przekazać?

Murdock zmierzył mnie pełnym namysłem,
badawczym spojrzeniem.

– Cóż, oczywiście wspieram otwartą komunikację pomiędzy społecznościami obrońców prawa, ale muszę przyznać, że czasami, kiedy sprawy się komplikują, ta komunikacja trochę zawodzi.

Przez chwilę spoglądałem mu badawczo w twarz. Murdock był wprawdzie typem służbisty, ale też przyjacielem. Nigdy nie miałem powodu mu nie ufać.

– A czy sprawy są teraz skomplikowane?

Skrzywił się.

– Obecnie są wyjątkowo skomplikowane i nie zanoszą się, żeby wyprostowały się w przewidywalnej przyszłości.

– Znalazłem kamienie. – Wprowadziłem go w szczegóły, ale nie wspominałem o Meryl. Wprawdzie chętnie dzieliła się informacjami, ale

nie była płatnym informatorem. Nawet Murdock potrafił to zrozumieć. Każdy ma źródła, które woli zachować dla siebie. Jeśli zbyt swobodnie szafuje się nazwiskami, źródła informacji wysychają bardzo szybko. Poza tym gdybym ujawnił nazwisko Meryl bez jej wiedzy, prawdopodobnie wyprułyby mi flaki.

Murdock milczał przez dłuższy czas.

– Po co się w to pakujesz? – zapytał w końcu.

– Bo muszę.

– Za gorąco, żeby gadać przy otwartym oknie.

Wsiadaj.

Otworzyłem drzwi, zrzuciłem torbę z McDonalda na podłogę i wsiadłem. Rozkręcona na cały regulator klimatyzacja schłodziła moją moką koszulkę znacznie szybciej niż resztę ciała i zacząłem trząść się z zimna.

– Connor, nikt ci nie płaci za pracę nad tą sprawą. Musisz być realistą.

– Zaraz, panie władzo, a co się stało z prawdą, sprawiedliwością i amerykańskim sposobem życia?

– Amerykańskim sposobem jest kapitalizm. Analiza zysków i strat. To jest amerykański sposób.

– Dostyc cyniczna uwaga jak na takiego twarogłowego jak ty.

– Wiesz równie dobrze jak ja, Connor, że musisz dbać o pracę, żeby mieć pracę. Ale kiedy zaczynasz traktować to jak sprawę osobistą, spalasz się momentalnie. Nie możesz się za bardzo

przejmować, bo umrzesz.

– A może mogę. Murdock, przez ostatni rok pracowałem razem z tobą przy mnóstwie spraw tylko jako doradca. To jest pierwsza prawdziwa sprawa, którą mogę rozwiązać, odkąd trafiłem do szpitala. I czuję się z tym dobrze. Czuję, że robię coś ważnego. Chodzi o zamordowanych ludzi, którzy nikogo innego nie obchodzą. Ludzi, którzy chcą, żeby przepracowana policja i obojętna Gildia coś zrobiły. Obaj wiemy, że ich nadzieje mogą być płonne. Zobacz. Gildia przejęła sprawę i ledwie otarło się to o wiadomości. Ty tracisz sprawę i idziesz dalej. I, tak, chodzi też o mnie. O to, że mi się to ni cholery nie podoba. Nie podoba mi się, że nie zrobiono dosyć. Nie podoba mi się, że ktoś wystarczająco świrnięty, by popełnić morderstwo, okazuje się wystarczająco cwany, żeby mi uciec. Nie podoba mi się, kiedy zdarza się takie gównno. Nigdy więcej.

Murdock skinął powoli głową.

– Nie pozwól tylko, żeby to tobą zawiądnęło. Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam nic więcej do roboty.

Spojrzał na mnie spode łba. Po tej całej przemowie sam bym nie uwierzył we własną nonszalancję.

– Co sądzisz o tych kamieniach?

Murdock westchnął ciężko i zabębnił palcami po kierownicy.

– Ktoś w Gildii ma tajemnicę. Kluczem do

tajemnicy są kamienie. Rozgryź, o co chodzi z kamieniami, a rozgryziesz też tajemnicę.

– Cóż, kamienie służą do jakiegoś rytuału. Próbuję go wyśledzić od pierwszego dnia.

Murdock potrząsnął głową.

– To żadna tajemnica. Wyjmij łeb z pudełka. Te kamienie ukradziono na długo przed pierwszym zabójstwem.

Westchnąłem.

– W takim razie przyjrę się kamieniom.

Belgor zeszłej jesieni, gdy Gildia została okradziona, miał klienta, który szukał selenitu. Nie sądzę, że to przypadek. – Wysiadłem z samochodu. – A co ciebie tu sprowadziło?

– Dwie sprawy. Po pierwsze, chciałem się upewnić, czy wysłałeś wszystkie akta i notatki. A po drugie, chciałem ci powiedzieć, że wróciłem do sprawy, którą miałem rozgrzebaną, kiedy zaczął się ten cały bałagan z seryjnym zabójcą.

– Tak, odesłałem materiały. A może mógłbym ci jakoś pomóc przy tej sprawie? – To była najuprzejmniejsza forma, w jakiej mógłbym błagać o pracę.

– W tej chwili nie. Chodzi o martwego dilera narkotyków. Wątpię, czy to w ogóle do czegoś prowadzi. Zadzwoń, gdybym to ja mógł w czymś pomóc tobie.

Skinąłem głową i zatrzasnąłem drzwiczki. Kiedy patrzyłem, jak detektyw odjeżdża, uświadomiłem sobie, że role się odwróciły. Jego

sprawa teraz stała się moją. Ale kiedy będę potrzebował pomocy, przynajmniej nie będę musiał za to płacić.

Już na górze przejrzałem uzupełnienie akt, które Murdock przesłał mi na krótko, nim straciliśmy sprawę. Czwarta ofiara był to młody Danann nazwiskiem Galvin MacTiarnach. Przyjechał do miasta na Przesilenie. Uświadomiłem sobie, że znałem jego ojca z dawnych czasów, które spędziłem w Domu Gildii w Nowym Jorku. Tiarnach Ruadan pochodził ze starego rodu, urodził się w Faerie i był powszechnie lubiany. Kiedy go znałem, nie miał dzieci. Gdy spojrzałem na zdjęcia z miejsca zbrodni, poczułem lekkie przygnębienie. To musiała być potworność, czekać na dziecko przez całe stulecia tylko po to, by stracić je tak bezsensownie. Miałem nadzieję, że część tego piekła zważył na głowę MacDuina.

Resztę pliku stanowiły rutynowe bilingi telefoniczne i kontakty z informatorami, które nie wiodły donikąd, poprzedzone notatką Murdocka wykonaną dzień wcześniej. To dziwne uczucie czytać czyjąś wersję tych samych wydarzeń. Murdock nie ukrywał, że miał mocne podejrzenia wobec Shaya. Miłym akcentem była jego lekceważąca reakcja na podejrzenia wobec mojej osoby.

Na końcu znajdowała się szkicowa, wstępna notatka. Murdock zdążył wyśledzić dwie kobiety z

listy ska. Dzieci obydwu umarły z przyczyn naturalnych. Znalazł też trzecią, wróżkę nazwiskiem Dealle Sidhe. Przy jej imieniu znajdował się jedynie adres w południowym Bostonie z adnotacją: „Brak telefonu, ponownie nieobecna”. Cofnąłem się przez poprzednie raporty i stwierdziłem, że podjeżdżał pod jej dom kilkakrotnie. Zrobiłem sobie notatkę, by poprosić Meryl o akta Sidhe z Gildii. Przez chwilę rozważałem, czy nie zadzwonić do Niemiec. Wciąż nie odpowiedzieli na mój telefon. Niemcy lubią robić różne rzeczy po swojemu i w swoim czasie. I nie najlepiej reagowali na naciski, zwłaszcza ze strony kogoś, kto prosił o przysługę. Gdybym zadzwonił, ryzykowałem, że zostanę uznany za natręta i spławiony. Niemcy mogliby też nie podać mi informacji, na którą tak długo czekałem. Postanowiłem poćwiczyć cierpliwość, tym bardziej że przecież była sobota.

Resztę dnia spędziłem ulokowany w pracowni, badając rytuały związane z kamieniami.

Większość druidów dzieli się na dwie grupy: różdżki i kamienie. Drewno charakteryzuje się kilkoma wspaniałymi właściwościami, ale jak na mój gust ma też tendencję do zbyt silnego współreagowania z użytkownikiem. Ponieważ każdy kij posiada własną esencję, praca z różdżką to niemal partnerstwo. Trzeba być bardzo mocno nastrojonym na naturę, żeby w pełni wykorzystać możliwości, jakie daje drewno.

Muszę się przyznać, że mam szczególne upodobanie do kamieni. Robią to, co i kiedy się chce, niezależnie od tego, czy jest się zmęczonym albo czy akurat pada. Zawsze oddają dokładnie to, co się w nie włoży. Poza tym można aktywować zakęcie, odejść i pozwolić kamieniom dokończyć pracę, rzecz nie do pomyślenia w wypadku działania z różdżką.

Zresztą kiedy byłem zdrowy, starałem się nie uzależniać ani od jednego, ani drugiego. Nawet nie chodzi o ego, ale im ma się więcej zdolności, tym mniej potrzebuje się tego rodzaju pomocniczych narzędzi. Najważniejsze rzeczy robi się, używając rąk, głosu i umysłu. Cóż, to niezupełnie prawda. Im ma się więcej mocy, tym bardziej prawdopodobne, że będzie się stosować różdżki i kamienie jak najrzadziej. I to już była kwestia ego. W pewnych kręgach nic nie demonstrowuje zdolności lepiej niż jak najrzadsze korzystanie z narzędzi. Kiedy wczoraj sprzątałem mieszkanie, zauważyłem, że amulety ochronne przy oknach i na dachu zostały rozładowane. Prawdopodobnie zrobiła to Keeva, siedząc tu i rozmawiając ze mną. Ani jednym gestem nie zdradziła, że robi coś jeszcze.

Kamienie były ponadto użyteczne dla ludzi pozbawionych jakichkolwiek zdolności. Każdy mógł je kupić i zapłacić komuś innemu, żeby je naładował. Oczywiście jakoś talizmanów i siła tego, kto je zaklinał, wpływały na cenę. Wielu fata

wiodło całkiem wygodne życie, przygotowując amulety dla ludzi. Był to dobry interes dla tych, którzy nie mieli innych zdolności i nie przepadali za pracą fizyczną. Żadnych kosztów własnych – poza tym, że musieli potem uzupełnić sobie esencję – za to całkiem niezły zysk.

Większość amuletów powstawała w konkretnym celu. Można było zrobić z nich urządzenia alarmowe, jak te w moim mieszkaniu. Można było zrobić talizmany, które miały utrzymywać kogoś bez snu albo go uśpić. Można było stworzyć amulet, który był katalizatorem czyjejs śmierci, aczkolwiek nie każdy umiał taki wykonać i było to surowo ścigane. Kamienie złożone na skrzydłach ofiar mordercy miały zrozumiałe przeznaczenie. Ich zadaniem było unieruchomić ofiarę. Temu służyły.

Dlatego tak trudno było mi pojąć znaczenie tych kawałków selenitu. Ich przeznaczenie wyraźnie mi umknęło. Nie zauważyłem, by oddziaływały jakkolwiek na ciała. Miały tylko obezwładnić.

Kamienie nie były katalizatorami, przynajmniej w żadnym sensie, który potrafiłbym zrozumieć. Sama przyczyna śmierci nie miała nic wspólnego ze światem fata. Żeby wyciąć komuś serce, wystarczy nóż, trochę siły fizycznej i może odrobina psychozy.

Odebrane serca stanowiły kolejny problem. Jako siedliska esencji serca były potężnymi

organami. Z całą pewnością zabrano je ze względu na ich moc. Nie potrzebowałem dostępu do wiedzy tajemnej, żeby wiedzieć, że esencję można ustabilizować i przechowywać przez jakiś czas. Tak jak Briallen mogła utrzymywać ciało chochlika w rodzaju zawieszenia, by nie zniknęło. Mogłem sobie wyobrazić taki sam proces utrzymujący esencję serca. Nie wiedziałem, jak to zostało zrobione, ale to wcale nie oznaczało, że ktoś tego nie zrobił.

Usiadłem tak gwałtownie, że moje krzesło przy biurku zaskrzypiało w proteście. Elementem łączącym była esencja. I serca, i kamienie mogły ją przechowywać. Morderca nie zostawiał po prostu kamieni jako fantu w zamian za serce. Zostawiał naczynie mocy w zamian za naczynie mocy, które odbierał.

Przeanalizowałem ten pomysł krok po kroku. To był rodzaj wymiany, aczkolwiek nierównej. Sprawca zabierał znacznie więcej, niż oddawał. Potrzebował więcej esencji. Ale po co? Jak dotąd, wszystkie przypadki narodzin ze związków ska kończyły się śmiercią. Czy on umierał? A może morderstwa stanowiły jakąś pokręconą zemstę? Czy też odkrył sposób, w jaki mógł zachować zdrowie?

Potrząsnąłem głową z frustracji. Ten sposób rozumowania prowadził ponownie do wiedzy tajemnej. Tylko ktoś z dostępem do takiej wiedzy i chęcią, by ją wykorzystać, mógł odebrać czyjaś

esencję. Tak, jak zrobiła to ze mną Briallen, kiedy ratowała umierającego Stinkworta. Tylko że nie zamierzała podać mi tej wiedzy na srebrnej tacy. Musiałem znaleźć inny sposób.

Zacząłem przechadzać się po salonie, aż po krótkim czasie zakreśliło mi się w głowie. Na zewnątrz pomarańczowe światło zachodu rozlało się po zachmurzonym niebie. Od tygodnia jednak nie padało i nie zanosiło się, żeby miało akurat dzisiaj. Zamigotała kolejna błyskawica, a zaraz potem przez niebo przetoczył się leniwie grzmot. Mój żołądek zaburczał w odpowiedzi. Nie jadłem nic od wczoraj i pilnie potrzebowałem posiłku. W pierwszej chwili chciałem zamówić coś do domu, ale nie miałem dość gotówki na napiwek. Murdock wciąż nie wypłacił mi honorarium, a renta miała przyjść dopiero w przyszłym tygodniu. Założyłem stare buty i wyszedłem z domu.

Na parterze podłogę zaścielały listy. Kiedy je zbierałem, poczułem ostrzegawcze ciarki na karku i nagle aktywowała się moja tarcza. Upuściłem pocztę i nadal w przysiadzie podkradłem się do wejścia. Stalowe skrzydło zostało zablokowane złożoną gazetą, żeby się nie zatrzasnęło.

Oparłem się plecami o ścianę i kopniakiem otworzyłem drzwi. Do środka wpadła fala wilgotnego powietrza zalatującego zapachem kanału. Na ulicy było ciemno i pusto. Lampa uliczna znowu nie działała, bardzo częste zjawisko w tej okolicy. Nie wyczuwałem nikogo, chociaż

słabe resztki esencji unosiły się nad chodnikiem. Część emanowała nieokreśloną groźbą, jakieś ślady mogłem też zauważyć wewnątrz budynku.

Gdzieś nade mną rozległ się stłumiony jazgot muzyki i zgiełk głosów. Zacząłem się odprężyć i moja tarcza stopniowo wygasła. Impreza się rozwijała, więc jakiś idiota zablokował otwarte drzwi. Potrząsając głową, starannie je zamknąłem i ruszyłem ulicą.

Na rogu Sleeper i Summer skręciłem w lewo. Trzy bramy dalej światła „Delikatesów Bez Nazwy” zalewały ulicę, oznaczając jedyną oazę życia w martwej poza tym dzielnicy. Zatrzymałem się przed drzwiami. Ludzie pozostawiają za sobą ślad esencji jak zapach perfum i druid, taki jak ja, może go wyczuć. Ktoś, kto kręcił się przy wyjściu ze sklepu, czaił się też przed klatką mojej kamienicy. Jego esencja zdradzała elfią naturę, ale poza tym była zupełnie nierozpoznawalna. Zbieg okoliczności zastanowił mnie, zwłaszcza że nie wyczułem jego śladu w drodze pomiędzy tymi miejscami. Rozejrzałem się po ulicy, ale nie zauważyłem nikogo, więc pchnąłem drzwi.

Wejście do delikatesów zawsze wiązało się z pewnego rodzaju szokiem. Ostre fluorescencyjne światło świeciło tak jaskrawo, że człowiek czuł się oślepiiony nawet w słoneczny dzień. O trzeciej rano wrażenie było przejmujące. Niewielu wiedziało, że był to efekt uboczny ochronnego zaklęcia, które osłabiało w ludziach skłonność do agresji. Był to

tandetny urok, ale wystarczająco silny. Zważywszy na podłą okolicę, delikatesy rzadko rabowano i zwykle robili to ludzie tak nawaleni tym czy innym drakiem, że zostawali aresztowani zaraz za drzwiami.

Dmitri siedział za ladą w pustym sklepie i czytał pismo motoryzacyjne. Był to smagły Grek o włosach barwy miodu. Zważywszy na jego zabójczy śnieżnobiały uśmiech i atletyczny tors, przypuszczalnie musiał opędzać się od łózkowych propozycji, odkąd skończył dwanaście lat. Pracował w sklepie swoich dziadków od dzieciństwa i do tej pory przesiadywał tu od czasu do czasu w weekendy, chyba że miał za dużo zajęć na Uniwersytecie Massachusetts w Bostonie. Któregoś dnia pewnie przejmie ten lokal.

Obdarzył mnie skąpym uśmiechem, zamknął pismo i ruszył za mną do lady delikatesowej. Zamówiłem bagietkę ze wszystkimi dodatkami.

Zesztywniałem, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Nie musiałem się odwracać, wiedziałem, że stoi za mną elf, ten sam, którego wyczułem przed moim domem. Kątem oka zauważyłem, że podchodzi do kasy i rzuca na ladę paczkę gumy do żucia. Dmitri spojrział na niego, wziął ręcznik i wytarł ręce, a potem podszedł do kasy i nabił rachunek.

Spojrzałem krótko przez ramię. Elf był niemal mojego wzrostu, dobrze zbudowany, nosił stare dzinsy i biały T-shirt. Na krawędzi prawego ucha

miął dwa małe kolczyki. Większość twarzy zakrywały mu wielkie ciemne okulary, ale widać było, że ma najwyżej kilkadziesiąt lat. Nie znoszę ludzi, którzy noszą nocą ciemne okulary. Obrzucił mnie nonszalanckim spojrzeniem, zgarnął swoje gumy i resztę, a potem wyszedł.

Dmitri wrócił i dokończył moją kanapkę. Zapakował ją i wrócił do kasy. Podałem mu parę banknotów.

– Widziałeś wcześniej tego gościa?

Dmitri potrząsnął głową i wydał mi resztę.

– Właściwie nie. Był tu z godzinę temu.

– Dzięki.

Znowu otworzył swoje pismo motoryzacyjne.

Przez dłuższy czas stałem przed wejściem do sklepu. Ulica znowu była pusta, ale wyczuwałem elfią esencję prowadzącą w stronę mojego budynku. Poskromiłem obawy i poszedłem za tropem. Pewnie elf był po prostu na imprezie, a ja nie zamierzałem nadkładać drogi przez pół dzielnicy, żeby uspokoić ataki paranoi. Kiedy skręcałem za róg, przyszło mi do głowy, że to jest właśnie ten moment, w którym na filmach każdy myśli: „Dlaczego kretyn skręca za róg”?

Na Sleeper było cicho. Zbyt cicho, pomyślałem ogarnięty złym przeczuciem i zaśmiałem się ze swojego melodramatyzmu. Na Sleeper zawsze było cicho, dlatego ją lubiłem. Kilka samochodów stało zaparkowanych ryzykownie wzdłuż śmietnika, w towarzystwie

starej lodówki, spleśniałych kartonów i tłuczonego szkła. Nikt natomiast nie parkował przy rampie magazynu po drugiej stronie ulicy. Samochody dostawcze nadjeżdżały zbyt wcześnie dla moich sąsiadów, by mogli wstać i przestawić auto.

W ciemnościach przede mną, gdzieś przed frontem mojego domu, zauważyłem ruch. Zamigotała błyskawica i w jej pulsującym świetle zauważyłem ostrzyżonego na jeża elfa w koszulce na ramiączkach i szortach. Odsunął się od ściany i ruszył powoli w moją stronę. Tym razem celowo aktywowałem tarczę. To nie był facet z delikatesów, tamtego nigdzie nie widziałem. Zastanawiałem się, jak daleko mógł odejść, zanim opuściłem sklep, i wyszło mi, że musi być w pobliżu. Nie przyspieszając kroku, przeszedłem na drugą stronę ulicy. Jeśli gość przede mną był niewinnym przechodniem, przypuszczalnie pomyślał, że jestem wyjątkowo ostrożnym mięczakiem.

Zatrzymałem się w świetle rampy załadunkowej i odstawiłem komedię z wiązaniem butów. Przy wstawaniu wyjąłem nóż z za cholewy, maskując ruch zawiniątkiem z kanapką. Wsunąłem je pod pachę i teraz pomiędzy paczką a moim ramieniem znajdowało się ukryte sześciocalowe ostrze. Ruszyłem dalej i usłyszałem za sobą kroki. Spojrzałem przez ramię – piętnaście metrów za mną dostrzegłem elfa ze sklepu. Zaszedł mnie od tyłu.

Zły znak. Odwracając się, poczułem uderzenie adrenaliny. Drugi elf także wyszedł na ulicę. Zdecydowanie zły znak.

Udając, że nic nie wzbudziło moich podejrzeń, zacząłem zbliżać się do krótkowłosego elfa. Słyszałem, że ten z tyłu przyspiesza kroku. Elf na wprost niczego nie udawał, tylko walił prosto na mnie. Gdy zbliżył się na trzy metry, podbiegłem nagle i z wyskoku kopnąłem go w klatkę piersiową. Zanim się odwróciłem, przeżyłem chwilę tryumfu, widząc na jego twarzy wyraz bolesnego zaskoczenia, kiedy upadł.

Odrzuciwszy paczkę z kanapką, ruszyłem do przodu w postawie bojowej z nożem w gotowości. Drugi elf biegł na mnie, wrzeszcząc po niemiecku. Poczułem falę paraliżu. Gówniarz usiłował mnie obezwładnić podstawowym, szkolnym zaklęciem. Najwyraźniej nie powiedziano mu, że moja tacza obronna częściowo działa. Była wystarczająco skuteczna, by odrzucić proste zaklęcie, ale nie poradziłaby sobie z niczym mocniejszym. Odruchowo wymruczałem własne zaklęcie ochronne, zapominając, że od miesięcy żadna zdolność nie reaguje na mój rozkaz. Spazm bólu przeszył mi głowę, kolana ugięły się pode mną.

Elf zaintonował bardziej skoncentrowane zaklęcie. Chlasnąłem go nożem. Zaśmiał się dziko, z łatwością unikając ostrza. Dzięki jego ruchom dowiedziałem się też, że nie mam do czynienia z fachowcem. Nie zamierzałem doprowadzić do

zwarcia, tylko chciałem mu przeszkodzić w inkantacji i po amatorsku dał się nabrać. Zrobił szybki unik obrotem w lewo, tracąc przewagę i możliwość zablokowania mnie pomiędzy sobą a swoim kompanem. Wystartowałem do biegu. Gdybym dopadł do mojego budynku, byłbym bezpieczny. Drzwi wejściowe otwierały się na mój głos, właśnie na wypadek takich sytuacji jak ta. Jeśli schroniłbym się za bramą, nikt nie byłby w stanie jej otworzyć, aż zdjąłbym zaklęcie albo przyjechałby ktoś z Gildii.

Twarde uderzenie pod kolanami zważyło mnie na ziemię. Kiedy odwróciłem się na plecy, elf w szortach chwycił mnie za koszulę i uderzył w twarz. Siła ciosu rozproszyła się, ale i tak zabolowało. Drugi elf znowu inkantował zaklęcie z bezpiecznej odległości. W chwili gdy ten, który mnie trzymał, zamierzył się do kolejnego ciosu, poczułem, jak moje kończyny zaczynają sztywnieć i przyciskać się do boków. Zanim straciłem zdolność poruszania się, dźwignąłem się i chwyciłem napastnika. Zwaliliśmy się razem na ziemię w plątaninie rąk i nóg. Gdyby moja sytuacja nie była tak groźna, to chyba bym się roześmiał. Kimkolwiek był facet w dzinsach, nie należał do mistrzów w rzucaniu zaklęć, skoro potrzebował czystego pola widzenia i pojedynczego celu, żeby nałożyć czar. Punkt dla mnie.

Zanim Pan Szorty zdołał wyszarpnąć się z mojego chwytu, ugryzłem go w ramię. Nikt nigdy

się nie spodziewa, że facet go ugryzie. To brudna sztuczka, ale w końcu było dwóch na jednego. Elf wydał dziwaczne szczeknięcie i wyszarpnął się. Wstałem. Do mojej kamienicy było za daleko, żebym tam dobiegł, zwłaszcza że nie miałem się gdzie ukryć podczas takiego biegu, więc odwróciłem się do maga od zaklęć.

Zaszarżowałem, trzymając idiotycznie wystawiony przed siebie nóż jak ostrze włóczni. Nie chciałem go zabić, tylko sprawić, żeby się zamknął.

Wystraszony odskoczył i nie zauważył mojej pięści, która trafiła go w gardło. Chwycił się za szyję, krztusząc boleśnie. Wpakowałem mu kolano w żołądek i posłałem na ziemię.

Zanim zdążyłem się cofnąć, skurwiel w gatkach zdzielił mnie w nerkę i zwałem się bezwładnie na maga. Powalony czarodziej miał się na tyle dobrze, że chwycił mnie jeszcze za nogi. Tym razem chlasnąłem go na poważnie – jęknął boleśnie, kiedy materiał i skóra rozstały się na jego piersi, ale trzymał nadal. Ten drugi wykopał mi nóż z dłoni i uderzył w żebra. Kiedy zamierzał się do kolejnego ciosu, oślepiająca błyskawica śmignęła nad naszymi głowami. Elektryczny ładunek podniósł mi włosy.

– Cofnąć się! – ktoś wrzasnął.

Zamarliśmy. U wylotu uliczki pojawiła się czarna sylwetka kobiety idącej długim krokiem w naszą stronę. Pomiedzy rozstawionymi palcami uniesionej ręki migały wyładowania. Facet w

gaciach zdecydował się ją zignorować i ponownie
zdzielił mnie w twarz. Krew puściła mi się z nosa.
Śmignął kolejny piorun i zwałił go na ziemię.

Kobieta podeszła bliżej.

– Powiedziałam: cofnąć się!

Mag puścił moje nogi i odpełził jakieś dwa
metry.

– Stawajcie albo spadać! – krzyknęła,
podkreślając słowa wzmocnieniem energii
tańczącej w jej dłoni. Nie zastanawiali się długo.
Po kilku sekundach obaj rwali przed siebie.

Usiadłem, osłaniając nos dłońmi. Byłem
zalany krwią, więc nie mogłem zobaczyć, kto był
moim wybawcą. Dopiero kiedy wyszła z kręgu
światła padającego u końca uliczki, zobaczyłem ją
wyraźniej.

– Cześć, Keeva.

Przyklękła na jednym kolanie, rzucając mi
zatroskane spojrzenie.

– Złamany?

Potrząsnąłem głową.

– Wygląda gorzej niż jest w rzeczywistości.

Wyciągnęła dłoń do mojej twarzy.

– No daj. Nie jestem najlepszym
uzdrowicielem, ale mogę osłabić ból. – Poczułem
falę ciepła na twarzy i ból rzeczywiście zmałał.
Krew jednak nadal lała się strumieniem.

Keeva pomogła mi wstać.

– Nie trać tu czasu. Złap ich!

– Już po wszystkim, Connor.

Podciągnąłem brzeg mojej koszulki do góry i ostrożnie przyłożyłem do nosa.

– Próbowali mnie zabić!

Westchnęła i potrząsnęła gęstą rudą grzywą.

– Tylko ty potrafisz zmienić zwykłą zaczepkę w morderczy spisek.

Ściągnąłem T-shirt, wywróciłem na lewą stronę i ostrożnie przyłożyłem do nosa.

– Co ty tu robisz?

– Właśnie ratuję ci dupę.

– Pytałem, co robisz na mojej ulicy.

– Nie życzę sobie. – Odwróciła się i ruszyła przed siebie, ale chwyciłem ją za ramię. Rzuciła mi swoje specjalne spojrzenie oburzonej królowej. – Jak śmiesz!

– Daruj sobie te wielkopańskie pierdoły. Mam to gdzieś. Chcę wiedzieć, co tutaj robisz, i powiesz mi albo naprawdę obrzydzę ci życie.

Zacisnęła wargi w bardzo wąską linię. Nie miałem na nią niczego konkretnego poza drobiazgami, które można powiedzieć o każdym. Ale było parę poważniejszych przesłanek z czasów, kiedy pracowaliśmy razem, tylko że wtedy przymykałem na to oczy, a teraz nic by mi nie przeszkodziło podążać ich śladem. Gdy tak patrzyłem na Keeve, niemal widziałem, jak jej myśli podążają tym samym torem.

– Pracuję nad pewnym śledztwem, które MacDuin uważa za poufne.

– I to obejmuje również śledzenie mnie?

Założyła ręce na piersi.

– Nie śledzę cię. Nie miałam pojęcia, że wyląduję, rozmawiając z tobą. Jeżeli następnym razem zobaczę, jak zbierasz cięgi, nie będę przeszkadzać. Obiecuję.

Wytarłem nos. Krwawienie zmniejszyło się, ale zaczęła się tworzyć opuchlizna. Znałem Keewę wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że więcej nie powie. Nie dałbym rady jej zmusić. Pochyliłem się i odnalazłem mój nóż.

– Kto pracuje nad sprawą seryjnego zabójcy?
Uśmiechnęła się.

– Ja. Przynajmniej tak sędzę. MacDuin spędził dzisiejszy dzień, przeglądając akta. Zaczynam jutro.

– Potrzebujesz pomocy?

Roześmiała się, tak jak tylko ona potrafi.

– Jesteś świetny, Connor. Ostatnie, czego MacDuin sobie życzy, to ty płaczący się przy tej sprawie.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie musi wiedzieć.

– Ale wiedziałby. Nawet w tej chwili ktoś nas obserwuje.

Obejrzałem koszulkę, szukając czystego miejsca, i znów przycisnąłem do nosa.

– Jak możesz pracować w takich warunkach?

Wpatrywała się w coś fascynującego, co zauważyła na chodniku.

– Odpowiada moim obecnym zamiarom.

Trzymaj się z daleka albo będę musiała oskarżyć cię o utrudnianie śledztwa. I tak mamy na ciebie zarzut naruszenia śladów w miejscu zbrodni.

– O czymś zapominasz, Keeva. Ja się tu urodziłem. Jestem fata, ale także obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki. MacDuin ma wolną rękę wyłącznie wobec fata, którzy nie są obywatelami. Potrzebowałby zgody komisarza, której, założę się, nie dostanie, oraz nakazu sądu federalnego, który z powodu tak błahych zarzutów nie zbierze się szybko.

– Po prostu trzymaj się z daleka.

– Rób, co chcesz. Ja się nie wycofam. –
Ruszyłem żwawym krokiem na Summer.
Przeglądając chodnik, znalazłem moją kanapkę. Na szczęście torba wciąż była szczelna i nienaruszona.
Wróciłem do Keevy i minąłem ją bez słowa.

– Też mogę obrzydzić ci życie, wiesz o tym – usłyszałem. Spojrzałem na nią przez ramię, ale szedłem dalej.

– Keeva, właśnie podniosłem swoją kolację z rynsztoka. Wątpię, czy możesz uczynić moje życie gorszym.

Rozdział 12

Rezydencja Murdocków przy ulicy K w południowym Bostonie tchnęła szczególnym rodzajem cichego spokoju, jakim emanują budynki w niedzielny poranek. Była to dobrze utrzymana szeregówka z czarnymi okiennicami, dwudzielnymi oknami, ceglana fasada oraz jaskrawozielonymi drzwiami, obecnie starannie zamkniętymi. Cementowy gazon u szczytu schodów kipiał petuniami. Wszystko to budziło szacunek. Czułem się okropnie, wahając się na chodniku i modląc, żeby było już po mszy. Murdockowie należeli do praktykujących katolików i odebrałem swego czasu staranne rekolekcje, iż nabożeństwa kończą się około południa. Obiad przewidziano na drugą, więc zdecydowałem się przyjść godzinę wcześniej. Kiedy zjawiałem się tu wcześniej, drzwi zawsze były otwarte i różni ludzie wchodzili i wychodzili. Niektórzy wchodzili bez pukania i był to obyczaj nieprzyjęty tam, gdzie dorastałem. Był to rodzaj zażyłości, który oznaczał rodzinę albo bliskich przyjaciół. Kiedy rozważałem jeszcze, czy zapukać, czy też nacisnąć dzwonek, ktoś mnie zawołał. Odwróciłem się.

Odetchnąłem z ulgą na widok Kevina Murdocka. Długo rozważałem, jak właściwie mam się ubrać, i zaryzykowałem, że nawet komisarz nie

będzie miał nic przeciwko szortom w tak nieładzko upalny dzień. Na wszelki wypadek jednak założyłem koszulkę polo, więc przynajmniej miałem kołnierzyk. Kevin maszerował ku mnie ubrany w T-shirt i obcięte bojówki. Jednym ramieniem obejmował stertę bochenków chleba, a drugie wyciągnął w moją stronę.

– Ładnie zrobione oko. A jak wygląda ten drugi? – zapytał, wchodząc na schody.

Pomacałem policzek i skrzywiłem się z bólu. Wciąż był tkliwy, a siniec pod lewym okiem przybrał kształty miłej, wyraźnej obwódki i sięgał aż na grzbiet nosa.

– Chyba potłukłem mu okulary słoneczne.

Kevin przybrał wyraz udawanej dezaprobaty, cmokając przez zęby.

– Co za pech. Mam nadzieję, że firmy Oakley?

Podążyłem za nim w głąb dziwnie cichego domu.

– Niestety, myślę, że gówniane, z drogerii.

Przeszliśmy przez korytarz, surową bawialnię aż do kuchni, wypełnionej zapachem pieczenia. Murdock zwałił chleby na różową forniowaną ladę i otworzył lodówkę. Podał mi piwo i zabrał się do wyciągania półmisków z kredensu. Sprawdził kuchenkę, potem skosztował bulionu i dosypał przypraw. Nic nie mogłem poradzić, że wciąż wydawał mi się dzieckiem. Najmłodszy z siedmiorga rodzeństwa, ledwie przekroczył dwudziestkę. Zważywszy, że następny w

kolejności dobijał do trzydziestki, przypuszczalnie był dzieckiem niespodzianką. Nawet nie wyglądał na Murdocka z tymi ciemnymi włosami i głęboko błękitnymi oczami, ale też nie widziałem nigdy ich matki. Wiedziałem o niej tyle, że miała koło pięćdziesiątki i że nikt o niej nie rozmawiał.

– Widzę, że masz dyżur w kuchni.

Znów otworzył lodówkę i grzebał w środku.

– Och, my zawsze przestrzegamy harmonogramu. Na każdego przyjdzie kolej. Chodźmy na górę, i tak niedługo będę wołał wszystkich na obiad.

Nigdy wcześniej nie dotarłem na pierwsze piętro domu Murdocków. Kiedy wchodziłem po schodach, na półpiętrze minąłem dwóch mężczyzn pograżonych w głębokiej konwersacji. Rozpoznałem miejskiego radnego. Skinęli uprzejmie głowami, gdy przechodziłem, ale nie przerwali rozmowy. Na następnej kondygnacji zobaczyłem Grace Murdock siedzącą w sypialni ze swoją siostrą Faith oraz dwiema innymi kobietami i również pograżoną w pogawędce. Pomachała mi ręką w sposób, który mówił „dołącz do nas albo nie, wszystko jedno”. Nie znałem ich bliżej niż kogoś, komu mówi się „cześć”, więc odmachalem i poszedłem dalej.

Zawsze musiałem pamiętać, by nie wyśmiewać się z ich imion przy Murdocku. Bez względu na przekonania religijne ich ojciec miał pod dostatkiem znaczących imion dla całej

rodziny. [Grace - ang. „łaska”; Faith - „wiara” (przyp. tłum.).]

Na następnych dwóch piętrach były kolejne sypialnie oraz zamknięte drzwi do pomieszczenia, które zapewne było sypialnią samego komisarza. Ostatnie schody były nieco bardziej strome, dodane dużo później po zbudowaniu domu, gdy jego mieszkańcy zrezygnowali z typowo bramińskiego wystroju i zrobili sobie taras na dachu.

Kiedy wyszedłem przez skajlajt na podest, natychmiast otoczył mnie zgiełk rozmów. Dostrzegłem kilka osób, które znałem – oczywiście Murdocka, jego brata Bara, komisarza, kilku facetów wyglądających na typowych gliniarzy, lokalnego działacza, którego imienia nie pamiętałem, oraz kilkoro ludzi, których ledwo kojarzyłem.

– Fajnie, że jesteś. – Murdock stanął tuż za mną. Gdy się odwróciłem, cofnął się lekko zaskoczony. – Łał! Chcę wiedzieć, co się stało?

– Powiedzmy, że nieudany napad.

Skrzywił się.

– Powinieneś był wezwać gliny.

– Niespodziewanie ktoś mi pomógł.

Murdock spojrzał na mnie zaskoczony, po czym się uśmiechnął.

– Reguły tego domu: żadnych rozmów o interesach w niedzielę. Chodź, oprowadzę cię.

Przeprowadził mnie wśród gości, dając mi pod nosem zwięzłe wskazówki, kto jest kim. Niemal wszyscy tu mieli jakieś powiązania polityczne, co

nie było wcale dziwne, zważywszy, czyj to był dom.

– Nie miałem pojęcia, że widać stąd port – zmieniłem temat. Dom Murdocków stał pośrodku Southie, nad Weird i śródmieściem widocznymi z północy oraz portem dokładnie na wschodzie. Na zachodzie i południu rozciągały się niżej położone dzielnice Dorchester i South End, aż do Roxbury. Jeśli ta okolica zostanie kiedyś odkryta, Murdockowie mogliby zarobić majątek na sprzedaży domu.

– To zniszczy całą cholerną grę – odezwał się głośno facet przede mną rozmawiający z komisarzem. Murdock twierdził, że to lokalny kwestarz polityczny. Jęknąłem odruchowo, bo domyśliłem się, o czym mowa. Pewien wróżka wygrał właśnie przed Sądem Najwyższym proces o pozwolenie mu na grę w drużynie Red Soxów. A w miejscu, w którym bejsbol rządził sercami, jeśli nie umysłami kibiców, to wystarczyło, by cały Boston huczał o tej sprawie.

– Myślę, że trzeba poczekać i zobaczyć, jak to będzie – powiedział dyplomatycznie komisarz. Mężczyzna spojrział na niego ze zgrozą.

– Poczekać i zobaczyć? Daj spokój, ci faceci mają zdolności, którym żaden przeciętny Jasio nie podskoczy. Jak ich powstrzymasz przed fruwaniami od bazy do bazy? Jedynym sposobem, żeby im dorównać, będzie przyjąć więcej takich samych, aż w końcu w drużynie nie będzie ani jednego

normalnego człowieka.

Komisarz sprawiał wrażenie, jakby rozejrzał się czujnie, sprawdzając, kto słucha tej rozmowy. Raz spojrzął w moją stronę.

– Zgoda, to może się tak potoczyć. Czasami trzeba zwalczać ogień ogniem.

Kwestarz pokiwał energicznie głową. Komisarz położył mu przyjacielskim gestem dłoń na ramieniu.

– Fata mogą przeszkadzać w obszarach, które do nich nie należą, ale Bóg jeden wie, że potrzebny nam lepszy rozgrywający.

– Co?! – Kwestarz zakrztusił się śmiechem. – Przesadzasz, komisarzu.

Tamten uśmiechnął się uprzejmie.

– Myślę, że obiad zaraz będzie gotowy.

Kwestarz znów się roześmiał i podążył za komisarzem na dół. Goście ruszyli na schody jeden po drugim.

Weszliśmy do cudownie chłodnego salonu, akurat kiedy wszyscy sadowili się na krzesłach. Trafiłem pomiędzy kwestarza a młodą czarnoskórą kobietę prowadzącą charytatywną agencję artystyczną. Obiad podano w „rodzinnym” stylu, pełnym uprzedzającej grzeczności ludzi, którzy nie zwykli dzielić ze sobą posiłku. Tak to trwało, aż wszystkim wyczerpały się banalne uprzejmości i zaczęto rozmawiać o ważniejszych kwestiach.

Słuchałem jednym uchem lamentów na temat finansowania sztuki, kiedy kobieta obok mnie

powiedziała:

– No i oczywiście postawa fata też nie pomaga.

– Co masz na myśli?

Wzruszyła ramionami, przesuwając gotowany ziemniak widelcem po talerzu.

– Otaczanie się sztuką fata jest prestiżowe, więc artyści fata zagarniają pieniądze, które powinny trafić do organizacji walczących o potrzebujących.

– To wina fata czy ludzi, którzy kupują ich sztukę?

– Oczywiście, że fata – przerwał kwestarz, sięgając po przesadnie wielki kawał pieczeni. – Wpychają się wszędzie: do sportu, do polityki, do sztuki.

– Czy trochę pan nie generalizuje? – starałem się przybrać neutralny ton.

– Być może – zauważyła kobieta. – Ale trudno się nie irytować, kiedy ktoś smaruje farbą szpiczaste uszy i turla się po płótnie. Takie pomysły liczą sobie dziesiątki lat, ale teraz nagle mają być popularne tylko dlatego, że fata to robią.

– A teraz domagają się praw mniejszości, dzięki czemu będą mogli zajmować kolejne dzielnice i niszczyć je, jak to całe Weird – dodał kwestarz.

Napiłem się wody ze szklanki, starając się zachować spokój. Dorastałem najwyżej dwie przecznice od tego stołu.

– Fata mieszkają w całym mieście, także tu, w Southie – zauważyłem.

– Och, nie ich mam na myśli. To są ciężko pracujący ludzie, jak pan czy ja. Przy okazji, chyba nie spotkaliśmy się wcześniej.

– Jestem przyjacielem Leo. – Zawsze czułem się dziwnie, używając imienia Murdocka.

– Służy pan w policji?

– Nie. Prowadzę galerię sztuki dla druidów.

Kwestarz parsknął.

– Wszyscy się dziś wygłupiają.

– Nie uważam, żeby to było zabawne. –

Kobieta od sztuki pstryknęła palcami i odwróciła się ode mnie, co zabiło rozmowę na dobre. Kiedy skończyłem jeść, spojrzałem na komisarza. Kiwał głową, słuchając mężczyzny po lewej stronie, ale patrzył na mnie. Wyraz jego twarzy nie zmieniał się przez dłuższy czas, a potem na ustach wykwitł mu słaby uśmiech.

Żadnych rozmów o interesach w niedzielę, akurat! – pomyślałem.

Po obiedzie przeszedłem do bawialni, zachodząc w głowę, jak długo muszę zostać w imię dobrego wychowania. Rozmowy często zmieniały się w narzekania na fata – czasem subtelne, a czasem ostentacyjne. Starłem się siedzieć cicho, ograniczając się do kiwania głową, co miało zastąpić rozmowę. Dziwiło mnie, jak ludzie chętnie mówią o animozjach, kiedy podejrzewają, że są wśród swoich. Miałem trochę resentymentów

do Gildii, ale zaskoczył mnie poziom gniewu, a nawet nienawiści w tym pokoju. Było to tym bardziej niepokojące, że większość zebranych należała w jakimś sensie do politycznych działaczy i przywódców.

Po jakiejś godzinie ktoś nareszcie wyszedł. Odczekałem dyplomatycznie dwie minuty i podszedłem do komisarza, kiedy przez chwilę był sam.

– Dziękuję za obiad. Niestety, mam jeszcze dziś spotkanie – powiedziałem.

– Naprawdę? – spytał takim tonem, że poczułem się winny. Miałem ochotę powiedzieć: „Nie, tylko nie zniosę dłużej twoich gości”, ale zrezygnowałem. Nadal się uśmiechał.

– Cóż, dobrze było cię zobaczyć w mniej przykrych okolicznościach. Miłego popołudnia.

Może z jego punktu widzenia, pomyślałem. Uścisnęliśmy sobie ręce i ruszyłem do drzwi.

Nie zdążyłem ich otworzyć. Szarpnięcie wyrwało mi klamkę z ręki. Na progu stał Murdock.

– Już wychodzisz?

– Dlaczego zaprosiłeś mnie dzisiaj?

Obejrzał się przez ramię, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– O co ci chodzi?

– Wiesz, o co mi chodzi. Wiedziałeś, kto dziś przyjdzie, ale i tak mnie zaprosiłeś. Nie słyszałem tylu sztubackich komentarzy na temat fata, odkąd... cóż... odkąd sam byłem sztubakiem.

Zaplótnął ramiona na piersi i oparł się o futrynę.

– Pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jeśli zobaczysz, że nie ty jeden nie lubisz Gildii.

– Mogłeś mi to powiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Nie słuchałbyś. Wiem, że wolisz doświadczenia z pierwszej ręki.

Zirytowany spojrzałem na ulicę. Nie znosiłem, kiedy ktoś mną manipulował, ale Murdock miał rację. Po kilku uspokajających oddechach poczułem, że gniew w mojej piersi zaczyna się rozpraszać. Murdock był jednym z niewielu ludzi, którzy mogli dźgnąć mnie w ten sposób i odejść spokojnie, zwłaszcza jeśli miał rację.

– Dobra, przyjąłem lekcję. Szczęśliwy?

– Zadowolony to właściwsze słowo. Masz skłonność do strasznego koncentrowania się na jednym i czasami to dobra cecha. Tylko że potrzebujesz perspektywy. Gildia nie robi tego, co robi, żeby wkurzyć akurat ciebie. Wkurza mnóstwo ludzi.

– Więc co, powinienem ustąpić Gildii?

Westchnął zniecierpliwiony.

– Nie. Próbuję ci uświadomić, że nigdy nie zwyciężysz Gildii, próbując ją zniszczyć. Jedynym sposobem, by zmienić Gildię, jest zmienić ją od środka. Większość ludzi w tym domu rozumie to, chociaż pewnie by tego tak nie sformułowała. To właśnie usiłują wypracować na co dzień: zmieniać ludzi, tak żeby dało się z nimi żyć.

– Także ludzi, którzy mnie nienawidzą?
– Świat kręci się dzięki konfliktom, Connor.
To się nie zmieni. Jedyne, co możesz zmienić, to
wynik.

Spojrzałem na niego drwiąco.

– Od kiedy zostałeś filozofem?

Uśmiechnął się szeroko.

– Tłumaczę ci tylko, żebyś nie brał
wszystkiego do siebie. Więcej zyskasz i mniej
będziesz żałował. Jeśli to czyni ze mnie filozofa, to
całuj mnie w pierścień.

Powietrze muskające moją skórę wydawało się
wilgotne i poruszało się na tyle, żeby zachęcać do
spaceru. Lubię chodzić, ale upał działał
zniechęcająco. Jednak nie byłem w mojej dawnej
okolicy od wieków i mogłem zdecydować się na
niedzielną przechadzkę. Ulice Southie były niemal
puste, czasem tylko spotkałem starszą kobietę
zamiatającą podjazd albo ludzi stojących na progu
domu w wyraźnym oczekiwaniu na czyjeś
przyjście. Kiedy skierowałem się na północ, równe
szeregi domków dzielnicy rezydencji stopniowo
ustąpiły miejsca magazynom, wciąż służącym jako
biura i składy W weekend, a szczególnie w
niedziele, nie było tu nikogo. Długie, puste
budynki przy opustoszałych parkingach i rzędy
ramp załadunkowych stały w zupełnej ciszy. Gdy
przechodziłem przez Congress i wchodziłem do
Weird, ruch na ulicy był trochę większy, ale
chodniki pozostały puste. Miałem wrażenie, że ten

spacer przypomina przejście od zadowolenia do depresji.

Przemowa Murdocka o działaniu na system dała mi do myślenia. To ma sens tylko wtedy, gdy obie strony są skłonne do zmian. A w tej chwili Gildia nie brała udziału w grze. Uznałem, że należy zachęcić ją do współpracy.

Otworzyłem połączenie w moim komputerze i uruchomiłem łańcuch kont użytkownika, które pozakładałem sobie na rozmaitych serwerach. Patrzyłem, jak konta otwierają się i zamykają jedno po drugim, maskując moją wędrówkę przez Internet. Skakałem z Bostonu do Teksasu, stamtąd do Meksyku, potem do Japonii. Następnie przewędrowałem do kafejki internetowej w Malezji, popularnej wśród dzieciaków, które zwykły puszczać w obieg marnie napisane wirusy. W efekcie tamtejszy serwer był istnym chaosem, ale stanowił niezły kamuflaż. Potem przeskoczyłem losowo do Maroka, skąd zalogowałem się na serwerze bostońskiej Gildii. Wpisałem mój numer użytkownika i hasło, po czym wcisnąłem enter. Ekran odświeżył się i ponownie poprosił o wprowadzenie hasła. Uznałem, że istnieje szansa na pomyłkę, i wpisałem hasło ponownie. Otrzymałem kolejną prośbę o powtórzenie hasła i wyskoczyłem z systemu.

– Szlag – wymamrotałem. Przetarłem oczy i wyprostowałem się na krześle. Moje tylne wejście

do systemu zostało zamknięte. Ktoś zrobił porządki i znalazł mnie, a właściwie fikcyjną tożsamość, którą sobie założyłem. Odetchnąłem głęboko i zacząłem od początku, tylko że tym razem, logując się do Gildii, użyłem tymczasowego konta, o którym wiedziałem, że działa. Wpuściło mnie bez problemu, jednak kłopotem był bardzo niski poziom dostępu, bez żadnych przywilejów.

Zacząłem grzebać w katalogach, ale szybko przestałem. Zakładanie kolejnego konta użytkownika trwałoby za długo. Zastanawiałem się za to, jak włamać się na konto MacDuina. Wspaniałą stroną mojej dawnej pracy w Gildii było to, że znałem system na wylot, wiedziałem, jak ustalano hasła i gdzie należało ich szukać. Problem w tym, żeby nie dać się wykryć. Nie miałem pojęcia, kiedy znaleziono moje konto i czy system przeczesywano częściej niż zazwyczaj. Wiedziałem, że goście z działu technicznego byli naprawdę niezli. Sporo ich nauczyłem. Zdecydowałem się więc zapolować.

Spłynęło na mnie natchnienie. Wskoczyłem do zapisów logowania, przeszukując je pod kątem prośby o dostęp dla pierwszego hasła. Musiałem się cofnąć o kilka tygodni, ale w końcu znalazłem zdalne łączenie w środku nocy. Logowano się o pierwszej trzydzieści dwie, wylogowano chwilę później, o pierwszej trzydzieści osiem. Dwie minuty później kolejna próba logowania z innego numeru dostępu. Tak odmiennego, że

przypuszczalnie nie należał w ogóle do serwera Gildii. Ale był. Uśmiechnąłem się szeroko. Znajac Meryl, mogłem przypuszczać, że podłączyła się sama i wykorzystwała chronioną linię firmy telefonicznej.

– Mam cię – powiedziałem czule do ekranu. Wróciłem do katalogu z hasłami, jako kryterium wyszukiwania wpisałem nielegalny numer telefoniczny, skopiowałem hasło, którego Meryl używała, wchodząc od podwórka do systemu, i wylogowałem się. Następnie połączyłem się z serwerem lokalnego uniwersytetu, uruchomiłem mój program do łamania haseł i puściłem przez niego hasło Meryl. Na lokalnych uniwersytetach wzmożona aktywność komputerów nikogo nie dziwiła. Pozwalano studentom grzebać w systemie, dopóki nie spowalniaли ich za bardzo albo nie rozpieprzyli komuś roboty.

Łamanie kodu musiało potrwać, więc zrobiłem sobie kawy. Rozłożyłem się na futonie z książką Woodbury „Magia kamieni: proste wyjaśnienie”. Zawierała ponad tysiąc stron bardzo drobnym drukiem. Niezależnie od ciężaru dzieła, autorka ujęła mnie jedną prostą radą dotyczącą amuletów: „Kiedy nic innego nie skutkuje, rzuć nimi”. Zagłębiłem się w rozdziale dotyczącym selenitu, ale kryształy miały tyle zastosowań, że przekopanie się przez to wszystko wymagało czasu. Mój komputer Zapikał.

Wszedłem do pracowni, siorbiąc kawę, i

usiadłem przy biurku. I siedziałem tak, osłupiały, wpatrując się w ekran. Program rozkodował hasło, które brzmiało: „CzescConnor”. Śmiałem się tak strasznie, że niemal spadłem z krzesła.

Połączyłem się z Gildią przez tajemną linię Meryl. Pojawiło się okienko z pytaniem o nazwę użytkownika i hasło, więc je wpisałem. Znałem umiejętności Meryl wystarczająco, by wiedzieć, że jeśli dostanę się do środka, nikt w Gildii nie będzie miał pojęcia, że tam jestem. Nacisnąłem enter.

Na ekranie pojawiła się animowana kamienna brama, z napisem na portalu *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*. Bardzo słodkie. Brama rozwiała się, ukazując standardowy windowsowy ekran. Pojawiło się okienko z napisem odbierz telefon.

Telefon zadzwonił, a ja podskoczyłem. I podniosłem słuchawkę.

– Zabrało ci to odrobinę mniej czasu, niż zakładałam. Jestem pod wrażeniem – powiedziała Meryl.

– Bawi cię mieszanie mi w głowie?

– Daj spokój – odparła. Usłyszałem jakby pstryknięcie zapalniczki, później mamrotanie. Poczułem emanujący z telefonu ładunek statyczny, a potem moja głowa została naelektryzowana. Słuchawka przylgnęła mi do ucha i nie mogłem wypuścić jej z ręki. Meryl zachichotała.

– Dopiero teraz mieszam ci w głowie. Nie chcę, żeby ktokolwiek namierzył albo podsłuchał

tę rozmowę.

– Skąd wiedziałaś, że się włamię?

Usłyszałem, jak zaciąga się papierosem.

– Są tylko dwie grupy ludzi, którzy nie zadają pytań na temat mojego komputera. Tacy, którzy nie mają o tym pojęcia, oraz tacy, którzy dokładnie wiedzą, co to jest. Zrobili sprzątaninę i skasowali twój dostęp. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu.

– No i co teraz?

– Czuj się swobodnie i wchodź. Wiem, gdzie chciałbyś zajrzeć, ale zablokowałam kilka lokacji, do których zagłądanie to proszenie się o kłopoty.

– A jeśli dostanę się do tych obszarów?

– To nie są negocjacje, Connor. Chronię swój dostęp. Polezisz gdzieś, gdzie sobie nie życzę, i koniec sesji. Chyba nie muszę tłumaczyć, że ten numer i konto znikną, kiedy tylko się wylogujesz.

– Czy sekretarz wyprze się jakiegokolwiek wiedzy na temat mojego zachowania, jeśli zostanie złapany? – spytałem sarkastycznie.

– Gildia już się wyparła – odcięła się.

– Dlaczego to robisz?

Wyobraziłem sobie, jak wzrusza ramionami.

– Lubię, kiedy ludzie mają u mnie dług, a ten będzie całkiem spory. Jeśli cię złapią, tak ci namieszam w systemie, że następny sprzęt, który kupisz, też nie będzie działał. Baw się dobrze i uwijaj się.

Rozłączyła się. Pole elektrostatyczne znikło

jak bańka mydlana. Odłożyłem słuchawkę, czując niechętny szacunek. Nie miałem pojęcia, w co pogrywała. Bez względu na to, o co chodziło, odniosłem wrażenie, że radośnie wiedzie mnie prościutko do piekła.

Zdecydowałem się grać według jej reguł i po prostu wejść, załatwić sprawę i wyjść. Meryl podejrzewała, że będę się interesował MacDuinem i udostępniła mi jego pliki. Sprawdziłem, z których dokumentów tekstowych korzystał i jakich baz danych używał. Zrobiłem kopie wszystkiego, co wydało mi się interesujące. Spędziłem sporo czasu, sprawdzając książki w bibliotece Gildii. Przeskoczyłem do rejestrów biblioteki i zgarnąłem wszystko, co wyszukiwałem. Potem otworzyłem bazę danych bieżącej sprawy, znalazłem materiały na temat morderstw oraz kradzieży selenitu i to też skopiowałem.

Rozejrzałem się za aktami Keevy i znalazłem je łatwo. Meryl wyrzuciła mnie z jej poczty, ale cała reszta pozostawała otwarta. Przeleciałem dane pobieżnie. Keeva była wystarczająco sprytna, by nie zostawiać śladów czy to na papierze, czy w wersji elektronicznej i skąpe notatki w jej katalogach były tego najlepszym dowodem. Niektórych nie chciało mi się nawet otwierać. Kusilo mnie, by wdrzeć się do mejli, ale szczerze mówiąc, była to kwestia raczej ambicjonalna niż potrzeba, by je poznać. Już i tak czułem się jak podglądacz. Do tego Keevie należała się odrobina

kurtuazji za przyjęcie mi na odsiecz. Poza tym podejrzewałem, że Keeva pomogła mi jeszcze bardziej, choć na pewno nie chciała, żebym się o tym dowiedział.

Usiadłem wygodnie, zmuszając się do myślenia, i to myślenia szybko oraz – o ile to możliwe – błyskotliwie. Gdybym się wylogował, powtórny dostęp do systemu kosztowałby mnie cholernie dużo czasu. Najchętniej bym po prostu usiadł i zajął się poszukiwaniem wiedzy o zakłęciach, ale to też mogło oznaczać zbyt dużo czasu. Bez wiedzy, na ile dobrze Keeva zakamuflowała swoje konto, było to raczej wątpliwe. Przypomniałem sobie listę tego, co potrzebowałem, niczym nerwowy zakupowicz wychodzący ze sklepu. A potem wziąłem głęboki oddech i wylogowałem się.

Przez dłuższą chwilę gapiłem się tępo na listę plików niewinnie spoczywających na moim twardym dysku. Jeszcze nigdy nie ukradłem danych. Używałem sekretnego wejścia do systemu, kiedy tymczasowo traciłem dostęp ze swojego normalnego konta albo gdy musiałem zajrzeć w czyjeś dane po dodatkowe informacje, którymi nie chciał się podzielić. Natomiast nigdy nie kradłem. Zawsze miałem w zanadrzu wymówkę, że mam prawo do informacji, których ktoś inny jeszcze nie zrozumiał, ale nigdy nie zabrałem czegoś, do czego po prostu nie miałem prawa.

Miałem za sobą wejście do Gildii, w której

nikt mnie nie widział, i zastanawiałem się, czy właśnie spełniłem wizję Meryl i tym samym przypieczętowałem swój los. Jednak skoro i tak miałem zginąć, mogłem przynajmniej dowiedzieć się dlaczego. Zacząłem otwierać pliki.

Rozdział 13

Obudziło mnie chrupanie. Zwlokłem się z łóżka, poszedłem do kuchni skąpanej w świetle przedświtu. Stinkwort siedział na krawędzi blatu, a za nim spoczywała niemal pusta torba po markizach Oreo. Wróciłem do łóżka, przecierając oczy.

– Gdzieś ty był, do cholery?

– Zajęty – odparł. Po chwili jego głos dał się słyszeć bliżej. – Dostałem na wpół rozładowanego świetlika pół godziny temu.

Znów otworzyłem oczy. Unosił się nad łóżkiem.

– Wkurzyłeś mnie, ale jest za wcześnie, żeby się wydzierać.

Wzruszył ramionami.

– Wcale nie. Dalej, rusz się. Słońce wschodzi.

Wymacałem stopami podłogę. Stinkwort rzucił tunikę i pozwolił jej spaść na stół do kawy. Podleciał prosto do okna, rozkładając szeroko ramiona i skrzydła. Wstałem i złożyłem futon. Słońce musnęło horyzont. Odruchowo zacząłem rytuał powitalny. Stinkwort śmigał wokół mnie, zataczając pętle i kreśląc skomplikowane powietrzne wzory, jego skrzydła czasem muskały moją skórę, kiedy mnie mijał. Między naszymi ciałami pojawił się przyjemny rezonans w rytm naszych ruchów. Było to zmysłowe wrażenie, ale

nie miało w sobie niczego seksualnego. Kiedy zacząłem się odprężyć, pozwoliłem ciału reagować swobodnie, porzucając wystudiowane ruchy, które normalnie należały do ćwiczenia. Czułem, jakby moje kończyny stały się płynne, ruchy bardziej zestrojone z rytuałem niż zwykle. Kiedy Stinkwort śmigał w powietrzu, jego skrzydła stawały się tak jasne, że brzegi wydawały się białe. Zagubiłem się w potoku światła. Spłynął na mnie spokój, raczej uczuciowy niż wynikający z jakiejś świadomej myśli. Nowo narodzone słońce błysnęło mi w oczy i poczułem się wspaniale.

Przez dłuższy czas żaden z nas się nie odzywał. Czułem się równocześnie radosny i uspokojony. Z łazienki wziąłem szlafrok. Stinkwort ubrał się i usiadł na stoliku do kawy.

– Co tu się odbyło? – spytałem.

– Teraz rozumiesz, dlaczego chochliki lubią witać słońce wspólnie.

– To niewiarygodne, jak dobrze się czuję. Nawet głowa przestała mnie boleć. – To była prawda. Ta rzecz w moim mózgu przygotowała mnie o słabe, ale chroniczne bóle głowy.

Przywykłem do tego tak bardzo, że oceniałem swoje samopoczucie po natężeniu bólu, a nie po tym, czy mnie boli, czy nie.

– To sposób chochlików, Connor. Możemy korzystać ze strumienia czyjejs esencji. Kiedy cały klan lata wspólnie, generuje ogromną moc. Sidhe też by mogli, gdyby sobie na to pozwolili, ale oni

nie potrafią się dogadać, która jest godzina, a co dopiero poddać się przepływowi esencji kogoś innego. A druidzi z kolei oczywiście nie umieją latać.

Mówiąc, rozciągał palce i gimnastykował lewe ramię. Ostro biała blizna wyraźnie pokazywała drogę, którą przebyło ostrze, kiedy się spod niego wywijał.

– Jak twoje ramię?

Spojrzał na swoją rękę i poruszył palcami.

– Rwie z rana i nie mogę odzyskać w nim siły.

Lady Briallen zrobiła coś z moim prawym ramieniem, żeby było silniejsze. To chyba znaczy, że lewa nie wydobrzeje.

– To była głupota atakować mordercę samemu.

Odleciał kawałek i stanął na parapecie.

Zapatrzył się w widok za oknem.

– Nie chcę rozmawiać o tamtej nocy. Co ci się stało w oko?

– Napadli mnie. Gdzieś ty był?

– Szukałem tej gnidy – odparł ostro.

– I co?

Wzruszył ramionami.

– Ano nic. Popytałem się w klanie, ale nikt nie widział niczego, co by tak waliło ska jak ten bydlak. Gdziekolwiek jest, używa potężnych amuletów ochronnych. A co u ciebie?

– Ukradłem trochę materiałów z Gildii.

Spojrzał na mnie beznamiętnie przez ramię.

– No i co?

– Porażka, Joe. Byłem zmuszony to zrobić, bo sędzę, że nie jestem w stanie zrobić nic innego.

Próbowałem rozwiązać tę sprawę tak, jak rozwiązywałem poprzednie: używając moich zdolności. Ale nie potrafię, więc ukradłem akta.

Wyglądał przez okno, obserwując doki.

– No, to ukradłeś jakieś akta z Gildii. O co ten krzyk?

– Krzyk jest o to, że zostałem zredukowany do poziomu złodziejaszka. Nic więcej nie jestem w stanie zrobić.

Postukał się w zamyśleniu po szczęce.

– Bzdety.

– Nie traktuj mnie z góry, Joe. Gdybym miał moje zdolności, złapałbym tego gościa już dawno temu. Powinienem był rzucić urok i powiązać fakty. Powinienem był wypowiedzieć zakłęcie i wytropić jego ślad na pierwszym miejscu zbrodni. Powinienem był dopaść go tej samej nocy i schwytać gołymi rękami. Gdybym wciąż miał swoje zdolności, Tansy by żyła.

Usiadł na parapecie i założył ręce.

– Connor, żyję za długo, żeby bawić się w te gierki. To bez sensu i dobrze o tym wiesz. Robisz, co musisz. Od samego chcenia chochlik nie stanie się wróżką.

Uśmiechnąłem się mimowolnie na to matczyne powiedzonko. W powszechnym mniemaniu lepiej być wróżką, ale nie

przypuszczałem nigdy, że usłyszę chochlika mówiącego coś podobnego. Uniosłem głowę, Stinkwort miał na ustach krzywy, szyderczy uśmieszek. Wielu ludzi może myśleć, że lepiej być kimś innym, ale żaden chochlik nie pomyśli, że lepiej być wróżką.

– Nie czuję się dzięki temu lepiej.

Stinkwort podfrunął do góry.

– Muszę lecieć, Connor. Ludzie na mnie czekają.

– Chyba wiem, jakiego rytuału krwi używa. – Słyszając to, Joe unosił się przez chwilę, patrząc na mnie bez słowa. Usiadłem wygodnie na krześle. – Nie jestem jeszcze pewien, ale chyba znalazłem pasujące zaklęcie. Tam użytym kamieniem był krwawnik, ironicznie, a krew pochodziła od kozła. Wyobrażam sobie, że krew wróżki dałaby lepsze rezultaty.

– Connor, daj sobie spokój.

Zignorowałem go.

– Zaklęcie działa czasowo, ale zdecydowanie ma zdolność, by podwyższyć siłę esencji maga. Nie jestem jeszcze pewien, jak zadziała tu selenit. Zwykle używa się go przy rytuałach księżycowych i wiemy, że ma to związek i według mnie dodatkowo wzmocni zaklęcie.

– Connor...

Znów go zignorowałem i po prostu mówiłem.

– Problemem jest czasowe działanie. Według mnie facet umiera i usiłuje się ratować. Wszystkie

inne narodziny ska skończyły się śmiercią. Cokolwiek robi, walczy o życie. Wie, że nie będzie mógł cały czas mordować wróżek. Jego wyjściem z sytuacji jest przechowywanie ukradzionej esencji. Ale na ile się zorientowałem, trzeba mnóstwo mocy, żeby skatalizować zaklęcie i sprawić, żeby miało działanie permanentne. Gdyby ten ska miał tyle mocy, to w ogóle nie musiałby tego wszystkiego robić. Musi tu chodzić o selenit. Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że ci odważyło w tym pokręconym łbie. Nie grzeb przy rytuałach krwi, Connor. I nie próbuj kręcić się po mieście i dowiadywać na ten temat. Mam dość na głowie, żeby się jeszcze o ciebie martwić.

– Więc powiedz, co o tym wiesz.

– Zaufaj mi, Connor. W twoim stanie nie masz co próbować mieszać przy rytuałach krwi. Kiedy coś przy nich idzie źle, to jest naprawdę złe.

Zapytaj lady Briallen. Ona wie.

– Już ją pytałem. Powiedziała nie.

Stinkwort pofrunął prosto na mnie, wyciągając rękę.

– Jeśli ona ci nie powiedziała, to jasne jak cholera, że ja nie powiem tym bardziej. Zostaw to, Connor. Niech Gildia się tym zajmie.

– Joe, nie mam zamiaru przeprowadzać rytuału. Próbuję tylko zrozumieć.

– Więc zrób to rozsądnie. Obaj trafiliśmy na jego fluid. Pomóż mi tropić.

Machnąłem ręką przed swoją opuchniętą twarzą.

– Nie czuję żadnego cholernego tropu.

Spojrzał na mnie z góry.

– Świetnie. Więc znajdę go, zanim zrobisz sobie krzywdę. – I zniknął.

– Świetnie, po prostu świetnie – powiedziałem do pustego pokoju.

Oparłem głowę na zagłówek i zagapiłem się w sufit. Rozumiałem zatroskanie Stinkworta. Wiele zaklęć można rzucić bez odpowiednich zdolności. Nawet ludzie mogą je aktywować, o ile mają odpowiednie narzędzia. Cztery żywioły – powietrza, ognia, wody i ziemi – mogą wygenerować przepływ esencji z naturalnych źródeł. We właściwych okolicznościach nawet sama inkantacja może przynieść skutek, jeśli odbędzie się w odpowiednio przygotowanym otoczeniu. Potęga słowa potrafi nagiąć esencję w otoczeniu nawet na rozkaz nowicjusza. Kłopoty zaczynały się, kiedy ktoś robił to, co przekraczało jego zdolności, o ile w ogóle je miał. Łatwo zgasić świeczkę. Problem pojawia się wtedy, jeśli przy okazji wzniesi się pożar.

Bez względu na to, o jaki chodziło rytuał, zaklęcie czy inkantację – krew działała wtedy jak benzyna. Jedną z pierwszych zasad wpajaną na samym początku ścieżki druida brzmiała: nie kombinuj z krwią. Była bezwzględnie przestrzegana. Nawet bardzo obiecujący adepci

mogli być wyrzuceni przez mentorów za drobne wykroczenie. Po ponad dwudziestu latach nauki wciąż nie miałem inicjacji do pracy z krwią. A biorąc pod uwagę mój stan, nie zanosiło się na to, że kiedykolwiek będę miał.

Na tamten rytuał krwi natrafiłem późnym popołudniem. Ukryty wśród folkloru Europy wschodniej, w starym poemacie. Autorka albo uważała, że jest wystarczająco nieścisły, albo zapomniała usunąć go w redakcji. Mnie to wystarczyło, żeby zorientować się, czym mógł być. Jeśli widziało się dostatecznie dużo zaklęć, można odróżnić prawdziwą treść od neopogańskich bzdetów.

Jednak prawdziwa nagroda czekała mnie, kiedy zajrzałem do akt MacDuina. Imię „Dealle S.” wyskoczyło na samym czeluście listy kontaktów zamieszanych w kradzież selenitu zeszłej jesieni. Wpis był wykonany przez MacDuina. „S” poprzedzone spacją to typowy skrót w Gildii oznaczający „Sidhe”, a Dealle było imieniem kobiety, z którą Murdock bezskutecznie usiłował się spotkać. W świecie, gdzie używano tylko imienia, chyba że pochodziło się z królewskiego rodu, szansa na spotkanie ludzi przedstawiających się tak samo była wysoka. Ale założyłbym się o spore pieniądze, że szansa na spotkanie dwóch osób noszących to samo imię, powiązanych z dwoma różnymi sprawami prowadzonymi przez Gildię i mającymi związek z MacDuinem nie była

jednak taka wysoka. Wciąż nie miałem żadnych wiadomości z Niemiec na temat wróżko-elfiej hybrydy imieniem Gethin, ale Dealle i jej syn Corcan wyglądali bardzo obiecująco.

Wziąłem prysznic i przebrałem się. Nie chciałem pokazywać się w domu Dealle tak wcześnie, żeby jej nie rozzłościć, ale i nie za późno, żeby znowu nie wyszła. Nie musiałem sprawdzać zapisów Murdocka, żeby wiedzieć, iż próbował o najróżniejszych godzinach i porach dnia. Wpadał także przed pracą, tak jak sam miałem zamiar.

Jeśli nie będzie jej w domu, to nie miałem innego wyjścia, jak usiąść na jej progu i czekać, aż wróci.

Dealle Sidhe mieszkała w południowym Bostonie, ale na tyle blisko Weird, że wciąż było tam tanio. Poszedłem ulicą A aż do Drugiej. Ulica cierpiała na osobowość wieloraką. Upchnięto na niej budynki każdego możliwego rodzaju, jakby dzielnica nie mogła się zdecydować, jak wygląda. Drewniane, zwykłe domy sąsiadowały z małymi hurtowniami albo małymi grupkami szeregówek, rozszanymi to tu, to tam. Większość wyglądała jak opuszczona, ale to wrażenie zamknięcia miało więcej wspólnego z ochroną niż pustką. Mieszkali tu ludzie – opętani potrzebą bezpieczeństwa i wystarczająco majętni, żeby je sobie kupić. Było tu bezpieczniej niż w Weird, ale bez porównania z willowymi terenami południowego Bostonu. Tu

drzwi frontowe zdobiły niesione z wiatrem strzępy gazet, a nie białe petunie.

Adres, pod którym mieszkała Dealle Sidhe, nosił drewniany, trzypiętrowy miejski dom. Wykuszowe okno kryło pokój dzienny, od ulicy dom miał mały ganek. Górne okna zabito deskami. Budynek kiedyś był biały, ale z biegiem czasu zszarzał i farba odpadała od niego płatami. Pomiedzy siatką ogrodzeniową a drzwiami ze zbrojonego drutem szkła znajdowało się półtora metra ścieżki. Otworzyłem furtkę, która przytarła hałaśliwie o betonowy chodnik. U podnóża schodków leżała wizytówka. Podniosłem ją. Murdock. Kiedy wchodziłem na stopnie, zobaczyłem drugą w trawie obok ścieżki. Trzecią wiatr wcisnął w oka siatki. Spojrzałem na kartę ponownie. Nic dziwnego, że Dealle Sidhe nie oddzwoniła. Sądząc z wyglądu domu, już tu nie mieszkała. Zdecydowałem, że zastukam, ewentualnie zatknę wizytówkę w bezpieczniejszym miejscu.

Wszedłem na schodki. Z domu nie dochodził żaden dźwięk. Nie było nikogo. Zupełnie nikogo. Z notatek Murdocka nie wynikało, czy Dealle miała pracę. Wydawało się niemożliwe, żeby cztery wizyty dwóch wywiadowców nie przyniosły żadnych rezultatów. Wszedłem na A i skręciłem za róg. Kątem oka zauważyłem, że coś białego frunie do rynsztoka. Postąpiłem kolejny krok i zatrzymałem się, patrząc w dół ulicy. Poczulem

lekką dezorientację, ale A wyglądała jak zawsze. Ruszyłem dalej. Przeszedłem kolejny kwartał, kiedy odwróciłem się nagle i wróciłem do miejsca, w którym zatrzymałem się po raz pierwszy. Spojrzałem w dół i podniosłem wizytówkę Murdocka tam, gdzie ją upuściłem. Spojrzałem wzdłuż Drugiej i uśmiechnąłem się.

Wróciłem do domu Dealle i stanąłem przed furtką. Próbowałem wziąć nosem głęboki wdech, ale był zbyt spuchnięty, żebym wyczuł cokolwiek. Tym razem odszedłem tylko kilka domów dalej, kiedy zorientowałem się, że opuściłem ganek. Spojrzałem na wizytówkę Murdocka, którą trzymałem nadal w dłoni. Wróciłem.

Obserwowałem front domu, ale wyglądał bardzo zwyczajnie. Niekiedy fata umieszczają dyskretne sygnały, które może zobaczyć ktoś, kto wie, czego szukać. Kilka ledwie widocznych run ogham wydrapanych na futrynie, pęk ziół wiszący przy drzwiach w określony sposób, ale zdarzały się też wbite w trawnik żartobliwe tabliczki „Uwaga, zły troll!”. Tylko że dom Dealle nie miał żadnych charakterystycznych elementów tego rodzaju. Zauważyłem to dopiero, kiedy mój wzrok padł na tkaną szorstką wycieraczkę i uświadomiłem sobie, że nie leży płasko na ziemi. Pod przednią krawędzią dywanika zobaczyłem cienką, ciemną linię. Mogłem się założyć, że pod spodem leży gładko wypolerowany kamień, doskonały na talizman strażniczy. Dealle nie życzyła sobie gości.

Bez względu na to, czy chodziło o paranoję, czy ochronę prywatności, musiałem się tego dowiedzieć.

Zakłęcie było eleganckie i subtelne. Zamiast brutalnie odpędzać intruzów, podsuwało odpowiedź na pytanie, z którym każdy tu przychodził: „Jest ktoś w domu czy nie?”. Jeśli nie był to ktoś mający specjalne zaproszenie, odpowiedź zawsze brzmiała „nie”. A żeby uniknąć ciągłego pukania, amulet delikatnie odsyłał gości w drogę powrotną. Ponieważ talizman reagował na intencje przychodzącego, zmieniłem intencje. Nie zastanawiałem się, czy ktoś jest w domu. Założyłem, że tak. Teraz musiałem opanować jeszcze przemożną chęć odejścia.

Wzięłem głęboki wdech i ruszyłem. Przez całą drogę ku wycieraczce walczyłem z pragnieniem, by uciekać. Parłem do przodu, unosząc dłoń, by uchwycić klamkę frontowych drzwi. Uporczywa myśl, że nikogo nie ma w domu, w kółko kołatała mi się w głowie. Uczepiłem się więc klamki i własnego przekonania, że Dealle jest w środku. Kiedy unosiłem dłoń, by zapukać, pot lał mi się z czoła. Czuję mdłości, kiedy usiłowałem się opierać. Rozpaczliwie pragnąłem stąd uciec, ale opuściłem dłoń i uderzyłem kłykciami w drzwi. Dźwięk wydał się nieoczekiwanie głośny. Nikt nie odpowiedział. Usunąłem z mózgu myśl, że nikogo nie ma w domu. Uderzałem znowu i znowu, koncentrując wzrok na palcach zaciśniętych na

klamce. Przestałem się zastanawiać, czy Dealle jest w domu, przestałem nawet o to dbać. Jedyne, co mnie obchodziło, to żeby opuszczać pięść.

Drzwi się otworzyły. Kiedy amulet został zdezaktywowany, omal nie przewróciłem się z ulgi. W głębi ciemnego korytarza za mleczną szybą drzwi majaczyła drobna sylwetka. Puściłem klamkę i rozgiąłem zaciśnięte palce, by usunąć skurcz. Kostki drugiej dłoni miałem zupełnie czerwone. Przynajmniej nie krwawiły.

– Dealle Sidhe – wykrztusiłem, dławiąc się od hiperwentylacji.

– Tak – odpowiedziała. Miała miękki, bardzo melodyjny głos.

– Nazywam się Connor Grey. Pracowałem dla Gildii, ale teraz pomagam policji przy pewnej sprawie. Czy możemy chwilę porozmawiać?

Wciąż nie widziałem wyraźnie jej twarzy. Bez słowa otworzyła drzwi i przytrzymała je, wpuszczając mnie do środka. Wszedłem do hallu. Zamknęła za mną i gestem wskazała mi bawialnię po lewej. Była małą kobietą, ubraną w prostą białą podomkę. Długie ciemne włosy miała związane swobodnie na plecach. Widać było po niej lata, rzecz nietypowa u wróżki, a jej twarz nosiła ślady zmartwień. W przytłumionym świetle pokoju jej skrzydła opalizowały perłowo, gdy zafalowały w wywołanym przez moje przejście lekkim podmuchu.

– Przyniosę coś do picia – powiedziała.

– To niekonieczne.

Zawahała się.

– Proszę się zgodzić – dodała miękko. – To moje przeprosiny za drzwi.

Przed kominkiem stały półkołem cztery fotele. Usiadłem na jednym z nich i natychmiast zawibrowało mi z boku głowy. Dealle niewątpliwie utrzymywała w tym domu mnóstwo zakłęć.

Wróciła, niosąc na tacy sześć małych kryształowych szklaneczek, i postawiła ją na kredensowym stoliku otoczonym krzesłami, po czym usiadła sztywno naprzeciw mnie.

– Witaj w moim domu. – Pochyliła się i podniosła szklanę pełną wody.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, podnosząc swoją. Traktowała mnie jak bardzo oficjalnego gościa według bardzo starej tradycji. W Bostonie pielęgnowano ten zwyczaj tylko przy szczególnych okazjach. Od Konwergencji był oznaką przynależności do odpowiedniej klasy w najlepszych domach.

Napiłem się wody.

– Dziękuję, to bardzo orzeźwiające.

Odstawiła szklaneczkę na tacę i podniosła następną, pełną miodu. Zrobiłem to samo.

– Mam nadzieję, że nie błędził pan za bardzo, szukając mojego domu. – Napiła się miodu, dużo wolniej niż wody.

– Nie, to było całkiem proste.

Zamilkliśmy oboje, patrząc wokół siebie. Z

zaskoczeniem zauważyłem zdjęcie stojące na kominku. Przedstawiało mężczyznę o dziwacznie kościstej twarzy, o niemal migdałowych oczach i zupełnie łysego. Chociaż widać było tylko głowę, sprawiał wrażenie wielkiego. A także doskonale pasował do opisu Shaya. Żałowałem, że moje zatoki są zapchane i nie mogę poczuć jego esencji.

– Przy okazji: przepiękny pokój. Na pewno spędza pani tu dużo czasu.

– To prawda. Ulice nie są bezpieczne. – Zamieniła pustą szklankę po miodzie na pełną whisky. – Slainte.

– I za pani zdrowie – odparłem i pociągnąłem whisky. Jameson. Boże, błogosław Irlandczyków.

– Jak mogę panu pomóc? – zapytała Dealle.

– Chciałbym zapytać o pani syna.

Spojrzała w dół na swoją szklankę.

– Spowodował jakieś kłopoty?

Cóż, z odpowiedzi wynikało, że jej syn żyje.

– Czy jest w domu?

Potrząsnęła głową.

– Poszedł do szkoły. Ach, nazywamy to szkołą, ale to raczej zakład opieki.

– Czy jest chory?

Nasze oczy się spotkały. Starzy fata mają irytujące spojrzenie. Drzemie w nim spokój i cierpliwość przychodząca z niewyobrażalnym wiekiem. W oczach Dealle dodatkowo dostrzegało się obronną postawę.

– Zdaje się, że obecnie obowiązującym

określeniem jest „osoba z wyzwaniem umysłowym”. Zawsze jakiś postęp. Kilkadziesiąt lat temu zupełnie oficjalnie nazywano go kretynem.

– A czy jest jego ojciec?

Spojrzała gdzieś w przestrzeń.

– Jego ojciec jest... cóż... Niemcem. Nie widziałam go ani nie słyszałam o nim od lat.

– Dealle, nie chciałbym wprowadzić pani w zakłopotanie, ale skoro ojciec jest Niemcem, czy to znaczy również, że jest elfem?

Skinęła głową.

– Kiedy odkryłam, że będę miała dziecko, wpadłam w euforię. Nigdy dotąd nie miałam dziecka. Wiedziałam, że potomstwo wrózek i elfów jest obciążone ryzykiem, ale byłam skłonna na nie przystać. Kiedy Corcan urodził się w takim stanie, jego ojciec odszedł.

– Od jak dawna jest hospitalizowany?

– Nie jest. To leczenie w programie dziennym, pięć dni w tygodniu spędza w Instytucie Dziecięcym przy Day Boulevard. Radzi sobie, tylko wymaga nadzoru. Uczą go podstawowych umiejętności i może bawić się z innymi dziećmi.

– Z dziećmi? Ma chyba jakieś pięćdziesiąt lat, prawda?

Uśmiechnęła się zimno.

– Czym jest dla mnie pięćdziesiąt lat, jeśli nie mgnieniem? Jest dzieckiem i ma umysł dziecka.

– Czy wychodzi gdzieś sam?

– Tylko do szkoły i ze szkoły.

– Nigdy poza tym? A w nocy, kiedy pani śpi? Wahala się bardzo długo.

– Nie. – Machnęła dłonią w kierunku drzwi. – W tym domu jest znacznie więcej amuletów.

Zacząła zachowywać się bardziej przystępnie, więc postanowiłem nie mówić jej, że właśnie pokonałem jeden z jej amuletów. Ktoś obdarzony talentami poradziłby sobie jeszcze łatwiej.

– Czy ma nagłe zmiany nastroju?

– Dlaczego pan do mnie przyszedł, Connorze Greyu?

Poczułem się niezręcznie. Nie zamierzałem przeprowadzać z nią wywiadu. Miałem nadzieję, że wstąpię, rozpoznam esencję zabójcy i zawiadomię Murdocka. W tej sytuacji jednak nie mogłem powiedzieć tej kobiecie, że uważam jej syna za psychopatycznego zabójcę, i to nie mając najmniejszego dowodu.

– Przeprowadzam badania środowiskowe dotyczące potomstwa międzygatunkowego. To może mieć związek ze sprawą, nad którą pracuję. Gdybym lepiej rozumiał zachowanie takich osób, mógłbym przewidywać ich postępowanie.

Odchyliła się w fotelu.

– O jakie zachowanie panu chodzi?

– Biorąc pod uwagę mój zawód, chyba nie zaskoczę pani, mówiąc, że interesują mnie zachowania agresywne. A szczególnie agresja powiązana ze zdolnościami fata.

– Mój syn nikogo nie skrzywdził. – Nie podobał mi się ton w jej głosie. Najwyraźniej zadzieriałem z niedźwiedzicą broniącą młodych.

– Nie powiedziałem niczego takiego, Dealle. Ale skoro przy tym jesteśmy, co może mi pani powiedzieć o zdolnościach Corcana?

Wzruszyła ramionami.

– Powiedziałabym, że ma silną esencję, ale nic z tego nie rozumie. Kiedy jest zły albo smutny, w pomieszczeniu może powstać pewien nieład. W instytucie pracują nad tym. Nigdy nie zrobił nikomu krzywdy.

– Mógłbym zobaczyć jego pokój?

Pytanie zaskoczyło ją, więc nie odpowiedziała natychmiast.

– Chyba tak. A dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Och, nic takiego. Po prostu chciałbym poznać środowisko, w którym przebywa.

Wstała z fotela i poprowadziła mnie korytarzem. Sypialnia Corcana była pierwsza z lewej. Wielkie łóżko nakryte jaskrawoczerwoną narzutą z wzorem w samochody wyścigowe zajmowało większość powierzchni. Pod ścianą obok drzwi stało proste drewniane krzesło, a naprzeciwko pod oknem niewielka komoda z szufladami. Ściany pomalowano na wściekle żółty kolor i pokryto białymi celtyckimi spiralami. Pośrodku każdej ściany namalowano niebieskie pentagramy. Dodano je później, celtyckie

ornamenty wiły się pod nimi.

Wskazałem je palcem.

– Co to za pentagramy?

– Pomagają mu się skupić, kiedy jest zirytowany. Nie rozumie, że to ma związek ze zdolnościami. Uczymy go, jak skanalizować agresję i osiągnąć spokój. Z początku to nie działało, ale opiekun dodał pentagramy. Teraz Corcan widzi je, gdziekolwiek spojrzy, i to wydaje się pomagać.

Skinąłem głową i podszedłem do komody. Położyłem delikatnie dłoń na uchwycie szuflady i spojrzałem na Dealle.

– Mogę? – Przez jej twarz przebiegł grymas irytacji, ale skinęła głową. Otworzyłem każdą szufladę po kolei. W najwyższej znalazłem trochę bezsensownych chłopięcych zabawek, ukrytych pod kilkoma zmianami bielizny. W drugiej leżały koszulki i pod spodem majtki, wszystko było porządnie poskładane, więc uważałem, żeby niczego nie zburzyć.

Zamknąłem ostatnią szufladę i już bez pytania otworzyłem szafę. Ubrania wisiały porządnie, kilka par butów stało w idealnym rzędzie pod ścianą. Na półce z drugiej strony znajdowały się swetry i bluzy. Dealle zdecydowanie pilnowała porządku u swojego syna. Żadnych serek w butelkach. Zresztą nie spodziewałem się, że je tu znajdę.

– Czy są jeszcze jakieś inne miejsca, gdzie syn mógłby trzymać rzeczy? – zapytałem.

Potrząsnęła głową.

– Nie wolno mu wchodzić do salonu. Głównie bawi się tutaj, ogląda telewizję w kuchni albo bawi się na podwórku.

– A mogę zobaczyć podwórko?

Sprowadziła mnie z powrotem na korytarz prowadzący do kuchni i wskazała tylne drzwi. Spojrzałem przez dzieloną szybę na ciasną, wyasfaltowaną przestrzeń z tablicą do koszykówki. Kilka piłek leżało na ziemi, do tylnej siatki przypięto rower. Nic niezwykłego. Żadnych zakątków, w których można by coś schować, żadnej ziemi, w której można by coś zakopać. Znowu poczułem paskudne wibracje w czaszce. Najwyraźniej kolejny amulet spoczywał pod wycieraczką tylnych drzwi.

Rozejrzałem się po kuchni. Znowu nic nadzwyczajnego. Nikt tu niczego nie zmieniał od pięćdziesięciu lat. Przysadziste drewniane szafki pomalowane na biało, z metalowymi uchwytami. Na górze wiszące szafki z przeszklonymi drzwiczkami, z talerzami, kubkami i miseczkami stojącymi w równych rzędkach na półkach. Obok wejścia na korytarz zauważyłem kolejne zamknięte drzwi.

– Mają państwo piwnicę?

– On tam nie wchodzi. Boi się ciemności.

Staliśmy w zimnej bieli fluorescencyjnej sufitowej lampy. Nic nie pasowało. Corcan nie sprawiał wrażenia materiału na seryjnego zabójcę,

ale musiał być jakiś powód, dla którego Dealle Sidhe figurowała w aktach MacDuina.

– Dealle, dlaczego Gildia kontaktowała się z panią zeszłej jesieni?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Nie kontaktowali się. To ja kontaktowałam się z nimi.

Przysunęła sobie kuchenne krzesło i usiadła.

– Miałam nadzieję, że mi pomogą.

– W czym?

Objęła się ramionami, na jej twarzy pojawiła się dawna uraza.

– Corky pewnego dnia nie wrócił ze szkoły. Kiedy nie zjawił się do zmroku, zawiadomiłam policję i Gildię. Ani jedni, ani drudzy mi nie pomogli. Ale nie dbałam o to, bo Corky pojawił się następnego dnia przed domem. Był wystraszony i zakłopotany. Źle skręcił i zgubił się.

– Czy po tym zdarzeniu jego zachowanie jakoś się zmieniło?

Wzruszyła ramionami.

– Nic nadzwyczajnego. Zaczął się bać samemu wychodzić, nawet na chwilę.

– A kiedy to się dokładnie zdarzyło?

– Zeszłego września. Nie pamiętam daty, ale to był ostatni tydzień miesiąca.

Kiwnąłem głową. Selenitowe kamienie zaginęły tuż przedtem. No, i nie należało zapominać, że dziwny klient Belgora pojawił się niedługo potem. Część łamigłówek dotycząca

kamieni zaczęła się układać.

– Chyba jest pani obyta z talizmanami, Dealle. Pracowała pani kiedyś z selenitem?

Spojrzała na mnie badawczo.

– To zbyt stary kamień, żeby z nim pracować. Nie dbam specjalnie o moc księżyca. To babranie się w tajemnicach i odpryskach.

Osobiście nie mógłbym nie przyznać jej racji. Praca z księżycem to była głównie domena kobiet i nigdy nie miałem w tej dziedzinie większych sukcesów. Mnie wystarczy blask słońca i ostre narzędzie w dowolnej chwili.

– To tylko moc. Może być pozytywna albo negatywna, zależnie od tego, kto jej używa. Wie pani o tym przecież.

Uśmiechnęła się blado.

– Jestem trochę starsza od pana, Connorze Greyu. Żyłam w Prawdziwym Kraju, zanim zostaliśmy rzućeni w to chore miejsce. Proszę mi wierzyć, księżyc nie jest przyjacielem. Światło Dnia obnaża wszystko.

Zastanowił mnie jej dobór słów. To elfy, nie wróżki, nazywały swój utracony dom Prawdziwym Krajem. Biorąc pod uwagę jej wybór partnera, właściwie nie było w tym nic dziwnego. Miałem nieodparte podejrzenie, że Dealle sympatyzowała z elfami, a dokładniej z tymi, które głosiły: „To my jesteśmy rasą wyższą, więc powinniśmy władać światem” albo podobne slogany.

– „Prawdziwy Kraj to Prawdziwy Kraj, leżący

pod Światłem Dnia / Powrotną drogę pokaż mi tam, zostawię ten zgniły świat” – wyrecytowałem. To był fragment starej ballady z drugiej wojny, którą niemieccy fata śpiewali w okopach.

Dealle uniosła brwi.

– Nie sądziłam, że ktoś tak młody mógłby znać tę piosenkę.

Wzruszyłem ramionami.

– Interesuję się historią.

Westchnęła z rezygnacją.

– Historią... tak, teraz to już historia. Prawdy zostały wygłoszone, błędy popełnione. Miłości utracone. Byłam szczęśliwa w bardzo smutnych czasach, ale taki jest świat, w którym musimy teraz żyć.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Mówiła tym znużonym tonem charakterystycznym dla ludzi, którzy utracili swoje ideały.

– Urodziłeś się tutaj. Nie wiesz nic – wycodziła, jej głos zabrzmiał goryczą. – Niektórzy z moich znajomych nadal walczą o Faerie, ale ja poświęcam czas tylko Corcanowi.

– Nie chciałem budzić bolesnych wspomnień.

Wstała i wymaszerowała z kuchni. Zawahałem się i podążyłem za nią na korytarz. Czekwała już, trzymając otwarte drzwi wyjściowe. Nie miałem żadnej władzy, by wymusić na niej dalszą rozmowę.

– Sama będę osądzać moje wspomnienia – powiedziała.

Ukłoniłem się lekko.

– Naturalnie. Dziękuję pani, Dealle. Bardzo mi pani pomogła.

Kiedy wyszedłem na schody, zawołała moje imię. Odwróciłem się.

– Mój syn to dobry chłopiec. Niech pan o tym pamięta.

Nie odpowiedziałem, tylko skinąłem głową i uśmiechnąłem się. Zamknęła drzwi. Poczułem lekki podmuch na twarzy, kiedy reaktywowało się zaklęcie.

Wsunąłem rękę głęboko w kieszenie i ruszyłem ulicą. Przyszedłem do tego domu w nadziei, że znajdę zabójcę i może jeszcze zyskam dodatkowy bonus, zawstydzając MacDuina, który przegapił dowody we własnych aktach. Zamiast tego znalazłem upośledzonego mężczyznę niepotrafiącego trafić do własnego domu, a co dopiero zarznąć sześcioro ludzi.

Corcan „Corky” Sidhe zaginał mniej więcej wtedy, gdy skradziono selenit. Można to było uznać za powiązanie. Zważywszy, że Gildia nie przeprowadziła żadnego oficjalnego śledztwa w sprawie jego zaginięcia, notatka MacDuina praktycznie potwierdzała, że istnieje powiązanie. Tylko nie mogłem zrozumieć, dlaczego nazwisko Dealle znalazło się w aktach, skoro nikt nie podążył tym tropem. A już szczególnie interesujące było, dlaczego nie podążył nim sam MacDuin.

Przy całej swojej otwartości na pytania,

czułem się przy tej kobiecie nieprzyjemnie. Elfy i wróżki to zawsze toksyczna mieszanka, a Dealle najwyraźniej nie zmieniła swoich politycznych sympatii. No i znała się na talizmanach.

Stary człowiek idący z przeciwka spojrział ze zdumieniem, kiedy nagle stanąłem jak wryty na chodniku.

W czasie wojny MacDuin sympatyzował z elfami. Możliwe, że znał Dealle z tamtych czasów. A skoro znał Dealle, przypuszczalnie mógł wiedzieć też o jej synu. Stinkwort powiedział kiedyś, że MacDuin nie miał krwi na rękach. Zastanowiłem się, czy MacDuin albo ktoś, kogo znał, mógł jakoś kontrolować Corcana. Ten poziom mocy był znaczący, nie sędzę, żeby MacDuin takim dysponował. Ale ograniczone zdolności umysłowe sprawiały, że syn Dealle mógł być dla niego użyteczny, zwłaszcza gdyby Lorcan znalazł sposób, by zwiększyć zdolności mieszańca.

Ruszyłem w dalszą drogę. Brakowało motywu. Jeśli MacDuin miał związek z morderstwami, to co miałby na tym zyskać? I wtedy olśniła mnie nagła myśl. Tiarnach Ruadan, ojciec ostatniej ofiary, był frontowym bohaterem wojennym, brał udział w ataku na Berlin. Wprawdzie ludzie rozstrzygnęli swoje animozje całe dekady temu, ale relacje pomiędzy elfami i wróżkami osiągnęły etap wstępnego porozumienia dopiero po przystąpieniu do Zgromadzenia Fata. A może MacDuin szukał okazji do spóźnionej

zemsty?

Gdyby koncepcja, że ktoś zamierza zaburzyć proces pokojowy, nie była tak przerażająca, to sam bym się z niej uśmieał. Zwykle nie poddawałem się teoriom spiskowym. Wiedziałem jednak, że jeżeli wystarczająco wielu paranoików w coś wierzy, to szybko zaczynają knuć własny spisek. Jeśli MacDuin doszedł do wniosku, że działanie wewnątrz systemu nie zmienia niczego, to może uznał również, że nie ma już nic do stracenia.

Rozdział 14

We wtorek rano wróciłem do mieszkania bez oczyszczającego poczucia, które zwykle miałem po zakończeniu swojego pięciomilowego biegu. Zamiast zwykłej trasy wokół starego fortu biegałem po Weird i odwiedzałem miejsca zbrodni. Wrażenie było przykre i dziwne zarazem. Usiłowałem znaleźć jakiś wzór w ich lokalizacji, charakterystyczną cechę, która mogłaby mi podpowiedzieć, gdzie zabójca uderzy następnym razem. Zwykle spojrzenie na plan miasta jasno dowodziło, że nie ma tam żadnego wzoru, poza tym, że wszystkie te miejsca były odludne i znajdowały się na uboczu. Wiele mi to nie pomogło. Większość ludzi stara się unikać ciekawskich, kiedy zamierza wypruć komuś flaki.

Kiedy wybiegłem z pustych, zawalonych śmieciami zaułków prosto w nerwowy zgiełk Alei, całe doświadczenie zrobiło się surrealistyczne. Przygotowania do Letniego Przesilenia weszły w fazę kulminacyjną, po ulicach kręciły się tłumy ludzi wszelkich typów, śmiejących się i śpiewających. Zastanawiałem się, czy nie zdawali sobie sprawy, że po tych samych ulicach kręci się morderca, czy po prostu radośnie mieli to gdzieś.

Usiadłem przed moim komputerem i po raz kolejny przejrzałem dowody. Wbrew temu, co powiedziałem Stinkwortowi, wcale nie byłem

pewien, że znalazłem właściwy rytuał. W najlepszym wypadku miałem po prostu silne podejrzenie, zwłaszcza że efekt zastąpienia jednego rodzaju kamieni innymi pozostawał tajemnicą i nie miałem pojęcia, jaka inkantacja mogła zostać użyta. Kamienie przywiodły mi na myśl Meryl, która od dłuższego czasu nie dała znaku życia. Uznałem to za oznakę, że dotrzymuje słowa i nie zamierza ujawnić tajemniczego odnalezienia się kamieni w Gildii przed czwartkiem.

Wróciłem do akt sprawy. Wszystkie dowody były jasne poza ostatnim. Zabójca pozostawił zanieczyszczenie w klatce piersiowej ostatniej ofiary. Ściślej rzecz biorąc – piasek. Czysty, sterylny piasek, jeśli wierzyć analizie. Pamiętałem ohydne wrażenie, kiedy moją rękę oblepiała krew zmieszana z piaskiem.

Otworzyłem akta Ragnella, pierwszej ofiary. Analitycy mieli z nim sporo roboty, bo ubranie Ragnella było bardzo brudne. Pewnie sypiał na ulicy. Nie mógł świadczyć większości swoich usług, chyba że trafił na kogoś, kogo kręcił brud. Nie miałem złudzeń, że są i tacy. Murdock dołączył uzupełniony raport z laboratorium sądowego. Przeczytałem cały katalog rodzajów odpadków – sierść kotów i psów, włosy pochodzące od wielu ludzi, resztki jedzenia, odrobina lawendy, liście głogu, szanty, goździki, niezidentyfikowany popiół, stare dobre ślady

marihuany.

Głóg mnie nie zdziwił. Drzewo było święte dla wróżek i wielu fata nosiło je dla ochrony albo jako amulet. Lawenda, goździki i trawka również mnie nie zaskoczyły. W dzisiejszych czasach nawet ludzie, zwłaszcza muzycy rockowi, często nosili je przy sobie. Zastanowiła mnie szanta.

Tego zioła używano zwykle jako lekarstwa na przeziębienie i kaszel. Przejrzałem znowu resztę raportu, ale nic w nim nie wskazywało na to, by Ragnell był chory.

Nagle coś przykuło moją uwagę. Analityk medyczny zrobił notatkę na marginesie, że na ciele obecny był popiół. Nie na odzieży, ale bezpośrednio na ciele. Część znajdowała się w pobliżu rany na klatce piersiowej. Wysłałem Murdockowi mejla z prośbą, żeby sprawdził, czy ślady ziół znajdowały się w samej ranie. Wydawało mi się, że jestem na dobrym tropie. Nie miałem wątpliwości, że zioła znajdowały się na ciele, przynajmniej jako pozostałości. Podana w postaci wyciągu szanta to lekarstwo na przeziębienie. Spalona w połączeniu z liśćmi głogu stanowiła wzmocnienie dla ducha. To nieźle pasowało do mojej teorii, że zabójca usiłował się uleczyć.

Przeleciałem przez raporty analityczne dotyczące pozostałych ofiar. Moje chwilowe podekscytowanie zaczynało wygasać. W pozostałych przypadkach nie znaleziono żadnych

ziół. Jediną niezwykłą rzeczą w przypadku Pacha, drugiej ofiary, było to, że wokół rany miał świeże, słabe ślady oparzeń. Jednak żadnego popiołu. U trzeciej ofiary nie było niczego, żadnych ziół ani popiołu. Tamtej nocy padało, a ciało tak samo jak wszystkie pozostałe było nagie. Możliwe, że część dowodów została splukana. U czwartej ofiary był tylko piasek.

Wziąłem kartkę i zrobiłem listę anomalii u każdej z czterech ofiar: popiół, słabe oparzenia, nic oraz piasek. Pierwsze dwa elementy były powiązane z ogniem, ale pozostałe nie miały związku. Wróciłem do Gamelyna, trzeciej ofiary, i bardzo uważnie, powoli przeczytałem raport. Dalej nic. Przejrzałem zdjęcia z miejsca zbrodni.

Pamiętałem, że moje zmysły były wyjątkowo wyostrzone tamtej nocy. Z powodu deszczu wszystkie zapachy czułem bardzo intensywnie. Dlatego znalazłem ślad esencji Tansy pomimo odoru pobliskiego śmietnika. Tamtej nocy padało po raz pierwszy od dwóch tygodni. W prognozach pogody meteorologowie powtarzali, że każdy front burzowy był spychany na południe wzdłuż przylądka Cod, omijając z daleka obszar miasta Boston. Było to dziwne zjawisko w tej okolicy, szczególnie o tej porze roku. Pod numerem trzecim na mojej liście słowo „nic” zastąpiłem słowem „deszcz”.

Niektórzy ludzie dostają gęziej skórki, kiedy natrafią na coś ekscytującego. Ja dostaję kopa

adrenaliny. A kiedy spojrzałem na moją listę, dosłownie we mnie wybuchła. Nie chodziło o popiół. Popiół był tylko pozostałością po spaleniu kadzideł. A kadzidła pali się po to, by przywołać potęgę powietrza. Kolejny rzut oka na zdjęcia z miejsca zabójstwa Ragnella ujawnił leżący w dalszym planie ogarek. Stopiony wosk z tej świeczki mógł pozostawić ślady oparzeń na skórze. Świeczki zapala się po to, by przywołać potęgę ognia. A deszcz zmoczył wszystko na miejscu zdarzenia, przez co łatwo można było przeoczyć, że w rytuale wykorzystano wodę. No i jeszcze pozostawał piasek na ostatnim miejscu zbrodni. Zrozumiałem, że popełnione zostanie jeszcze tylko jedno morderstwo i nastąpi to za dwa dni. Nów w wigilię Sobótki zamknie cykl lunarny. Zostaną przywołane potęgi piątego żywiołu.

Powietrze. Ogień. Woda. Ziemia. I Duch. Pięć podstawowych składników mocy. Pięć etapów inwokacji każdego rytuału opartego o pentagram. Na scenę powracał Corcan Sidhe oraz jego osobliwe dekoracje w pokoju.

Przeglądając pliki MacDuina, znalazłem liczne próby przejrzania zasobów biblioteki w poszukiwaniu starych grymuarów. Miałem przedruki niektórych z nich na półkach, ale żaden z niczym mi się nie kojarzył. Obróciłem krzesło i zadzwoniłem do Meryl. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Cześć, Meryl, jestem w mieszkaniu. Czuję

się tu bezpiecznie, bo Gildia umieściła w nim talizmany ochronne.

Czekałem przez chwilę w ciszy i miałem nadzieję, że Meryl zrozumie moją ukrytą wiadomość.

– Jestem zajęta. Zadzwoń jutro – powiedziała i odwiesiła słuchawkę. Szybko wyłączyłem dzwonek. A potem siedziałem i nerwowo czekałem, aż identyfikacja numeru pojawi się na ekraniku. Wyświetlacz pokazał nagle połączenie zastrzeżone. Przyłożyłem słuchawkę do ucha i nacisnąłem przycisk. Znajome wrażenie naelektryzowania otoczyło moją głowę.

– Więc sądzisz, że masz pluskwę w mieszkaniu? – zapytała Meryl.

– To tylko podejrzenie. Zaczynam popadać w paranoję.

Westchnęła.

– Zaczekaj. – Słyszałem, jak odkłada telefon, potem szeleści papierami na biurku. Zaraz też rozległ się łoskot upadku poprzedzony przekleństwem, wyjątkowo wulgarnym, klekot klawiszy, seria elektronicznych popiskiwań i wreszcie pole statyczne powróciło.

Meryl znów była na linii.

– Jest okay. Na ile mogę sprawdzić, twoja linia jest czysta.

– Mam do ciebie prośbę.

Westchnęła tak ciężko, że zdawało mi się, jakby pole otaczające słuchawkę zafalowało.

Zaczynałem się przyzwyczajać do tego uczucia.

– Naprawdę nie wiesz, kiedy przestać, prawda?

Wyszczrzyłem się.

– Nie, mam takich próśb pod dostatkiem. To nic, co zagroziłoby twojej pozycji. MacDuin poszukiwał ksiązek. Wiem, że dwóch z nich nie można dostać poza Gildią. Jedna to zbiór manuskryptów zawierających pisma druida Cathbada. Druga to coś pod tytułem „Brazowa Księga Cenchosa”.

Roześmiała się.

– To żart, Connor. To jest spis bezsensownych zaklęć przypisywanych Fomorianom. Nazywa się „Brazowa Księga”, bo jest rzekomo oprawiona w skórę króla Tuatha de Danann. Cenchos to mityczne straszycło z Sidhe. Według legendy przechytrzył Danów, podbił i zajął Dwór Seelie. Został pokonany zaklęciami, które odesłały jego i jego stronników z powrotem do morza.

– Dlaczego zaklęcia są bezsensowne?

– Bo mieszają różne rzeczy, każą używać ziół i kamieni w sposób, który nie ma żadnego sensu. Do tego zostały napisane rzekomo po fomoriańsku, który brzmi mniej więcej tak, jakbyś wysypał zawartość śmietnika.

– Mimo wszystko muszę wiedzieć, czy są tam zaklęcia wykorzystujące selenit, krew i pentagramy.

– Zakładasz, że czytam po fomoriańsku.

– Zawsze cię doceniałem, Meryl.

Parsknęła, podałem jej numer telefonu.

– Zadzwoń na twoją komórkę, jeśli coś znajdę.

– Zaczekaj, zanim się rozłączysz, chcę cię jeszcze zapytać, dlaczego nie ma w aktach raportu MacDuina w sprawie kradzieży selenitu.

– To akurat proste. Nie było go. Miał podróż służbową.

– Meryl, on był tutaj. Przeszukiwał biblioteki w tym samym tygodniu, w którym nastąpiła kradzież, i jeśli prawidłowo odczytuję te kody, wchodził także do kilku magazynów w piwnicach Gildii, w tym do tego, gdzie przechowywano kamienie.

– Zaczekaj. – Usłyszałem znowu, jak Meryl wali w klawiaturę, potem odsuwa krzesło. Odgłos szurania papierami.

– Nie-e. Miałam rację. Są tu zalecenia przygotowania raportu, kiedy MacDuin powróci. Był wtedy w Niemczech. Przez ponad miesiąc, a kiedy wrócił, zrobił piekło o te kamienie.

Poczułem, jak mój żołądek skuwa lód.

– Meryl, posłuchaj bardzo uważnie. Wydaje mi się, że MacDuin może być zamieszany w zabójstwa. Znalazłem parę powiązań. Myślę, że MacDuin kłamie, że był w Niemczech. Potrzebuję informacji na temat tamtych zaklęć, ale lepiej, żeby nikt nie wiedział, co robisz. Nie zostawiaj żadnych śladów. I cokolwiek będziesz robić, nie mów

MacDuinowi, że odnalazłaś kamienie.

– Znajdę ci to, Grey, dzięki tobie moje życie robi się ciekawsze. – Kiedy się rozłączyła, pole wokół mojej głowy znikło w okamgnieniu.

MacDuin wślizgnął się na moją listę podejrzanych. Był w to ewidentnie zamieszany, bez względu na to, co kombinował. Przekląłem własny idiotyzm. Powinienem był się domyślić już tygodnie temu, że ktoś naruszył system bezpieczeństwa mojego mieszkania. Ktoś z biura MacDuina rutynowo doładowywał moje kamienie. Każdy z nich mógł być rejestratorem. Przesył danych wyczułbym natychmiast, byłby w mojej głowie jak głos trąby, ale nie miałem żadnych możliwości, by wykryć rejestrowanie dźwięków. I nie mogłem tak po prostu pozbyć się talizmanów. Potrzebowałem tych, które rzeczywiście zabezpieczały mieszkanie.

W ciągu paru minut wrzuciłem do plecaka trochę ubrań, dysk z danymi Gildii i ładowarkę do telefonu. Stojąc na środku salonu, usiłowałem wymyślić, co jeszcze powinienem zabrać. Paplałem głośno do Stinkworta o ukradzionych plikach. Skopiowałem większość akt sprawy oraz pliki MacDuina na dyskietkę i skasowałem je z twardego dysku. Wiedziałem, że nadal tkwią w pamięci jak duchy w maszynie, ale nie miałem czasu na gruntowniejsze czyszczenie. Przynajmniej utrudniłem komuś pracę. A jako ostatnią rzecz zabrałem jeszcze moją skórzaną kurtkę. Nigdy nie

podróżuję bez mojej skórzanej kurtki. Chwyciłem ją i wyszedłem na ulicę.

Kiedy wychodziłem z budynku, znalazłem jeszcze czek z Gildii z moją rentą inwalidzką. Nie wiedziałem, czy mam uznać to za przejaw ironii, czy farsy, ale tak czy inaczej potrzebowałem pieniędzy. Zatrzymałem się w „Bez Nazwy”, żeby spieniężyć przekaz. W Weird nie było banków ani bankomatów, ale „Bez Nazwy” realizowały nawet moje osobiste czeki i nie mieli problemów z uznaniem tych z Gildii. Chwyciłem jeszcze kanapkę i wyszedłem na Congress.

Zamierzałem zaszyć się w jakiejś kafejce i zastanowić nad dalszym działaniem, ale Weird powoli ogarniał chaos zbyt duży, żebym potrafił się tu skoncentrować. Ludzie już zaczęli zapychać boczne uliczki w sobótkowym podnieceniu. Poza tym, gdyby ktokolwiek mnie szukał, to właśnie tu spodziewałby się mnie znaleźć.

Spotkanie z Corcanem Sidhe na własną rękę wydawało się równie dobrym pomysłem jak każdy inny. Instytut Dziecięcy w Southie znajdował się w odległości w sam raz na spacer. Odbyłem z grubsza tę samą przechadzkę co z domu Murdocka, tylko w przeciwnym kierunku. Kiedy mijałem elegantszą dzielnicę, jedynymi oznakami zbliżającego się Przesilenia były niewielkie, gustowne wieńce na drzwiach. Ostrokrzew i dąb, symbole Leśnego Króla, zdobiły zarówno wejścia do domów fata,

jak i ludzi. Każdy lubi radosne święta.

Instytut Dziecięcy zaczynał swój żywot gdzieś w zeszłym wieku jako coś, co nazywano „przytułkiem dla idiotów”. Zależnie od poziomu wrażliwości można było pomyśleć, że to albo staroświeckie, albo barbarzyńskie. Po jakimś czasie dom opustoszał i został ponownie otwarty w zupełnie innym celu. Część budynków zburzono i kompleks, który zajmował kwartał pomiędzy ulicami M i N a Ósmą i Dziewiątą, został zredukowany do małego, brzydkiego zgrupowania domów z piaskowca przylegających do Dziewiątej. Kilkadziesiąt lat później zakład został Instytutem Dziecięcym i znowu osobnicy, których Dealle nazwała we współczesnym żargonie „osobami z wyzwaniem intelektualnym”, mogli przychodzić tu na leczenie. Dzieciaki z sąsiedztwa po staremu nazywały to „przytułkiem dla idiotów”.

Przeszedłem pomiędzy dwoma koszarowymi budynkami na pozostałość starego podwórka przed biurem administracji. Dzieci bawiły się na żalonym skrawku trawnika składającym się raczej z perzu niż murawy. Rosnące to tu, to tam drzewa i krzaki były zmierzwiłe i smutne, jakby ktoś po nich skakał, a one usiłowały rozpaczliwie znów się wyprostować. Kilkoro dzieci siedziało w kółku, trzymając się za ręce w jakiejś ruchowej zabawie, której nie rozpoznawałem. Wyglądały przykro, wszystkie traciły równowagę i poruszały się jak w zwolnionym tempie. Dopiero po dłuższym czasie

zauważyłem, że są pomiędzy nimi opiekunowie, tylko że nosili zwykłe ubrania zamiast tradycyjnej bieli. Już niemal wchodziłem na stopnie głównego budynku, gdy usłyszałem głęboki, zdecydowanie dorosły głos śmiejącego się mężczyzny.

Po lewej stało naprzeciw siebie dwoje ludzi. Kobieta, najwyraźniej ktoś z personelu, rzucała tam i z powrotem piłkę wielkiemu niezgrabnemu mężczyźnie. Stała do mnie plecami, jej ciemne włosy spadały luźno na zwykłą białą koszulkę opiętą na drobnym ciele. Nieszczęsny mężczyzna podobny do elfa, który bawił się piłką, miał luźną szarą bluzę i znoszone bawełniane spodnie robocze. Jego czaszka była gładka jak jajko i wyglądał tak samo, jak na fotografii stojącej w pokoju jego matki. Corcan Sidhe galopował po trawniku, sadząc niezgrabnymi susami za piłką. Szeroki uśmiech wykwitł na jego twarzy, kiedy złapał ją i odrzucił z powrotem.

Kobieta zaśmiała się, chwytając piłkę, i odwróciła na tyle, żebym zdołał zobaczyć rysy jej twarzy. Przeżyłem jeden z tych dziwnych momentów, kiedy jesteście zaskoczeni, a równocześnie wcale nie zaskoczeni. Odwróciłem się.

– Cześć, Shay.

Shay spojrzał na mnie i uśmiech na jego twarzy zgasł. Rzucił piłkę wysoko nad głowę Corcana i wielki mężczyzna poczłapał za nią. Shay założył ręce na piersi.

– Czy to nie może poczekać, aż wrócę do domu?

– Nie wiedziałem, że tu pracujesz.

– Nie pracuję. Jestem wolontariuszem. Mogłeś zapytać tego tajniaka, który łązi za mną od tygodnia.

Machnął w stronę ulicy widocznej w przerwie między dwoma budynkami. Ziemista honda Bara Murdocka usadowiła się przy słupkach po drugiej stronie.

Rzuciłem okiem na Corcana. Przedzierał się z chrzęstem przez krzaki, jak tajemnicza bestia z dżungli w filmie przygodowym. Widziałem piłkę po drugiej stronie, ale on wciąż jej nie zauważył.

– Pogadajmy.

Usiedliśmy na najbliższej ławce. W samym środku swoich poszukiwań Corcan rozproszył się na widok motyla i pognął za nim.

– Co ty tu robisz, Shay?

– Jak mówiłem, jestem wolontariuszem. – Sądząc po grymasie gniewu, który prześlizgnął się po jego twarzy, nie umiałem ukryć sceptycyzmu. – Co? Sądysz, że jeśli mężczyźni płacą mi za to, żebym zdjął ubranie, to nie mogę dbać o takie rzeczy jak to?

– Sam musisz przyznać, Shay. Kurwa o złotym sercu to tandetny banal.

Spojrzał na mnie twardo.

– Pozwól, że coś ci powiem, Connor. Gdybyś najpierw spotkał mnie tutaj, a dopiero następnego

dnia dowiedział się, co jeszcze robię, to pomyślałbyś, że jestem wolontariuszem charytatywnym, który dorabia sobie, spełniając czyjeś potrzeby seksualne, czy po prostu jako prostytutce?

Wzruszyłem ramionami.

– Super. Więc jesteś czymś więcej niż prostytutką. Łapię, w czym rzecz.

– Wcale nie. Jeśli polityk zostanie zdemaskowany jako klient dziwki, to myślisz o nim potem jako o zwykłym kliencie dziwki, czy pozostaje politykiem?

Westchnąłem i spojrzałem za Corcanem. Znalazł już swoją piłkę i właśnie do nas zmierzał.

– Politykiem.

– Więc wsadź sobie swoje zdumienie i swoje banały.

Miał rację. Ludzie, którzy żyją na marginesie, nie boją się przynajmniej przyznać, co robią. Po prostu łatwiej jest zapomnieć, że handlarz narkotyków też ma rodzinę, a prostytutka życie osobiste. Nie znaczy, że są przez to lepszymi ludźmi, ale przypomina, że jednak to też ludzie.

– Naprawdę ci współczuję śmierci Robina.

I tak było. Nie spotkałem go w sprzyjających okolicznościach, ale był tylko dzieciakiem.

Gniew Shaya nieco opadł.

– Dzięki. Nie miał wielu przyjaciół. Zostanie skremowany w sobotę.

– Shay, muszę cię o coś zapytać. Tego dnia,

gdy przyszedłem z Murdockiem, by prosić Robina o pomoc, kłóciliście się. Dlaczego?

Shay zeszywniał nieco.

– Nasz związek był skomplikowany. Robin myślał, że chcę go zostawić.

– A chciałeś?

– Nie! – odpowiedział z naciskiem. – Robin tak uważał, bo... bo coś było ze mną nie tak.

Miałem zaniki pamięci. Robin myśli... myślał, że kłamię, żeby ukryć romans.

– Byłeś z tym u lekarza?

Spojrzał na mnie ze znużeniem.

– Nie mam ubezpieczenia, Connor. Te ataki zaczęły się pod koniec zeszłego roku, a ostatnio się nasiliły. Czekałem, aż mi przejdzie. Zresztą co miałem zrobić?

Mogłem sobie tylko wyobrazić, co czuł. Ja nadal figurowałem na liście ubezpieczonych przez Gildię. Inaczej też nie byłoby mnie stać na opiekę zdrowotną.

– Przepraszam. Masz sporo na głowie.

Wzruszył ramionami.

– Tak. W życiu tak bywa.

Corcan podbiegł w naszą stronę.

– Shay-shay! – zawołał z daleka. A potem popatrzył na mnie ze zdziwieniem. – To nowy przyjaciel?

Shay zawahał się przez dłuższą chwilę, zanim mu odpowiedział.

– Corky, powiedz: „Cześć, Connor”.

Wielki mężczyzna podszedł i wyciągnął mięsistą dłoń. Zwalczyłem odruch, by się cofnąć, nie chciałem go dotykać. Uścisnąłem mu jednak mocno rękę, wciągając powietrze przez zatkane nozdrza. Nadal ni cholery niczego nie czułem.

– Cześć, Connor. Zabierzesz nas do zamku? – Mówił tak, jakby język nie mieścił mu się w ustach.

– Nie, Corky – odparł Shay. – Mówiłem ci, że to dopiero następny dzień po jutrze. Jeszcze dwa dni. Kochanie, idź po piłkę. – Tamten odbiegł jak wielki, łysy retriever.

– Chcemy obejrzeć sobótkowe sztuczne ognie z Wyspy Zamkowej – powiedział Shay.

– Od kiedy go znasz?

– Od zeszłego lata. Na ogół boi się ludzi, ale mnie lubi. To dzięki temu, że jestem mężczyzną, ale wyglądam jak kobieta, tak przynajmniej uważa personel. Na pewnym poziomie Corky tworzy na mnie projekcję swojego stanu.

– Przypomina portret pamięciowy, który pomogłeś stworzyć na policji.

Podbródek Shaya cofnął się w odruchu zaskoczenia. Patrzył przez chwilę na biegnącego Corky'ego, zanim odpowiedział.

– Nie. Wcale nie. Connor, popatrz na tamte dzieci. – Pokazał nad moim ramieniem na małą grupkę tańczących i trzymających się za ręce. Wszystkie miały trochę podobne rysy, naznaczone śladami zespołu Downa.

Spojrzałem znów na Shaya.

– O co ci chodzi?

– Teraz nie odwracaj się i powiedz mi, w jakim były wieku i czym się od siebie różniły.

Nie odpowiedziałem. Chęć, by spojrzeć ponownie, była przemożna.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział Shay. – Na pierwszy rzut oka tylko trzy z nich mają Downa, chociaż założę się, iż sądziłeś, że wszystkie. Dwoje z nich ma inne zaburzenie genetyczne. Ich wiek waha się w okolicach piętnastu lat. To jedno z lekkimi śladami oparzenia na boku to dziewczynka. A teraz, zanim rozwalę ci łeb, może mi powiesz, co właściwie sugerujesz na temat Corkyego?

Musiałem przyznać, że zrobił na mnie wrażenie. Byłem od niego o pół metra wyższy i ważyłem dobre dwadzieścia pięć kilo więcej, a on mimo to miał dość jaj, żeby mi grozić. Jednak nie znaczy to, że mnie zawstydził.

– Słuchaj no, Shay. Poza kratkami trzyma cię w tej chwili tylko to, że jeszcze nie zadzwoniłem do Murdocka, więc spuść z tonu. A teraz powiedz mi o pentagramach.

Znowu splótł ramiona i siadł ponownie na ławce.

Przygryzł wargi i spuścił oczy.

– Pentagramy Corkyego? O nic mi z nimi nie chodziło.

– To ty je tam umieściłeś?

Skinał głową.

– Pomyślałem, że mogą pomóc. I, zdaje się, pomagają.

– Kiedy je namalowałeś?

Zastanowił się przez moment i pokiwał głową.

– Dodawałem je po jednym naraz. Pierwszy jakiś miesiąc temu.

Jego twarz zbladła jak kreda.

– O Boże, Connor, to nie jest tak, jak myślisz!

– A co myślę?

– Corky nikogo by nie skrzywdził. Po prostu pokazałem mu, jak się uspokajać, kiedy jest rozgoryczony. To tylko medytacja. Przecież nie mam żadnych zdolności fata, nie umiałem nawet przeprowadzić aromaterapii na Robinie. A Corky w ogóle nie wychodzi w nocy! Boi się ciemności!

– Mogłeś coś uaktywnić, Shay.

Międzygatunkowe dzieci mają wszelkie możliwe mutacje. Być może wcale go nie uspokoiłeś.

Dłoń Shaya podfrunęła do ust, oczy napełniły się łzami.

– Nie. To niemożliwe. Powiedz, że Robin nie umarł przeze mnie.

Nic nie mogłem na to poradzić. Położyłem mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Nie będę cię okłamywał, Shay. Po prostu nie wiem.

– Co się stało, Shay-shay? – zapytał Corky, pojawiając się przed nami. Wyglądał na wstrząśniętego.

Shay ocierał łzy.

– To nic, Corky. Coś mi wpadło do oka.

Wielki mężczyzna wziął go za rękę.

– Chodźmy na zamek. Zrobi ci się lepiej z okiem.

Shay zmusił się do uśmiechu.

– Czwartek. Wtedy pójdziemy. Dobrze, Cork?

Corky nadał się.

– Dobra.

Prowadzony przez Corkyego Shay odwrócił się i gdy spojrzał na mnie przez ramię, zobaczyłem w jego oczach ból i zakłopotanie.

Z powrotem na Dziewiątej złapałem taksówkę i kazałem się wieźć do Avalon Memoriał. Świeża gotówka w kieszeni sprawiła, że zrobiłem się leniwy. Chciałem zobaczyć się z Gillenem Yorem. Jeśli ktoś wiedział, jaki efekt wywiera na zaklęcia zmieszana esencja, to właśnie on.

Gapiałem się przez okno niewidzącym wzrokiem. Brat zapewne powiadomi Murdocka, że odwiedziłem instytut, o ile już tego nie zrobił. A Murdock będzie chciał wiedzieć dlaczego. Jeśli zwęszy kolejny wątek prowadzący do Shaya, zamknie go w sekundę. Miał ku temu wszelkie powody. Ja na jego miejscu tak bym właśnie zrobił.

Ciągłe związki Shaya z tą sprawą nie mogły być zwykłym przypadkiem. Zastanawiałem się, czy wywołał ten bałagan zupełnie niechcący, nawet nie mając pojęcia, że to zrobił. Biorąc pod uwagę jego

ataki, było to możliwe. Brakowało mi jednak na to dowodów. Smutny pokoik, który dzielił z Robinem, nie nosił najmniejszych śladów użycia mocy. A Shay przyznał, że nie wychodziły mu nawet żałosne sztuczki z talizmanami.

Poczułem nagle lekkie muśnięcie na czole, jakby zimny koniuszek palca spoczął tuż nad grzbietem mojego nosa. Nawet gdyby ktoś na mnie patrzył, nie zauważyłby żadnej reakcji, tak subtelne to było wrażenie. Nadchodziło przywołanie. Prawdziwe przywołanie, którego nie jest w stanie naśladować żaden przekaz od świetlika. Wiedziałem z doświadczenia, że tylko jedna osoba jest w stanie przywołać mnie tak subtelnie. Kiedy taksówka przemierzała most Broadway, w mojej głowie rozbrzmiał głos Briallen.

– Muszę się z tobą zobaczyć. Natychmiast.

Czekałem, czy będzie coś więcej, ale chłodny dotyk zniknął bez śladu. Przywołania były cudownie dokładne i precyzyjne, ale działały najlepiej, jeśli przekaz był jak najprostszy. Zastukałem w podrapaną przegrodę z pleksi oddzielającą mnie od kierowcy i poprosiłem o zmianę kursu. Kiedy dotarliśmy do placu Loisburg, zostawiłem kierowcy suty napiwek, żeby wynagrodzić mu stratę zyskowniejszej trasy do Avalon Memoriał.

Nie pukałem. Dom wydawał się pusty. Przez chwilę wahałem się przy słupku balustrady, czując gęsią skórkę z napięcia. Gdy postawiłem nogę na

pierwszym stopniu, usłyszałem głos Briallen z tyłu domu.

Odetchnąłem z ulgą, odprężyłem się i przeszedłem przez kuchnię do tylnych drzwi. Briallen siedziała na ocembrowaniu fontanny, ubrana w jakiś kłęb czarnego materiału, zbyt bezkształtny, żeby nazwać go sukienką. Fontanna nie działała, nadając ogródkowi niezwykle spokojny. Briallen uniosła głowę i uśmiechnęła się na mój widok, kiwając zapraszająco dłonią.

– To było naprawdę szybkie – pochwaliła.

– Byłem w pobliżu.

Podałem jej dłoń i usiadłem obok. Wyglądała dużo lepiej niż ostatnim razem. Położyła mi dłoń na głowie i spojrzała prosto w twarz. Poczułem ten sam ucisk co zwykle. Kiedy mnie puściła, na chwilę zmarszczyła brwi i dotknęła mnie jeszcze raz, bardziej delikatnie.

– Co jest?

Potrząsnęła głową.

– Chyba coś poczułam, ale już znikło.

Ciemność wydawała się, nie wiem... jakby gładsza?

– Wczoraj odprawiłem powitanie słońca wspólnie z Joem. Wtedy przeszedł mi nawet na jakiś czas ból głowy.

– Wiem, mówił mi.

Uniosłem brwi.

– I co jeszcze ci mówił?

– Że badasz rytuały krwi i nie chcesz słuchać

dobrych rad.

Nabrałem powietrza i wypuściłem je bardzo powoli.

– Nie przyszedłem tu słuchać wykładu.

– I nie otrzymasz go.

– Świetnie. To może mi pomożesz? Co wiesz o „Brazowej Księdze Cenchosa”?

Zmarszczyła nos.

– Och nie, tylko nie ta starość.

– Dlaczego MacDuin miałby się tym interesować?

– Och, nie wiem. A dlaczego niektórzy kolekcjonują figurki clownów?

– Briallen, pytam serio.

Wzruszyła ramionami.

– Connor, to apokryf. Nie ma sensu. Pełno tam zaklęć mających robić rzeczy, których na pewno nie są w stanie zrobić.

– Jak na przykład coś, co wygląda jak ćwiczenia medytacyjne, a może zesłać na kogoś morderczą furie?

– No... nie. Nic tak jednoznacznego. Raczej jak wyjaśnianie grawitacji przez zaprzeczenie jej działaniu.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Nie rozumiem.

Skinęła głową.

– No właśnie.

– Dobra, spróbujmy z innej strony. Jak prosty rytuał medytacyjny może wywołać odwrotny do

zamierzonego efekt?

– Nie wiem. Może powinieneś coś zobaczyć. – Przechyliła się lekko na cembrowinie fontanny i delikatnie przesunęła dłonią nad powierzchnią wody, jakby chciała ją pogłaskać.

– Briallen, wieszczka rozerwie mi głowę na strzępy.

– Tak, tak. Wiem. Zajmę się tym.

Uniosła drugą dłoń w moim kierunku i zaczęła śpiewać. Moja osobista tarcza aktywowała się, ale nie jako instynktowna reakcja na zagrożenie, a na rozkaz Briallen. Przeszły mnie ciarki. Jeszcze nigdy nikt nie zrobił ze mną nic podobnego. Wrażenie towarzyszące temu, jak moja potrzaskana tarcza znowu pulsuje życiem, wywołało bolesne wspomnienia. Rozerwane fragmenty ochronnej powłoki zetknęły się tak samo jak kiedyś i niespodziewanie okryły mi ciało. Niewidzialny pancerz, gotów odeprzeć każdą niechcianą intruzję. Nie powodowało to ataku bólu, bo nie ja przywołałem ochronę. Wyjawszy niewielki dodatek mojej własnej esencji, tarczę w całości podtrzymywała moc Briallen.

Briallen odczekała chwilę i powróciła do inkantacji wieszczby. Nawet dla fata mogącego robić rzeczy, o których ludziom się nie śniło, obserwowanie Briallen przy pracy budziło zarazem pełen podziwu strach, jak i pokorę. Nie potrzebowała żadnych przyrządów, wystarczyła jej surowa moc i znajomość inkantacji. Nawet gdy

stawiała moją tarczę, jej druga dłoń uspokoiła tafłę wody do nienaturalnej gładkości. Kiedy byłem już w pełni chroniony, intonacja śpiewu zmieniła się w starogaelicki, którego chropawe dźwięki dziwnie brzmiały w ustach druidki.

Rozłożyła dłonie nad powierzchnią wody. Na razie tafla odbijała zamglony przestwór nieba. Nagle obraz pokrył się drażniącymi, drobnymi zmarszczkami, jakby ktoś pukał od spodu w fontannę. Wirujące pasmo szarego dymu z postrzępionymi brzegami połknęło odbicie nieba i po chwili tuż pod powierzchnią pulsowała zamglona płaszczyzna. Briallen nie poruszyła się, jej napięta sylwetka pochyliła się tylko do przodu. Kiedy pieśń zabrzmiała mocniej, w jej oczach rozjarzył się biały blask.

Coś wydawało się więc nerwowo pod powierzchnią, mieniać się jaskrawą zielenią, potem srebrem i bielą.

Przeniosłem spojrzenie na Briallen, jej twarz pokrywały krople potu. Inkantacja brzmiała coraz bardziej rozkazująco, ale po dwudziestu minutach intensywnej inwokacji nadal nic się nie zdarzyło. Nawet ktoś o podstawowych umiejętnościach zdołałby już rozpedzić obłok dymu i uchwycić przebłysk przyszłości. Prawdziwe umiejętności polegały na uchwyceniu klarownej wizji. Niektórzy mogli wyłapać tylko niejasne przesłanki i symbole, podczas gdy ktoś taki jak Briallen był w stanie oglądać przyszłość jak film. Coś było

naprawdę źle.

Pośrodku fontanny uformował się skłębiony kleks czerni, który pulsował, zapadając się w głąb i wypływając na powierzchnię, kurcząc się i rozszerzając jak gigantyczna źrenica. W atramentowej czerni jednak nie pojawiała się nic. Ciemność powlokła całą powierzchnię fontanny, ciemność tak głęboka i całkowita, że pochłonięła nawet nasze odbicia.

Briallen jęknęła z frustracją, wyprostowała się i cofnęła. Stała z pochyloną głową, jedną dłoń trzymając przy twarzy, a drugą machając w moją stronę, jakby chciała mnie pobłogosławić.

– Briallen...

Uniosła głowę.

– Idź do środka. Muszę to zamknąć.

Powiedziała to tonem niedopuszczającym żadnych dyskusji. Odszedłem w pośpiechu, czując niepokój pełzający przez wnętrzości. Kiedy znalazłem się w kuchni, Briallen zdjęła ze mnie ochronę i aż zatoczyłem się od nagłego dźgnięcia bólu w czaszce. Czym prędzej zamknąłem drzwi. Wieszczenie znosiłem dużo gorzej niż cokolwiek innego. Szedłem dalej w głąb domu, aż dotarłem na korytarz. Wciąż czułem ostre dźgnięcia, jak rozpaloną szpilką, ale nie chciałem wychodzić na ulicę. Siedziałem tylko u podnóża schodów i trzymając się za głowę, usiłowałem poskromić ból. Upłynęła wieczność i ból osłabł, a ja uniosłem wzrok. Briallen stała nade mną. Miała dziwny,

poważny i rozjuszony zarazem wyraz twarzy. Jej krótkie włosy zwisały w mokrych strąkach, skóra pobladła i zwilgotniała.

– Jesteś wykończona.

– To było niezbędne. Chodźmy na górę.

Ruszyła po schodach przodem, aż do saloniku na drugim piętrze. Tam przystanęła wyprostowana przed małymi, błękitnymi płomykami na palenisku, z rękoma opuszczonymi z boków.

– Tak jest od wielu dni – powiedziała, nie odwracając się.

– Co to jest?

– Pytanie za milion dolarów. Królowa prosiła, żebym na nie odpowiedziała.

– Maeve? – nie mogłem stłumić zdumienia w głosie.

– Oczywiście, że Maeve. Dzwoniła dziś rano.

– Dzwoniła? Telefonem?

Briallen zmarszczyła brwi.

– Jasne, że telefonem, Connor, co jest z tobą nie tak?

Zaśmiałem się.

– Po prostu nie mieści mi się w głowie, że telefonuje do ciebie Najwyższa Królowa Tary.

– A co byś chciał, żeby robiła? Wysyłała sygnały dymne? Znamy się od lat. Zresztą obdzwoniła kogo tylko mogła.

Usiadłem na fotelu naprzeciw niej.

– O co tu chodzi?

Wygładziła fałdy sukni, poprawiając ją na

kolanach.

– Przyszłość jest zamknięta. Nikt nie potrafi zerwać zasłony. Punkt zwrotny czasów. To, czego nie wiemy, czego nie widzimy, czego nie będziemy w stanie zmienić. Musi potoczyć się tak, jak chce.

Nigdy nie słyszałem, żeby przyszłość się „zamknęła”.

– To coś złego?

Briallen spojrzała na płomienie.

– Nie o to chodzi, czy to coś złego, ale o zrozumienie. Musimy przygotować się na to, co nastąpi, o ile tylko zdołamy. Kiedy ostatnim razem zdarzyło się coś takiego, doszło do Konwergencji.

Wcisnąłem grzbiet w oparcie, zbyt wstrząśnięty, żeby cokolwiek wykrztusić.

– Żartujesz? Jak długo to trwa?

– Słyszałam pogłoski, że dzieje się coś dziwnego od paru tygodni. To dlatego nie na wiele ci się przydałam. Chciałam pomóc, ale byłam zajęta.

– No coś ty, Briallen. Nie jestem aż takim egocentrykiem. Owszem, narzekałem, że Gildia nie interesuje się tymi morderstwami wrózek, ale sądzę, że ty lepiej od niej wiesz, co jest najważniejsze. Czego ode mnie potrzebujesz?

Wsunęła dłoń za poję swoją szaty i wyjęła sztylet w starej skórzanej pochwie, owiniętej skórzanymi paskami.

– Tylko żebyś został przy życiu.

Ująłem sztylet z respektem. Przepięknie kute

srebro oplatało głowicę, okładziny chwytu wyłożono płytkami złota, całość była nabijana rubinami i kryształami, aż po ogromny szmaragd w podstawie rękojeści. Ostrożnie wysunąłem ostrze z pochwy. Obosieczne i zdobione drobnymi runami zalśniło blaskiem nowego, polerowanego srebra. Na pochwie wytłoczono kolejne runy i symbole, była też poplamiona, ewidentnie krwią. Broń ważyła więcej, niż mógłbym się spodziewać, ale doskonale leżała w ręku. Do tego maleństwo aż wibrowało mocą.

– Nie mogę go przyjąć, Briallen.

– Musisz. Nadciąga kataklizm, Connor. Nie pozwolę, żebyś był bezbronny.

– Ale ten sztylet musi być wart majątek.

Wzruszyła ramionami.

– A co znaczy majątek w porównaniu z życiem? Jest stary i daruję ci go. Wielu już posiadało tę broń, ty będziesz kolejny.

– Wezmę, ale pod jednym warunkiem.

Powiedziałem to czysto retorycznie, naprawdę. Ot tak, jako wstęp, ale zobaczyłem, że Briallen siedzi bardzo spokojnie i poważnie, gotowa rozważyć moje warunki.

– Jakim?

– Że przyjmiesz go z powrotem, kiedy nie będę już go potrzebował.

Przez jej twarz przebiegł dziwny wyraz, jakby zaskoczenia i rezygnacji.

– Akceptuję. Załóż go.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem, zdejmując but. Potrafiła czasami być wręcz natrętna, ale nigdy nie opłacało się okazywać jej nieposłuszeństwa. Zapiąłem paski pochwy wokół kostki i założyłem but ponownie. Pokręciłem nogą na próbę i stwierdziłem, że może być. Musiałem jednak wyjąć mój zwykły nóż z wszytej w but pochwy i wsunąć nagie ostrze do lewego buta. Nie było to najbezpieczniejsze rozwiązanie, ale tym mogłem zająć się później.

– Używaj go ostrożnie – powiedziała. – Jest obłożony kilkoma potężnymi zaklęciami, a sama dołożyłam parę moich ulubionych.

– Będę uważał. A co konkretnie Maeve chciała od ciebie?

– Żebym dowiedziała się, czego tylko zdołam. Próby wieszczenia najwyraźniej nie działają, więc zamierzam spróbować imbas forosnai.

Skinąłem głową, niezbyt zdziwiony. Starożytny rytuał profetycznego snu wydawał się jedynym logicznym rozwiązaniem, skoro wieszczby przestały działać. I zaczynałem rozumieć, po co Briallen mnie wezwała. Mogła pozostawać w głębokim transie przez wiele dni, wystawiona na zagrożenie.

– Chcesz, żebym cię strzegł, kiedy będziesz spała.

– I tak, i nie. Nie wiem, co może się wydarzyć, i wątpię, żebyś miał dosyć siły, żeby to powstrzymać. Jest bardzo niewiele ludzi, którzy

mogliby mnie ochronić lepiej niż ja sama, a wszyscy akurat są zajęci tym samym. Chcę natomiast, żebyś mnie obudził.

– Więc jestem bezużyteczny, bo nie mam mocy.

Przewróciła oczami.

– Jesteś użyteczny, bo nikt się nie spodziewa, że wykorzystam akurat ciebie.

Nieprzewidywalność to moc sama w sobie. Nikt nie może o tobie wiedzieć, nie wspomniałam o tym nawet Maeve.

Maeve. Suka z Tary, Lodowa Królowa, Żelazna Władczyni. Tyluż ją kochało, co się jej bało. Zamknięta za zasłoną mgły na wzgórzu Tara w Irlandii. Bez jej przyzwolenia nikt nie mógł się tam nawet zbliżyć. I dzwoniła do moich przyjaciół, kiedy potrzebowała pomocy.

– Jaka ona jest?

Briallen złożyła dłonie przy ustach.

– Silna. I prawdopodobnie najpiękniejsza z królowych, choć jestem pewna, że inni mieliby na ten temat własne zdanie. Ma włosy jak heban i skórę jak alabaster.

Umie być zimna jak kuta stal i nigdy nie opuszcza gardy. Można ją tylko kochać lub nienawidzić, ale fata mieli szczęście, że to ona siedziała na tronie, kiedy wydarzyła się Konwergencja. Ten świat pograżyłby się w chaosie bez jej przywództwa. Może być surowa, ale trzyma to wszystko w kupie.

– Gdyby tylko dbała o fata tak bardzo jak o monarchię – zauważyłem.

Wzruszyła ramionami.

– To kwestia opinii. Gdyby tylko zdołała uspokoić sytuację w Niemczech i zakończyć impas na teutońskim Dworze Seelie, cały ten świat stałby się lepszy. Ludzie mogą się bać broni nuklearnej, ale ja bardziej się boję wybuchu totalnej wojny fata. Wystarczy powiedzieć, że Maeve ma sporo na głowie.

Briallen, tak jak miała w zwyczaju, wstała nagle i wyszła z pokoju. Podążyłem za nią na trzecie piętro, gdzie znajdowały się pokoje gościnne, i stwierdziłem z osłupieniem, że kobieta prowadzi mnie na czwarte. Wiedziałem, że tam sypiała, ale nigdy tam nie byłem. Kiedy jako dzieciak przychodziłem do tego domu po naukę, lubiłem się wymykać ukradkiem i myszkować, korzystając, że była zajęta rozmową z kimś innym. Schody powyżej trzeciego piętra blokowało zaklęcie i nie byłem w stanie przejść. Oczywiście próbowałem, ale nie potrafiłem pokonać czaru, a teraz wchodziłem tu jakby nigdy nic. Na czwartym piętrze znajdowało się czworo zamkniętych drzwi, jednak ku mojemu osłupieniu Briallen weszła na piąte piętro i zaczęła na mnie na podeście.

Na ostatniej kondygnacji znajdowało się dwoje drewnianych drzwi, naprzeciw siebie, oboje zamkniętych. Niespodziewanie jednak pośrodku pojawiły się kamienne wrota, wpasowane w

kamienny łuk. Briallen położyła na nich dłoń.

– Zobaczysz coś, co widziało niewielu.

Pchnęła i wrota otworzyły się bezgłośnie. Z wewnątrz zalśniło mdłe, białe światło. Znajdował się tam owalny pokój o ścianach wyłożonych płytkami z łupka, ułożonymi spiralą aż do środka sufitu. W szczelinach pomiędzy płytami migotały klejnoty wszelkich rodzajów. Kawałki onyksu zmieszane z różowymi, żółtymi i zielonymi kryształami. Linie przy podłodze wyłożono hematytem, zmieszanym z opalami i chalcedonem. Nawet na podłodze znajdowała się fortuna w szlachetnych kamieniach, wśród których lśniły także autentyczne rubiny, szmaragdy i diamenty. Nawet nie potrafiłbym wszystkich nazwać. Przeważał jednak selenit, kolejne kamienie księżycowe i szafiry, odpowiednie jedynie dla druidki, córki księżyca. Pośrodku komnaty stał jedyny mebel – stół wykonany z płyty granitu. Miał akurat taką długość, by Briallen mogła się na nim wyciągnąć, gdyby miała ochotę. Nienaturalne światło sączyło się z różnych stron, mieniając się wszelkimi kolorami.

Druidzi mają hopla na punkcie swoich prywatnych sanktuariów. To, które sam miałem, zanim straciłem zdolności, było bez porównania skromniejsze, ale i tak mało kto je widział.

– Jestem zaszczycony – powiedziałem.

– Już oznaczyłam drzwi twoją esencją. Kiedy je zamknę, tylko ty będziesz mógł je otworzyć.

Jeśli nie wyjdę za trzy dni, przyjdź po mnie.

Objęła mnie. Przytuliła się mocno na długą chwilę, po czym mnie puściła. I zrozumiałem nagle powagę sytuacji. Briallen zawsze była bezpośrednia i fizycznie, i emocjonalnie, ale ten jeden mocny uścisk uświadomił mi, że była przerażona. Weszła do pokoju z gorzkim uśmiechem. Drzwi zamknęły się za nią, uderzając w ościeżnicę ze stłumionym, głuchym odgłosem zamykanej krypty.

Rozdział 15

Następnego ranka usiłowałem dodzwonić się do Gillena Yora, ale cały czas trafiałem na automatyczną sekretarkę. W końcu wczesnym popołudniem telefon odebrał ktoś żywy, kto poinformował mnie, że Gillen jest niedostępny do odwołania. Odłożyłem słuchawkę i zagapiłem się w sufit, jakbym mógł go przejrzeć na wskroś i zobaczyć pogrążoną w głębokim transie Briallen. Wiedziałem, że pomogłaby Królowej we wszystkim, czego ta by sobie zażyczyła. Jednak jeśli Maeve skłoniła też Gillena do udziału w badaniach, sytuacja była naprawdę poważna.

Przebudzenie w pokoju gościnnym u Briallen było jak powrót do domu. Moje zdolności objawiły się, gdy miałem jakieś dwanaście lat – właściwie to wybuchły. Wiele weekendów spędziłem wtedy przy placu Loisburg, z dala od rodziny. Z początku uczenie się rzeczy, o których większość dzieciaków mogła tylko pomarzyć, było ekscytującym przeżyciem. Jednak kiedy zrozumiałem, jakie to trudne, zaczęło mnie to frustrować. Ostatecznie gniewna samotność czasu dorastania zderzyła się ze stygmatem prawdziwego odmieńca.

Najbardziej cieszyło mnie, że potrafię sprawić, by Briallen się uśmiechnęła. Zazwyczaj dokonywałem tego, po prostu żartując, ale coraz

częściej uśmiechała się, bo udało mi się zrobić coś dobrze. Zacząłem do tego dążyć.

Błądziłem palcami po grzbietach książek w pracowni Briallen, szukając czegoś, czegokolwiek, co pozwoliłoby mi wyjść ze ślepego zaułka. Powinienem kazać Shayowi usunąć pentagramy czy nie? Działały jako część nauki medytacji czy nie działały? Próbowałem wyciągać książki z półek na chybił trafił w nadziei, że odpowiedź dosłownie wpadnie mi w ręce, ale los nie podejmował gry. Zacząłem poważnie rozważać rzucanie monetami.

Zadzwoiła moja komórka. Nacisnąłem przycisk i zostałem zalany hałasem ulicy.

– Jestem w budce telefonicznej naprzeciw Gildii. Nie chcę korzystać z żadnych linii wewnętrznych, chesz ją zakłębiami – oznajmiła Meryl bez powitania. – Chyba znalazłam coś odrobinę dziwaczego. To zakłębienie zrzucające okowy tego, co zostało spętane. Jeśli dobrze to odczytuję, chodzi o stare moce. Naprawdę stare. Jedne z tych Zamknij-Je-Na-Dobre-i-Wyrzuć-Klucz.

Podziękowałem po cichu komukolwiek, kto mógłby mnie wysłuchać.

– Możesz spotkać się ze mną przy estradzie na błoniach za pięć minut?

– W porzo. – Rozłączyła się.

Wróciłem do pokoju gościnnego założyć buty. Zacząłem przywykać do sztyletu Briallen na kostce, ale nie czułem się dobrze bez mojego

zwykłego noża. Dopóki nie kupię butów z pochwą także przy lewej cholewce albo sam jej nie sporządzę, musiałem go jednak zostawić, bo miałbym niewielki pożytek z dziabnięcia się w stopę w najmniej odpowiednim momencie. Zostawiłem również kurtkę. Było piekielnie gorąco, a przynajmniej w domu Briallen nie musiałem obawiać się kradzieży.

Zawahałem się w korytarzu. Briallen leżała w transie, usiłując znaleźć przyczynę zaciemnienia przyszłości, takiego samego jak to, które towarzyszyło Konwergencji. Meryl znalazła fomoriańskie zaklęcie, które uwalniało stare potęgi za pomocą krwi i pentagramów. Kiedy spętano stare moce, pozostały za barierą wymiarów, tą samą, która pękła podczas Konwergencji.

Chłód przemaszerował mi po kręgosłupie, gdy jeszcze raz wbiegłem po schodach. Miałem zaklęcie, które mogło wywołać kataklizm, wzięte z książki, którą czytał MacDuin. Miałem serię rytualnych mordów pasujących do tego zaklęcia, które MacDuin usiłował wyciszyć. Gdyby zaklęcie odniosło skutek, mogło wywołać świat taki jak stare Faerie, gdzie ludzie byli tylko nielicznymi niedobitkami. Taki, jakiego powstania pragnęły niemieckie elfy i ich stronnicy podczas ii wojny światowej. Taki, jakiego pragnął MacDuin. Wszystko łączyło się w jedną całość. MacDuin zamierzał wykorzystać Corcana Sidhe do zerwania więzów trzymających rasę Fomorian i uwolnić

najpotężniejszych wrogów celtyckich fata. Na ziemi znów rozpętałoby się piekło. Tylko tym razem wróg byłby tak potężny, jakiego nie widziano od tysiący lat. Ludzie mieliby znikome szanse na przetrwanie. Tylko fata mogłoby się udać i po wszystkim zdominowałoby świat. MacDuin zaczął to wprowadzać w czyn.

Już położyłem dłoń na drzwiach sanktuarium Briallen, by wejść tam i ją obudzić, ale się zawahałem. Drwiła z moich sugestii, że wykorzystano fomoriańskie zaklęcie. Jeżeli się myliłem, obudzenie Briallen mogło wywołać kataklizm, który usiłowała powstrzymać. Jeśli miałem rację – nie budząc jej, skazywałem się na pewną zgubę.

Pospieszyłem w dół po schodach. Potrzebowałem zaklęcia. Jeśli było tym, czym Meryl podejrzewała, że jest, Briallen powinna je zobaczyć. Miałbym dowód niezbędny, by uzasadnić, dlaczego przerywam wykonanie żądania Maeve. Wychodząc, zamknąłem jeszcze drzwi. Dom Briallen był doskonale zabezpieczony, ale dzięki temu poczułem się lepiej.

Mój telefon znowu zadzwonił.

– Tak. Wiem. Już idę – powiedziałem, pewien, że to Meryl.

W moim uchu rozległ się szum i elektrostatyczne trzaski. Przez moment pomyślałem, że Meryl zakłada swoje wygłuszające zaklęcie.

– Mówi Gerda Alfheim – zabrzmiał kobiecy głos. Nawet przez zakłócenia słychać było ten gładki, kontynentalny akcent z nordycką nutą, który można spotkać w starych filmach. Upłynęło tyle czasu, że machnąłem już ręką na Niemców.

– Przepraszam, mamy kiepskie połączenie. Proszę się nie rozłączać. – Doszedłem do końca Walnut Street, tam gdzie kończyła się ślepo przy latarni. Wokół huczał ruch uliczny. Kiedy wypatrzyłem przerwę, przeciąłem ulicę i wszedłem na stosunkowo spokojne Bostońskie Błonia.

– Dowiadywał się pan o mojego syna Gethina. Czy z nim wszystko w porządku?

– Jest tutaj? To znaczy w Stanach?

– No... jest. Jest w Bostonie. Myślałam, że to dlatego pan dzwonił.

Przeskoczyłem krótkie schodki prowadzące na błonia. Osłaniałem aparat dłonią. Większość ludzi usiłujących rozmawiać w hałasie zasłania wolne ucho, nie zdając sobie sprawy, że dźwięki docierające do ich mikrofonu jeszcze pogarszają przekaz. Rozejrzałem się po błoniach, szukając spokojniejszego miejsca. Nie znalazłem, więc ruszyłem na przełaj przez trawnik.

– Od jak dawna tu jest?

– Tym razem przyjechał na kilka miesięcy. Martwiłam się, bo nie mogę się do niego dodzwonić. O co chodzi?

– Prowadzę pewne badania i wypląnęło pani nazwisko. Naprawdę nie wiem nic o pani synu,

poza tym, że pochodzi z międzygatunkowego związku.

Tym razem zamilkła na dłużej.

– Prowadzi pan badania w dosyć osobistych kwestiach.

Jej głos zaczął brzmieć lodowato.

Zrozumiałem, że muszę być bardzo ostrożny, inaczej ją stracę.

– Mamy tu pewną sytuację i sądziłem, że może nam pani pomóc. Czy syn kiedykolwiek zachowywał się agresywnie?

Znowu zapadła cisza. Moment wahania.

– Nie powiem więcej ani jednego słowa, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

– Jestem konsultantem przy śledztwie kryminalnym, nad którym pracuje bostońska Gildia. – To ani nie była prawda, ani nie całkiem kłamstwo, ale tego nie musiała wiedzieć.

– Gildia? – jej głos zabrzmiał podejrzliwie.

– Sprawa jest w ich gestii. Mieliśmy tu kilka zabójstw fata.

Znów nastąpiła cisza. Przez kilka chwil w ogóle się nie odzywała.

– Halo?

– Niech pan trzyma Lorcana MacDuina z dala od mojego syna, panie Grey.

Zamarłem w osłupieniu. Stałem na szczycie wzgórza, z którego oglądałem pogrzeb Tansy. Estrada znajdowała się w niecce kilkaset metrów dalej, ale Meryl jeszcze nie było.

– Skąd pani zna Lorcana MacDuina?

– Pracuje w waszej Gildii, prawda? Ma nienaturalny pociąg do Gethina. W zeszłym roku nawet przyjechał specjalnie do Niemiec, żeby się z nim skontaktować. Pan pytał, czy mój syn był kiedykolwiek gwałtowny. Jedyne raz, kiedy widziałam go wzburzonego, zdarzył się z powodu Lorcana MacDuina. Proszę, niech pan trzyma Gethina z daleka od niego.

– Nie rozumiem. Dlaczego pozwoliła mu pani przyjechać do Bostonu, skoro obawia się pani MacDuina?

– Co?

– Pytałem, dlaczego Gethin przyjechał do Bostonu?

– Nie słyszę pana, panie Grey – odpowiedziała. Trzeszcząca fala zakłóceń zalała mój telefon. Zacząłem chodzić nerwowo w kółko, mając nadzieję, że problemy z zasięgiem są po mojej stronie. Szum narastał. Rozmowa została przerwana.

– Szlag – warknąłem. Dźgnąłem palcem przycisk i zakończyłem rozmowę. Na wyświetlaczu nie było numeru rozmówcy, więc nie mogłem oddzwonić. Ruszyłem z powrotem na szczyt wzgórza w nadziei, że Gerda Alfheim zadzwoni ponownie. Zerkałem na estradę, ale Meryl nie pojawiała się. Linia drzew zasłaniała widok od strony, z której mogła nadejść.

Aktywowała się moja osobista tarcza i

równocześnie poczułem na skórze ciarki wywołane rzuconym właśnie zaklęciem. Zdażyłem obrócić głowę o kilka centymetrów i zamarłem w tej pozycji. Zaklęcie rozlało się po moim ciele chłodną, naelektryzowaną falą, która w innych okolicznościach mogłaby w tym upale być całkiem orzeźwiająca. Ktoś śmiał się za moimi plecami. Usłyszałem zbliżające się kroki, które ucichły, kiedy intruz stanął tuż za moim polem widzenia. Pojawiła się ręka, która wyłuskała telefon z mojej dłoni.

Elf z krzywym uśmiechem wybrał numer na moim telefonie. Wprawdzie kiedy zostałem pobity, było ciemno, ale i tak rozpoznałem jednego z dwóch napastników. To był ten, którego ugryzłem. Nie inkantował, więc zrozumiałem, że jego rzucający zaklęcia koleś stoi za mną.

– Mamy go – powiedział elf do telefonu. Słuchał przez chwilę, przytaknął i rozłączył się, po czym schował antenę i wsunął aparat do kieszeni. Zachichotał, stanął za mną i uderzeniem wyprostował moją rękę wciąż zgiętą w łokciu, gdy trzymałem telefon. Poczuję, że unoszę się o kilka centymetrów. Elf pchnął mnie, maszerując z nonszalancją, jakbyśmy wyszli na niedzielną przechadzkę.

Chciałem otworzyć usta i wrzeszczeć, ale zaklęcie trzymało zbyt mocno. Posuwaliśmy się w dół wzgórza, w kierunku budki informacji miejskiej i coraz dalej od estrady. Walcząc z

oporem mojego ciała, zdołałem przekreślić głowę w prawo, ale niedostatecznie daleko, by sprawdzić, czy Meryl nadciąga z odsieczą. Z wysiłku pot wystąpił mi na czoło. Zatrzymaliśmy się u stóp wzgórza, gdzie biegła główna ścieżka przecinająca błonia. Napastnicy odczekali, aż minie nas para młodych ludzi, najwyraźniej nieświadomych widoku wysokiego mężczyzny skamieniałego w jednej pozycji, trzymanego za ramię przez elfa. Czułem się idiotycznie.

Elf pchnął mnie w plecy i minęliśmy budkę informacyjną. Wokół nas kłębili się ludzie, ale absolutnie nikt nie spojrzał w naszą stronę po raz drugi. Kiedy wyszliśmy z błoni na Tremont, elf objął mnie przyjacielskim gestem. Czarny lincoln town car z przyciemnionymi szybami parkował w niedozwolonym miejscu, za tylną szybą znajdowała się dyskretnie położona tabliczka z zezwoleniem Gildii. Ktoś za moimi plecami mamrotał monotonie. Drugi elf, mag, zaznaczał swoją obecność. Otworzył tylne drzwiczki i zanim zdążyłem zorientować się, co się dzieje, wepchnął mnie do wozu. Drzwi uderzyły mnie w podeszwy, głowa spotkała się z następnymi.

Miałem nos wciśnięty w skórzaną tapicerkę. Kiedy nikt mnie nie trzymał, byłem w stanie przemieścić ciężar ciała i przewrócić się na bok. W efekcie częściowo wylądowałem na podłodze, ale przynajmniej miałem twarz w górze. Usłyszałem jedno trzaśnięcie za drugim, kiedy porywacze

sadowili się z przodu. Mogłem dostrzec wreszcie maga. Znowu nosił okulary, ale czułem jego wzrok, kiedy mamrotał po niemiecku. Limuzyna ruszyła z warkotem silnika.

Widziałem drzewa przesuwane się nad dachem. Stanęliśmy na światłach. Kiedy samochód znowu ruszył, nagły wstrząs zakołysał pojazdem. Mag odwrócił się zaskoczony, jednak by zaklęcie osłabło, trzeba było całej wlokącej się w nieskończoność sekundy. Zacząłem siadać, ale kolejne uderzenie szarpnęło samochodem i upadłem na siedzenie. Elfy wrzeszczały na siebie, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa. Kiedy sięgałem do klamki, mag odwrócił się do mnie i krzyknął. Kula białego światła wystrzelona z jego dłoni trafiła mnie w pierś. Zwinąłem się, rozpaczliwie łapiąc powietrze, i poczułem, jak zaklęcie oplata mnie na nowo. Samochód przyspieszył, przewracając mnie na oparcie siedzenia. Na pojazd spadł trzeci cios, ale w porównaniu z poprzednimi, odczuliśmy go już tylko jak silny podmuch wiatru kołyszący wozem.

Przynajmniej widziałem, dokąd jedziemy. Przecieliśmy skosem ulicę Tremont, nie przejmując się światłami przy Boylston. Dom Gildii wznosił się po prawej w następnym kwartale i zajechaliśmy od frontu. Wydawało mi się, że smok nad głównym wejściem śmieje się ze mnie – zamrożonego i sztywnego na tylnym siedzeniu. Przez następne światła przejechaliśmy przepisowo.

Z zaułka kierowca skręcił ostro na tyły Domu Gildii, a potem jeszcze raz w drogę dojazdową na Boylston. Kiedy pojawiliśmy się, natychmiast otwarto drzwi garażu i samochód wślizgnął się do środka, niemal ocierając o framugę. Stara krasnoludzka kobieta siedząca w budce strażniczej pozdrowiła nas machnięciem dłoni.

Miałem wrażenie, że garaż ciągnie się bez końca. Zjeżdżaliśmy po okręgu, coraz głębiej w piwnice pod budynkiem, i jak to zwykle w Gildii, trudno było powiedzieć, czy otacza nas ciąg iluzji, czy też pomieszczenia naprawdę tak wyglądają. Zjechaliśmy rampą, która kończyła się parkingiem na trzy samochody.

Usłyszałem szcęknięcie, po czym kierowca wysiadł, a ja jęknąłem odruchowo. Mało jest rzeczy, których nienawidzę bardziej niż wożenia w bagażniku samochodu. To bardzo niewygodne. Kierowca zniknął mi na chwilę z oczu. Słyszałem jakieś odgłosy. Tylne drzwi otworzyły się i zobaczyłem, jak facet wsuwa się do środka, opierając na kolanach. Kilkoma szybkimi ruchami owinął mnie zbrojoną taśmą klejącą, unieruchamiając ramiona, a potem łokcie. Mag przestał inkantować. Kierowca wycofał się z samochodu.

Mag zakaszlał kilka razy.

– Potrzebuję wody.

Siedziałem spokojnie, a zaklęcie ze mnie opadało. Kierowca stanął kilka metrów od

samochodu. Patrzyłem na maga, kiedy wysiadał. To na niego musiałem uważać. Nawet jeśli jego umiejętności nie były specjalnie silne, na mnie wystarczyły. Gdybym mógł go jakoś obezwładnić, z kierowcą miałbym szansę. Nie miałem jednak złudzeń, że to była bardzo mała szansa.

– Wyjdź powoli z samochodu – rozkazał kierowca. Wysunąłem nogi i wstałem. To nie była ta strona wozu, po której chciałem się znaleźć. Mag obszedł samochód, zatrzasnął bagażnik. Zatem nie wybierałem się na przejażdżkę.

– Możemy to zrobić na dwa sposoby: lekki i ciężki – oznajmił mag. – Albo pójdziesz spokojnie i bez problemów, albo spuścimy ci łomot i zaniesiemy.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Co jest? Zabrakło wam pary?

Kierowca zdzielił mnie w brzuch. Nie byłem na to przygotowany i zwałem się na ziemię niczym zażenowany wór ziemniaków. To by było na tyle w kwestii załatwienia ich obydwu.

– Dobra, dobra. Nie będę się szarpał.

Teraz kierowca zaczął inkantować. Poczułem, że moja masa znika i zaczynam niemal odrywać się od podłogi. Elfy stanęły z boków i chwyciły mnie za ramiona. Uniosłem się bez trudu, a oni powiedli mnie w stronę drewnianych drzwi.

– Stanowicie świetny zespół, chłopaki. Ale chyba musicie, zważywszy, że żaden z was nie jest w stanie nic zrobić sam.

– Jeśli wolisz, możemy cię wlec – zauważył kierowca. Wolną ręką otworzył drzwi. Poczułem lekkie łaskotanie mocy talizmanów i weszliśmy w długi korytarz. Wyglądał tak samo jak korytarze w piwnicach, tylko że od dawna go nie używano. W kątach poniewierały się jakieś śmieci i kurz, jedynym światłem była staromodna pochodnia migocząca pomarańczowo na ścianie. Tuż za pochodnią zatrzymaliśmy się przed żelaznymi drzwiami. Kierowca otworzył zasuwę małego judasza i przez chwilę patrzył w ciemność. Nie okazał w żaden sposób, co spodziewał się tam zobaczyć. Zamknął klapkę i pchnął drzwi.

Jak było do przewidzenia, rzucili mnie na podłogę. Kierowca oklepał mnie całego, ale dłoń jakby celowo pomijała okolice mojego prawego buta. Przez chwilę narodziła się we mnie myśl, że to jednak sojusznik, lecz bardziej prawdopodobne, że po prostu działało zaklęcie Briallen nałożone na sztylet. Elf wyciągnął własny nóż i nadciął krępujące mnie warstwy taśmy. Z kompanem wepchnęli mnie następnie do małego pomieszczenia i zamknęli drzwi.

Mała, kwadratowa klapka została otwarta ponownie.

– Daj znać, kiedy zdejmiesz taśmy – powiedział kierowca.

Pociągnąłem nosem. W celi wisiał ciężki odór zgnilizny i uryny. Musiał być naprawdę okropny, skoro poczułem go pomimo upośledzonego węchu.

Napiąłem ramiona i zostałem nagrodzony trzaskiem rozdzierającej się taśmy. Po kilku kolejnych próbach udało mi się uwolnić prawe ramię, a potem zedrzeć resztę, jak mi się zdawało, razem z większością włosów na rękach. Taśma na nogach ustąpiła znacznie łatwiej.

– Zrobione – zameldowałem.

– Wyciągnij rękę – oznajmił kierowca.

Wysunąłem rękę przez wizjer, spodziewając się uderzenia, a potem chichotów. Zamiast tego elf włożył mi w dłoń zapałkę. Snop światła z latarki oślepił mnie i cofnąłem się od judasza.

– Dostajesz jedną zapałkę. Nie proś o następną.

Światło latarki padło na małą pochodnię kilka metrów dalej. Obmacałem ścianę, żeby upewnić się, że jest sucha, następnie potarłem główką o kamień. Zapałka zapłonęła i zanim zdążyła zgasnąć, przytknąłem ją do pochodni. Słaby, żółty płomyk zamigotał w celi. Odwróciłem się do drzwi i usłyszałem łoskot zamykanego judasza.

Słyszałem stłumione odgłosy napastników, kiedy sadowili się na warcie.

Rozejrzałem się po otoczeniu. To był jakiś stary, zapomniany magazyn w podziemiach budynku. Niewielka przestrzeń przy drzwiach została oczyszczona, ale resztę zastawiały sterty pudeł, skrzynek i połamane stare meble. Cuchnęło przeraźliwie. Miałem nadzieję, że nic i nikt tu nie umarł. To nie byłaby najlepsza wróżba. Powietrze

przenikał chłód i płomień pochodni nie był w stanie go ogrzać. Wiedziałem, że trzeba było zabrać kurtkę. Coś zachręściło miękko w stercie śmieci. Szczury. Na domiar złego przyjdzie mi borykać się ze szczurami. Przynajmniej miały rozumiały motywy.

Siedziałem w głębokiej ciszy, zastanawiając się, jakim cudem w środku letniego dnia wylądowałem w ciemnym lochu. Najwyraźniej uciekłem zbyt późno i ukryłem się w zbyt oczywistym miejscu. Byłem ciekaw, czy Keeva wiedziała o rejestrującym amulecie w moim mieszkaniu, czy nieświadomie podładowywała go dla MacDuina od czasu do czasu. Nie mogłem nawet uwierzyć, że upadła tak nisko. Nie rozumiałem tego. Jeśli grała przeciw mnie, to dlaczego kłopotowała się, by ratować moją dupę, kiedy te dwa elfie cioły przyplątały się po raz pierwszy?

Oparłem się pokusie, żeby sprawdzić, czy moi porywacze nie zapomnieli zamknąć drzwi. Wątpliwe, by nawet te elfy były tak durne. Musiałem czekać, aż się okaże, co MacDuin dla mnie przygotował. Miałem tylko nadzieję, że to nie potrwa długo. W składzie nie było właściwie zimno, ale oślizgłe, wilgotne powietrze wydawało się coraz bardziej uciążliwe. Nie bardzo podobał mi się pomysł grzebania w stertach śmieci w poszukiwaniu czegoś cuchnącego i ciepłego, czym mógłbym się określić.

Zdumiewało mnie też, że Gethin, syn Gerdy Alfheim, był w Bostonie. Jakie było prawdopodobieństwo czegoś takiego? Wystarczająco małe, żeby wykluczyć przypadek. Pomyślałem o Corcanie Sidhe, pół elfie, pół wróżce, dokładnie jak dzieciak Gerdy. Wszystkie dzieci z międzygatunkowych związków poza tymi dwoma umarły. Do tego MacDuin interesował się obydwoma. Gerda Alfheim sądziła, że jej syn jest bezpieczny. Co to miało niby znaczyć, skoro posłała go tam, gdzie MacDuin sobie życzył? Dealle Sidhe miała stare związki z Niemcami, to było całkiem jasne. Adopcja była u fata dosyć powszechna. A kto lepiej zaopiekuje się upośledzonym umysłowo dzieckiem niż ten, kto już jedno takie wychowuje?

Na korytarzu rozbrzmiały kroki i moi strażnicy przestali rozmawiać. Kroki były długie i zdecydowane. Nie musiałem się specjalnie wysilać, żeby je rozpoznać. Odsunięto zasuwę, otwarto drzwi. Ukazał się MacDuin ze swoimi irytująco uśmiechniętymi przydupasami.

Patrzyliśmy na siebie w ciszy. MacDuin miał na sobie swój zwykły czarny garnitur, ale tutaj, w bezpiecznych murach Gildii, albo po prostu, by zrobić na mnie wrażenie, nie ukrywał swoich skrzydeł za pomocą uroków. Rozkładały się za nim, ich opalizująca powierzchnia migotała złotymi i srebrnymi refleksami w świetle pochodni.

Starłem się nie okazywać, że jestem pod

wrażeniem, ale nie było to trudne. Widywałem te skrzydła już przedtem.

– Zadasz sobie trud wyjaśnienia, dlaczego mnie porwałś, Lorcan?

Skrzywił się w lekkim uśmiešku.

– Przyszedłem sprawdzić, czy jesteś bezpieczny. Jesteś fata. I zawsze mogę powiedzieć, że aresztowałem cię za utrudnianie śledztwa.

– Nawet komisarz w to nie uwierzy.

Jego uśmiech się poszerzył.

– Nie spodziewam się, że uwierzy.

Zrobiło mi się zimno.

– Co to ma znaczyć?

Leniwie uniósł brwi.

– Powiedzmy, że komisarz i ja mamy pewne porozumienia i ty nie jesteś w nich stawką.

To zdecydowanie nie brzmiało dobrze.

Postanowiłem blefować.

– Będą mnie szukać, a to jest miejsce, od którego zaczną. Rozmawiałem przez telefon, kiedy twoje matołki mnie zwinęły.

– Kłamie. Nie miał czasu nic powiedzieć – wtrącił elf, który prowadził samochód.

Wyszczrzył się i pochylił do mnie. – Nawet nie wiedział, co go trafiło.

Zwróciłem na niego oczy.

– Nie zmuszaj mnie, żebym znowu cię ugryzł.

W uśmiechu Lorcana pojawił się cień szczerzego zakłopotania.

– Powinieneś był trzymać się od tego z daleka,

Connor. – Odwrócił się do maga. – Na razie trzymajcie go tutaj. Za dzień czy dwa okaże się, czy jest użyteczny.

Ruszył do wyjścia.

– Wiem o Niemczech.

Lorcan przytrzymał drzwi i zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

– Co takiego wiesz o Niemczech?

– Byłeś tam zeszłej jesieni.

– Bez znaczenia. Wielu ludzi wie, że tam byłem jesienią. – Odwrócił się i gestem kazał kierowcy zamknąć drzwi.

– Wiem o Gerdzie Alfheim.

To go trafiło. Zamarł na dłuższą chwilę, zanim znowu się do mnie odwrócił. Popatrzył spokojnie, jakby przetrawiał to, co powiedziałem.

– To trochę komplikuje sytuację. Nie przypuszczałem, że dotrzesz tak blisko. Miałem nadzieję, że kiedy będzie po wszystkim, twoje spiskowe teorie zostaną uznane za desperackie próby znalezienia alibi. A teraz możesz sprowokować niepotrzebne pytania.

– Chcesz mnie tym przygwoździć? Myślisz, że Gerda Alfheim będzie milczeć, kiedy ja wyląduję w więzieniu?

Wzruszył ramionami.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na Gerde, Connor. Ktoś się nią zajmie we właściwym czasie.

Zrobiłem krok naprzód. MacDuin uniósł tylko brwi.

– Lorcan, nie wierzysz chyba, że to, co chcesz zrobić, może w czymś pomóc. Nie będziesz w stanie tego kontrolować. Nikt nie będzie.

– Nie jesteś pierwszym, który mnie lekceważy, Connor. Nie po to pracowałem nad przekonaniem Maeve o mojej szczerości, żeby twoje żalosne wścibstwo wszystko mi zepsuło.

Znowu się odwrócił.

– Jak tyś to zrobił, Lorcan? Dealle Sidhe wie, co chcesz zrobić, czy jest tak samo zaślepiona swoimi ambicjami politycznymi jak ty?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, a potem w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. Zachichotał.

– Jak zwykle. Zdaje ci się, że znasz wszystkie odpowiedzi, a tymczasem jesteś tym samym aroganckim głupcem co zawsze. Będziesz gnił w tej celi, nie mając najmniejszego pojęcia, co się tu dzieje. I bardzo mi się to podoba. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz. Jeden z pacanów zatrzasnął celę. Przyznałem obu punkty za dramatyzm. Kopnąłem jeszcze w drzwi, by też zasłużyć na punkty za teatralność.

Co przegapiłem? Meryl mówiła, że zaklęcie, które znalazła, pozwoli uwolnić stare moce. Skoro pochodziło z „Brazowej Księgi Cenchosa”, musiało chodzić o moce Fomorian. Jedyne powód, dla którego MacDuin chciałby uwolnić coś takiego, to wywołanie chaosu. Tak samo jak w czasie wojny. Wątpiłem, by ktokolwiek z żyjących

miął pojęcie, jak przeciwstawić się zdolnościom Fomorian. Do diabła, swego czasu nawet zdołali podbić Tuatha de Danann. Byli tak starą i zapomnianą rasą, że nawet Briallen uważała, że ich zaklęcia to stek nonsensów. MacDuin musiał zwariować, jeśli sądził, że zdoła wykorzystać to, co zostanie uwolnione jego zaklęciem. Potrząsnąłem głową. Nie żyło już sześćcioro ludzi, szkoda czasu na rozważania o poczytalności MacDuina.

Moją uwagę przykuł szelest i zaraz zobaczyłem to, co go powodowało. Wielki brązowy szczur myszkował pod ścianą i marszczył nos, węsząc w wilgotnym powietrzu. Na głowie miał sterczącą uroczo kępkę futra, która przypominała koronę. Uniósł się na tylnych łapkach i zaczął węszyć w moim kierunku. Rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym w niego rzucić. Znalazłem złamaną nogę od krzesła. Szczur zdążył już zawrócić, ale i tak rzuciłem. Chybiłem, za to przeraziłem go śmiertelnie. Rzucił się w stertę śmieci, usłyszałem tylko, jak grzebie rozpaczliwie, przedzierając się na tyły celi.

Głosy po drugiej stronie drzwi zaczęły przycichać. Nasłuchiwałem w ciszy, starając się nie koncentrować na tym, jak bardzo byłem wściekły. Złość tłumi myślenie. W życiu zdążyłem już niejedną raz wylądować w zamkniętych pomieszczeniach, dlatego wiedziałem, że jedyny sposób wyjścia można znaleźć w głowie.

Oczywiście, gdyby to jednak zawiodło,
zawsze miałem jeszcze sztylet w bucie.

Rozdział 16

Przeraźliwy wrzask rozdarł powietrze, punktowany kolorowymi rozbłyskami. Rozpłaszczyłem się na ziemi, moje serce waliło, ale nie z podniecenia, jak chciałbym wierzyć, tylko z ordynarnego strachu. Coś zbliżało się do mnie, coś wielkiego i mrocznego. Sięgnąłem po sztylet w butcie, a kiedy wysunąłem ostrze z pochwy, rozbłysło białym światłem. Wrzask ponownie wypełnił otoczenie.

Obudziłem się w ciemnościach. Zimne powietrze napierało na moją skórę, a kamienna podłoga była bezlitośnie twarda. Pochodnia się wypaliła. Mój oddech wydawał się jeszcze głośniejszy, niż był naprawdę, gwałtowny i urywany z powodu koszmaru. Zaczerpnąłem powietrza kilka razy głęboko i powoli, usiłując uspokoić serce i otrząsnąć się z resztek snu.

Kiedy wstałem, zatrzeszczały mi kolana. Roztarłem ramiona, chcąc się rozgrzać. Ilekroć zapadłem w drzemkę, budziłem się bardziej zmarznięty, niż kiedy zasypiałem. Nie było aż tak zimno, żebym miał od tego umrzeć, ale cholernie nieprzyjemnie. Zrobiłem rękoma wiatrak, chcąc pobudzić krążenie. Pomogło tylko na chwilę.

Jeszcze kiedy miałem światło, obszedłem pomieszczenie. Znalazłem wprawdzie olbrzymią kolekcję starych mebli biurowych, ale żadnych

ukrytych wyjść. Jedynymi drogami prowadzącymi na zewnątrz były dwie małe rury drenażowe przy tylnej ścianie, prawdopodobnie bardzo cenione przez szczury.

Kiedy zapadła ciemność, pojawiła się nuda, a potem senność. Świecąca blado tarcza mojego zegarka wskazywała upływ czasu z dręczącą precyzją. Za każdym razem, gdy budziłem się z drzemki, byłem tak samo zdumiony – nieważne, czy minęło pięć minut, czy dwie godziny.

Okolo czwartej rano moją pewnością, że strażnicy nie byliby tak głupi, by nie zamknąć drzwi, zastąpiła obawa, że może jednak byli, a ja okazałem się jeszcze głupszy, bo nawet nie sprawdziłem. Szarpnąłem klamkę, ale nie ustąpiła. Znowu zasnąłem.

Cisza sprawiła, że w moim żołądku narodziło się paskudne, chore uczucie. Nigdy dotąd nie zostałem uwięziony. Wpadałem w rozmaite pułapki w najróżniejszych okolicznościach, ale zawsze w działaniu, w biegu zdarzeń. Wiedziałem, że ktoś po drugiej stronie ulicy, na dachu albo przecznicę dalej w zaparkowanym samochodzie wie, gdzie jestem, i ruszy mi na pomoc. A teraz zdarzenia toczyły się własnym rytmem, ale ja nie brałem w tym udziału. Nie miałem na nic wpływu. Tam na zewnątrz nadchodziło Przesilenie. Zapadnie noc, a wraz z nią nadejdzie nów Letniego Przesilenia. Ktoś zginie, ale tym razem wybuchnie chaos. Znowu się zdrzemnąłem.

Śniadanie dostałem w papierowej torbie wrzuconej przez judasza w błysku światła z korytarza. Gdy znowu zapadły ciemności, obmacałem podłogę i znalazłem prowiant. Smród przypalonego tłuszczu bił z opakowania tak silnie, że poczułem go mimo opuchniętego nosa.

Hamburgery, frytki, butelka wody. Jedzenie było zimne, a woda ciepła. Nie był to mój ulubiony poranny posiłek, ale żołądek buntował się z głodu już gdzieś od północy. Przynajmniej szelest odwijanego z kanapki papieru był jakimś nowym dźwiękiem.

No i nadal miałem sztylet Briallen. Zanim zgasła pochodnia, wyjąłem go i spróbowałem zrobić coś z drzwiami. Drewno było stare, ale to wcale nie znaczy, że spróchniałe. Mogłem próbować wyźłobić dziury wokół zawiasów, ale trochę by to potrwało, a elfy nie dałyby mi dłubać zbyt długo. Skończyłoby się tylko na tym, że straciłbym sztylet. Może gdybym zwabił je do środka, mógłbym załatwić przynajmniej jednego, ale wątpię, by dały się nabrać na ten najstarszy numer na świecie.

Nie marzyłem o zadźganiu któregoś ze strażników. Chyba nie mieli w tym wszystkim żadnego interesu, byli po prostu goryłami MacDuina. Nie o to chodzi, że zacząłem ich z tego powodu lubić, ale wątpię, czy zgodziliby się umrzeć w pracy. Może gdybym poranił któregoś naprawdę paskudnie, mogłoby się udać. Gapilem

się w stronę drzwi z nadzieją, że się otworzą, i w końcu znowu zasnąłem.

Kilka godzin później uniosłem głowę z kolan. Miałem wrażenie, że zbudził mnie jakiś hałas. Na korytarzu słychać było głosy, wzmagaly się i przycichały. Co najmniej dwa. Po chwili zorientowałem się, że jeden należy do kobiety. Usłyszałem trzeci głos, niski i ponaglący. Moi strażnicy mieli towarzystwo. Nie rozumiałem ani słowa, ale odgłos rozmowy narastał.

Kiedy nadeszli, głosy zrobiły się jeszcze donośniejsze.

– Nie obchodzi mnie to. Plany się zmieniły – powiedziała kobieta.

– Powiedział, że jutro – odparł jeden z elfów po niemiecku.

– Nie wyjdę bez niego. Nie mamy czasu.

Otwarto drzwi i oślepiające światło buchnęło mi prosto w twarz. Dodatkowo efekt został wzmocniony widokiem rozwścieczonej wróżki z rozjarzonymi skrzydłami. Uniosłem ramię, żeby osłonić oczy po tylu godzinach spędzonych w ciemności. Powieki mnie piekły, kiedy mrugałem, rozpaczliwie usiłując skupić wzrok.

– Keeva? – spytałem.

– No chodź, Connor. Nie utrudniaj.

– Chcę zadzwonić do MacDuina – powiedział jeden z elfów. Keeva odwróciła się w jego stronę.

– Jest zajęty, ty idioto! Jak ci się zdaje, dlaczego mnie przysłał?

Coś było nie tak. Kiedy patrzyłem na nią, wydawało mi się, że perspektywa się popsuła. Keeva była wystarczająco wysoka, żeby patrzeć mi w oczy, tymczasem teraz mogłem zobaczyć czubek jej głowy.

– Keeva? – spytałem ponownie.

– Ruszaj się, Connor. Nie mam czasu.

Chwyciła mnie za ramię i pchnęła na korytarz.

Spojrzała na elfy. Dopiero teraz widziałem wyraźnie, że byli wkurzeni i zdezorientowani.

Keeva zerknęła w głąb ciemnego składu. Kiedy stałem tak blisko niej, zauważyłem lekkie rozmycie konturu.

– MacDuin mówi, że macie iść do księgarni na placu Kenmore i czekać na nas. Będziemy za pół godziny – powiedziała do elfów.

Mag podszedł krok w jej stronę.

– Nie taki był plan.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Och, przepraszam. Muszę powiedzieć Lorcanowi, żeby na przyszłość się z wami konsultował.

Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Keeva chwyciła mnie znów i powłokła korytarzem. Elfy zostały tam, gdzie były, z wyrazem wściekłości na twarzach. Keeva wyprostowała się i ponownie zmierzyła je spojrzeniem.

– Ruszaj się. Nie będę powtarzać. – powiedziała. – Naprawdę musimy się śpieszyć – mruknęła pod nosem, mijając mnie. Spiesznie

przeszliśmy przez korytarz prowadzący do garażu. Był zamknięty kolejnymi dębowymi drzwiami, ale ich otwarcie nie wymagało żadnej wiedzy tajemnej, wystarczyło pociągnąć za solidne żelazne kółko pośrodku. Nie oparłem się pokusie – posłałem moim byłym porywaczom szeroki uśmiech i pomachałem im ręką. Musiałem przyznać, że mieli stalowe nerwy. Żaden się nie poruszył.

Weszliśmy w następny korytarz. Tu przynajmniej było światło elektryczne, ale lampy rozmieszczono bardzo rzadko. Popatrzyłem na moją wybawicielkę i parsknąłem.

– Eee... Keeva, pojawiają ci się pomarańczowe odrosty.

Spojrzała na mnie spode łba. Przez jedną kłopotliwą chwilę spod twarzy Keevy przeniknęła inna. A potem rysy tej pierwszej rozwiały się, podobnie jak skrzydła.

Meryl wzięła się pod boki i tupnęła.

– Jeśli chcesz idealnego uroku, to chętnie zamknę cię tam z powrotem na następne parę godzin.

Uniosłem ręce w geście poddania.

– Dobra, nie narzekam. To trwało wystarczająco długo.

Zmarszczyła brwi.

– Byłabym dużo wcześniej, gdyby ktoś nie rzucił czymś w Muffinka i przestraszył go na śmierć.

– Ten szczur? To był twój szczur?

Zaplotła ręce na karku.

– Słodki maluch, z kępką futra na głowie, która wygląda jak babeczka? Powiedzmy, że jesteśmy w dobrych stosunkach. Pospiesz się, bo ci dwaj kretyni gotowi jeszcze ruszyć za nami.

Kluczyliśmy przez kręte, zagmatwane korytarze. Z każdym krokiem robiło się jaśniej. Wiedza Meryl na temat podziemi Gildii była albo wynikiem drobiazgowych studiów nad mapami, albo niewiarygodnej intuicji.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Rzuciła mi przez ramię poirytowane spojrzenie.

– A jak ci się zdaje, kto próbował zerwać dach z samochodu? Nie pomyślałam wystarczająco szybko, trzeba było rozsadzić opony. Właśnie tu wracałam, kiedy minęli mnie i wjechali prosto w drogę dojazdową. Byłam zbyt wyczerpana, żeby spróbować jeszcze raz. – Otworzyła drzwi i przytrzymała je dla mnie. – To najdurniejsza para elfów, jakich w życiu widziałam.

Wyszliśmy na korytarz nieopodal jej magazynów, które pokazała mi parę dni temu. Wyciągnęła z kieszeni kartkę i rozłożyła ją.

– To jest zaklęcie, które znalazłam.

Przepisałam je oghamem, skoro nie jesteś specjalnie obeznany w fomoriańskim. Część zapisałam fonetycznie. A ten z gwiazdką wymawia się tak. – Tu wydała odgłos przypominający

płukanie gardła.

– Gdzieś ty, do diabła, nauczyła się fomoriańskiego?

– Powiedzmy, że miałam interesujące dzieciństwo. Potrzebujesz jeszcze jakichś przysług czy masz już wobec mnie dość długów?

– Mogłabyś mi pożyczyć komórkę?

Westchnęła ciężko i wyjęła aparat z kieszeni.

– Masz. Zanim zacznę żałować, że wyciągnęłam cię z tej dziury.

– Dzięki, Meryl, nie zapomnę tego. – Odruchowo pocałowałam ją w czubek głowy i pobiegłam korytarzem do windy.

– I nie będę płacić za twoje roamingi! – wrzasnęła, kiedy drzwi się zamykały. Jej przytyk podsunął mi pewien pomysł. Zadzwoń do Keevy. Odebrała przy drugim dzwonku. Nie wydawała się zaskoczona, że mnie słyszy. Stłumiłem krótkie westchnienie ulgi. Miałem nadzieję, że nie wie o zamknięciu mnie w lochu.

– Keeva, muszę wiedzieć, gdzie jest MacDuin.

– Connor, nie chcę, żebyś mi spieprzył układy z MacDuinem.

– Właśnie mnie porwał i zamknął w magazynie na dwadzieścia cztery godziny. Myślę, że stoi za tymi zabójstwami.

Przez chwilę milczała.

– Zdajesz sobie sprawę, że bredzisz jak paranoik?

– Mogę tego dowieść, Keeva. Ale na razie

musimy go znaleźć i zatrzymać. Nigdy nie zrezygnował z dawnych sympatii politycznych. Chce przywrócić dominację fata nad światem, otworzyć jakieś przejście między wymiarowe i wykonać numer, przy którym Konwergencja będzie wyglądała jak czkawka.

– Dobra, przepraszam, myliłam się. Teraz bredzisz jak paranoik.

Winda się otworzyła. Spojrzałem na zegarek. Prawie siódma wieczorem, słońce wkrótce zajdzie. Główny korytarz na parterze był pusty.

Wigilia Przesilenia to święto Gildii. Nic dziwnego, że strażnik zmierzył mnie zaskoczonym spojrzeniem, kiedy mijałem ladę recepcji. Wszyscy wyszli wcześniej.

– Keeva, zaufaj mi. Mam zaklęcie, którego spróbuje użyć. Jeśli nie chcesz mi pomóc, powiedz tylko, gdzie on jest.

– Masz zaklęcie?

– Tak.

Szedłem chodnikiem pod portalem z głową smoka. Nigdy nie opłacało się naciskać Keevy.

– Jest w domu. Spotkamy się tam.

Wypuściłem powietrze z płuc. Nawet nie zauważyłem, że wstrzymuję oddech.

Wahałem się, czy stać mnie na taksówkę, a potem się roześmiałem. Koniec świata nadchodził, a ja się martwiłem, czy dopnę budżet. Machnąłem na czarno-białą miejską taksówkę. MacDuin mieszkał w Stoczni Marynarki Charlestown i

kierowca ucieszył się, że będzie mógł mnie tam zabrać. Każdy kurs wymagający przejechania przez zatłoczone uliczki śródmieścia oznaczał sowity zarobek.

Zadzwoiłem do Murdocka. W tle słychać było hałas uliczny, jego głos ledwo mogłem odcyfrować.

– Gdzieś ty, do diabła, był? – zapytał.

– Długa historia. Bar ciągle ma oko na Shaya, tak? Jeśli chłopak jest z dużym elfem, który zachowuje się jak dziecko, zwiń obydwu. Tylko ostrożnie, elf jest niebezpieczny.

– Dobra. Dostanę rozwiniętą wersję?

– Widzisz na swoim telefonie numer, z którego dzwonię?

Usłyszałem, jak majstruje przy aparacie.

– Nie – odparł.

Typowe dla Meryl – zastrzegła go. Podałem Murdockowi numer jej telefonu.

– Zadzwoń, jak ich będziesz już miał. Tylko od razu.

– Zrobione. – Rozłączył się. Z Murdockiem jednak rozmawiało się o niebo lepiej niż z Keevą.

Taksówka pełzła dookoła Common, zatrzymując się co chwilę. Kiedy wjechaliśmy na wzgórze Latarni, zawahałem się, czy nie kazać kierowcy zmienić kierunku. Jeśli zechce zjechać z drugiej strony, trafimy na jedną z ulic prowadzących ze śródmieścia do Weird. Spojrzałem znów na zegarek. Parada na Alei

właśnie osiągała kulminację, ulice wokół będą zapchane i nieprzejezdne. Taksjarsz wybawił mnie od irytacji, skręcając w przecznicę. Kiedy zjechaliśmy ze wzgórza, przepchnęliśmy się przez kręte zaułki na most Charlestown.

Już w Charlestown wyjąłem kartkę, którą dostałem od Meryl. Zaklęcie było nieskomplikowane, ale długie. Kiedy je czytałem, w myślach odbijało mi się jakby starożytne brzmienie Celtów, tylko mroczniejsze, z bardziej prymitywnymi zgłoskami. Meryl dołączyła surowe tłumaczenie. Nie miało już rytmu właściwego dla Fomorian, ale wciąż czytało się je jak pean do świata. Wzywało moce głębsze niż indywidualna życiowa siła, która scala rzeczywistość. Wersety przywoływały starożytne żywioły życia, reprezentowane przez pięć punktów kardynalnych pentagramu.

Zacząłem rozumieć, co Meryl miała na myśli, mówiąc o dziwaczności zaklęcia. Wydawało się głęboko nielogiczne – sławiło więzy i zarazem błagało o wolność. Prosiło o wyzwolenie z więzów ciała. Mimo wszystko miało swoją logikę. Coś chciało się wydostać, i to naprawdę bardzo.

Oprócz zaklęcia i jego tłumaczenia Meryl spisała jeszcze dwie inne inkantacje. Były to złożone zgodnie z bardzo starą tradycją Tuatha de Danann potężne czary spętania. Przy każdym Meryl narysowała wielki znak zapytania. Były to zaklęcia dokładnie odwrotne do tego

fomoriańskiego. Laik nazwałby je kontrzaklęciami, ale prawdziwe kontrzaklęcia konstruowano przeciwko bardzo konkretnemu urokowi. Notatki Meryl były przypuszczeniami. Może trafnymi, ale jednak przypuszczeniami. Jedno z zaklęć po raz pierwszy widziałem na oczy, podczas gdy drugie było dosłownym odpisem zaklęcia, które znałem z bardzo starych ksiąg.

Poczułem mdłości. Nikt nie wypowiadał podobnie potężnej inkantacji od ponad tysiąca lat, a może i dłużej.

Nie było powodu. A ja nie miałem zdolności niezbędnych do tego, żeby tchnąć w te słowa moc. Liczyłem, że może Keeva zdoła tchnąć siłę w zaklęcia de Danannów wystarczająco długo, żeby zaczęły działać. Najprościej byłoby powstrzymać MacDuina, zanim zacznie działać.

Taksówka wtoczyła się na parking przed Stoczną Charlestown. Dałem kierowcy tak duży napiwek, że w osłupieniu popatrzył na pieniądze w dłoni.

Stocznia Marynarki od dawna nie pełniła swojej oryginalnej funkcji. Boston już nie budował okrętów. Stare budynki stały puste, aż ktoś wpadł na pomysł, żeby zmienić je w rezydencje. Wszyscy twierdzili, że ludzie, którzy się tu wprowadzają, muszą być niespełna rozumu, jeśli chcą płacić astronomiczne czynsze za mieszkanie na terenie otoczonym przez knajackie dzielnice. Ale to tamci śmiali się ostatni. Wokół powstały kolejne

inwestycje i apartamentowce były teraz warte dziesięć razy więcej.

Nie widziałem Keevy nigdzie w zasięgu wzroku.

W ogóle nikogo tu nie było. Po drugiej stronie drogi tył ko kilka samochodów parkowało przy molo. Za nimi, w porcie, kiwały się dziesiątki łódek najróżniejszych rozmiarów. Ich oklapnięte żagle zwisały w oczekiwaniu na bryzę. Ruszyłem chodnikiem do domu MacDuina. Drzwi stały otworem. Nie potrzebowałem aktywować tarczy. Znajomy dreszcz przebiegł przez moją głowę i klatkę piersiową. Uspokajające, ale bezużyteczne. Byłem zbyt zmęczony i miałem za mało energii, by tarcza mogła działać.

Przekradłem się wzdłuż ściany do wejścia i przechyliłem głowę, bezskutecznie nasłuchując jakichkolwiek odgłosów wewnątrz. Ze swojego miejsca mogłem widzieć fragment korytarza i przekrzywiony dywanik. Nie odwracając wzroku, sięgnąłem w dół i wyjąłem sztylet z buta. Otwarte na oścież drzwi to nigdy nie jest dobry znak.

Kopnąłem je czubkiem buta, aż zaparły się o przeciwległą ścianę. Wyraźny powiew z klimatyzatora owionął mi twarz. Widziałem teraz cały korytarz, stolik na pocztę z bukietem świeżo ciętych kwiatów, mały oryginał olejny na ścianie nad nim i przejście do salonu. Po lewej biegły schody prowadzące na piętro. Nie słyszałem, by ktokolwiek się poruszał.

Wślizgnąłem się do holu. Zauważyłem lśnienie na trzecim stopniu schodów i nie musiałem być hematologiem, żeby rozpoznać krew wróżki. Zerknąłem szybko na schody. Podest na górze był pusty. Ostrożnie, sprawdzając każdy stopień, żeby uniknąć hałasu, wdrapałem się na piętro. Na podłodze i ścianach znalazłem tylko jeszcze więcej krwi. Technicznie rzecz biorąc, właśnie zacierałem ślady na miejscu przestępstwa, więc starałem się niczego nie naruszyć. Sypialnie na piętrze stały puste, a ścieżka krwi prowadziła wyżej.

Wchodząc na ostatnie piętro, mogłem się dokładniej rozejrzeć. Schody prowadziły do pokoju, który zajmował całą kondygnację, od frontu na tyły. Pod sufitem krzyżowały się potężne dźwigary. Kiedy moja głowa znalazła się na poziomie podłogi, zajrzałem pod kanapę, znajdującą się na wprost balustrady. Ktoś leżał na podłodze, widziałem jego bose stopy zwrócone w moją stronę. Nikogo więcej w pokoju nie było. Apartament był pusty, nie licząc mnie i leżącej nieruchomo sylwetki.

Na podeście omal nie wywróciłem się na potrzaskanym amulecie leżącym na podłodze. Podniosłem największy odłamek i stwierdziłem, że to ten sam materiał, co w przypadku poprzednich morderstw. Cokolwiek miał sprawiać, odeszło wraz z roztrzaskaniem kamienia. Obszedłem kanapę i stanąłem osłupiały.

MacDuin leżał na podłodze. Rozebrano go do

naga i przygwożdżono do podłogi jak motyla. Amulety unieruchamiały jego skrzydła tak samo jak u pozostałych ofiar. Jego klatka piersiowa została rozcięta od dołka obojczykowego do brzucha i rozchylona. Zrobiono to z taką siłą, że wywlokło to płuca ofiary na zewnątrz, a serce zostało chyba wyrwane, a nie wycięte.

Obszedłem ostrożnie ciało, żeby się przyjrzeć. Za późno wyczułem delikatne mrowienie na karku. Kiedy zacząłem się odwracać, dostałem się w pole drugiego amuletu i stężałem. Wydałem z siebie wściekły jęk i przekląłem własną głupotę. Tylko dlatego, że nie wyczułem żadnych amuletów, założyłem, że ich tu nie ma.

Nie chodziło o kamienie. Były za małe i znajdowały się za daleko. Te z pozostałych miejsc zbrodni były sprzęgnięte mocą, żeby blokować skrzydła. Nawet biorąc poprawkę na moje ostatnie zdolności do włożenia w pułapki, nie miałem powodu przypuszczać, że te tutaj działają inaczej i będzie ich tyle samo, ale oczywiście się myliłem. Spróbowałem wypatrzeć amulet, który mnie załatwił, obracając na siłę oczami, ale bez efektu, poza tym, że rozboleły mnie gałki oczne.

Patrzyłem na twarz MacDuina. Nie umarł lekko. Pęknięcie skóry na kości policzkowej wyglądało na rezultat uderzenia, które wepchnęło go w to samo pole, które właśnie obezwładniło mnie. Reszta potoczyła się już zgodnie z planem mordercy.

Stałem w martwej ciszy, aż usłyszałem znajomy dźwięk. Za drzwiami balkonowymi na tyłach rozciągał się taras, skąd dobiegło mnie buczenie skrzydeł wróżki. Większość wrózek stara się stłumić ten hałas, chyba że nie dbają, czy ktoś usłyszy, jak nadlatują. Kiedy dostrzegłem Keevę, westchnąłem z ulgą. Wróżka usiadła na tarasie z wprawą znamionującą długą praktykę. Sięgnęła do drzwi i zamarła nagle, widząc mnie w pokoju. Jej wargi zacisnęły się w wąską linię, który to grymas, jak stwierdziłem dawno temu, wyrażał protekcyjną irytację. Otworzyła drzwi.

– Proszę, proszę, proszę. Czy to nie piękny widok? – Podparła się pod boki, czekając, aż odpowiem. – Och, nie możesz mówić?

Zaczęła przechadzać się przy wejściu, przybierając operetkową zamyśloną pozę.

– Pomyślmy, czyżby to był wielki Connor Grey unieruchomiony w pułapce? – Poczęstowała mnie krzywym uśmiechem. Starąłem się wyrazić całą kipiącą we mnie wściekłość za pomocą oczu. W tych okolicznościach niewiele więcej mogłem zrobić.

– Jakież to zaskoczenie, znaleźć mojego drogiego, nieodżałowanego szefa rozplatanego na podłodze, a nad nim sfrustrowanego byłego pracownika z nożem w ręku.

Dlaczego nie zabrałam aparatu? – Zatrzymała się i spojrzała na mnie. – MacDuin naprawdę doceniłby tę chwilę.

Pochyliła się lekko i spojrzała na ciało.

– Chyba nie wygląda na uradowanego.

Szkoda.

Spojrzała znów na mnie i pokręciła głową.

– Muszę ci to przyznać, Connor. Masz niezwykły talent do pojawiania się w odpowiednich miejscach w złym momencie. MacDuin mawiał, że wszystko zawsze spieprzysz. Chciał cię przyskrzynieć za pozostałe zabójstwa, wiesz o tym. I oto proszę, jesteś tu, idealnie, wprost nad kolejnym ciałem. Chyba wykorzystam ten mały aspekt jego planu.

Wyłuskała swój nóż z za pasa i zważyła broń w rękę. W milczeniu zrobiła następny krok. Krople potu pociekły wzdłuż mojego kręgosłupa.

Patrzyłem, jak Keeva kołysze się lekko w tył i przód, unosząc nóż. Wiedziała. Wiedziała o Corcanie. Ale MacDuin nie żył. Corcana musiał kontrolować ktoś inny. Poczulem strach i znowu usiłowałem ze wszystkich sił przełamać zaklęcie.

– Nie – powiedziałem. Mój głos był zduszony, a moc zacisnęła się wokół mnie ponownie.

Keeva uśmiechnęła się szeroko.

– Jestem pod wrażeniem. Chyba już czas wydostać cię z opresji, nie sądzisz?

Rzuciła nożem. Moje serce szarpnęło się w piersi, kiedy zobaczyłem, jak rękojeść wysuwa się z jej dłoni. Nóż szybował ku mnie z senną powolnością, światło błyskało na koziołkującym ostrzu. Powiadają, że zagłada świata waha się na

ostrzu noża. Przez tamtą chwilę wierzyłem w to całkowicie. Nóż świsnął mi koło ucha i uderzył w legar nad moją głową. Usłyszałem głośny łoskot. Nagle byłem wolny i omal zwałem się na MacDuina.

Odwróciłem się dezorientowany. Kolejny strzaskany amulet leżał na podłodze. Spojrzałem na Keeve. Stała spokojnie z założonymi rękami i z uśmiechem błakającym się po wargach.

– To nie było... śmieszne!

Wzruszyła ramionami.

– Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać.

Podniosłem sztylet i wsunąłem go do pochwy przy bucie. Biorąc pod uwagę mój stan, i tak niewiele mogłem jej zrobić.

– Co tu się, do cholery, wydarzyło?

Podeszła do MacDuina i przykucnęła przy ciele.

– Tak wyglądał, kiedy tu weszłam. Serce zniknęło. – Wstała, wycierając dłonie o rajstopy.

– Dlaczego pozwoliłaś mi wejść w pułapkę? Stuknęła mnie palcem w pierś.

– Na nic ci nie pozwalałam. Frontowe drzwi były otwarte i pomyślałam, że zrobisz coś głupiego, na przykład wejdiesz do środka. Załatwiłam ten amulet u szczytu schodów, ale nie miałam stamtąd dobrego kąta, żeby zneutralizować ten drugi, więc obeszałam mieszkanie i dostałam się balkonem. Dziwię się, że go nie wyczułeś.

Postukałem się po nosie.

– Mam mały problem z wyczuciem
czegokolwiek.

Keeva przygryzła dolną wargę i spojrzała w bok.

– Obiecujesz, że pozwolisz mi wyjaśnić?

Zaskoczony, przechyliłem głowę. Keeva wspięła się lekko na palce i oparła mi dłoń na czole. Poczułem wzrost ciśnienia w skroniach, jakbym jechał szybkobieżną windą, i nagle moje zatoki odetkały się całkowicie. Znów mogłem oddychać. Pociągnąłem nosem i natychmiast zakrztusiłem się potężnie. Cuchnęło wypatroszonymi organami MacDuina i esencją mordercy, odór w pokoju był oszałamiający. Chwyliłem Keevę za ramię.

– Coś ty mi, do cholery, zrobiła tamtej nocy?

Bez wysiłku wyszarpnęła ramię i odstała o krok ode mnie.

– Oszczędziłam ci wycieczki do szpitala.

Kiedy MacDuin zorientował się, że znasz esencję Gethina, kazał mi cię zablokować. Odmówiłam, więc posłał swoich mięśniaków. Powinieneś mi dziękować. Załatwiłam ich i MacDuin odzepił się od ciebie.

– Gethin? Wiedział, że Gethin tu jest?

– Oczywiście, że wiedział.

– Myślałem, że szukał Corcana.

– Corcana? Connor, ty to masz pomysły.

Corcan nie popełnił tych morderstw. To Gethin. Umierał z powodu defektów genetycznych.

Myślałam, że rozgryzłeś rytuał? Znalazł zaklęcie, przynajmniej tak mi powiedział MacDuin. Gethin jest bardziej wróżką niż elfem. Dlatego wyrywał serca wróżkom, chciał wzmocnić swoją elfią część esencji i pozbyć się reszty. Na ile wiem, Corcan służył mu za naczynie, to do niego przekazywana była esencja Gethina pochodząca od wróżki.

– To dlaczego MacDuin usiłował zablokować policyjne śledztwo?

Spojrzała na mnie zdumiona. A po chwili skinęła głową.

– Connor, Gethin ma na nazwisko MacLorcan. MacDuin i Alfheim mieli romans w czasie wojny. On jest synem MacDuina.

Ośupiały usiadłem na kanapie. Przypomniałem sobie MacDuina wyśmiewającego się ze mnie w piwnicy Domu Gildii. Zorientował się, że nie wiem. I nie powiedział mi.

I zamierzał mnie przyskrzynić. Spojrzałem na ciało. Bezskutecznie usiłowałem poczuć żal, że zginął.

– Nie mogę w to uwierzyć. Pozwolił ludziom umierać tylko po to, by chronić swojego syna?

– Connor, MacDuin usiłował go powstrzymać. Nie chciał, żeby ktokolwiek się dowiedział. Bał się, że prasa wywęszy prawdę. Morderca to jego dziecko, które miał z radykalną aktywistką. Gdyby odkryto powiązania MacDuina z Gerdą Alfheim, znowu wypłynęłaby jego kolaboracja z czasów wojny. Naprawdę zostawił to za sobą, ale nigdy nie

odzyskał reputacji. Zwłaszcza u Maeve. A nie mógł sobie pozwolić, by ktoś podważył jej intencje, kiedy Zgromadzenie Fata dobiegało końca.

– Pomagałaś mu.

– Więcej, niż pomagałam. Złapałam sukinsyna. Dwa dni temu. MacDuin miał go tu trzymać, aż minie Przesilenie.

Nagle zrozumiałem, dlaczego wyczuwam w domu kolejne talizmany Drzwi na tyłach pokoju wibrowały od mocy blokujących je kamieni.

– To tam go trzymał?

Keeva skinęła głową. Otworzyłem drzwi. Za nimi znajdowała się mała alkowa, w której stało tylko łóżko. Nad nim znajdowało się wyłamane okno. Gethin wydostał się tędy, a potem zastawił na MacDuina pułapkę. Ale nie to przykuło moją uwagę. Na każdej ze ścian wyobrażono pentagram. Piąty znajdował się na suficie, dokładnie pośrodku. Gethin namalował go własną krwią.

Zrozumiałem.

– Musimy natychmiast stąd iść. Wiem, gdzie chce przeprowadzić rytuał. Nie pozwólmy, by zamordował kogoś jeszcze i skończył go.

Keeva machnęła w stronę ciała MacDuina.

– Rytuał jest skończony, Connor. Gethin zabrał serce ojca, przypuszczalnie teraz jest już całkowicie wróżką.

– Myśl, Keeva. Serca zginęły. Tu chodzi o coś więcej niż tylko leczenie. Nie zdziwiły cię

pentagramy?

Podaliśmy jej zaklęcie, które zapisała mi Meryl. W miarę jak wzrokiem przebiegała po kartce, kolory uciekały z jej twarzy. Oddała mi arkusz.

– To nie jest zaklęcie, jakie pokazał mi MacDuin. Jak myślisz, gdzie jest teraz Gethin?

– Na Wyspie Zamkowej. Shay chciał zabrać tam Corcana, żeby popatrzeć na fajerwerki. Gethin się tam z nimi spotka.

Keeva wyszła na balkon, błyski światła przemknęły po jej skrzydłach. W zapadającym zmroku rozjaśniła się cała i uniosła nade mną. Stałem pod nią i pozwoliłem, by chwyciła mnie od tyłu pod ramiona. Poczułem, jak mój żołądek opada, kiedy uniosłem się nad posadzką tarasu. Poleciliśmy ponad budynkiem.

Zachód słońca rozlał się czerwono-pomarańczową zorzą na horyzoncie. Na wschodzie nad portem niebo zaczęło szarzeć. Nie mogąc się doczekać, aż noc całkowicie zapadnie, ludzie zaczęli odpalać tanie fajerwerki, rozświetlając niebo nad Weird i południowym Bostonem. Lecieliśmy prosto w kolorowe rozbłyski.

Ze wschodu nadciągnęły ciemne chmury, migocąc błyskawicami. Podmuch wiatru uderzył w nas, Keeva się zakołysała. W odpowiedzi na mój strach aktywowała mi się tarcza i Keeva omal mnie upuściła. Wpiła boleśnie palce w moje ramiona, podczas gdy usiłowałem uspokoić odruchową ochronę. Lecieliśmy nad wodą, sylwetka

śródmieścia uciekała do tyłu, morze w zatoce lśniło oparem białej piany. Uderzył w nas silniejszy podmuch wiatru i spadliśmy kilkanaście metrów w dół, nim Keeva zdążyła zareagować. Musnęliśmy powierzchnię wody, ryby przysły na wszystkie strony, rozbryzgując nerwowo fontanny wody. Ludzie na łodziach szarpali się z trzepocącym płótnem, usiłując zrzucić żagle.

Keeva zaczęła intonować, chcąc obrócić energię wiatru na swoją korzyść. Jej lot ustabilizował się, kiedy wpadliśmy nad Weird. Old Northern mieniła się kolorami i mrowiła. Ludzie tłoczyli się na ulicy, tańcząc, latając i świętując. Keeva utrzymywała nas nad tłumem, lawirując pomiędzy innymi wrózkami. Dołączyliśmy do małego konwoju lecącego na Wyspę Zamkową, by zobaczyć fajerwerki. Kiedy świętujący wyrwali się ze zgielku Weird, ekscytacja na ich twarzach ustąpiła miejsca niepewności, gdy zobaczyli ciemny wał chmur, toczący się szybko nad zatoką.

Pojawiła się Wyspa Zamkowa i jej brzegi oblepione setkami ludzi. Fort Independence wznosił się przed nami, jego pięć granitowych ostróg trójkątnych baterii górowało trzydzieści metrów nad tłumem. Stanowił największy pieprzony pentagram w mieście. Wewnątrz murów powinniśmy widzieć zielony plac defiladowy, ale unosił się tam tylko mdły opar światła. Esencja, która stamtąd promieniowała, pulsowała złowrogo.

– Nie przelecę przez to! – wrzasnęła Keeva.

Skręciła w prawo i postawiła mnie na parkingu. Tłum kłębił się na ścieżce otaczającej zatokę Pleasure. Keeva i ja zaczęliśmy torować sobie drogę w ciżbie.

Wyjąłem telefon i wywołałem numer Murdocka.

– Gdzie jesteś? – spytałem.

– Przy frontowej bramie Fortu Independence.

– Zamknąłem telefon. Ktoś odpalił petardy, co tłum przyjął z aprobatą. Chwyciłem Keevę za ramię i wskazałem na fort. Murdock przepatrywał nerwowo tłum, chroniąc dłonią kaburę. Keeva pociągnęła mnie prosto do niego.

Detektyw nawet nie mrugnął na mój widok. W takich czasach żyjemy.

– Co się wyprawia? – zapytał.

– Koniec świata. Co się stało z Shayem i Corcanem?

Murdock ruchem głowy wskazał bramę. Miała blisko pięć metrów wysokości, kute zawiasy i niezapięty łańcuch zwisający z żelaznych kółek. Mimo tylu fata kłębiących się wokół, z miejsca, w którym stałem, wyraźnie czułem zakłęcie zamykające rzucone na wrota.

– Weszli do środka, ale drzwi nie chcą się poruszyć.

Odwróciłem się do Keevy.

– To zakłęcie. Nie amulet.

Oparła dłoń na skrzydle bramy, usiłując wyczuć poziom mocy. Cofnęła dłoń, wyładowanie

białego światła strzeliło z jej palców i rozlało się po krawędziach wrót. Pociągnęła kółko i brama się otworzyła. Chyba nie spodziewano się ekipy o tym poziomie zdolności.

Wewnątrz przejście jarzyło się tym samym chorym blaskiem, który widzieliśmy z góry. Czyste zło przenikało powietrze do tego stopnia, że chyba nawet Murdock to wyczuł, sądząc z wyrazu jego twarzy. Wyjął broń, ponaglił nas skinieniem głowy i ruszył pierwszy. Keeva przewróciła oczami i wepchnęła się przed niego.

– Ta spluwa niewiele ci tu pomoże, mięśniaku.

Spod łuku bramy wychodziło się na plac defiladowy.

Na środku stała biała jak kość sylwetka z rozłożonymi skrzydłami wróżki. Ciemne, migdałowe oczy w zniszczonej twarzy jaśniały ekstatycznym blaskiem tryumfu. Shay miał rację. Gethin MacLorcan w niczym nie przypominał Corcana Sidhe. Dostrzegałem tylko powierzchowne podobieństwo.

Shay leżał zwinięty w kłębek tuż przy trawniku. Keeva zignorowała go i weszła na plac. Murdock skradał się za nią z wycelowaną bronią, a ja przyklęknąłem przy leżącym chłopaku. Nie widziałem, czy oddycha. Ciekaw byłem, czy wiedział, jak bardzo się przeliczył. Wyjawszy sztylet, stanąłem za Keevą. Ostrze zrobiło się ciepłe i jakby ożyło w mojej dłoni, wygrawerowane na nim runy zamigotały światłem.

Gethin stał w środku kolejnego pentagramu. Na wierzchołkach stały rytualne naczynia z ziołami, wodą i niemożliwymi do pomylenia z niczym ludzkimi sercami. Rozkrzyżowany Corcan leżał z głową w pobliżu stóp Gethina. Jego ciało było sztywne, patrzył w górę niewidzącym wzrokiem.

– Dosyc tego – powiedziała Keeva. Gethin spojrzał na nią badawczo czarnymi jak węgiel oczami. Jego uszy nie tyle były szpiczaste, co po prostu zniekształcone.

– Dopiero zacząłem – oznajmił. Ten głos. Jednocześnie chrapliwy i wyraźny, trochę jak u kogoś, kto przez całą noc palił i mówił za głośno. Głos, którego nie dało się zapomnieć, podobnie jak esencji. Tamtej nocy Stinkwort i ja byliśmy tak blisko. Mogliśmy ocalić ostatnią ofiarę, a nawet MacDuina, gdybyśmy tylko działali szybciej. Esencja Gethina wciąż emanowała złem, ale zmieniła się, stała się bardziej wrózkowa, choć z jakąś odrażającą nutą.

Kiedy podszedłem bliżej, poczułem, jak jeżą mi się włosy na przedramionach. Zdążył już zamknąć krąg wokół pentagramu i postawić barierę ochronną. Ludzie przy zdrowych zmysłach jednak zwykle robią coś takiego, pozostając na zewnątrz kręgu.

– Nie musisz tego robić. Dostałeś już to, czego chciałeś – powiedziałem.

Spojrzał na mnie.

– To, czego chciałem? Chciałem uzyskać szlachetne dziedzictwo mojej matki, zamiast nosić obrzydliwe skrzydła wróżki, dziedzictwo po moim ojcu-zdrajcy.

Keeva okrążyła pentagram. Trzymała dłoń przy biodrze i obracała nią w nadgarstku, badając siłę bariery. Gdy znalazła się naprzeciw mnie, pokręciła głową. Nie było żadnych słabych punktów.

– Nie uda ci się – stwierdziła Keeva.

Gethin skrzywił się w uśmiechu.

– Myślisz w kategoriach porażki. – Rozłożył szeroko ręce. – Spójrz na moją moc, de Danann. Spójrz na swoją. Marnujesz się. Gdyby więcej takich jak ty przyłączyło się do ludu mojej matki, moglibyśmy rządzić tym miejscem. Ty wolisz wysługiwać się ludziom i zadowalać odpadkami, które ci rzucają.

– Wypuść Corcana. Nie potrzebujesz go już – powiedziałem.

– Jest mi potrzebny, żeby otworzyć przejście. Dotrzymuję słowa danego mojej matce, nie tak jak ojciec.

Zaczął intonować. Rozpoznałem zaklęcie, które dobra, poczciwa Meryl wbiła mi do głowy. Gethin otwierał wrota, za którymi był chaos. Wiatr przybierał na sile. Pod murami fortu odpalono świecę rzymską. Pomarańczowe rozbłyski mieszały się z bladym światłem bariery Gethina. Kiedy pierwsze eksplozje zabarwiły niebo,

kanonada zaczęła narastać.

– To zakłęcie cię zabije! – krzyknąłem.

Zawahał się na moment.

– Mylisz się. Otworzy przejście Pokonanym, Którzy Zwyciężą. Sprzymierzą się z nami i razem będziemy rządzić.

W oczach zapłonął mu gorączkowy błysk szaleństwa. Raczej nie należało oczekiwać, że posłucha głosu rozsądku.

Wrócił do inkantacji. Wzniósł ręce, wybuch żółtego światła przedarł się przez barierę i strzelił w niebo. Wydawało się, że będzie się wznosić bez końca i przebije chmury. Wokół zapadła głucha cisza, słyhać było tylko gardłową recytację Gethina. Z daleka dobiegł głuchy jęk. Z głębi ziemi dało się słyszeć dudnienie. Podmuch z nieba zwałił nas z nóg.

Z trudem uniosłem głowę. Ściana wody otaczała fort, a z nieba spadał na nas złowrogi zielony poblask. Gethin przyzywał morze. Wiatr ustał. Za murami fortu rozległy się niepewne okrzyki, kolejne fajerwerki zakreśliły płonące łuki w ciemnościach.

Keeva przeszła do mnie.

– Nie przedrzemy się przez pentagram. To najsilniejsza tarcza, jaką w życiu widziałam.

– Nie na tym polega problem. – Wskazałem ścianę wody wokół nas. – To tam rozpęta się piekło.

– Czy ktoś ewentualnie mógłby mi wyjaśnić,

co się tu dzieje? – zapytał Murdock. Cały czas trzymał Gethina na muszce i nie spuszczał z niego wzroku.

– Kiedy Tuatha de Danann pokonali Fomorian, uwięzili ich zaklęciem w głębinach mórz. Gethin zamierza otworzyć bramy tego wodnego więzienia. A ci, co stamtąd wyjdą, są wielcy, paskudni i nie będą zadowoleni, że się tu znaleźli.

Detektyw odwiódł kurek i wycelował staranniej.

– Więc dlaczego nie miałbym go kropnąć?

– Nie możesz zobaczyć bariery wokół pentagramu, ale ona z pewnością zatrzyma kulę.

Gethin nadal intonował, zwracając twarz ku kolejnym wierzchołkom pentagramu. Podniósł kamienny nóż, po czym pełzając wokół Corcana, wycinał na ziemi runy.

W miskach z ziołami pojawiły się plamki światła i zawirowały wokół serc, pulsując niezemskim światłem. Pięć czerwonych snopów trysnęło z nich w niebo, przesywając chmury nakrywające fort kręgiem wody. Rozległ się przeraźliwy grzmot, wstrząs omal nie posłał nas znowu na ziemię. Chmury zaczęły wirować, jakby właśnie tu rodziło się tornado. Środek oczyścił się i rozszerzył w dziurę, wyglądającą jak źrenica martwego oka. W smolistej czerni wewnątrz nie było gwiazd, tylko szare pasma spływały z krawędzi wodną ścianą, która szumiała jak zasłona

targana wiatrem. Za jej powierzchnią majaczyły sylwetki, wielkie i niekształtne, mgliste i nieokreślone.

– Keeva, rzuć zakęcie wiążące. Uwięź nas wszystkich tutaj. Musimy zablokować mu dostęp do tej ściany.

Zamknęła oczy, usiłując się skoncentrować, po czym potrząsnęła głową.

– Nie mam takiej pamięci jak ty, Connor.

Wygrzebałem z kieszeni notatkę Meryl i rzuciłem jej.

– Naucz się szybko, ja go czymś zajmę.

Rzuciłem się prosto na pentagram.

Niewidzialna bariera ustąpiła na kilka centymetrów, po czym odrzuciła mnie z powrotem. Gethin nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Mój sztylet jeszcze spadał, gdy wylądowałem już na ziemi. Kiedy go chwyciłem, runy na rękojeści zaśniły własnym światłem. Z uczuciem przeraźliwego bólu usiłowałem skierować część własnej esencji wzdłuż ramienia do dłoni z bronią, a wtedy rozjarzyły się mocniej. Nie miałem dostępu do swojej, ale sztylet miał własną moc.

Znów podszedłem do bariery i spróbowałem ją przeciąć. Strzeliła fontanna iskier, parząc mi skórę. Gethin nie przestał inkantować, ale tym razem spojrzał na mnie. Ciąłem ponownie. Buchnęło jeszcze więcej iskier i odskoczyłem. Gethin uniósł dłoń, trafiając mnie wylądowaniem w pierś. Upadłem na bok.

Usiadłem, czując płonąca, bolesną plamę na piersi. Bolało, jakby spadło na mnie dziesięć ciosów naraz.

– Mam – powiedziała Keeva. Wzniosła się nad Gethinem i zaczęła intonować. Kiedy fruwała, zataczając wokół nas kręgi, pojawił się za nią blady ogon błękitnego światła. Sądząc z tego, co słyszałem, wybrała krótsze zaklęcie. Czułem, jak osnowa mocy jej słów zaplata się na szczycie wałów fortu. Zaklęcie nie miało zburzyć wodnej ściany. Miało uwięzić Gethina, a wówczas jego własne zaklęcie również zostałoby odcięte.

Znowu zaatakowałem zasłonę. Tym razem byłem przygotowany na kontratak i wywinąłem się, zanim uniósł lewą dłoń. Wyładowanie trafiło w ścianę za mną, a Keeva zaczęła krzyczeć.

Wpadła w niekontrolowany ruch wirowy, widziałem jej wykrzywioną bólem twarz. Wyładowanie posłane przez Gethina trafiło w splot budowany jej zaklęciem. Wpadłem w furję. Mogłem tylko patrzeć bezsilnie, jak Keeva wiruje coraz szybciej, a potem z rozbłyskiem podobnym do elektrycznego wyładowania znika mi z oczu.

Wrzasnąłem jej imię, ale nikt nie odpowiedział. Wszystkie moje zmysły były roztrzęsione od mocy pokrywającej plac defiladowy. Czułem pozostałości esencji Keevy, ale jej samej nie. I wtedy, w nagłej ciszy, usłyszałem śmiech. Odwróciłem się w stronę pentagramu. Na twarzy Gethina malowała się

czysta radość, kiedy unosił kamienny nóż nad piersią Corcana.

– Nie! – wrzasnął Murdock.

Ja też wrzasnąłem, ale było za późno. Bariera eksplorowała rozbłyskiem białego światła, kiedy absorbowwała pocisk, uginając się w miejscu trafienia. Pocisk wbijał się w głąb, ciągnąc pole rozciągnięte jak lejek. Kiedy już myślałem, że kula się zatrzyma, dosięgła opadającego ramienia Gethina, wytrącając mu nóż z ręki. Świetlny szpic zaczął się kurczyć, odrzucając pocisk tam, skąd przybył.

– Na ziemię! – ryknąłem do Murdocka. Albo nie usłyszał, albo nie zrozumiał. Wypustka cofnęła się do granicy bariery i wystrzeliła. Trafiła Murdocka w ramię, zwalając na ziemię. Przerzuciło go ponad niskim murkiem i spadł na ścieżkę spacerową poza zasięg wzroku.

Gethin, nie tylko draśnięty, lecz także nieco ogłuszony uderzeniem pocisku, rzucił się do noża. Wsparł się na łokciu i wyciągnął rękę. Również wyciągnąłem rękę, a czas dla mnie zwolnił. Jedną z nienaruszalnych reguł dotyczących barier wokół pentagramów jest to, że tylko ten, kto je postawił, może je zdjąć. Patrzyłem na rękę wyciągającą się niemal do połowy poza niewidzialną granicę tarczy. Ten, kto zamknął, ten otworzył. Cisnąłem sztyletem. Gethin wrzasnął, kiedy ostrze wbiło mu się pomiędzy knykcie, przybijając dłoń do ziemi. Zanim zdążył zareagować, chwyciłem rękę i

wywlokłem go z pentagramu. Bariera znikła niemal natychmiast.

Syn MacDuina rzucił się na mnie z krzykiem. Jego pięść zderzyła się z moją kością policzkową i prawie pozbawiła mnie przytomności. Siadł na mnie i zaczął okładać, usiłowałem zablokować uderzenia ramionami.

Dźgnąłem go sztyletem, odbił go, ostrze wyleciało mi z dłoni. Znowu mnie uderzył.

Unosił pięść do kolejnego ciosu, gdy zamarł nagle i spojrzał w górę. Krew zalewała mi oczy, ale i tak zauważyłem migocące na niebie światła, błyski błękitu, zieleni, żółci i różu. Były jak gwiazdki sztucznych ogni, tylko że poruszały się celowo. Gethin zerwał się na nogi i wysłał w ich stronę białe wyładowania. Światelka wirowały i rozpierzchały się przed nimi, ale nadal nadciągały w naszą stronę.

Potrząsnąłem głową, usiłując oprzytomnieć. Słyszałem inkantację.

Dźwięki zmieniły się w słowa, jedną frazę powtarzaną bez końca: Ny a wrug agas dhestrewy jy.

Zaśmiałem się z niedowierzaniem. Kornwalijski. Nadciągał Ludek. Co najmniej setki chochlików spływały spiralami na plac defiladowy, wrzeszcząc ile sił. Moc ich tańca zaczęła mnie otaczać, napełniając moje ciało mocą, tak samo jak tego dnia, gdy Stinkwort przeprowadzał ze mną powitanie słońca. Tyle że tym razem skala była

dużo większa. Mroczna materia w mojej głowie cofnęła się i potop esencji zalał mi ciało. Wstałem. Blokada ustąpiła. Mogłem sięgnąć po swoją esencję. Całą. Miałem znów moje zdolności.

Podniosłem sztylet i zawołałem Gethina, wskazując go ostrzem.

– Hej, dupku! Wiesz, co się stanie, kiedy użyję noża jako różdżki? Boli jak diabli.

Energia spłynęła wzdłuż mojego ramienia i strzeliła z końca ostrza. Trafiłem w głowę, zwalając zabójcę wrózek na ziemię. Natychmiast wspięły się na niego chochliki, przykrywając go barwą swojej furii. Jeden z nich wyrwał się z kłębowiska, unosząc miecz.

Stinkwort zawisł przede mną, z ciałem skapanym we krwi i twarzą rozjaśnioną bitewną euforią.

– Mówiłem, że dorwiemy sukinsyna.

– Ściągnąłeś chyba wszystkie klany z kraju. Odfrunął w tył.

– Niemal. A co z tobą? W porządku?

– Rano będzie bolało jak cholera.

Joe uśmiechnął się do mnie szyderczo i radośnie.

– Jak zawsze. Muszę go zabrać, zanim go zabiją.

– Co chcesz z nim zrobić?

Obdarzył mnie tym niemożliwym, zębatym uśmiechem.

– Został teraz wrózką. Oddamy go wymiarowi

sprawiedliwości dla wrózek.

Wrzasnął i pozostałe chochliki znikły. Wraz z nimi zniknął także Gethin. Zabrały go. Tylko w jednym miejscu na świecie wymierzano sprawiedliwość wróżkom. Na zamku Tary. Tam, gdzie żelazną ręką rządziła Maeve.

Corcan nie poruszał się. Pochyliłem się nad nim i sprawdziłem puls. Był nikły, ale był. Odwróciłem jego twarz w moją stronę. Na policzku miał niewielką ranę od noża Gethina, widocznie ostrze drasnęło go, spadając. Na brzegu rozcięcia drżała kropla krwi. A potem jak w zwolnionym tempie oderwała się od skóry i spadła. W górę. Osłupiały odsunąłem się o krok. Zanim dotarło do mnie, co to znaczy, kropla uniosła się poza mój zasięg.

Lecąc, wydawała się rosnąć.

Morze nie cofnęło się. Tam, gdzie trafiła kropla, woda zmarszczyła się, pojawiło się czarne, esowate pęknięcie. Wybrzuszyło się, stało jeszcze czarniejsze, po czym coś precyzyjnie się na drugą stronę. Jakaś ciemnoszara masa przekręciła się i zsunęła na dół. Wijący kłęb mięsa wylądował na ziemi po drugiej stronie pentagramu. Miał rozciągnięte, cienkie, zabarwione zielonkawo ramiona, głowę, która przypominała guz umieszczony na ramionach, z jednym wylupiastym okiem i palisadą zębów. Widziałem podobne na obrazach i uważałem, że są przesadne. Jednak to, co widziałem teraz, nie było takie ani trochę.

Fomorianin rozwinął się całkowicie i wyprostował, ukazując chorobliwie szary tułów wsparty na czarnych pniach nóg. Cuchnął jak tysiące ryb rozkładających się w słońcu. Wyglądał na oszołomionego, zataczał się, aż jego wzrok padł na ciało Corcana. Ruszył w jego stronę, więc uniosłem sztylet.

– Cofnij się! – Nie miałem pojęcia, czy mnie rozumie, ale przystanął. Ślepie obróciło się. Aktywowała się moja tarcza, ta prawdziwa, pokrywająca całe ciało, otulająca je pancerzem magii. Wspaniale było mieć ją znowu, ale przerażenie nie pozwoliło mi tego docenić.

Fomorianin wyciągnął ramię. Pojawił się miecz. Długi, poszczerbiony, z zabarwionej na kolor hebanu stali. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy stwór miał go, odkąd się pojawił, czy też jakoś go stworzył w tej chwili. Korzystając, że uwaga napastnika koncentruje się na mnie, ruchem wolnej ręki posłałem zaklęcie ochronne na Corcana.

Stwór uniósł ostrze i ciał. Odbiło się od stworzonej przeze mnie bariery w rozbłysku zielonego światła. Resztki mojego zaklęcia wyparowały jak mgła.

Wszedłem więc pomiędzy Fomorianina i Corcana, po czym odbudowałem zaklęcie.

Ostrze śmignęło w moją stronę. Robiąc unik, chwyciłem powietrze przed sobą i z czubków moich palców strzeliły wyładowania, trafiając go w pierś. Stwór zaskowyczał nieziemsko. Jego oko

rozjarzyło się i poczułem, jak moje ramiona stają się ciężkie. Próbowałem odrzucić zaklęcie, ale nie mogłem nawet zrozumieć, jak działa. Upadłem. Ruszył na mnie, unosząc miecz. Wbiłem ręce w ziemię. Popełnił błąd. Odczekałem, aż będzie gotów opuścić ostrze, i zaczerpnąłem esencji ziemi wokół mnie. Grunt między nami eksplodował fontanną błota. Fomorianin upadł, ale przy tym uderzył mnie po nogach. Snop czerwonego bólu przeszył moje kolano.

Chwyciłem sztylet i dźgnałem stwora w udo, znów wrzasnął. Moje ramię zapłonęło żywym ogniem. Odskokczyłem i posłałem w istotę strumienie żywej energii. Fomorianin zdzielił mnie na odlew mieczem. Tarcza wytrzymała, ale impet uderzenia znowu zwałił mnie z nóg. Wylądowałem ciężko na boku i poczułem, jak łamią mi się żebra. Odpęzłem na bok, wijąc się z bólu. Stwór machnął kończyną i moje ciało znów oblał ogień. Poczułem odrażający smród spalenizny i zrozumiałem, że palą mi się włosy. Przetoczyłem się, jęcząc z bólu w pogruchootanym boku, i usiłowałem zdławić płomień.

Kiedy Fomorianin sięgał po miecz, użyłem najprostszego zaklęcia i odrzuciłem mu go daleko poza plac defiladowy. Stwór wrzasnął z wściekłości, z trudem się podnosząc. Wycelowałem w niego sztylet i posłałem mu to samo zaklęcie, którego użyłem przeciw Gethinowi. Zawahał się przez moment, a potem je odrzucił.

Rycząc wściekle, ruszył naprzód i zdzielił mnie w twarz. Krew bryznęła mi z nosa.

Energia, którą otrzymałem od chochlików, zaczynała słabnąć. Ciemność w mojej głowie szczyrzyła się na krawędzi umysłu. Nie odeszła, tylko cofnęła się przed energią, którą obdzielił mnie Mały Lud. Nie dawałem rady. Był za silny. Nie miałem pojęcia, co mógłbym przeciwstawić jego sile, nie mówiąc już o umiejętnościach.

Znów mnie uderzył, moja głowa odbiła się od ziemi. Stał nade mną okrakiem i zaczął okładać. Cios za ciosem wbijał mnie w ziemię. Żyłem tylko dzięki tarczy, która osłabiała ciosy, jednak tylko osłabiała. Zaczynałem tracić przytomność. Kolejne uderzenie wyrzuciło mnie w powietrze. Uderzyłem silnie w ścianę i zsunąłem się na ziemię. W mojej klatce piersiowej rozległ się mokry trzask. Poczulem niemożliwy do pomylenia z niczym ból, gdy złamane żebro przebiło płuco.

Z rozpaczy sięgnąłem po jedyną rzecz, jaką miałem jeszcze siłę zrobić. Syczący, gęsty kłęb mgły otoczył mnie, kryjąc przed wzrokiem przeciwnika. Mogłem widzieć Fomorianina, ale on nie widział mnie. Łaził dookoła, zagubiony w druidycznej mgle, zawodząc z wściekłości. Dwa razy omal nie nadepnął na leżące bezwładnie ciało Shaya. Nie miało to znaczenia, i tak nie mogłem go powstrzymać. Gorzej, gdyby znalazł Corcana, rozdarł jego ciało i użył krwi, by spoza morskiej ściany sprowadzić swoich pobratymców.

Starając się oddychać tak płytko, jak to tylko było możliwe, gapiłem się na księżyc. Nie byłem dobry w księżycowych zaklęciach. Tak jak powiedziała Briallen, najlepiej działały dla kobiet. Dźwignąłem się, chwytając ściany, podczas gdy niekształtny rozdzierał szponami grunt opodal mnie. Jeden bolesny krok za drugim pełzłem wzdłuż muru. Gdybym zdołał wyjść, znalazłbym pomoc. Jakaś wróżka, która przynajmniej włączyłaby się do walki z Fomorianinem.

W połowie drogi do bramy zatrzymałem się i znów spojrzałem w górę. Księżyc wpatrywał się we mnie. Nie powinno go tam być. Dziś była pierwsza noc nowiu. Niebo powinno być puste. Z głębin mojej pamięci wypłynął skrzypiący, starożytny głos.

Nie twój księżyc.

Nie twój księżyc. Próbowałem myśleć, ale byłem zbyt zmęczony. Jeśli to nie mój księżyc, to co? Nie wiedziałem, co to znaczy. Przeklęty gargulec. Żałowałem, że nie ma tu Briallen. Mogłaby mi rzeczowo wyjaśnić oczywiste sprawy. Czuję się oszołomiony i słaby, jakbym miał zaraz zemdleć. Osunąłem się po murze, ale szybko uniosłem głowę. Zemdlałem? Wydawało mi się, że Fomorianin jest dalej niż przedtem. A może bliżej. Nie mogłem sobie przypomnieć. Chciałem się położyć. Tylko na chwilę.

Briallen. Coś mi umknęło z pamięci. Coś na temat Briallen. Briallen by wiedziała, o co chodzi z

tym księżycem. Powinna go zobaczyć. Ale tkwiła w zamknięciu, pogrążona w transie. I tylko ja mogłem ją obudzić. Poczulem mdłości. Nie miałem pojęcia, co się z nią stanie, jeśli umrę. Czy będzie spała wiecznie? A może stopniowo wycieńczy się aż do śmierci?

Mogłem niemal widzieć ciemność w mojej głowie. Czekala na swój czas, jakby wiedziała, że i tak wygra. Zaśmiałem się. Jedyne, co mogła wygrać, to martwe ciało.

Fomorianin obmacywał teraz ścianę. Szuka mnie i w końcu znajdzie. Czulem się paskudnie z powodu Briallen. Miałem nadzieję, że nie będzie zbyt zawiedziona. Pomyślałem, że powinienem był zostawić jej wiadomość na wypadek, gdyby się obudziła. Powinna wiedzieć, z czym przyjdzie jej się zmierzyć. Przegrzebałem kieszeń w poszukiwaniu telefonu. Brak sygnału. Cisnąłem aparat precz, krzywiąc się z bólu. Fomorianin odwrócił się i ruszył do źródła hałasu.

Chciałbym, żeby wiedziała, że na koniec odzyskałem swoje zdolności. Byłaby ze mnie dumna. Moja głowa zrobiła się ciężka, pozwoliłem, żeby podbródek opadł mi na pierś. Próbowałem odgonić ból i skupić się na szczęśliwych wspomnieniach. O czasach, kiedy nie podejrzewałem, jak będzie ciężko, i sądziłem, że ćwiczenie prostej lewitacji w domu Briallen to prawdziwa trudność.

Uniosłem głowę. Moje zdolności powróciły, a

ja zamierzałem umrzeć jak idiota. Oparłem dłonie na ziemi i wciągnąłem tyle esencji, ile tylko zdołałem. Mój umysł wrzeszczał z wysiłku. Byłem jedynym, który mógł dotrzeć do przyjaciółki. I nie potrzebowałem do tego pieprzonej komórki. Kiedy nie mogłem już więcej wchłonąć, uwolniłem całą energię w jednym, potężnym przywołaniu. Wzywałem Briallen.

A potem upadłem, wyczerpany. Krew zalepiała mi oczy. Starłem ją słabym ruchem. Stwór wciąż pałętał się przy murze fortu. Głowa opadła mi na trawę. Gapiłem się w niebo, na rozmyty obraz dziwnego księżyca. Jego powierzchnia wydawała się marszczyć. Usiłowałem wyostrzyć wzrok, ale księżyc nadal się marszczył. Nagle zwinął się w sobie i spadł wstęgą białego światła. Potok światła otoczył mnie bezgłośnie, lecz nieuchronnie jak fala przyływu.

Zadygotałem, kiedy energia runęła mi wprost w żyły. Moje pogruchotane ciało przeszyły setki igieł i wrzasnąłem z bólu. Chyba na chwilę straciłem przytomność. A potem otworzyłem oczy. Ciemność odeszła z mojego umysłu, a wraz z nią ból. Nic nie czułem. Nic oprócz MOCY.

Zdumiony wstałem. Ciało wibrowało mi mocą, jakiej w życiu jeszcze nie czułem. Za to czułem Briallen. Spojrzałem na plac defiladowy, lecz jej nie dostrzegłem. Jednak ją wyczuwałem. I naraz do mnie dotarło. Była we mnie. W jakiś sposób czułem esencję Briallen w sobie. I jej moc.

Uniosłem sztylet. Runy na ostrzu płonęły upiornym blaskiem. Broń w moim ręku zmieniała się w żywe stworzenie, pulsowała życiem. I rosła. Wzdłuż mojego ramienia płynęła esencja. Ostrze wydłużało się, aż stało się mieczem płonącym czerwonym ogniem.

Chyba wyczuwając przyptyw mocy, Fomorianin obrócił się do mnie. Zaszarżował przez mgłę, w stronę źródła mocy. Widziałem, jak wokół jego ciała wiją się czarne błyskawice. Wskazałem go mieczem i oddałem ostrzu wszystko, co miałem w sobie. Skoncentrowana energia strzeliła ze sztychu. Czerwony płomień śmignął przez trawnik. Fomorianin eksplodował oślepiająco białą kulą światła. Usłyszałem, jak zawył z bólu.

I nic więcej.

Kiedy przed oczyma przestały mi latać czarne plamy i odzyskałem wzrok, stwora nie było, tylko tam, gdzie stał, pozostała plama wypalonej trawy. Nic nie czułem. Nawet własnej esencji. Dałem z siebie wszystko. Byłem pusty. W mojej głowie znów usadowiła się czerń i zablokowała zdolności do posługiwania się esencją. Znowu. Zwaliłem się na ziemię.

Ściana wody opadła z łomotem na fort. Dziwny księżyc zbladł, a gwiazdy znowu zamigotały na niebie. Jasne, zimne gwiazdy na nocnym płaszczu nieba. Przez okamgnienie tylko, bo zaraz chmury, które od rana wisały nad miastem, przesłoniły światło.

Czas przestał płynąć. Nie wiem, jak długo leżałem. Ubranie miałem przesiąknięte krwią i potem. Wyczuwałem, że mam złamane kości i obrażenia wewnętrzne. Ale nie czułem bólu. Zły znak. Bardzo zły. Nieopodal widziałem bezwładnych Corcana i Shaya. Nie poruszali się. W ciemnym wyjściu z fortu leżał bez życia Murdock.

I Keeva. Keevy nie wyczuwałem wcale. Ani jej esencji, ani ciała. Nic. Zginęła. Meryl to wyśniła. Widziała koniec. Miałem skończyć, leżąc strzaskany na ziemi, otoczony przez zmarłych. Usiłowałem przeprosić ich szeptem.

Wielka kropla deszczu spadła mi na twarz. Potem następna i następna. Ściana wody rozstała się, kiedy otworzyły się chmury. W przejściu, gdzie leżał Murdock, coś się poruszyło. Wysoka, szczupła sylwetka w jasnym świetle. Drżący obraz wyostrzył się i zmienił w kobietę. Zawahała się, wchodząc na plac defiladowy, a potem wolno ruszyła przez trawę. Była oślepiająco biała. Cała, nawet włosy. Uśmiechała się przez łzy płynące jej po policzkach. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła mojego czoła.

– Śpij – powiedziała Briallen. I zasnąłem.

Rozdział 17

Bezlitosne popiskiwanie wybudziło mnie ze snu. Moją pierwszą myślą było wyciągnąć rękę i zniszczyć budzik. Ta myśl wybudziła mnie jeszcze bardziej, ale tylko umysłowo. Moje ciało nadal leżało bezwładnie. Popiskiwanie zaczęło brzmieć czyściej, w spokojnym, powtarzalnym rytmie, i wtedy je rozpoznałem. To nie był budzik. To był monitor pracy serca. Z wysiłkiem uniosłem powieki.

Sufit był wyklejony starymi płytkami dźwiękochłonnymi. Dokładnie nad moją twarzą ktoś, przypuszczalnie obdarzony irytująco życzliwą osobowością, przykleił żółtą nalepkę śmiechusa. Przy moim biodrze spał zwinięty w kłębek Stinkwort. Jego esencja kojąco grzała mnie w bok.

Obok łóżka na winylowym krzeselku siedziała Briallen i również spała. Nie wyobraziłem jej sobie w formie. Jej skóra była bledsza niż zazwyczaj, a włosy stały się śnieżnobiałe.

U wezłowania łóżka znajdował się stojak obwieszony torebkami pełnymi rozmaitych płynów. Płatanina plastikowych rurek prowadziła do mojego ramienia, gdzie znikwały pod kawałkami białej taśmy. Szyna na nodze sprawiała, że nakryta kołdrą kończyła przypominała łańcuch górski. Na lewej ręce miałem gips. Drzwi i okna pokoju ozdobiono wianuszkami z lawendy i koperku.

Użyłem swojej słynnej zdolności dedukcji i
uznałem, że jestem znowu w Avalon Memoriał.

Dzbanek na nocnej szafce pysznił się bukietem
czarnych róż. Ostrożnie, żeby nie obudzić
Stinkworta, sięgnąłem po bilet wizytowy. Kolejny
śmiechus miał tym razem czarne ikсы w oczach i
wywalony język. Otworzyłem liścik.

Drogi Connorze!

Nie umieraj.

1X00

Meryl

*PS. Nieźle ci poszło z tym całym końcem
świata.*

Uśmiechnąłem się. Najwyraźniej myliłem się
co do patologicznej życzliwości właściciela
śmiechusa.

Odłożyłem kartkę z powrotem na stolik, ale
ześlizgnęła się i spadła na podłogę. Nawet nie
próbowałem jej łapać.

– Musimy przestać spotykać się w ten sposób.

Byłem tak wycieńczony, że mogłem tylko
poruszyć oczami. Briallen siedziała już prosto, ale
bez względu na to, jak długo spała, nie usunęło to
wyrazu wyczerpania z jej twarzy.

– Co z Murdockiem?

– W porządku. Jest dwa piętra niżej.

Zdumiałem się. Rzadko się zdarzało, żeby w
Avalon leczono ludzi.

– Dlaczego tutaj?

– Gwałtowna reakcja na moc. Coś w tym rodzaju. Zamieszało mu w esencji, ale już w porządku. Nie pamięta nic od wejścia do fortu. Powiesz mi, co się wydarzyło?

– Najpierw powiedz mi o pozostałych.

Pochyliła się.

– Shay jest wyczerpany, ale już czuje się dobrze. Przynajmniej fizycznie. Kiedy go tutaj przywieziono z zamku, obudził się z krzykiem. Chyba znowu stracił świadomość, a potem wróciły mu wspomnienia. Był przy paru morderstwach. Gillen znalazł u niego ślady po zaklęciu opętania. Śmierć Gethina musiała je zerwać.

– To ma sens – przyznałem. – Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Shay ma tak wiele powiązań z tym, co się działo. Gethin zapewne wykorzystywał go do znajdowania ofiar i uzyskania dostępu do Corcana Sidhe.

Briallen potaknęła skinieniem głowy.

– Shay obwinia się o to, co się stało, ale przecież był zupełnie bezbronny.

Biedny Shay. Miałem nadzieję, że jakoś sobie poradzi z tym, co przeszedł.

– A co z Corcanem?

– Podobno ma się lepiej niż kiedykolwiek.

Rytuał wywołał u niego pozytywny efekt... – przerwała.

– Keeva nie żyje – dokończyłem.

Briallen uścisnęła moją dłoń.

– Nie, skarbie. Żyje. Dlaczego myślałeś, że nie żyje?

Poczułem ulgę.

– Wydawało mi się, że widziałem, jak zginęła. Co powiedziała?

– Powiedziała, że postawiła barierę wokół fortu, by powstrzymać zakłęcie.

– To wszystko?

– Wszystko.

Skinąłem głową. Skromna Keeva to interesujące zjawisko.

– Okay. Teraz ja. Jak jest źle?

– Zobaczymy... pęknięta śledziona, zapadnięte płuco, naderwane ścięgna kolana, ramię złamane w trzech miejscach, wyczerpanie... – Uśmiechnęła się. – Byłeś nieprzytomny przez dziewięć dni. Okazało się, że na razie nie umierasz, i niech tak zostanie.

Przez chwilę nic nie mówiłem. Czułem, jak emocje wypełniają mnie po brzegi i wypływają na twarz. Briallen zna mnie doskonale. Wie, że nie znoszę płakać.

– Odzyskałem moje zdolności, Briallen. Potem znowu odeszły, ale miałem je i mimo to przegrałem.

Pogładziła mnie po ręku.

– Nie przegrałeś. Pokonałeś tę rzecz, zatrzymałeś katastrofę i wszyscy uszli z tego mniej więcej cało.

– Mniej więcej.

Przewróciła oczami.

– W porządku, dziś nie będę się z tobą kłócić.

– Wtedy, na końcu, to naprawdę byłaś ty?

Oparła się na krzesło.

– I tak, i nie. Twoje przyzwanie rozsadziło drzwi do mojego sanktuarium. Wiedziałam, że nie dotrę do ciebie na czas. No to wysłałam tyle mojej esencji, ile tylko zdołałam.

– Więc ciebie też o mało nie zabiłem?

Uśmiechnęła się.

– Nie będę kłamać. Wzięłam na siebie ogromne ryzyko i wyczerpałam się niemal na śmierć. Ale nie, to nie tak, że o mało mnie nie zabiłeś.

– W jaki sposób wysłałaś mi obraz księżyca, kiedy byłaś w transie?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Widziałem księżyc w pełni, podczas gdy nie powinno go tam być. Gargulec powiedział mi, że to nie mój księżyc. Dlatego pomyślałem o tobie. Myślałem, że ty go przesłałaś.

Potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia, co widziałeś. Znajdowałeś się w wirze międzywymiarowym. Kto wie w jakim czasie? Koło kręci się według własnej woli, Connor. Nie mam pojęcia, dlaczego gargulec miałby znać się na mocy księżyca, ale cieszę się, że się znał.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiliśmy.
Rozmowa o księżycu sprawiła, że znów

pomyślałem o forcie. Pamiętałem fajerwerki i chochliki, miałem wrażenie, że to wszystko wygląda znajomo.

Nie chodziło o sny Meryl. Nie tylko. Meryl widziała koniec – ciała i rany. Ja śniłem przebłycki z tego, co się działo przedtem. Światła. Miecz. Potwór o owadzim oku. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co to oznacza.

– Śniłem o tym wszystkim – powiedziałem. – Nie, nie o wszystkim. O wielu rzeczach. Ale to nie wystarczyło. Jak ci mówiłem, nie jestem wieszczem. Przynajmniej nie byłem, o ile mi wiadomo. Aż do tej chwili nie wiedziałem, że śniłem przyszłość. Myślałem, że to tylko koszmary.

Brialen przechyliła głowę i wydeła wargi.

– Może ta tajemnicza rzecz w twojej głowie nadaje twoim zdolnościom nowy kierunek.

– Nie chcę nowych kierunków. Chcę moje normalne zdolności.

Westchnęła.

– Kiedyś będziesz wdzięczny za manowce, którymi prowadzi cię twoje życie, Connor. Ja się nie mogę doczekać nowych doświadczeń.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Lepiej powiedz mi o tym sztylecie, który zmienia się w miecz.

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie to jest miecz, który zmienia się w sztylet.

– No i... ?

– I nic. Tak to jest. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Dałem spokój. Briallen zamierzała mi powiedzieć to, co chciałem wiedzieć, wtedy, kiedy uzna za stosowne. Spojrzałem na śpiącego Stinkworta.

– A co się stało z Gethinem?

– Niech Joe ci opowie, to jego historia.

Rozległo się pukanie, po czym w drzwiach pojawiła się głowa Keevy.

– Och, przepraszam. Wrócę później.

Briallen wstała.

– Nie, już wychodziłam. Jeśli Gillen Yor mnie tu zobaczy, rozpęta piekło. Jest troszkę terytorialny. – Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. Patrzyliśmy na siebie przez moment z lekkimi uśmiechami.

Odwróciła się i skinęła Keevie głową. Ta opuściła wzrok i ukłoniła się, jakby były na dworze. Miło było widzieć, że kogokolwiek szanuje. Poczekała, aż Briallen wyjdzie, po czym rozsiadła się w fotelu. Położyła na kolanach kopertę.

– Myślałem, że umarłaś – powiedziałem. Wyglądała okropnie. Nie była tak blada jak Briallen, ale daleko jej było do zwykłego, wystrzałowego wyglądu.

Spojrzała na mnie z niesmakiem.

– To zaklęcie, które mi dałeś, odbiło

rykoszetem i uwięziło mnie w cholernej ścianie. – Stłumiłem uśmiezek. Wymyślałem już dla Keevy najprzeróżniejsze tortury, jednak uwięzienie w murze nie przyszło mi do głowy Przeczesała włosy. – Na szczęście więzy pękły, kiedy zabiłeś Fomorianina.

Staralem się zachować rzeczowy ton.

– Więc jednak zrobiłem coś dobrego.

– Ale wtedy morze zaczęło się cofać i odpływ wysłał mnie w zatokę. Nie miałam siły, żeby polecieć, więc musiałam płynąć do brzegu i zajęło mi to trzy godziny.

Przegrałem bitwę z uśmiechem.

– Uwięziona w ścianie, a potem splukana do morza. Kiepski dzień.

Zaśmialiśmy się oboje. To było miłe uczucie.

– Też myślałam, że zginąłeś.

– Nie wiem, dlaczego przeżyłem.

Odezwała się bardzo poważnie.

– Nigdy nie kwestionuj życia, Connor. Możesz kwestionować, co tylko chcesz, ale nigdy życie.

– Teraz zostałeś jeszcze filozofem?

– Mówię tylko, że nie zawsze musimy wiedzieć, dlaczego rzeczy toczą się tak, jak się toczą.

Otworzyła kopertę, wyjęła zdjęcie i podała mi. Było czarno-białe i przedstawiało zatłoczoną ulicę. Jedną z postaci obwiedziono kółkiem. Gethin MacLorcan.

– Zostało zrobione w Monachium wczesnej

jesieni w zeszłym roku – powiedziała Keeva. – Mieszkał tam z matką. Stoi za nim.

Gerda Alfheim była wysoka i elegancka, nawet w długim czarnym płaszczu. Jej oczy miały podejrzliwy wyraz, ale nie widziała fotografa. Nie pociągają mnie szczególnie elfki, ale mogłem zrozumieć, co MacDuin w niej widział.

– Jako znana terrorystka, Gerda Alfheim była pod obserwacją. Z tego, co MacDuin mi powiedział, Gerda ściągnęła go do Niemiec, bo Gethin umierał. MacDuin odmówił pomocy przy rytuale krwi. To wszystko było ukartowane. Wiedziała, że odmówi. Więc Gethin przyjechał tutaj, gdy jego ojciec był w Niemczech, jakoś zdobył wcześniej hasła dostępu MacDuina i uzyskał dostęp do Gildii. Ukradł kamienie i kilka starych grymuarów.

– Więc dlaczego MacDuin nikomu o tym nie powiedział?

– Z powodu Zgromadzenia Fata. Maeve wyznaczyła MacDuina, żeby załagodził stosunki z Konsorcjum Teutońskim. Bał się, że zostanie zamieszany w zabójstwa i elfy wykorzystają wywołane przez nie współczucie dla wrózek, by wszcząć bunt przeciw Maeve i zerwać Zgromadzenie. MacDuin naprawdę porzucił stare sympatie polityczne. Chronił Maeve. Chciał pokoju. Długo trwało, zanim ludzie mu uwierzyli i nim zyskał zaufanie. Ale to zdjęcie zostało zrobione z innego powodu. Przyjrzyj się twarzy w

tle.

Spojrzałem na zdjęcie. Ktoś stał tuż za Gethinem, częściowo przez niego zasłonięty, ale trzy czwarte było widoczne. Opadła mi szczeka. A potem spojrzałem na Keevę.

Skinęła głową.

– To niewątpliwie Bergen Vize.

Upuściłem zdjęcie i zapatrzyłem się na sufit. Durny śmiechus wyszczerzył się do mnie, po czym mrugnął. Zakarbowałem sobie, żeby zamordować Meryl, kiedy tylko przestanę się śmiać.

– Jak pamiętasz, MacDuin był w czasie wojny w tej samej komórce terrorystycznej co Vize. To tam poznał Gerdę. Ale nie sądzę, żeby MacDuin wiedział o fomoriańskim zaklęciu. Gildia sądzi, że to był pomysł Yize.

– Więc to wszystko zdarzyło się tylko dlatego, że Bergen Vize znowu chciał mnie zabić?

Keeva roześmiała się.

– Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że się wplączesz. Jesteś na rencie, pamiętasz? Vize nie mógł przypuszczać, że pojawisz się w forcie.

– Chyba mnie teraz zbyt nie lubi.

– Nie, chyba nie. W gruncie rzeczy przyznano ci ekstra ochronę. Ale on i Gerda rozplynęli się w powietrzu.

Westchnąłem.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nienawidzą świata do tego stopnia, że chcą go zniszczyć.

– Nie patrzą na to w ten sposób, Connor. Ich

świat już został zniszczony. Próbują go odtworzyć i powrócić do dawnej chwały. Jeżeli wymaga to uwolnienia najohydniejszych istot, jakie chodziły po ziemi, to trudno.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

– I nie rozumiem, jak mogłaś pomagać to ukryć.

Wyprostowała się nagle.

– Niczego nie ukrywałam. Myślałam, że pracuję nad przypadkiem zaginięcia dla mojego szefa. MacDuin mnie wykorzystał.

– Dobrze wiedział, którego lizydupa poprosić.

Wstała i spojrzała na mnie wściekle.

– Straszny z ciebie chojrak jak na kogoś, kto dał mi zaklęcie, które omal mnie zabiło.

– Może nie musiałbym prawie ginąć, gdybyś się go lepiej nauczyła.

– Może nie musiałabym się go uczyć, gdybyś powiedział mi, co jest grane, odrobinę wcześniej.

Paskudna riposta zabalgotła mi na wargach. Zacisnąłem usta i zamknąłem oczy.

– Masz rację – powiedziałem. Wyraz jej twarzy był bezcenny. – Gdybym wcześniej poprosił cię o pomoc, może udałoby się ocalić życie paru ludziom.

Spojrzała na swoje stopy.

– Takim jak my niełatwo prosić o pomoc.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że coś, co męczyło mnie od paru dni, nagle się skryształizowało.

Uśmiechnąłem się. Tak jak podejrzewałem, tylko ktoś z Gildii mógł znać metodę katalogowania, jaką wymyśliła Meryl, a raczej mało prawdopodobne było, żeby MacDuin podsuwał mi wskazówki.

– To ty zostawiłaś runy oghamu na moich drzwiach i pod wycieraczką Murdocka.

Zaczęła się wiercić.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Dobrze wiesz. To ty. Chciałaś, żebym ci pomógł, ale nie mogłaś po prostu przyjść i poprosić. W rzeczywistości śledziłaś mnie cały czas, żeby zobaczyć, czy do czegoś dojdę. Doprowadziłem cię do Corcana, a on do Gethina, nie? To tak go złapałaś!

Westchnęła ciężko i wstała.

– Tak czy inaczej, wpadłam tylko, żebyś poznał całą historię. MacDuin podejrzewał, że za tym wszystkim stoi Bergen Vize. Zapewne po tym, jak zobaczył to zdjęcie. Śledztwo zostało zamknięte, ale nowy szef Działu Dochodzeń znowu je otworzy.

– A będzie nim... ?

Ruszyła do drzwi i obejrzała się przez ramię z uśmiechem na twarzy.

– Lizydup, a któż by inny?

Tylko Keeva potrafiłaby wykorzystać krawędź ostatecznej zagłady, by pokonać szczebel w karierze. Przynajmniej wiedziała, że ja wiem, że jest mi winna przysługę. To zawsze pomaga w

kontaktach z krnąbrnymi członkami Gildii.

Stinkwort usiadł i przeciągnął się.

– Rany, to ona już wyszła?

– Wiesz, że tak. A ja wiem, że obudziłeś się dziesięć minut temu.

Pomaszerował wzdłuż krawędzi łóżka, drapiąc się po tyłku.

– Nowy szef! Nowa szefowa Działu

Dochodzeń nie zauważyłaby śpiącego chochlika, choćby usiadł jej na nosie. – Przefrunął na nocną szafkę i zanurzył głowę z mojej szklance z wodą.

– Miałeś niezłe wejście tam, w forcie.

Wyjął głowę ze szklanki i otrzepał wodę z włosów. Usiadł i wyszczerzył się.

– No miałem. Też bym tak powiedział.

– Co się zdarzyło, kiedy odlecieliście?

Usadowił się wygodnie na szafce.

– Człowieku, dałem w palnik jak za dawnych, dobrych czasów. Maeve wystawiła ekstra imprezkę!

– Pytałem o Gethina, Joe.

Wzruszył ramionami.

– Och, Maeve bardzo się ucieszyła na jego widok. Na swój wkurzony jak cholera sposób. Kiedy już wydarła mu gołymi rękami skrzydła, kazała go ściąć i poszliśmy imprezować.

To mogłem sobie wyobrazić. Maeve zbyt ciężko pracowała nad zachowaniem pokoju z elfami, żeby wspominać o morderstwach, które Gethin popełnił. Sprawiedliwość w świecie wrózek

była szybka i zwykle ostateczna.

– Coś taki cichy? Myślałem, że się ucieszysz.
Spojrzałem na niego.

– Cieszę się w pewnym sensie. Nie mam nic do niego, po prostu wolałbym, żeby to się nie wydarzyło. Może gdybym złapał Bergena Vize dwa lata temu, to by się nie wydarzyło.

Stinkwort przewrócił oczami.

– I jedziemy od początku.

– Nie, Joe, naprawdę. Czy ci się podoba, czy nie, za to, co robi Bergen Vize, jestem w pewnym sensie odpowiedzialny.

– I co chcesz z tym zrobić?

Posłałem mu krzywy uśmiešek.

– Myślę, że jak już stanę na nogi, przydadzą mi się wakacje. Mroczna Puszcza to chyba niezłe miejsce?